

Kontrowersyjny eksperyment psychologów, którzy chcą sprawdzić
ludzkie zachowania w skrajnie trudnych warunkach

EKSPERYMENT BLACK BOX



MARIO GIORDANO

MARIO GIORDANO
**EKSPERYMENT
BLACK BOX**

Z języka niemieckiego przełożyła
Barbara Niedźwiecka

Spis treści

Karta tytułowa

Udział w eksperymencie jest dobrowolny...

Naura lubi się ukrywać.

1

Rok później

2

3

4

5

6

7

8

9

10

Epilog

od autora

**UDZIAŁ W EKSPERYMENCIE JEST
DOBROWOLNY**

**PODCZAS EKSPERYMENTU MOGĄ ZOSTAĆ
OGRANICZONE NIEKTÓRE PRAWA
OBYWATELSKIE**

**PRZEDWCZESNE PRZERWANIE
EKSPERYMENTU JEST NIEMOŻLIWE**

Naura lubi się ukrywać.

Heraklit z Efezu

... bo spotkało mnie, czegoś się lękał, bałem się, a jednak to przyszło.

Ks. Hioba 3, 25, Biblia Tysiąclecia

Co dalej, panie profesorze?

Bruno Batta, 37, po tym jak w eksperymencie Milgrama poddał testowaną osobę maksymalnym elektrowstrząsom i osoba ta przestała się poruszać.

Dwaj mężczyźni, biegnący zygzakiem przez las, sapali głośno ze zmęczenia. Młodszy z nich, Tarek, nagle sobie uświadomił, co za chwilę zobaczą. Ogarnęło go złe przecucie, osaczyło ze wszystkich stron, zawisło nad nim, gęste i ciężkie jak mysio-szare opary mgły spowijające nagie o tej porze roku drzewa. Warstwa opadłych na ziemię liści parowała. Nie śpiewał ani jeden ptak. Słyszać było tylko ich kroki, ich sapanie, trzaskanie gałązek pod butami. Dobry nastrój, jaki miał do niedawna, znikł w momencie, gdy wyszli z samochodu. Zamiast niego odczuwał uciążliwy ból głowy, pulsowanie z przodu czaszki, z lewej strony. Ale przecucie przecuciem, dla niego liczyło się to, że zdobędzie materiał na sensacyjny artykuł. Tarek przycisnął więc do siebie jeszcze mocniej nikona, żeby go nie uszkodzić, uderzając o jakieś drzewo, i biegł dalej. Zdążył już całkiem stracić orientację. Gdzieś w pobliżu musiał się znajdować tor wyścigów konnych albo lotnisko dla szybowców. Ale z której strony? A więc dalej gonił za Dresem, który biegł pierwszy, ciężko dysząc. W którymś momencie Drese stanął.

– Stop! – zawołał i opadł na kolana, rozkaszał się, tracąc całkiem oddech.

Był przysadzistym mężczyzną. Na sobie miał starą dżinsową kurtkę, a na nogach adidas.

– Co jest, Drese? – wykrztusił Tarek. – No, dalej, ruszaj się!

Drese nie odpowiedział, oddychał świszcząco, na twarzy był purpurowy. Teraz, gdy stanęli, jeszcze intensywniej do ich nosów wdzierał się wilgotny, zgniły zapach listowia. Tarek oddychał szybko, obserwując, jak z ust wydobywają mu się obłoczki pary, których nie rozwiewa nawet najmniejszy podmuch wiatru. Powoli się rozejrzył.

– Ten cholerny las wszędzie wygląda tak samo. Mam wrażenie, że jesteśmy w nim uwięzieni. Drese, czy ty w ogóle wiesz, gdzie się znajdujemy? Popatrz na moją kurtkę! Co za cholerny las! I ten pieprzony deszcz! Nie słyszać ani jednego ptaka, zauważyłeś, Drese? Ani jednego!

Drese obrzucił Tarka krótkim spojrzeniem. Potem znów zwiesił głowę, dalej dyszał i trzymał się za bok.

– No ruszaj się, spaślaku! – ponaglił go Tarek.

– Nie mów tak do mnie!

– Spaślak!

– Nie życzę sobie, żebyś mnie tak nazywał!

– Spaślak!

– Jebany kebab!

Tarek pociągnął nosem i splunął.

– Jak się okaże, że mnie kiwasz...

– To nie może być daleko stąd.

– No to się ruszaj, spaślaku! Dalej!

Gdy ruszyli, deszcz się nasilił. Ziemia była błotnista, Tarek się poślizgnął, niewiele brakowało, a wypuściłby z rąk aparat, zaklął.

Nagle Drese stanął i dał znak, wskazując ścianę deszczu. Około stu metrów przed nimi można było rozpoznać zarysy drewnianej chaty.

– To tutaj?

– Jeśli ten Rumun po pijaku mówił prawdę. Dom należy do jednego faceta z Kolonii, który ruszył w roczny rejs dookoła świata. W pobliżu nie ma żadnych innych domów. Oni tutaj...

– A co z nim? – przerwał mu Tarek. – Czy on jest w środku? – Drese wzruszył ramionami. Tarek wytarł sobie nos rękawem kurtki, a następnie zaczął trzeć dłoń o dłoń, żeby je rozgrzać. W lewej skroni nadal mu pulsowało, nawet jeszcze bardziej, a resztki dobrego samopoczucia ostatecznie zniknęły! – Jak mnie kiwasz, spaślaku, to zobaczysz!

Tarek pobiegł w kierunku chaty, schylił się i przez jedno z okien ostrożnie zajrzał do środka, chociaż według słów Dresego obaj porywacze opuścili już miasto. Zrobił kilka zdjęć chaty, kiwnął na Dresego, który czekał w bezpiecznej odległości, i szarpnął mocno za klamkę. Zamknięte. Podszedł więc do okna i stłukł cienką szybę łokciem. Gdy wchodził przez okno do środka, usłyszał skrzeczenie kilku ptaków.

– Człowiek jest zwierzęciem!

Claus P. Thon rozejrzał się po audytorium, czekając, aż zdanie to wywrze odpowiednie wrażenie na słuchaczach. Zawsze wywierało.

– I automatem! – dodał.

Po umiarkowanie zatłoczonych rzędach przeszedł szept. Claus P. Thon, profesor psychologii ogólnej, uśmiechnął się do studentki w obcisłym sweterku siedzącej na samym przodzie, która nie opuszczała żadnego wykładu, i z zadowoleniem kontynuował. Od tego momentu mógł być pewien, że skupił na sobie uwagę.

– Ludzkie zachowanie jest funkcją cybernetyczną. Składają się na nie programy motoryczne, genetycznie zaprogramowane wzorce zachowań i odruchy warunkowe. Do tego dochodzą jeszcze wychowanie i doświadczenie. Możecie uważać to za prowokację, za bzdę, za bluźnierstwo, ale to fakt. Wszystkie istoty żywe są automatami. Może nam się wydawać, że kultura, technika, filozofia powstały w wyniku wolnej woli człowieka, ale w gruncie rzeczy są efektami tego, że człowiek ma do wyboru bardzo wiele „opcji” zachowania. Ale pod spodem, moi państwo, pod cienką warstwą kultury i moralności znajdują się prastare instynkty i dziedziczne kombinacje genetyczne, które nami kierują i które ostatecznie służą tylko jednemu celowi: przetrwaniu naszego gatunku. Możemy powiedzieć, że to taki nasz system operacyjny. A więc, jeśli naprawdę chcemy się czegoś dowiedzieć o ludzkim zachowaniu, to musimy właśnie zacząć od poznania tego systemu operacyjnego.

Nawet nie zadali sobie trudu, żeby pozacierać ślady. Chata pełna była śmieci, w powietrzu unosił się smrodliwy zapach. Butelki po wódce, wełniane koce, dwa śpiwory, zardzewiały scyzoryk, świerszczyki z gołymi babami, chusteczki higieniczne. Na siermiężnej podłodze z drewna można było rozpoznać gliniaste odciski butów. Tarek robił zdjęcia wszystkiego, co widział. Całe mnóstwo śladów. Ale brak człowieka.

– I co? To ta chata? – zapytał Drese, stojąc na progu, jakby bał się wejść do środka.

– Ty się mnie pytasz, spaślaku? To przecież ty zdobyłeś tę informację.

– Ależ chłopie, Rumun był pijany! I piekielnie wściekły na swoich koleśki... Ale to chyba ta chata, co? Facet powiedział, że jego ludzie trzymali tu tego chłopaka przez cały czas. A więc...

Tarek kopnął na bok pudełko po pizzy. W ustach czuł gorzkawy smak.

– A więc on musi tu chyba gdzieś być, co nie? – stwierdził.

Drese powoli zaczął pojmować.

– Wielki Boże! – wymknęło mu się.

W milczeniu zaczęli gorączkowo przeszukiwać wnętrze. Zajrzeli do szafek, pościągali z łóżek materace, za pomocą żelaznej sztaby wyważyli kilka desek z podłogi, przeszukali ściółkę leśną wokół chaty. W końcu go znaleźli. Z drugiej strony chaty. Mężczyzna tkwił w dole wykopanym w ziemi, pełniącym niegdyś rolę szamba.

Szambo nie było wiele większe niż budka telefoniczna, po bokach oszalowane cementem i przykryte metalową pokrywą, którą Tarek znalazł pod warstwą liści. Gdy odsunęli na bok ciężki i śliski krąg, w nos buchnął im obrzydliwy smród. W dole, w szlamie z ziemi, liści i odchodów siedział w kucki około dwudziestotrzyletni mężczyzna. Głowę na wysokości ust miał obwiniętą szeroką taśmą z tkaniny, taką samą taśmą miał skrepowane ręce w nadgarstkach. Prawe oko przybrało czarną barwę i niemal było niewidoczne pod mocną opuchlizną. Na twarzy i we włosach miał skrzepniętą krew, która teraz na deszczu nasiąkała wodą w obrzydliwy sposób. Na całym ciele można było dostrzec ślady uderzeń. Ubranie było brudne, ale mimo to Tarek je rozpoznał. Takie samo jak na zdjęciach policyjnych. Lewa dłoń pozbawiona kciuka i palca wskazującego. Posłużyły jako załączniki do ostatniego listu z żądaniem okupu. Po martwym, zadziwiająco napuchniętym i wykręconym ciele niegdyś przystojnego i inteligentnego młodego człowieka łączyły roje chrząszczy i mrówek. Uprowadzono go przed trzema tygodniami. Jego ojciec, handlowiec z Holandii, kilka dni temu na polnej drodze w pobliżu Eindhoven zostawił małą torbę sportową z pięcioma milionami marek. Wyglądało jednak na to, że Michael van Hondeveld w tym czasie już nie żył. Zmarł wielokrotną śmiercią. Zamarzł, udusił się, został zagłodzony i pobity; wycieńczyły go gorączka, ciemność, ciasnota i bezradność wobec chrząszczy i mrówek.

Deszcz padał teraz grubymi kroplami i spływał Tarkowi i Dresemu z włosów na twarz, przemoczył ich ubrania, przeniknął do gołej skóry. Tarek nawet tego nie czuł. Dniej się gapił w dół, na zwłoki. Jak automat wziął do ręki aparat fotograficzny, ustawił przesłonę i wypstrykał cały film, fotografując powykrzywiane zwłoki, chatę, szambo, Drese odwrócił się i zwiomotał.

– Chodź, spadamy stąd! – wykrztusił i wytarł sobie usta. – Już nas tu nie ma!

Tarek nie ruszył się z miejsca.

– O tydzień za późno – powiedział cicho.

Nie drgnął nawet. Stał tuż nad krawędzią dołu, w smrodzie rozkładu, wpatrywał się w trupa, w drobne, nieważne szczegóły, w rysunek żyłek na dłoniach, znamię nad wargą, markę butów. Gdy się wreszcie odwrócił po, jak mu się wydawało, nieskończenie długim czasie, Drese zniknął.

– Wielki rosyjski powieściopisarz Dostojewski skomentował swoją czteroletnią niewolę w syberyjskim łagrze słowami, że ten czas zbudził w nim głęboki optymizm co do przyszłości człowieka, bo skoro człowiek jest w stanie przetrzymać horror więzienia, to musi być on istotą, która naprawdę jest w stanie przetrzymać wszystko.

Tak jak Thon oczekiwał, w tym momencie roześmiało się kilku studentów. Profesor mówił płynnie dalej:

– Oczywiście współczesnego więzienia w naszym kręgu kulturowym nie można porównywać z więzieniem, jakiego doświadczył Dostojewski. Mimo to jego sarkazm także dzisiaj oddaje istotę rzeczy we właściwy sposób. Po wielu reformach więziennictwa musimy dzisiaj stwierdzić, że więzienie jako instytucja społeczna poniosło klęskę. W żadnym państwie, także w krajach cywilizowanych, zachodnich, więzieniom nie udaje się resocjalizować więźniów ani powstrzymać ich od dalszej przestępczej działalności. Wręcz przeciwnie, przemoc staje się coraz większa, i to zarówno ta stosowana podczas popełniania przestępstw, jak i ta, która ma miejsce w samych zakładach karnych. Koszty więziennictwa gwałtownie rosną, a jednocześnie kara pozbawienia wolności przestaje mieć działanie odstrasżające. To dziwne, prawda?

Profesor Thon nie czekał na reakcję, tylko kontynuował:

– No cóż, jest wiele hipotez co do przyczyn wzrostu przemocy. Najpopularniejsza jest „hipoteza predyspozycji”. – Thon zapisał termin starannie na tablicy. – Mówiąc w uproszczeniu, przemoc w więzieniach jest tłumaczona istnieniem psychicznych predyspozycji u więźniów i strażników. Zgodnie z tą hipotezą strażnicy i więźniowie są siłą rzeczy znacznie bardziej agresywni, sadystyczni i brutalni oraz słabiej

wykształceni niż średnia reszty społeczeństwa. Przemoc napotyka więc na przemoc. Bardzo przekonujące, nieprawdaż?

Zawiesił na chwilę głos, a po chwili mówił dalej:

– Inna hipoteza zakłada, że to więzienie stwarza sytuację patologiczną, sprzyjającą agresji i przemocy. – Napisał na tablicy „hipotezą sytuacyjną”. – Pozbawieni wolności i pilnowani więźniowie w wyniku izolacji od reszty społeczeństwa rozwijają w sobie nadmierną agresję *quasi* jako naturalną odpowiedź na sytuację. Do tego dochodzą tak zwane „sleepers”, czyli uśpione defekty osobowości, które budzą się dopiero w takiej sytuacji. Również bardzo przekonujące, nieprawdaż?

Thon podniósł głos i mówił bezpośrednio do audytorium.

Niestety żadna z tych czy innych hipotez nie została kiedykolwiek sprawdzona eksperymentalnie! Niezależnie od tego, którą osobiście preferujecie, to żadna z nich nie została naukowo potwierdzona. I trudno byłoby dowieść ich słuszności. Wyobraźmy sobie, że przeprowadzamy eksperyment w prawdziwym więzieniu. Nie możemy otrzymać zbyt rzetelnych wyników ze względu na rozmaite czynniki, dajmy na to długotrwałe oddziaływanie otoczenia, różne typy osobowościowe personelu strażniczego i tak dalej. Jediną możliwością jest stworzenie takiej sytuacji, w której efekty otoczenia więziennego mogłyby być oddzielone od osobistych predyspozycji więźniów. A więc stworzenie ściśle kontrolowanej sytuacji eksperymentalnej. W takim wypadku szczególnie by nas interesowała jedna cecha charakteru. Prawdopodobnie wszyscy ludzie ją posiadają i bardziej wpływa ona na nasze zachowanie, niż byśmy byli skłonni sądzić, mówię mianowicie o posłuszeństwie! O gotowości, żeby stosować się bez sprzeciwu do zarządzeń instancji uznanych za nadrzędne. Może to być odziedziczony po przodkach, prastary wzorzec zachowań... Kto z was słyszał o eksperymentach Milgrama z elektrowstrząsami?

– Jak się pan nazywa?

– Tarek Fahd. Pierdziel. Dupek. Frajer. Jebany kebab.

– Urodzony dnia?

– Dziesiątego listopada 1970 w Kolonii. Rany Julek, przecież to wszystko jest zapisane w moim dowodzie.

Tarek pociągnął nosem. Było mu zimno w małym transporterze policyjnym. Funkcjonariuszka siedząca przed nim coś notowała, prawie nie zwracając na niego uwagi, na leżący obok dowód osobisty też nie. Na dworze ciągle jeszcze mżyło. Technicy kryminalistyczni robili zdjęcia, policjanci zamknęli teren, oznaczając go trzepoczącą na wietrze taśmą. Bardziej z tyłu można było dojrzeć dwóch facetów niosących trumnę.

– Obywatelstwo?

– Niemieckie – powiedział Tarek nieobecny duchem.

– Zawód?

– Żuk gnojarek.

Policjantka spojrzała na niego gniewnie.

– Dziennikarz – poprawił się i dodał prawie mechanicznie swoje standardowe powiedzonka: – Szalejący reporter, *paparazzi*, co pani sobie życzy. Najczęściej piszę dla „Abendpost”. O której pani dziś kończy pracę?

Thon podniósł do góry plastikowy model ludzkiego mózgu.

– Ludzki mózg! Najbardziej skomplikowany twór w kosmosie. Miliardy funkcji i nieskończony magazyn danych o masie dwóch kilogramów. Neurony, włókna nerwowe, receptory, komórki glejowe, astrocyty, naczynia. Tu, a także w zwojach nerwowych rdzenia kręgowego, powstaje „zachowanie”. W tej szarobiałej masie znajduje się odpowiedź na nasze pytania. Niestety, nie możemy zajrzeć do środka tego cudownego tworu.

Thon zważył model w dłoni.

– A nawet gdybyśmy mogli do niego zajrzeć, to i tak niewiele byśmy z tego zrozumieli. Bo jak mózg może zrozumieć sam siebie, jeśli mi pozwolicie na filozoficzny dyskurs! Mózg pozostaje dla nas czarną skrzynką, puszką Pandory, której nigdy nie otworzymy.

Wyciągnął z kieszeni marynarki kinder niespodziankę, przystawił ją sobie do ucha i potrząsnął w taki sposób, że można było usłyszeć w środku leciutki klekot.

– Ale możemy sobie nim potrząsać, zupełnie jak tym jajkiem niespodzianką, i gdybać, co tam może być w środku.

Studenci znowu się roześmiali tak jak tego oczekiwał. Stanął do nich tyłem i narysował coś na tablicy.



– Wychodząc z naszego cybernetycznego założenia, jako niespodzianka, czyli czarna skrzynka, czyli po prostu ludzki mózg, jest automatem z urządzeniami wejścia, którymi są organy zmysłów, i urządzeniami wyjścia, którymi są mięśnie i aparat mowy. Ale co jest pomiędzy? Jak funkcjonuje ta czarna skrzynka? W jaki sposób możemy określić, „co się stanie, jeśli”? Otóż jedynym sposobem jest systematyczna zmiana bodźców docierających poprzez urządzenia wejścia przy jednoczesnej obserwacji urządzeń wyjścia i wyciąganie wniosków z zaobserwowanych zależności. Dokładnie to nazywamy psychologią.

Thon urwał na chwilę, otrzepał drogi garnitur z pyłu, który pozostawiła na nim kreda. Znowu się uśmiechnął do studentki w pierwszym rzędzie i mówił dalej:

– Musicie to przyjąć do wiadomości i zaakceptować. Takie systematyczne, kontrolowane zmienianie danych na wejściu oraz pomiary danych na wyjściu nazywamy eksperymentem. To banalnie proste. Zasadniczo proste. Żeby państwu wyjaśnić na przykładzie, o czym teraz mówię, przedstawię eksperyment, który niebawem przeprowadzimy u nas w instytucie.

///

Zadawali mu pytania, on odpowiadał, potem zawieźli go na komendę, zaprowadzili do pomieszczenia, które było nieprzytulne i skromnie wyposażone. Tam od nowa przesłuchiwało go dwóch kolejnych funkcjonariuszy.

– Już mówiłem waszym kolegom, że trafiłem na tę chatę zupełnym przypadkiem!

– Przypadkiem?! W samym środku lasu. I do tego podczas ulewy. A jeszcze do tego całkiem przypadkiem miał pan przy sobie aparat fotograficzny.

– Chciałem zrobić kilka nastrojowych zdjęć. Możecie wierzyć albo nie, aleja chętnie rankiem chadzam po lesie. Także podczas deszczu.

Tarek spojrział na policjanta, który stał bliżej, i dostrzegł, jak chodzą mu mięśnie policzków. Obaj policjanci nie byli starsi od niego. Obaj przystojni, wysportowani, nudni. Tarek wyobraził sobie, jak mają urządzone mieszkania, jakie dziewczyny i jakimi samochodami jeżdżą. Gliny jak z filmu, pomyślał. Za dużo oglądają telewizji.

– Panie Fahd, z całym szacunkiem dla pana kodeksu dziennikarskiego, ale czy pan wie, co grozi za fałszywe zeznania w przypadku porwania i morderstwa?

– Człowieku, zostaw mnie w spokoju! Czy to może ja zabiłem tego chłopaka? Człowieku, ja tylko przez przypadek odkryłem tę chatę, co tak na marginesie powinniście zrobić wy, i zaraz was wezwałem, a nawet na was poczekałem!

– Wcale nie uważamy, że brał pan udział w porwaniu. My też w ciągu ostatnich tygodni nie siedzieliśmy z założonymi rękami. A mimo to nie wierzymy w pana niewinny poranny spacer. Został uprowadzony człowiek i zabito go w bestialski sposób. Wcale nie uważamy, że to śmieszne. Chcemy schwytać jego zabójców. Panie Fahd, to nasza praca. Nie puścimy pana wolno, jak długo będziemy uważać, że ją nam pan utrudnia, i jak długo będziemy mieć choć najmniejsze wątpliwości co do prawdziwości pańskich zeznań. Wsadzimy pana do aresztu śledczego, obarczymy pana winą za jakieś tam przewinienie, aż w końcu powie pan coś, co nam naprawdę pomoże zrobić krok naprzód. Czy wyrażam się wystarczająco jasno?

Tarek przytaknął. Przygryzł wargę, pomyślał o szambie w lesie i słowach: „areszt śledczy”.

– No i jak tam, panie Fahd?

– Czy przyszedł list z komisji etyki?

Doktoranci i studenci stażyści, siedzący przed ustawionymi w rzędzie komputerami i analizujący dane, podskoczyli z przestrachu na krzesłach, gdy Thon tak gwałtownie wpadł do pomieszczenia. Zazwyczaj było to miejsce spokojne i ciche. Dominowało tu lekkie bzyczenie wentylatorów i zapach ozonu wydzielany przez drukarki laserowe. Cichy, skoncentrowany świat. Dopóki nie pojawił się w nim Thon.

Doktor Jutta Grimm, młodziutka współpracownica profesora, której zlecono szczegółowe zaplanowanie eksperymentu, pokręciła głową.

– Nie, nie przyszedł żaden list!

– Cholera, co oni sobie myślą? Przygotowania do eksperymentu trwają w najlepsze, a te panusie i ci królewicze ze straży moralności się nie spieszą. Gładko przechodzi nawet najbardziej niedorzeczny eksperyment na zwierzętach, ale jeśli pełnoletni, odpowiedzialny obywatel dobrowolnie chce uczestniczyć w eksperymencie psychologicznym, zostaje przez nich spławiony.

– Wydaje mi się, że już u nich przeszedł ten eksperyment – odezwał się jeden ze stażystów.

– No bo przeszedł! Ale nagle zachciało im się jeszcze raz wszystko sprawdzić. Na Boga, przecież nie zamierzamy nikogo sklonować!

Dwaj studenci zaczęli ukradkiem stroić miny.

– Może powinien pan z nimi porozmawiać? – zaproponowała doktor Grimm. – Z nimi, to jest z komisją.

– Za żadne skarby! – oburzył się Thon. – Do tego doszło, żebym musiał ich prosić o zezwolenie.

– Tak tylko zaproponowałam.

– Niech pani zapomni! Czy może pani sama też ma jakieś obiekcje natury etycznej?

Jutta odrzuciła włosy do tyłu, nabrała powietrza, ale w końcu powstrzymała się od powiedzenia tego, co już miała na końcu języka.

– Nie – pokręciła głową. – Oczywiście, że nie mam obiekcji.

– A może ktoś inny ma? – Nikt się nie ruszył. Thon skinął z zadowoleniem głową. – A więc po co miałbym się przymilać do tej mafijnej komisji?

Jutta Grimm znowu oderwała się od komputera.

– Przyszedł ktoś z Ministerstwa Obrony. Chyba von Seth czy jakoś tak. Czeka w „móźdźku”.

– Ach, bardzo dobrze! – zawołał Claus Thon.

– W „móźdźku”! – krzyknęła za nim Jutta.

– Co masz?

Ledwo zdążył wejść do redakcji, gdy już Ziegler go dopadł.

– Masz problemy ze słuchem, Ziegler, czy co?

– Nie opowiadaj mi bajek! Przecież nie oddałeś im tego filmu!

– A co miałem zrobić?

– Chłopie, nie mów mi, że dałeś tysiąka za cynk, a potem taki bombowy film wypuszczasz z ręki i zawalasz historię na pierwszą stronę tylko dlatego, że jakiś pierwszy lepszy glina pogroził ci palcem.

Tarek wzruszył ramionami i wyjrzał przez okno. Małe pomieszczenie biurowe zdominowane zostało przez wściekłość Zieglera. Wszyscy się bali jego wybuchów. Na Tarku nie robiły one wrażenia. Ziegler w porównaniu z ojcem Tarka był garnkiem z zaledwie letnią wodą.

– Wzięli mnie nieźle w obroty, to co miałem robić? Byłem raczej w kiepskiej formie.

Na zewnątrz ciągle jeszcze padało. Świat się skurczył. Dwa tygodnie w tym dole, pomyślał Tarek. Czy krzyczał, gdy był sam w tej cuchnącej ciemnej dziurze? Czy do końca żywił nadzieję, że pokrywa nad jego głową w końcu się kiedyś otworzy?

– W kiepskiej formie! Nie, chłopie! Nie, nie, nie! Nie zrobiłeś tego. Taki zawodowiec jak ty nigdy by tego nie zrobił. Nie oddałeś im tego filmu. Chcesz tylko wywindować cenę! Odgrywasz tu przede mną kiepskie przedstawienie! Jak się okaże, że próbujesz mnie wydymać...

– Nawet sobie nie wyobrażasz, co oni temu chłopakowi zrobili!

– Bo się zaraz rozpłaczę! Chłopie, przecież już widziałeś niejednego trupa!

– Właśnie że nie.

Redaktor naczelny przez moment głęboko oddychał, a potem zmienił ton na ojcowski.

– A więc to tak. Cholera. Pierwszy trup zawsze załazi za skórę. – Ziegler wyciągnął z kieszonki koszuli papierosa. – A co u Dresego?

– Rozpłynął się. Przepadł. Ale nic o nim nie powiedziałem – skłamał Tarek.

– To dobrze. Informatora nie wolno podpieprzyć.

– Policja powiedziała, że chłopak nie żyje od tygodnia.

– I co z tego?

– Drese wiedział o chacie już tydzień temu.

– Że co? A dlaczego ty o niej nie wiedziałeś tydzień temu?

– Do diabła, Ziegler. Olałem go. Chciał tysiąka za cynk, który dostał od jakiegoś pijanego Rumuna. Zaczął ze mną pogrywać. Sam też był pijany i cuchnął. Powiedziałem mu, żeby mnie pocałował, że jest spaślakiem i że mam go w dupie razem z tym Rumunem. Zazwyczaj takie słowa spływają po nim jak po kacze, potrzebuje dobrego opieprzu, ale w zeszłym tygodniu nagle się obraził i sobie poszedł jak jakaś chimeryczna primadonna. Po kilku dniach znowu przylazł i ponowił ofertę. I dopiero wtedy zajarzyłem, że coś w tym może być.

Ziegler głośno sapnął.

– Nie dopytałeś się? Chłopie! Czy ty zawsze musisz zawieść w decydującym momencie? Ale może ten Drese sobie poszedł, bo się spietrał. Może był zadowolony, że nie drażyłeś tematu, bo miał cykora przed Rumunem.

– Nie kapujesz, Ziegler? Może młody van Hondeveld by teraz żył, gdybym zapłacił Dresemu tydzień wcześniej.

Ziegler wypalił papierosa do końca.

– Może. To nie twój problem. Drese jest świnią. Ale mimo to musimy informować opinię publiczną, chłopcze. Ludzie chcą coś takiego czytać! Takie jest życie. Jesteś jednym z moich najlepszych reporterów, chociaż twoja historia o zamordowanym akwizytorze okazała się tylko nadmuchanym balonem. Ale już o tym zapomniałem! Nie jesteś niedojdą. Gdy inni hamują, ty dodajesz gazu. To mi się podoba. Dlaczego więc teraz puszczają ci nerwy? Wyrzuć to z siebie, wypłuj, zapisz. Jesteś dobry, chłopcze.

Ziegler wyciągnął do niego otwartą dłoń.

– Ale ja nie mam tego filmu – powtórzył Tarek.

Ziegler zacisnął dłoń w pięść, a wargi w cienką kreskę.

– Powiem ci to raz i nie będę powtarzał, chłopcze. Jak do dzisiejszego wieczora nie dostanę od ciebie zdjęć ani mocnego artykułu, to posiekam cię na kawałki. Rozumiesz? Chcę tę historię na wyłączność, razem ze zdjęciami i ze wszystkim, albo wylecisz stąd na zbity pysk, a ja już zatroszczę się o to, żebyś pisać mógł co najwyżej swoje nazwisko na formularzu z opieki społecznej. Czy jasno się wyraziłem, chłopcze?

– Nie mógłbyś lepiej.

– To dobrze. – Ziegler zmienił temat i ton głosu. – A co z dzisiejszym wieczorem?

– A co ma być dzisiaj wieczorem?

– Chłopie, ta sprawa chyba naprawdę dała ci do wiwatu, co? Dzisiaj wieczorem wydawnictwo organizuje przyjęcie na zamku! Hm, mamy kilka nowych praktykantek. – Wykrzywił obleśnie usta. – Jak tam z tą krótko obciętą brunetką? Wydymałeś ją?

– Tak.

– No pewnie, że tak. Wszystkie dymasz. Jesteś taki sam jak ja. Tylko mnie, słuchaj, mnie nie wydymasz, zrozumiałeś? *Okay*. A teraz idź do domu, rąbnij się do łóżka i przemyśl to jeszcze raz. Dzisiaj wieczorem chcę dostać od ciebie zdjęcia z zajebistym tekstem, a potem będziesz się dobrze bawił. Dobra, a teraz spadaj. A świat niech się kręci dalej.

Mały pokój nazywany „mózdzkiem” ulokowany był zaraz obok właściwego gabinetu Thona. W środku panował porządek, stała wygodna sofa, fotel, regał z książkami, a na ścianach znajdowała się niewielka galeria zdjęć sławnych naukowców behawiorystów. Skinner, Pawłow, Piaget, Lorenz, Eysenck, Eccles, Hebb, Kohler, Wiener – barwny miszmasz osobowości. Profesor korzystał z tego pokoju, przyjmując w nim studentów, przeprowadzając ustne egzaminy i od czasu do czasu, aby przelecieć jakąś studentkę.

Pod względem wyglądu zewnętrznego Claus Thon mógłby równie dobrze być pracownikiem działu papierów wartościowych albo agencji reklamowej. Wysoki, elegancko ubrany, zdał maturę w wieku osiemnastu lat, studia psychologiczne skończył w wieku dwudziestu trzech lat, trzy lata później obronił doktorat na Uniwersytecie Stanforda, cztery lata później habilitował się w Niemczech. Pięć lat temu objął katedrę psychologii ogólnej, która od tego czasu wyprodukowała zalew publikacji. Teraz, mając czterdzieści lat z hakiem, Thon wykładał w pięciu językach, czytał dwieście stron dziennie i raz w roku biegał w maratonie. Był żonaty, żeglował i wciąż jeszcze pozwalał sobie jedynie na sześć godzin snu.

Mężczyzna, który siedział naprzeciwko niego, wiedział o tym wszystkim. Nie miał na sobie munduru, mimo że był majorem. Jurgen von Seth i Claus Thon znali się z wojska. Chociaż przez wiele lat nie mieli ze sobą

styczności i chociaż nigdy nie byli ze sobą tak naprawdę zaprzyjaźnieni, to kilka tygodni temu podczas konferencji w Munster rozpoznali się od razu.

– No i jak? Co mówią twoi zwierzchnicy? – zaczął Thon bez ogródek, gdy tylko przywitał się z gościem.

Von Seth usztywnił się.

– Mówią, że twój eksperyment stwarza wysoce patologiczną sytuację.

Thon poczuł, jak żołądek mu się unosi.

– Gdyby dokładnie przeczytali plan eksperymentu, to nie wyciągnęliby takich bzdurnych wniosków! – zawołał. – To totalny nonsens! Sytuacja eksperymentalna nie może być sytuacją patologiczną. Patologiczne bywają co najwyżej osobowości. To człowiek może być chory, ale nie sytuacja. Nasze testy kwalifikacyjne wyeliminowałyby osoby z defektami psychiki. Ustaliliśmy konkretne kryteria i będziemy się ich trzymać. Udział jest dobrowolny, uczestnicy eksperymentu podlegają stałej obserwacji, przez całą dobę do dyspozycji jest lekarz.

– Ludzi nie da się gruntownie przetestować – powiedział spokojnie von Seth. – Zawsze pozostanie jakiś margines niepewności. Nikt nie wie tego lepiej niż my. Stwarzasz sytuację eksperymentalną, ale może się okazać, że uczestnicy nie dadzą rady sprostać jej psychicznie.

– Psychika przeciętnie zdrowego człowieka potrafi znieść dużo więcej i jest bardziej elastyczna, niżby się mogło wydawać. Eksperymentalnie stworzymy na tyle ekstremalne warunki, by nie stanowiły dla człowieka nadmiernego wyzwania.

– Co nie zmienia faktu, że twój eksperyment jest niebezpieczny.

Thon zawiesił wzrok na mężczyźnie patrzącemu mu ze spokojem w twarz. W końcu prychnął, odwrócił się gwałtownie, podszedł do okna, popukał koniuszkami palców w szybę, a potem znowu stanął przodem do gościa.

– Zajmujemy się tutaj badaniami podstawowymi – wyjaśnił. – Mamy do rozwiązania pilny problem społeczny i potrzebujemy rzetelnych danych. A te można otrzymać tylko na podstawie starannie kontrolowanego eksperymentu, takiego właśnie jak ten.

– Ależ oczywiście, my też myślimy dokładnie tak samo.

– Co takiego? Co chcesz przez to powiedzieć?

– Uważamy, że twój eksperyment jest bardzo interesujący, to chcę przez to powiedzieć. Cieszy się dużym zainteresowaniem, z wszystkich stron. Przecież ci już to wyjaśniałem wtedy w Munster. Od czasu powstania Bundeswehry po raz pierwszy mamy do czynienia z sytuacjami konfliktowymi, do których być może nie jesteśmy wystarczająco przygotowani. Już nawet przymierzano się, żeby na terenie należącym do wojska zorganizować coś w stylu twojego laboratorium, nazwalibyśmy je „centrum treningowe”.

– A dlaczego jeszcze tego nie zrobiliście?

– Bo potrzebni są odpowiednio wykształceni ludzie. Naukowcy, lekarze, właściwe kryteria oceny. Po co tworzyć wszystko na nowo od podstaw, jeśli można nawiązać współpracę?

– A czy wiadomo coś o tym, na jakie wsparcie finansowe można by liczyć ze strony ministerstwa?

– Na ten temat trzeba by porozmawiać potem, mając już dopracowane szczegóły. Ale nie widzę żadnych problemów. Ważne, żebyśmy doszli do porozumienia pod względem merytorycznym.

– Wiesz, że istnieje komisja etyki, która musi wyrazić zgodę na tego typu eksperymenty?

– Oczywiście. I oczywiście musimy i zamierzamy poruszać się w granicach etycznie dopuszczalnych. Chociażby ze względu na opinię publiczną. Dlatego musimy odczekać, aż zostanie wyrażona zgoda na twój pierwszy eksperyment. Doświadczenie pokazuje, że jak się dostanie pierwszą zgodę, to z kolejnymi nie ma już problemu. Więc jak tam? Czy udzielono ci już absolucji?

– Szczerze mówiąc, sprawa się przeciąga. Ta cała komisja ma niewiele wspólnego z etyką. To mafia koleśków, którzy się trzymają swoich ciepłych posadek. A czas nagli. Na świecie już trzy grupy zajmują się opracowywaniem podobnych projektów. Gdyby nam się udało przedstawić pierwsze wyniki na sympozjum w Stanfordzie w przyszłym roku, byłibyśmy nad nimi górą. A tutaj wszystko pójdzie jak po sznurku. Co jeszcze chciałem powiedzieć? Skoro Ministerstwo Obrony jest tak bardzo zainteresowane, to może znalazłby się jakiś sposób, żeby komisji, że tak powiem, ułatwić podjęcie decyzji.

Jurgen von Seth skrzywił się.

– Raczej nie. Sama próba wpłynięcia na niezależną komisję mogłaby nam zaszkodzić, gdyby się o tym dowiedziała opinia publiczna. Zresztą nie za bardzo wiem, w jaki sposób dałoby się to zrealizować.

Thon westchnął.

– *Okay*. Tak sobie tylko pomyślałem. Zapomnij.

– Już zapomniałem.

– A więc czekamy.

– Czekamy, w końcu się uda.

– Oczywiście.

– Jeszcze jedno. Chcielibyśmy poznać możliwości twojego laboratorium.

– W jaki sposób?

Von Seth nie odpowiedział natychmiast, bo w tym momencie weszła sekretarka Thona i przyniosła kawę. Uśmiechnął się do niej i poczekał, aż wyjdzie.

– Chcielibyśmy, żeby jeden z naszych pilotów uczestniczył w pierwszym eksperymencie.

– To niemożliwe. Udział zależy wyłącznie od wyniku testów kwalifikacyjnych. Cały eksperyment się na tym opiera. Chcemy całkiem normalnych ludzi.

Von Seth zrozumiał, co Thon ma na myśli.

Obaj mężczyźni popatrzyli na siebie w milczeniu. W końcu von Seth rzekł pojednawczo:

– Proponuję następujące rozwiązanie: przekażę dalej, że masz problem z uzyskaniem zezwolenia od komisji. Nasz człowiek przejdzie przez testy kwalifikacyjne i weźmie udział w eksperymencie tylko pod warunkiem, że spełni wszystkie kryteria. Zgłosi się czysto prywatnie, jako ochotnik.

– *Okay*. Ale uczestnicy zostaną całkiem przypadkowo podzieleni na dwie grupy.

– Dobrze. To dla niego w końcu też będzie coś w stylu treningu testowego. – Jorgen von Seth uśmiechnął się. – Powiem ci szczerze, sam w czymś takim nie chciałbym brać udziału.

Przed powrotem do domu Tarek wstąpił jeszcze do znajomego fotografa, któremu czasem dawał do wywołania zdjęcia. Tym razem dał mu film,

który ukrył przed policją w majtkach. Policjantom oddał inny film, który pospiesznie wypstrykał, zanim wyszedł z lasu i zadzwonił po nich z komórki. Do tamtych zdjęć użył niewłaściwej przesłony, musiały więc być nieostre. Na takich zdjęciach nikt by nie ubił interesu. Dobrze, że go nie przeszukali. Tydzień, pomyślał Tarek, o tydzień za późno.

Nie wszedł z kumplem do ciemni. Nigdy tam nie wchodził. Ciągle dręczył go ten absurdalny, dziecinny strach, że zostanie pogrzebany żywcem. Strach ten męczył go od chwili, kiedy ojciec zamknął go w ciemni, by ukarać go za zniszczenie w zabawie cennego filmu. Tarek miał wtedy dziewięć lat. Ciasna i śmierdząca chemikaliami ciemnia, bez odrobiny światła, ciągle jeszcze wracała do niego w najkoszmarniejszych snach. Od dzisiaj jednak wiedział, że są miejsca napawające jeszcze większą grozą.

Tarek wygnał z myśli ojca i zajrzał do lodówki. Sam się obsłużył. Gdy obok, w ciemni, w płynie wywoływacza powoli wyłaniały się obrazy, on zrobił sobie kanapki i przysiadł w pokoju dziennym przed telewizorem. Nerwowo i niechętnie przeleciał pilotem po kanałach, ale przed oczami ciągle jeszcze miał obraz chłopaka tkwiącego w dole po szambie. W wiadomościach popołudniowych powiedzieli o odkryciu. Pokazano też zdjęcia chaty i pustego już dołu. Tarek wyłączył telewizor i poszedł do łazienki. Połknął cztery aspiryny, popijając je wodą z kranu. Umył dokładnie ręce i twarz, po czym przyjrzał się sobie w lustrze. Tarek Fahd. Pierdziel. Dupek. Frajer. Jebany kebab. Chwacki samuraj. Dziennikarz-kamikadze. Żuk babrzący się w gównie. I skrywający ciemną tajemnicę. Notoryczny przegrany. Tarek skrzywił się do lustrzanego odbicia i obiema dłońmi ścisnął sobie skronie, aż zaboląło. Nie poczytywał się za przystojniaka, był za niski, a do tego ten nos. Ale to nieważne, kobiety i tak na niego leciały. Uważał, że jest całkiem w porządku. Tylko w tej chwili wyglądał do dupy. Wyobraził sobie, jak by wyglądał, gdyby spędził dwa tygodnie w tym pieprzonym dole.

Z ciemni wyszedł fotograf i podał Tarkowi kopertę ze zdjęciami.

– Całkiem mocny materiał – powiedział.

– Tak – przytaknął Tarek.

Wziął kopertę, nie sprawdzając nawet zdjęć, i pojechał do domu.

Na korytarzu zrobił jak zwykle obsceniczny gest w kierunku wizjera w drzwiach sąsiadki. Takie przyzwyczajenie. Szybko zatrzaskał za sobą drzwi mieszkania i wdychał znajomy zapach.

Mieszkanie wyglądało jak zawsze. Kreatywnie, jak mówi jego siostra. Niechlujnie, jak powiedziała matka, gdy odwiedziła go po raz pierwszy i ostatni. Ojciec nie znał tego mieszkania.

W przedpokoju stały dwa pełne worki ze śmieciami i śmierdziały. Wszystkie części garderoby, jakie Tarek posiadał, leżały rozsiane na podłodze, sofie, łóżku, w pudełkach, na starym stoliku. W kuchni niezmywane od wielu dni naczynia. Kubki, w których osad z kawy pokrył się pleśnią. Pozasychane resztki sosu pomidorowego i makaronu. Czerstwy chleb. Na parapetach gruba warstwa kurzu. Kamień na armaturze łazienkowej i kuchennej. Odpływy pozatykane włosami.

Tarek ściągnął z siebie wilgotną kurtkę i zwyczajnie ją upuścił na podłogę. Sikając, słuchał, kto mu się nagrał na automatycznej sekretarce.

– Tarek, to ja, Sina. Pamiętasz mnie? Jestem twoją siostrą! Gdzie się podziewasz? Zadzwoń!

– Tarek, to ja, Nicole. Bardzo się ucieszyłam, że do mnie zadzwoniłeś. Nie spodziewałam się tego. Naprawdę szkoda, że mnie nie zastałeś. Ale może dzisiaj byśmy razem gdzieś wyszli. Zadzwoń. Ciao!

– Rößler przy aparacie. Panie Fahd, informuję pana, że nie zamierzam dłużej tolerować pana obscenicznych gestów pod moimi drzwiami i terroru muzycznego w nocy. Już zawiadomiłam administrację. Jak się to powtórzy, dostanie pan nakaz eksmisji.

– No cóż, niestety zgłasza się tylko automatyczna sekretarka. Z tej strony Ivonne. Pamiętasz mnie? Minęło już trochę czasu. Ciągle jeszcze mam twój telefon i pomyślałam sobie... Okay, zadzwonię później.

– Tarek, to jeszcze raz ja, Niki. Masz mój numer komórki? 01714344762. Ciao!

– Tu Kerstin. Jesteś cholernym dupkiem, Tarek. Naprawdę. Jak mogłeś mi coś takiego powiedzieć?

– Ty jebany kebabie, włącz swoją komórkę! Chciałem ci tylko powiedzieć, żebyś nie kapował na mnie glinom, okay? Ta sprawa też mi trochę zalaźła za skórę i nie chcę być w to wplątany, jasne? Chociażby ze względu na tego Rumuna! Zadzwonę później.

– *Panie Fahd, z tej strony Sonne, Stadtparkasse. Już do pana wcześniej dzwoniłem. Chodzi o pokrycie debetu na pańskim koncercie. Byłbym wdzięczny, gdyby pan oddzwonił...*

Nim pan Sonne z banku zdążył podać numer, Tarek był już przy aparacie i wykasował wszystkie wiadomości. Rzucił się na fotel, jęknął, bo nagle sobie uświadomił, jak bardzo jego mieszkanie przypomina tę leśną dziurę po szambie. Kopertę ze zdjęciami położył sobie na kolanach. Napoczął piwo i zaczął wyciągać z koperty czarno-białe zdjęcia, jedno po drugim. Koncentrując się na profesjonalizmie wykonania i analizując głębiej ostrości, dało się na nie jakoś patrzeć. Zdjęcia były niezłe. Może to nie były jego najlepsze zdjęcia, ale naprawdę niezłe. Wyraźne i ostre. Zwłoki w przytłumionym deszczem świetle wyglądały na znajdujące się w stanie zaawansowanego rozkładu, na jeszcze bardziej rozłożone, niż to zapamiętał z autopsji. Miał wrażenie, że ogląda obraz, na którym znajduje się kompozycja z mrówek i żuków na napuchniętym i uwalanym brudem ciele.

Jeszcze raz przejrzał zdjęcia, które zrobił całkiem odruchowo, bez zastanowienia. W którymś momencie uświadomił sobie, że przez cały czas nuci starą dziecięcą piosenkę, która natrętnie krąży mu po głowie.

– *... zając w norce sobie spał. Zając, zając, co ci jest? Czemu leżysz zamiast biec...*

W tym momencie uszło z niego napięcie, a żołądek wydał głośny, gulgoczący dźwięk. Tarek wpadł do łazienki i z głośnym jękiem zwymiotował. Wyleciał z niego jeden duży potok. Potem siedział na kiblu i czekał, aż przestaną mu drzeć nogi. Gdy nieco doszedł do siebie, wziął prysznic, długi i gorący. Nagle usłyszał, że dzwoni telefon. Włączyła się automatyczna sekretarka, ale ten ktoś się nie odezwał. Gdy Tarek wyszedł z łazienki, wsadził zdjęcia z powrotem do koperty, a następnie wygrzebał spod łóżka laptopa. Włączył urządzenie, usiadł przed nim mocno zgarbiony, nogi jak zawsze podkurczył. Przygotował się, że z całych sił będzie grzmocił w klawiaturę, by koszmar przetworzyć w tekst. Po czterech godzinach z powrotem spakował laptopa. Nie udało mu się napisać ani jednej linijki.

Rozebrał się i położył, ale sen nie przychodził. Nachodziły go tylko obrazy, dla których nie znajdował odpowiednich słów. Nie minęła jeszcze doba.

– ... *zając w norce sobie spał. Zając, zając, co ci jest? Czemu leżysz zamiast biec...*

Tarek jęknął, wyprostował się i wymacał telefon.

– Sina, to ja, Tarek. Spałaś?... Wpół do trzeciej, tak mi się wydaje... Przykro mi... Nie, nic takiego. Albo może masz rację, coś się stało. Mogę wpaść?... Tak, teraz, zaraz... Proszę!

Siostra wyglądała, jakby za chwilę miała zasnąć na stojąco. Jej grube czarne włosy sterczały na wszystkie strony. Miała na sobie szlafrok i była bardzo blada. Pocałowali się na przywitanie w policzek. Sina, nie mówiąc ani słowa, ruszyła pierwsza długim korytarzem dużego mieszkania w starym budownictwie.

– Przykro mi, ale... nie mogłem zasnąć – zaczął się tłumaczyć Tarek.

Westchnęła.

– Wyglądasz okropnie, Tari.

– Ty też. Ralfa nie ma?

– Ściele dla ciebie sofę w pokoju dziennym. No mów, co się stało?

Tarek zatrzymał się niezdecydowany w korytarzu.

– No mów!

W tym momencie w drzwiach stanął mąż Siny. Miał na sobie slipki i T-shirt. Oparł się o futrynę, skrzyżował ręce na piersi i rzekł:

– Cześć, Tarek.

– Cześć, Ralf.

– Zrobię herbaty – westchnęła Sina i poszła do kuchni.

Ralf oderwał się od futryny i podszedł do Tarka.

– Jest cholernie zmęczona – powiedział. – Ma za sobą trzydzieści godzin dyżuru, w tym dwa nagłe przypadki i jedną bezskuteczną reanimację. Wiesz, co to znaczy? Byłem zadowolony, gdy udało się jej zasnąć.

Tarek wzruszył tylko ramionami. Ralf pokręcił głową.

– Jesteś dzieckiem, Tarek – mruknął i poszedł za żoną do kuchni.

Wypili herbatę miętową, a Tarek cichym głosem opowiedział im w kilku zdaniach, co się wydarzyło wczesnym rankiem.

– Wielki Boże – wyszeptała Sina.

– A ty oczywiście wszystko od razu sfotografowałeś, prawda? – zapytał Ralf. – Dokładnie jak wasz ojciec, co? Czego tam w ogóle szukałeś? Dlaczego nie zadzwoniłeś od razu na policję?

– Cholera, myślałem, że jak znajdę i uwolnię chłopaka, to będę miał zajebisty materiał na artykuł.

Ralf wlepił w niego wzrok.

– Chyba masz nie po kolei w głowie, Tarek! Czy ty czasem myślisz o czym innym?

Tarek, patrząc na siostrę, odpowiedział:

– Ralf, ty tego nie rozumiesz.

– W takim razie wytłumacz mi!

– Porozmawiamy o tym jutro – wtrąciła Sina, ziewnęła i wstała. – Chodźcie, idziemy spać.

– Mogę do ciebie? – zapytał Tarek.

Ralf wypuścił głośno powietrze z płuc. Tarek dalej patrzył błagalnie na Sinę. Ta rzuciła niepewne spojrzenie na męża. Ralf wywrócił oczami, stęknął i wstał.

– Pójdę po swoje rzeczy i położę się na sofie.

– Dzięki.

– Dorośnij, Tarku. Spróbuj wreszcie dorosnąć.

Rok później



– Czy przebywał pan już w zakładzie karnym?

– Że co?

– W więzieniu.

– Ależ nie.

– Dobrze.

Studentka spojrzała z przyjaznym uśmiechem na krępego mężczyznę, który wiercił się nieswojo na krześle. Na formularzu zaznaczyła krzyżyk.

– Dlaczego pani o to pyta?

– Taka jest procedura. Kim pan jest z zawodu, panie Schiitte?

– Prowadzę interes. To jest, mam sklep. A właściwie kiosk spożywczy, „Źródełko”, przy Oberbilker Allee. Znacie je?

– Dlaczego chce pan wziąć udział w eksperymencie?

Na ekranie stojącym obok studentki przepływały zygzakowate kolorowe linie, wyglądały jak nieudany makaron z maszynki do robienia makaronu. Od komputera odchodziły kolorowe kable, przechodziły przez ścianę do pomieszczenia obok, a potem dalej, do wąskiej, dźwiękoszczelnej i pozbawionej okien kabiny. W zaciemnionej komorze na wygodnym krześle lekarskim siedział inny mężczyzna. Na uszach miał słuchawki, do głowy i twarzy podłączono mu elektrody. Patrzył na monitor, który pokazywał zmieniające się wzory geometryczne i różne zdjęcia. Rodzina na pikniku. Wypadek samochodowy z rannymi. Naga kobieta pod prysznicem. Grupa tureckiej młodzieży. Piwo. Kobieta w bieliźnie z lateksu, ściskająca sobie rękoma piersi. Mundur. Bijatyka. Zając. Boris Becker. Regał w supermarkecie wypełniony towarami. Nagi mężczyzna w seksownej pozie. Chmury o różnych kształtach. Rybki w akwarium. Nagie dziecko. Żołnierze podczas egzekucji. Lód na patyku. Policjanci w hełmach na głowach w konfrontacji z demonstrantami.

Podczas oglądania zdjęć mężczyzna słyszał w słuchawkach jedynie szum. Gdy się pokazywały wzory geometryczne, słyszał sylaby. W każdym uchu inną. Ta. Ga. Pa. Da. Ba. Ka. Gdy słyszał „ta”, musiał natychmiast

nacisnąć guzik. Tak samo gdy na ekranie pojawiała się elipsa. Nie powiedziano mu dlaczego.

W pomieszczeniu obok na rowerku stacjonarnym siedział jeszcze inny mężczyzna, do nagich piersi podoczepiane miał elektrody. Pedałował, a studentka w białym fartuchu obserwowała przebieg falistych linii.

– Całkiem nieźle, panie Kamps. Przełączymy teraz na dwieście watów, a zaraz potem będzie pan mógł przestać.

– Dlaczego chce pan wziąć udział w eksperymencie, panie Ullmann?

– Przy każdym pytaniu proszę stawiać tylko po jednym krzyżyku i proszę nie zastanawiać się zbyt długo. Nie ma dobrych ani złych odpowiedzi.

– Niech pan zamknie oczy i przysunie palec wskazujący jak najbliżej nosa.

– Ma pan dwie minuty czasu, uwaga, start!

– Podczas eksperymentu mogą zostać ograniczone pańskie prawa obywatelskie.

– Proszę po prostu patrzeć na monitor i zapamiętać przedmioty, które pan widzi. Ile tylko pan zdoła.

– Pański udział w eksperymencie jest całkowicie dobrowolny.

– Przez słuchawki będzie pan słyszał różne sylaby.

– Proszę się rozluźnić.

– Panie Schiitte, chcielibyśmy pana poprosić o wypełnienie tych formularzy.

– Jakich formularzy? Chyba nie testów na inteligencję?

– Między innymi. Ale proszę się nie bać. Większość osób radzi sobie z nimi lepiej, niż się tego spodziewa. A poza tym są to głównie testy osobowości.

– Ja jestem zupełnie w porządku.

– Na pewno. Chcielibyśmy tylko sporządzić spektrum pańskiej osobowości.

– A jeśli mnie potem nie zakwalifikujecie, to czy zapłacicie za te testy?

Grek powiedział mu, żeby najpierw umył samochód, ale Tarek uznał to za głupotę. Samochód był zupełnie w porządku, w środku i na zewnątrz czyściutki i wychuchany. W bagażniku w mocowaniu na ręcznik papierowy

tkwiła nowa rolka. Przy lusterku wstecznym wisiała świeżo powieszona przez Greka choineczka aromatyczna i dwie kostki do gry. Grek przed każdym kursem dotykał je ręką na szczęście.

Tarek jechał jak zwykle zbyt szybko, wykorzystywał każdą lukę w gęstym porannym ruchu, żeby sprawnie sunąć do przodu.

– *Grafenberger – skrzeczało radio – Rehtel 23, róg Becker. Szpital świętej Marii, niepalący. Plac Spichern.*

Tarek zatrąbił na niezdecydowaną kobietę w małym samochodzie, która na dźwięk klaksonu wróciła na swój pas. Przejechał obok niej na światłach, które właśnie zmieniły się na czerwone. Za nim zatrąbiły samochody. Tarek na to nie zważał. Zobaczył na krawędzi chodnika machającą kobietę i bez migacza zjechał w prawo, w poprzek przez dwa pasy.

– *Tu jeszcze raz Dorotheen. Plac Belsen. Kronprinzen 2, Lucca, z psem.*

Przemieszczanie się dobrze na niego wpływało. Jazda go uspokajała. W każdym razie koszmary ustąpiły.

– *Cmentarz Południowy. Kiihlwetter 10, róg Schneider. Czy ktoś już jedzie na Kronprinzen?*

Już od roku jeździł na taksówce. Od roku! Rok koszmarów. Przez rok nic nie pisał, przestał z dnia na dzień. Nie mogę, mówił, gdy Sina go o to pytała.

– Co jest?

– Czy mógłby pan jechać trochę wolniej? – zapytała pasażerka z tylnego siedzenia.

Tarek rzucił na nią okiem w lusterku, nie mówiąc ani słowa. Nie zwolnił, a zirytowana kobieta unikała jego spojrzenia i milczała.

– Nie mogę – powiedział po jakimś czasie.

Jechał. Całkiem normalny dzień, mimo mżawki, mimo chłodu. Rano zawiózł wysokiego niezgrabnego faceta, wyglądającego jak kaczką, na uniwersytet, do instytutu psychologii. Facet nie wiedział dokładnie, gdzie się znajduje instytut, ale miał przy sobie ogłoszenie, które wyciął z gazety „Abendpost”. Na ogłoszeniu był podany adres. Tarek rzucił okiem na ogłoszenie. Przeczytał: poszukiwani ochotnicy do wzięcia udziału w eksperymencie. Potem facet wysiadł.

Później Tarek wiozł faceta ubranego w błyszczący kombinezon i wyglądającego jak Elvis. Mężczyzna jechał na casting do serialu

telewizyjnego. Sam z siebie opowiedział Tarkowi o sobie i o serialu, że niby ma całkiem spore szanse, bo brakuje takich multitalentów jak on. Tarek przyjmował wszystkie jego słowa z potakiwaniem, a myślał swoje...

– Hej, posłuchaj! – Elvis nagle wychylił się do przodu i pokazał mu mały pistolet. – Nie chciałbyś kupić czegoś takiego?

– Cholera, co to ma znaczyć? Zabieraj to, człowieku!

– Niezłe, co? To tylko pistolet gazowy. Ale pierwsza klasa. Pięć dych i należy do ciebie. Taksówkarzowi coś takiego na pewno może się przydać.

– Człowieku, spadaj z tym swoim zasranym gnatem!

Elvis z żalem wzruszył ramionami, schował pistolet, a później nie dał mu napiwku.

– Dupek! – Tarek zawołał za nim.

– Uuh, it's one for the money,

two for the show,

three to get ready –

now go cat go!

But don't you –

Uuh!

Step on my blue suede shoes!

Uuh!

You can do anything, but...

– Dziękujemy, panie Eckert, to nam wystarczy!

– Co?

– Nie musi pan już dłużej śpiewać, panie Eckert. Usłyszeliśmy już dosyć.

Volker Eckert zdjął okulary przeciwsłoneczne, zsunął gitarę na wysokość bioder, zrobił okrężny ruch miednicą, odrzucił głowę do tyłu, rozstawił nogi, zrobił wyćwiczoną nadaśaną minę, jeden kącik ust uniósł do góry, a okularami odbił snop światła z reflektora w kierunku audytorium, gdzie siedziała dyrektorka artystyczna, która przerwała jego występ. Volker Eckert miał na sobie biały kombinezon obszyty lamówką z cekinami i

rozpięty od wycięcia na szyję po linię pasa. Oświetlenie sceniczne go oślepiało, pocił się i powoli zaczął popadać w coraz gorszy nastrój.

– Hej, lady, król Elvis jeszcze nie skończył! Jeszcze nie widzieliście całego show! *Be-bop-a-lula, she's my baby, be-bop-a-lula, I don't mean maybe...*

– Proszę nam wierzyć, panie Eckert, już zobaczyliśmy tyle, ile trzeba. Pańskie naśladownictwo Elvisa robi wrażenie, ale...

– Ale co, lady?

Volker Eckert zrobił kilka niezgrabnych kroków w ciemność za sceną, wyciągnął brodę do przodu i dalej wskazywał okularami przeciwsłonecznymi na miejsce, gdzie siedziała dyrektorka.

– Ale co? – powtórzył z naciskiem.

– Pod względem typu nie pasuje pan do serialu.

– Pod względem typu? A co ma pani konkretnie na myśli?

– A poza tym pan nie umie śpiewać. Kompletnie pan fałszował.

– Nigdy nikt mi czegoś takiego nie zarzucił, lady.

– Nie odpowiedziała. – To może wcale nie będę śpiewać, lady? Najważniejszy jest przecież *performance*. Jak pani sobie życzy, to za kilka tygodni mogę zaprezentować Michaela Jacksona albo Micka Jaggera. Albo Liama Gallaghery. Co pani na to? Chce pani? Jestem *cool*. Jestem multitalentem. Jestem odpowiednią osobą, żeby zagrać w *The Real Life*.

– Przykro mi, panie Eckert.

Dzień jest pełen zasadzek. Można niewłaściwie oznaczyć walizkę, odprawić pasażerów na niewłaściwy samolot, wydrukować niewłaściwe karty pokładowe, przeoczyć zbyt duży bagaż podręczny, zapomnieć o inwalidach, dzieciach bez opieki lub deskach do surfowania, na przedpolu przejechać przez czerwoną linię, być nieuprzejmym w stosunku do pasażerów, dostać naganę. Naganę!

– „Romeo Tango” miał wczoraj ponadpółgodzinny *delay*, bo wydano jedną kartę pokładową za dużo.

Kierowniczka obsługi naziemnej lotniska, która, jak mówiono, służyła kiedyś jako oficer w izraelskiej armii, siedziała za swym uprzątniętym biurkiem i nieprzerwanie obracała pisak w dłoniach, że aż można było

dostać od tego zawrotu głowy. Wezwała go do biura, gdy właśnie chciał rozpocząć służbę.

– Ale ja naprawdę staram się robić wszystko jak najlepiej – powiedział Holger Berus i zniżywszy ton głosu, powtórzył: – Naprawdę!

– Samo staranie nie wystarczy. Takie wypadki dużo kosztują, panie Berus, sam pan to wie.

– Ale było nas tylko dwoje – bronił się Berus. – Pasażerowie przyszli wszyscy naraz do okienka. Całe trzy pełne autobusy! Gdyby było nas troje, na pewno nic takiego by się nie stało.

Tymczasem po drugiej stronie przyciemnionych szyb, w hali odlotów, zrobiło się tłoczno. Jacy ci pasażerowie są głupi. Jak rozpierzchnięte owce, które nie potrafią czytać nawet najprostszych tablic. I jak się zachowują! Ale siedząc w okienku w mundurze linii lotniczych, trzeba być wobec nich przyjaznym. Zawsze przyjaznym. Holger Berus poczuł w karku znajomy ból i zrobił kilka typowych dla niego ruchów obrotowych głową, aż w końcu strzyknęło mu w szyi. Kierowniczka skrzywiła się z niesmakiem.

– Panie Berus, proszę nie obarczać winą kolegów. Skoro nie jest pan w stanie poradzić sobie z krótkotrwałym obciążeniem, to może nie jest pan właściwym człowiekiem na właściwym miejscu.

Syntetyczny materiał spodni obcierał mu nogę. Berus poczuł, że koszula przykleiła mu się do pleców. A to oznacza, że będzie od niego czuć „zapach ciała”. Tydzień temu kolega z porannej zmiany wziął go na bok. Berus myślał, że wraz z kilkoma innymi rozrywkowymi kolegami będzie chciał go zaprosić na imprezę. Wszyscy gadali o imprezach tej paczki. Ale kolega wziął go na bok, żeby mu powiedzieć, iż koleżanki skarżą się na zapach, jaki z siebie wydziela Berus, ale nie mają odwagi same mu o tym powiedzieć.

– Staram się – wyjąkał Berus.

Jeszcze nigdy nikt nie wypomniał mu zapachu. W domu Berus przez godzinę brał prysznic i od tego czasu spryskiwał się przed służbą dezodorantem od góry do dołu.

– To nie pierwszy taki incydent, panie Berus. A do tego to zajście z pasażerem. Na Boga! Przecież nie wolno panu przytrzymywać pasażera na siłę. Prawie się pan z nim pobił.

– Przykro mi. Straciłem nad sobą panowanie.

– Stracił pan panowanie.

– Ale to on się na mnie rzucił! Musiałem się bronić! Samolot odleciałby punktualnie, gdyby on z żoną pospieszyli się w sklepie bezcłowym. Ten człowiek sam szukał problemów!

– Powinien był pan zareagować w sposób bardziej taktowny. Zwłaszcza jeśli ma pan do czynienia z VIP-em. I to jeszcze dziennikarzem! Dobry Boże, a co, jeśli w swojej następnej audycji weźmie nas na tapetę?!

– Był pijany i mnie obraził.

– Panie Berus, czy naprawdę ma pan takie słabe nerwy?

– To się nie powtórzy. Przykro mi. Ja naprawdę się staram.

Kierowniczka przeglądała jego akta osobowe, leżały przed nią na biurku.

– W ostatnim czasie coraz częściej się pan spóźnia. Może jest pan chory?

– Jestem jednym z najszybszych podczas odprawy.

– Koleżanki mówią coś zupełnie innego.

Kobiety! W dziale obsługi pasażerów linii lotniczych pracowały prawie wyłącznie kobiety. Nieliczni mężczyźni byli najczęściej orientacji homoseksualnej. Pozostałych albo podrywano, albo z nich drwiono. Tak właśnie było. Berus od pierwszego dnia należał do tej ostatniej grupy. Nie potrafił zrozumieć, czym to było spowodowane. Do tej pory nigdy coś takiego mu się nie przytrafiło, ani w szkole, ani w żadnej innej pracy. Wyglądał przeciętnie, zawsze sobie dobrze radził i nie rzucał się w oczy, a tutaj wzięli go mimo to na celownik. Na początku się nie przejmował, ani docinkami, ani w ogóle. Po prostu pracował, dobrze pracował, i wszystko było w porządku. Potem kilka razy przytrafiły mu się drobne błędy, właśnie na porannej zmianie, i od tygodni mu je wytykają.

– A więc, panie Berus, co zrobimy?

– Nie wiem. Co ma pani na myśli?

– Chcę być szczerą. Jeśli ta praca jest dla pana tak wielkim obciążeniem, to może powinniśmy się zastanowić, czy nie dałoby się dojść do jakiegoś rozsądnego porozumienia.

Na placu budowy panował gorączkowy ruch. Ta część portu lotniczego spaliła się prawie całkowicie podczas prac konserwacyjnych trzy lata temu, a za pięć lat ma tu stać nowoczesna hala odpraw. W środku unosił się kurz i

panował nieznośny warkot frezarek do betonu, pilarek i młotów pneumatycznych. Mężczyźni w żółtych kaskach montowali metalowe płyty i wełnę izolacyjną oraz frezowali stary beton. Do nosów wdzierał się kurz i zapach rozgrzanej stali.

W bardziej zaawansowanej części hali niewielka ekipa montowała szachty techniczne i układała w nich przewody. Dwaj młodzi instalatorzy, którym powierzono montowanie w betonie mocowań dla kabli, śmiali się i boksowali nawzajem po ramionach, znajdując się poza zasięgiem wzroku brygadzysty. Jeden z nich, Sven, opowiedział historię, której świadkiem był na innej budowie.

– Mówię ci, ale sobie zrobili jaja z tego Polaka! Jak balony!

Drugi instalator, Joachim, zwany Joe, przerwał pracę i pochuchał sobie na dłonie, żeby je rozgrzać.

– No, jakie?

– A więc, uważaj. Trzecie piętro, nie? Wszystko już jest zrobione, oszalowanie dawno zdjęte, sufit, dwie ścianki działowe. We wnęce na sracz siedzi sobie ten Polak, nie? Kompletnie narąbany i kima.

– Jak to, kima?

– No, kima. Śpi jak zabity. Tak się urznął ostatniej nocy, że całkiem odjechał. Jak to Polak, nie? I nic nie wie, co się wokół niego dzieje. A majster niczego nie zauważył, nie? I nikt mu niczego nie powiedział.

– No to git, szlachetnie z waszej strony.

– Poczekaj, to jeszcze nie koniec. Jak była przerwa obiadowa, to chłopaki poszli do tego Polaka i se go dla jaj zamurowali w tej wnęce. Wyobraź sobie, zamurowali całkiem na fest.

– No i co z tym Polakiem?

– Się wcale nie skapnął.

Joe zachichotał.

– Niezłe. Naprawdę się wcale nie skapnął? I co było dalej?

– Nic. Dalej odpierdalaliśmy robotę, a potem fajrant.

– No i?

– No mówię przecież. Zostawiliśmy go zamurowanego. W nocy się obudził i się spietrał. Jasne, nie?

– Jasne.

– No i zaczął hałasować. Krzyczał, płakał, panikował. Ale nikt go nie słyszał! Dopiero następnego dnia rozkuli ścianę i go stamtąd wyciągnęli!

– I co z nim?

– Normalnie kaput. Wykończony. Jasne, nie? A na dodatek się zesrał. Cały był w gównie.

– No to nieźle go, kurde, załatwiliście!

– Chłopie, to była tylko jedna noc!

– Ja pierdolę! A co potem?

– Wywalili go.

– Jak to? Polaka?

– Jasne. Majster, kurde, zobaczył go obsranego i mówi do niego całkiem spokojnie: „Idź na dół, zabieraj swoje papiery i już cię tu nie ma”. Aten Polak oczywiście nic nie kapuje, pyta, o co chodzi, zaczyna beczeć, krzyczy coś po polsku, nie? Ale majster tylko machnął na niego ręką i mówi: „Idź na dół, zabierz swoje papiery i jutro nie chcę cię tu więcej widzieć. Wywalcie tego Polaka!”.

– Ale jaja! Ostro go potraktował. I nikt nic nie powiedział?

– Jak miał powiedzieć, jak się wszyscy śmiali?

– Nieźle, kurwa. Ale go zrobili. I żaden skurwiel nic nie powiedział?

– Żaden. Mają chłopaki nerwy, co?

– Totalnie.

Obaj się zaśmiewali, póki nie przyszedł brygadzysta i nie popędził ich do roboty. Zdążył odejść, a Sven przestał pracować i z kieszeni spodni wyciągnął czekoladowego batonika.

– Sven, poczęstujesz kawałkiem? – zapytał Joe, jak tylko to zauważył.

– Jasne. Co właściwie zamierzasz robić, jak tu skończymy?

– Nie mam pojęcia – odpowiedział Joe z pełnymi ustami. – Mam coś najjarane, ale dopiero za trzy tygodnie.

– A w międzyczasie?

– Nie mam pojęcia. Przeczekam. Zabawię się z dziewczyną.

Wykonał dźwięk, jakby sobie płukał usta.

– Przecież nie masz dziewczyny.

– Co mam nie mieć?

– Może ja bym miał dla ciebie jakąś fuchę. Jest takie jedno miejsce, gdzie można by się zaczepić i nieco zarobić. To w sam raz coś dla ciebie. Ogłoszenie było w gazecie.

– Serio? Mów, co to za praca.

– W pierdłu.

– Jak to w pierdłu?

– Czy, do cholery, mówię niewyraźnie? W pierdłu!

Gdy Claus Thon wysiadł z windy na poziomie – 2, przywitało go blade światło neonówek. Z zewnątrz nie dobiegał tu nawet najcichszy dźwięk. Od windy odchodził długi korytarz bez drzwi, przypominający wielką rurę ze sztucznego tworzywa, dalej krzyżował się z innym korytarzem. Za rogiem słychać było rozmowy i odgłosy pracy. Claus P. Thon stanął na moment i ostrożnie wciągnął nozdrzami zapach plastiku. Było mu zimno.

Z naprzeciwka wyszedł do niego mężczyzna w niebieskim kombinezonie.

– Witam, profesorze! Jak się panu tu podoba?

– Wygląda nieźle. Wykonaliście naprawdę kawał dobrej roboty. Może jest tu tylko... nieco za zimno.

– Chyba tak powinno być, nie? Ale na poważnie, nie uważa pan, że tu jest zbyt ekstremalnie?

– Nie, nie! Wszystko jest świetne takie, jakie jest. Wszystko wykonane zgodnie z planem. Jak wam w ogóle idzie?

– Bardziej lub mniej zgodnie z harmonogramem – powiedział człowiek w kombinezonie. – Przepracowaliśmy cały weekend. Dzisiaj rano dostarczono ścianki działowe i chemiczną toaletę. Właśnie chciałem skoczyć na górę, żeby zadzwonić w sprawie ogrzewania, bo komórka tutaj na dole nie ma zasięgu. Ale skoro już pan tu jest, mogę panu pokazać, jak daleko zaszliśmy.

Laboratorium skonstruowała ekipa firmy budowlanej, specjalizującej się w realizacji obiektów targowych. Właśnie monterzy instalowali oświetlenie, układali kable i przewody. Można było się poprzyglądać tworzeniu laboratorium. Powstawał tu sztuczny, podziemny świat. Pomieszczenia przypominały wnętrza bunkra. Praca posuwała się sprawnie do przodu. Oba korytarze były prawie gotowe, podobnie jak mały

dziejniniec. Wyposażono już łazienkę. Można też było rozpoznać rozkład i wielkość cel. Każdy kącik oświetlony był z góry przez nierzucające cienia neonówki. Czynności wykonywane przez monterów były te same co zawsze, ale plac budowy był inny. Nikt tu nie krzyczał. Grube betonowe fundamenty budynku tłumiły każdy hałas, z zewnątrz do środka nie przedostawał się żaden dźwięk czy światło dnia. W tej piwnicy nie było dnia ani nocy. Tylko praca na zmiany.

Piwnica nadawała się idealnie na laboratorium. Claus Thon odkrył ją przypadkowo wkrótce po objęciu profesury. Kondygnację wyżej, na poziomie – 1, znajdowały się pomieszczenia seminaryjne i laboratoria. Natomiast poziom – 2 podczas wznoszenia uniwersytetu w latach sześćdziesiątych przewidziano na magazyn materiałów, ale później z niego nie korzystano, ponieważ badania naukowe, do których potrzebne były większe ilości materiałów, prowadzono na drugim krańcu kampusu. Dźwiękoszczelna piwnica z dużymi pomieszczeniami magazynowymi i rampą rozładunkową była zupełnym nieporozumieniem i mimo deficytu pomieszczeń nigdy nie przerobiono jej na pomieszczenia dydaktyczne. Gdy Thon ją odkrył, od razu zrozumiał, jaki ma w sobie potencjał.

– Ile czasu jeszcze potrzebujecie? – zapytał Thon, gdy ubrany w niebieski kombinezon kierownik budowy wyjaśniał postępy prac na podstawie planów budowlanych.

– Na wszystko?

– Na tyle, żebyśmy mogli zacząć eksperyment.

– Szacuję, że dziesięć dni.

Thon skrzywił się.

– Im szybciej, tym lepiej. W czerwcu jest sympozjum w Stanfordzie, chciałbym móc zaprezentować na nim wyniki.

Kierownik budowy odpowiedział spokojnie:

– Postaramy się. A propos, czy przelał pan resztę należności?

Thon spojrzał nieprzytomnie na grube jak palec kable ethernetu powleczone niebieską izolacją, które zwisały z sufitu, gotowe do podłączenia. Kable do transmisji danych kryły się w szachtach technicznych pod izolacją sufitu, stamtąd wiązkami rozchodziły się dalej jak dym z papierosów w górę budynku na wyższe kondygnacje, zaginały na boki, ciągnąc się korytarzami, znowu przebijały strop, by wreszcie

skończyć się w serwerze obsługującym rząd komputerów, które czekały w jednym z pomieszczeń, aż ktoś je włączy.

– Panie profesorze!

– Proszę się nie przejmować – powiedział Claus Thon. – Wszystko przebiega zgodnie z planem.

Tarek stał przez pół godziny na postoju przed lotniskiem. W końcu trafił mu się klient w mundurze obsługi naziemnej, którego miał zawieźć do domu. Mężczyzna podczas jazdy nie powiedział ani słowa, patrzył tylko przez okno i rękoma zwijał machinalnie w rulon gazetę „Abendpost”.

W południe Tarek wstąpił do McDonalda i dostrzegł tam Elvisa zajętego smażeniem burgerów. Rozpoznał go, chociaż Elvis miał na sobie inne ubranie, a na głowie papierowy czepek.

– Panie Eckert! Co z tymi McNuggetsami? – wrzasnęła menadżerka.

– Już gotowe! – odkrzyknął Elvis.

– Proszę się tak nie grzebać, panie Eckert.

Ale nim pomyślał, pomyślał Tarek i uśmiechnął się z satysfakcją. Pewnie babka na niego leci i nawet nie jest tego świadoma.

Po południu miał kilka drobnych kursów. Kobieta z dzieckiem do lekarza, dziwka do klienta, starsza kobieta z przystanku za rogiem do domu i dwaj menele, którzy zapragnęli się przejechać od jednej budki z piwem do drugiej. Tarek zdziwił się, że budka szczególnie ceniona przez meneli ze względu na hojność właściciela została dopiero teraz otworzona, chociaż była już późna pora. Wysiadł i kupił sobie w „Źródełku” czekoladę i „Abendpost”. Przy okazji usłyszał, jak właściciel opowiada menelom szczegółowo o jakimś eksperymencie psychologicznym, w którym zamierza wziąć udział.

Gdy Tarek nieco później znalazł się na postoju taksówek jako ostatni w kolejce, zaczął przeglądać gazetę, aż w końcu trafił na ogłoszenie.

POSZUKIWANI OCHOTNICZY DO WZIĘCIA UDZIAŁU W EKSPERYMENCIE

200 marek za dzień

długość trwania eksperymentu: 14 dni

Potrzebnych jest dwudziestu mężczyzn do wzięcia udziału w badaniach psychologicznych poświęconych „życiu w więzieniu”. Od ochotników oczekuje się gotowości spędzenia czternastu dni w symulowanym więzieniu w roli strażników bądź więźniów. Eksperyment ma miejsce w Instytucie Psychologii Uniwersytetu w Dusseldorfie i służy zbadaniu relacji międzyludzkich panujących w więzieniach.

Uczestnicy otrzymają po 200 marek wynagrodzenia za każdy dzień spędzony w symulowanym więzieniu! Od uczestników niewymagane jest specjalne przygotowanie ani doświadczenie.

Poszukujemy mężczyzn z wszystkich grup zawodowych. Wymagania: wiek 25-45 lat, nienagane zdrowie, niekaralność. Jeśli spełniasz powyższe wymagania i jesteś zainteresowany udziałem w eksperymencie, zadzwoń na podany niżej telefon:

**Uniwersytet w Dusseldorfie
Instytut Psychologii I
prof, dr Claus P. Thon
sekretariat
tel. 0211-833-21 66**

Pod tym numerem telefonu możesz otrzymać dokładne informacje dotyczące eksperymentu oraz umówić się na test kwalifikacyjny. Zastrzegamy sobie możliwość odrzucenia poszczególnych ochotników. Instytut zwraca koszty dojazdu.

Czekamy na Państwa zgłoszenia.

Tarek przeczytał ogłoszenie i zaczął się zastanawiać. Zadzwoił w końcu na podany numer, a potem włączył silnik i pojechał na uniwersytet.

Bez problemu znalazł budynek Instytutu Psychologii, ponieważ dobrze się orientował na terenie kampusu. Zaraz po szkole podjął studia matematyczne. Tylko po to, żeby zrobić na złość ojcu. Po dwóch semestrach tak mu jednak studia zalażyły za skórę, że zaczął się zastanawiać,

co mu wychodzi najlepiej. Nic więcej nie przyszło mu do głowy poza „byciem ciekawskim”, „głupim gadaniem” i „denerwowaniem wszystkich dookoła”, a więc doszedł do wniosku, że może bardziej by do niego pasowało dziennikarstwo.

– Dzień dobry, przychodzę w związku z eksperymentem – powiedział, wchodząc do sekretariatu i prezentując ogłoszenie w gazecie.

– Chce się pan zapisać na test kwalifikacyjny? – zapytała sekretarka.

– Nie... to znaczy, być może tak. Czy mogłaby mi pani najpierw opowiedzieć co nieco o tym eksperymencie? O co w nim właściwie chodzi?

– Jest pan z prasy?

– A czy wyglądam na kogoś takiego? – Zawahała się.

– Jestem taksówkarzem – powiedział szybko, wygrzebał z kieszeni kurtki bloczek z rachunkami i pomachał nim.

– Moja fura stoi na zewnątrz. Zaraz muszę jechać i byłbym pani wdzięczny za kilka informacji. Potem mógłbym podjąć decyzję, czy chcę w tym wziąć udział, czy nie.

Uśmiechnął się przesadnie szeroko. Sekretarka wykrzywiła usta i podała mu skserowane oświadczenie.

– Tu jest napisane wszystko, co musi pan wiedzieć. Proszę przyjść jutro rano o dziewiątej na testy kwalifikacyjne. Wtedy będzie się pan mógł dowiedzieć więcej szczegółów od profesora Thona.

Tarek wyszedł z sekretariatu. Idąc korytarzem, przeczytał krótki opis eksperymentu. Jednak zamiast wrócić do samochodu, poszedł do znajdującej się na parterze kawiarni i zaczął zagadywać studentów, którzy siedzieli w małych grupkach, aż w końcu trafił na tych właściwych.

– Jesteście z psychy, co?

Jeden z zagadniętych przytaknął.

– Tak, bo co?

– To może coś wiecie o tym eksperymencie, który ma się tu odbyć?

Tarek pokazał kserówkę, którą dostał od sekretarki. Studenci widocznie wiedzieli, o co chodzi, bo zaczęli robić miny.

– Jesteś z prasy? – zapytał jeden z nich.

Tarek rejestrował ich spojrzenia.

– Tak – powiedział.

Holger Berus sam dokładnie nie wiedział, dlaczego odpowiedział na to ogłoszenie. Może za sprawą użytych w nim słów. Czasami słowa bywały magiczne. Czytał to ogłoszenie raz za razem, aż w końcu zadzwonił na podany numer i umówił się na testy. Tak po prostu. Spontanicznie. A poza tym nie miał nic lepszego do roboty po tym, jak wywalono go z roboty.

Rozległy campus był pełen ludzi. Studenci i pracownicy uniwersytetu przemieszczali się wartkimi potokami między wysokimi budynkami poszczególnych instytutów. Już nie padało, ale ciągle jeszcze było bardzo zimno. Każdy się spieszył, jakby na wolnym powietrzu czyhało jakieś niebezpieczeństwo. Gdzieś dudnił kafar.

Berus miał problem ze znalezieniem właściwego budynku. Pytał ludzi o drogę i próbował zorientować się na kolorowej tablicy z planem kampusu, na której ktoś napisał grubo sprayem: srasystem. Wysokie budynki z betonu z kolorowymi ramami okien, drogi, wejścia, wszystko było takie do siebie podobne. Wreszcie mu się udało. Znalazł budynek 23. 21. Czerwony, poziom zielony 01, pokój 145. Sekretarka odesłała go do pomieszczenia, gdzie już czekało trzech mężczyzn. Przeglądali czasopisma. Gdy wszedł i przywitał się, podnieśli na chwilę wzrok. Berus usiadł na krześle w pobliżu drzwi i czekał. Nie wziął do ręki żadnej z gazet leżących na małym stoliku pośrodku pomieszczenia.

W ciągu następnej półgodziny doszli dwaj kolejni mężczyźni i zajęli miejsca. Jeden nagle wstał i usiadł dwa krzesła dalej.

Berus naprężył i rozluźnił kark. Rozejrzył się ostrożnie. Okna były wyklejone mleczną folią. Z daleka ciągle jeszcze dobiegało dudnienie kafara. Wkoło unosił się zapach środków czyszczących. Mężczyzna siedzący dokładnie naprzeciwko niego przypominał mu piranię ze względu na wysuniętą dolną wargę i wklęsły nos. Berus dostrzegł wyblakły i rozmazany tatuaż na jego przedramieniu. Na prawo od niego siedział ciemnowłosy facet w skórzanej kurtce, który ciągle się rozglądał. Berus zaczął się lekko bujać na krześle. Chłopak, który się przesiadł, był dużo młodszy od pozostałych, a także dużo bledszy. Brał do ręki czasopisma, przeglądał je, nie czytając, a potem odkładał. Facet w poplamionych dżinsach i z pokaźnym brzuszyskiem miał zamknięte oczy i oddychał lekko uchylonymi ustami. Mężczyzna w garniturze, z precyzyjnie przystrzyżoną bródką, siedzący naprzeciwko po skosie, bawił się klamerkami u aktówki.

Berus ocenił, że zebrani w pomieszczeniu mężczyźni nie mają więcej niż pięćdziesiąt lat ani mniej niż dwadzieścia. Ugniał dłonie, co jakiś czas spoglądał na zegarek, liczył krzesła i obserwował drzwi.

Nikt się nie odzywał. I nikt nie zauważył maleńkiej kamerki w górnym narożniku pomieszczenia. Czekali.

Dwa pomieszczenia dalej przed monitorem stali profesor Claus Thon, doktor Jutta Grimm i dwaj studenci stażyści. Na ekranie monitora widać było grupkę ochotników.

– Czy to wszyscy, którzy byli na dzisiaj zapisani? – zapytał Thon i pociągnął łyżeczek kawy z filiżanki.

Jeden ze studentów rzucił okiem na listę.

– Tak – potwierdził.

– Jutta, czy dochodzi między nimi do jakichś interakcji? – zapytał profesor.

– Nie, nie nawiązują ze sobą żadnych rozmów, jedynie na przywitanie powiedzieli sobie „dzień dobry”. Liczyliśmy kontakty wzrokowe, ale żaden ochotnik nie szuka ponadprzeciętnie intensywnie kontaktu z pozostałymi.

– Dobrze. A co ze spreparowanymi krzesłami?

– Wszyscy ochotnicy usiedli na krzesłach z czynnikiem zapachowym podobnym do estrogenu. Ostatni ochotnik, ten blady mężczyzna, usiadł na krześle z czynnikiem zapachowym podobnym do testosteronu, ale się przesiadł. Teraz siedzi na krześle neutralnym.

– Dobrze. A to co? – Thon zapukał lekko w ekran.

– Czy to jakaś rana na przedramieniu, czy tatuaż?

– Trudno powiedzieć.

– Jeśli to jest tatuaż, to ta osoba wylatuje. Zróbcie mu rezonans magnetyczny, a potem powiedzcie, że to by było wszystko, dziękujemy i do widzenia.

– Ale dlaczego? – zapytała Jutta. – Nie chcemy go przetestować całkowicie? Może spełnia wszystkie kryteria?

– Tatuaże wywołują u niektórych osób uczucie awersji. Taki tatuaż może wnieść w wyniki naszych badań nieprzewidziane błędy. Nie chcę nikogo z tatuażem.

Thon nie dostrzegł, jak jeden ze studentów wywrócił oczami. Wypił do końca kawę, odstawił kubek, wyjął z szafy biały fartuch i go założył.

– A teraz przywitam naszych kandydatów – oznajmił.

Ostatnich dwadzieścia kilometrów było zawsze najpiękniejszych. Markus Steinhoff krążył w silnym wietrze wstępującym nad wieżą chłodniczą elektrowni, póki na wysokości tysiąca metrów nie osiągnął spodu postrzępionego cumulusa. Na tej wysokości było bardzo zimno. Steinhoff był zadowolony, mając rękawice i ciepłe skarpety. Lekko nacisnął na drążek sterowniczy i wyprostował lekki biały motoszybowiec, skorygował kurs, strymował samolot, który z lekkim gwizdem szybko nabrał prędkości. Lubił ten szybowiec z chowanym napędem, który pod względem aerodynamicznym był idealny, można nim było precyzyjnie sterować lekkimi ruchami nadgarstka. Poza tym przy prędkości stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę prawie nie słychać było gwizdu wiatru, w przeciwieństwie do samolotów, którymi zazwyczaj latał.

Markus Steinhoff wykorzystał pierwszy, piękny dzień urlopu na pierwszy lot szybowcem w tym roku. Właściwie pogoda jeszcze nie była odpowiednia na szybowanie. Wiatry wstępujące były nieznaczne, poza tymi nad wieżą chłodniczą. Ale z małym mocnym silnikiem w tylnej części kadłuba dawało się przelecieć krótkie odcinki bez wiatru wstępującego.

W ten zimny dzień lutego widoczność była wspaniała. Nawet dało się już dojrzeć lotnisko, nad którym rozciągał się błękit nieba. Na wschodzie gruba pokrywa chmur deszczowych, z której ulewnie padało. Markus Steinhoff poluźnił nieco pasy i zjadł ostatnią z zapakowanych kanapek. Zgłosił się tuż przed lotniskiem. Przycisnął maszynę jeszcze raz do dwustu pięćdziesięciu kilometrów, aż końce skrzydeł uniosły się wysoko, przeleciał całą długość lotniska, podciągnął maszynę stromo w górę i zakończył lot, robiąc pętlę. Głupi popis, pomyślał, ale co tam!

Przystępując do lądowania, dojrzał oliwkowego opla oraz stojącego obok i spoglądającego w górę mężczyznę w mundurze.

– No co, Bernie? Też masz ochotę się przelecieć? – przywitał się z nim, gdy ten powoli podszedł do niego na lądowisku.

– Jak było dzisiaj? Dobrze?

– Ani trochę! Ale wystarczy jak na mały przelot, żeby się na nowo wdrożyć. Jutro jadę z Hoblem do Zell am See. Zapowiadali, że będzie wiał

fen.

– Stary chce z tobą rozmawiać.

– Co takiego? Mam urlop! Możesz mi naskoczyć. Co jest? Rozkaz wylotu na Bałkany, czy co?

– Coś pilnego z góry.

– A więc jesteś tutaj oficjalnie?

– Tak jest.

– Cholera.

„Stary”, czyli komodor eskadry, do której należał kapitan Steinhoff, zamiast munduru miał na sobie kurtkę lotniczą. Steinhoff wszedł do jego gabinetu.

– Panie podpułkowniku! – zaszalutował.

– Niech pan to zostawi, kapitanie Steinhoff. – Komodor machnął przyjaźnie ręką. – Muszę pana przeprosić, że wyrywam pana z urlopu już pierwszego dnia. Jak panu przebiegł lot?

– Wyśmienicie.

– No to dobrze. – Komodor usiadł z powrotem za biurkiem i wskazał gościowi krzesło. – Nigdy jakoś nie fascynował mnie lot bezsilnikowy – rzekł. Steinhoff się nie odezwał. Czekał. – Panie kapitanie – komodor przeszedł do rzeczy. – Na pewno pan wie, że zmianie uległ zakres możliwości użycia naszych oddziałów i w związku z tym w ministerstwie już od dawna planuje się opracowanie systemu szkoleń przygotowujących pilotów do sytuacji po awaryjnym lądowaniu na obcym terenie. Chodzi o to, żeby przygotować pilotów do sytuacji stresogennych, takich jak ewentualna niewola, być może połączona też z psychicznym naciskiem. Pan rozumie?

– Tyle to rozumiem.

– Otóż wczoraj z ministerstwa dostaliśmy zapytanie, czy nie moglibyśmy oddelegować naszego człowieka do tego typu treningu. To ma być w pewnym sensie test, czy ten trening nadaje się do celów edukacyjnych. Potrzebny jest ochotnik, który wzięłby w nim udział. Nie straci pan oczywiście urlopu. Trening nie odbywa się na terenie Bundeswehry. Ważne jest, żeby wziął pan w nim udział prywatnie, to znaczy czysto cywilnie.

Steinhoff zmarszczył brwi.

– A więc jest to tajny trening?

– Powiedzmy: prywatny.

– O jakiego typu trening chodzi, jeśli mogę spytać?

– No cóż... O eksperyment psychologiczny.

– Dlaczego właśnie ja?

– Jest pan jedynym odpowiednim człowiekiem i aktualnie dyspozycyjnym, po prostu.

Steinhoff odchrząknął.

– Czy zostanę na ten trening” oddelegowany?

– Nie. Będzie pan brał w nim udział dobrowolnie, jak powiedziałem, prywatnie.

– A więc mogę odmówić?

– Tak.

Komodor spojrzał mu prosto w oczy. Steinhoff zaczął się zastanawiać. Na moment zatopił się w myślach. Długie pasma chmur kłębiastych. Pierwsza zieleń na polach. Błyszczące, ośnieżone zbocza gór. Moment, kiedy przelatuje na niskim pułapie ponad granią i spogląda w następną dolinę. Nagle fen przestaje go wznosić, od strony zawietrznej następuje wiatr opadowy. Wypuścił z płuc powietrze.

– Odmawiam.

Tarek obserwował człowieka, który się przedstawił jako profesor Thon. Mężczyzna ten stale się obracał, tak że wszyscy mogli go widzieć, mówił jasno i bardzo wyraźnie, z wielką rutyną i nieco protekcjonalnym tonem. Stojąca obok niego blondynka o mysiej twarzy nic nie mówiła.

– ... wyraźnie zaznaczyć, że panowie uczestniczą w tym eksperymencie zupełnie dobrowolnie. Poddajemy panów testom kwalifikacyjnym, ponieważ potrzebujemy osób o określonych cechach osobowości. Testy nie są egzaminami. Jeśli ktoś nie zostanie na ich podstawie wybrany, nie oznacza to, że jego osobowość bądź inteligencja zostały ocenione negatywnie. Jest to po prostu związane ze specyficznymi wymogami naszego eksperymentu. Wszystkie dane osobowe będą przechowywane absolutnie anonimowo i zostaną zniszczone bezpośrednio po

eksperymentach. Eksperyment sam w sobie nie jest bolesny, nie będą panowie musieli przyjmować żadnych lekarstw ani robić czegokolwiek innego, co mogłoby panom zaszkodzić. Przez całe dwa tygodnie w pobliżu będzie lekarz. Ale na jedną rzecz muszę zwrócić szczególną uwagę. Niezależnie od tego, którą grupę wylosuje dla was komputer, będziecie przez te czternaście dni przebywać w naszym laboratorium przez całą dobę. Nie będziecie mieć sfery prywatnej. Wasze prawa obywatelskie, a przede wszystkim prawo do swobodnego przemieszczania się, wyrażania myśli i opinii, mogą zostać ograniczone. Będą obowiązywały zasady, których będziecie się musieli trzymać. Odnośnie tej kwestii zostaną z wami podpisane szczegółowe umowy. Te umowy będą regulować zakres ograniczenia wolności. A także ubezpieczenie na wypadek ewentualnego odniesienia jakiejś szkody. Gdyby któryś z was przykładowo, wstając z łóżka, złamał nogę... – Kilku mężczyzn się roześmiało, ale nie Tarek. – Dobrze. W takim razie, skoro nie ma pytań... – profesor odczekał sekundę – to przekażę was, że tak powiem, naszej pani doktor Grimm, która przeprowadzi was przez testy. Zaczniemy od kilku ciekawych testów na osobowość.

Thon opuścił pomieszczenie, a młoda kobieta poprowadziła mężczyzn przez labirynt korytarzy do innego ciągu komunikacyjnego w budynku, gdzie czekała na nich grupa studentów w białych fartuchach. Tarek przypuszczał, że mieli na sobie te fartuchy tylko po to, żeby onieśmielić ochotników, i trzymał się młodej kobiety.

– Witam – powiedziała na przywitanie, gdy usiedli naprzeciwko siebie. – Może się pan do mnie zwracać Jutta.

– *Hi*, Jutta. Odlotowe okulary.

– Pan się nazywa...

– Fahd. Pierdziel. Dupek. Frajer. Jebany kebab. Tarek. Myślałem, że to wszystko tutaj ma być anonimowe.

– Oczywiście. Każdemu z panów zostanie przydzielony numer. Ale potrzebujemy waszych nazwisk, żeby właściwie przyporządkować te numery do konkretnych osób. Pan ma numer 106.

– Odlotowy numer. – Napisała starannie 106 na formularzu. – Odlotowe perfumy.

– Zaczniemy od kilku pytań ogólnych, potem przejdziemy do ankiet. Resztę wytłumaczę panu później.

– Brzmi *cool*, Jutta.

– Czy był już pan kiedyś w więzieniu?

– Nie.

Zaznaczyła krzyżyk.

– Kim pan jest z zawodu, panie Fahd?

– Step dancerem.

Uniosła wzrok, a on się uśmiechnął.

– Taksówkarzem.

– Dlaczego chce pan wziąć udział w tym eksperymencie?

– Z ciekawości. No cóż, międzyludzkie relacje zawsze mnie interesowały. Może też ze względu na chęć zdobycia nowych doświadczeń. I znalezienia inspiracji. Ach, Jutto, ja też miałbym jeszcze jedno pytanie.

Uniosła wzrok.

– Tak?

– Golisz się pod pachami?

Wprowadzenie

Poniżej znajdziesz wypowiedzi na temat określonych zachowań i postaw. Możesz się z nimi zgodzić lub je odrzucić. Żadna odpowiedź nie będzie niewłaściwą, lepszą bądź gorszą. Chcemy się tylko dowiedzieć, które postawy dotyczą *Ciebie*. Każdą wypowiedź można skomentować słowami: „prawda” bądź „nieprawda”.

Nie myśl o tym, jaka odpowiedź może wyrzucić „lepsze wrażenie”, lecz odpowiedz tak, by odnosiło się to do Ciebie osobiście. Niektóre pytania mogą wydać się zbyt intymne. Pamiętaj, że twoje odpowiedzi będą traktowane poufnie.

Nie zastanawiaj się długo nad poszczególnymi zdaniami, lecz podaj tę odpowiedź, która jako pierwsza przychodzi Ci do głowy.

Nawet jeśli niektóre wypowiedzi nie pasują do Ciebie, *zaznacz tylko jedną odpowiedź*, to znaczy w przypadku wątpliwości tę, która najbardziej do Ciebie pasuje.

1. Zrozumiałem wprowadzenie i jestem gotów otwarcie ustosunkować się do każdego zdania.

2. Niechętnie przebywam z ludźmi, których nie znam.
3. Często boli mnie głowa.
4. Ze względów zdrowotnych przestrzegam regularnego spożywania posiłków i odpowiednio długiego snu.
5. Żyję sam ze sobą w harmonii, bez konfliktów wewnętrznych.
6. Lepiej posunąć się do ostateczności, niż być tchórzem.
7. Gdy zastanawiam się nad przyszłością, najczęściej jestem dobrej myśli.
8. Drobne kłopoty nie są w stanie wyprowadzić mnie z równowagi.
9. Dużo myślę o moim dotychczasowym życiu.
10. Przy wspólnych przedsięwzięciach chętnie przejmuję prowadzenie.
11. Uważam, że każdy człowiek powinien sam się martwić o to, jak sobie poradzi.
12. Niechętnie podejmuję się zadań, które wymagają ode mnie szybkiego działania.
13. Czuję się jak beczka prochu tuż przed eksplozją.
14. Jeśli muszę sięgać do przemocy fizycznej, by bronić moich praw, to czynię to.
15. Nie chciałbym należeć do żadnego stowarzyszenia, ponieważ ograniczyłoby to moją wolność osobistą.
16. Jak ktoś na mnie krzyczy, to mu odpowiadam tym samym.
17. W moim dotychczasowym życiu nie udało mi się zrealizować prawie nic z tego, do czego mam predyspozycje.
18. Rozmawianie o seksie jest odrażające.
19. Unikam spożywania niemytych owoców.
20. Często mam problemy w życiu seksualnym.
21. Przykładam wagę do regularnej pielęgnacji dłoni i stóp.
22. Stale jestem przez kogoś obserwowany i kontrolowany.
23. Jestem lubiany przez większość ludzi, którzy mnie znają.
24. Często myślę o popełnieniu samobójstwa.
25. Dzieci są często bardzo męczące.
26. Palilem dużo papierosów.

27. Zabawy seksualne są żenujące i odzierają ze wzajemnego szacunku.

28. Wszystko smakuje w zasadzie podobnie.

29. W nocy źle sypiam.

30. Najpierw praca, potem przyjemności.

31. Chętnie wyleguję się w łóżku.

32. Nie widzę nic złego w zaciąganiu długów.

33. Na moim ciele lub we wnętrzu ciała nastąpiły dziwne zmiany.

34. Krytyka rani mnie teraz bardziej niż w okresach minionych.

35. Gdy się nudzę, chętnie robię mały zamęt.

36. Nie odczuwam już żadnych emocji.

37. Boję się ciemności.

38. Ktoś przechwytuje moje myśli.

39. Mój temperament łatwo wymyka się spod kontroli.

40. Komu zależy na rozwoju osobistym, ten próbuje osiągać sukcesy w pracy zawodowej.

41. W zabawie wolę wygrywać niż przegrywać.

42. Często piję herbatę ziołową, ponieważ przedłuża młodość i zdrowie.

43. Bywają okresy, że przeraża mnie każdy następny dzień.

44. Krepuję się wymienić nietrafiony prezent.

45. W obrębie rodziny idę własną drogą.

46. Zanim wyślę list, najczęściej go kilkakrotnie przepisuję.

47. Łatwo się pocę, nawet w zimne dni.

48. Panuję nad sobą w sytuacjach konfliktowych.

49. Ktoś chce mnie psychicznie zniszczyć.

50. Wolny czas najchętniej spędzam sam.

51. Bardzo rzadko zażywam lekarstwa.

52. Lepiej jest nie ufać ludziom.

53. Dzieci powinny jeść to, co zostało podane.

54. Trzeba być uprzejmym nawet wobec ludzi nie przyjemnych.

55. Czuję się samotny, nawet jeśli jestem wśród ludzi.

56. Swoją pracę należy wykonywać zawsze solidnie, żeby potem nie odczuwać wyrzutów sumienia.

Tarek jęknął. Przerwał i przewertował stosik ankiet aż po ostatnią stronę. Trzysta czterdzieści trzy pytania. Szara myszka zmierzyła go w milczeniu wzrokiem.

– Dość zwariowane stwierdzenia, prawda? – rzekł do niej.

– Niech pan za długo nie myśli nad odpowiedziami. Niech pan zakreśla odpowiedzi, które najbardziej do pana pasują.

– *Capito.*

Kilka wypowiedzi, jak na przykład „Czasem odczuwam satysfakcję, gdy innym powinie się noga”, wydało mu się śmiesznych i bezsensownych. Prawdopodobnie miały sprawdzać jego szczerłość. Tarek był czujny. Jak zawsze. Jak o każdej porze.

Prawdopodobnie ta czujność jest genetycznym dziedzictwem, pomyślał. Moi przodkowie byli narodem dzikim, otoczonym wrogimi plemionami i pustynią.

Znowu zaczął kreślić krzyżyki.

Po nieskończeniu długim teście na osobowość nastąpił klasyczny test na inteligencję. Tarek już kiedyś rozwiązywał taki test. W wyrazach należało znaleźć niewłaściwe litery, uzupełnić rzędkę liczb, w myślach obrócić narysowane obiekty i rozpoznać kształty.

– Ma pan dwie minuty – mówiła Jutta przed każdym zadaniem.

Potem poprowadziła go do małego gabinetu lekarskiego, gdzie został zbadany przez lekarzkę, która pobrała mu krew, zmierzyła ciśnienie krwi i puls i zadawała kolejne pytania. Pytania o choroby własne i choroby występujące w rodzinie. Tarek na wszystkie te pytania odpowiadał przecząco. Wiedział, o co biega. Lekarka kazała mu, by wykonywał określone ruchy ręką i palcami, i dokładnie obserwowała go w trakcie ich wykonywania. W pomieszczeniu obok przyłożono mu do piersi elektrody EKG, które z sykiem przyssały mu się do ciała jak sztuczne pijawki, a potem kazano mu pedałować na rowerku, aż się spoci.

– Niezły wynik, panie Fahd – powiedziała Jutta.

– Przejdziemy teraz na dwieście watów, a potem kończymy.

Znowu zadawano mu pytania. Tarek pozostawał czujny, przy każdym pytaniu chwilę milczał, nim odpowiedział.

– Czy już kiedyś uczestniczył pan w bójce?

– Nie – skłamał.

– Czy lubi pan walki bokserskie?

– Nie.

Prawda.

– Czy jest pan homoseksualistą?

– Do cholery, nie!

Prawda.

Mężczyzna obkleił mu głowę i twarz elektrodami i wcisnął mu do uszu małe słuchawki.

– Dzięki temu sprawdzimy, jaką lateralizację ma pański mózg – powiedział i zaprowadził go do dźwiękoszczelnej kabiny.

Tarek nie miał nic przeciwko oglądaniu zdjęć, słuchaniu bezsensownych sylab i naciskaniu przycisku przy sylabie „ta”, ale miał coś przeciwko kabynie.

– Hej, a to co? To znaczy, ta kabina. Czy muszę wchodzić do tej skrzynki?

– To nie potrwa długo. I to wcale nie będzie nieprzyjemne. Będzie pan widział obrazy i słyszał sylaby. Nic więcej. Proszę się rozluźnić.

Przez moment Tarek odczuwał intensywne pragnienie, by sobie stąd pójść i zrezygnować z tego całego zwariowanego przedsięwzięcia. Ale jednocześnie uznał kabinę za próbę męstwa. Często w podobnych sytuacjach odczuwał potrzebę udowodnienia sobie czegoś. A jeśli zdoła wytrzymać, dowie się czegoś więcej o eksperymencie, o którym wśród studentów krążyły różne pogłoski.

– Co się z panem dzieje?

– Ach, w dupie z tym.

Na szczęście przez małe okienko wpadało światło. Tarek dostrzegł, że asystent go obserwuje. Próbował spokojnie oddychać i skoncentrować się na obrazach oraz sylabach. Pocił się. Przetykał ślinę, chociaż w ustach miał sucho.

– Co za gówno. Co za gówno!

– Proszę nic nie mówić! – w słuchawkach wśród emitowanych szumów odezwał się głos.

– *Fuck!*

Gdy po półgodzinie wypuszczono go z kabiny, Tarek był blady na twarzy.

– Nie czuje się pan dobrze?

– Czuję się świetnie – stęknął Tarek.

– Był pan dość spięty.

Tarek powstrzymał się od powiedzenia słów, które miał na końcu języka. Bądź grzecznym chłopcem, pomyślał. Kochanym, dobrym Tarkiem. Słodziutkim cukiereczkiem Tarkiem. Słonecznym promykiem Tarkiem. Pierdolonym lizusem Tarkiem.

– A co teraz?

– Tarek, dlaczego to robisz?

Siostra krzyczała na niego. Ta gwałtowna reakcja zdumiała Tarka. Ralf nic nie powiedział, tylko mu się przyglądał.

– Hej, uspokójcie się! – bronił się Tarek. – Co tak na mnie patrzycie? O co wam chodzi?

– Dlaczego to robisz?

– Jestem dziennikarzem. Dziennikarze robią takie rzeczy.

– Ale to nie jest powód, Tarek! Czemu właśnie w takim eksperymencie?!

– Owszem, to jest wystarczający powód. Chcę znowu pisać, a to może będzie niezła historia. Rozpytałem się trochę wśród studentów. Nikt nic nie wie na pewno o tym eksperymencie, ale jest mnóstwo spekulacji. Podobno nawet Ministerstwo Obrony macza w tym palce!

– To są tylko urojenia!

– Przez rok nie dawano zezwolenia na ten eksperyment, a w końcu niespodziewanie interweniowało Ministerstwo Obrony. Czy to nie dziwne? O co w tym wszystkim chodzi? Co oni badają?

– Coś sobie uroiłeś, Tarek! – zawołał Ralf. – Jak ktoś chce przeprowadzić tajny eksperyment, to tego nie rozgłasza, nie reklamuje go ogłoszeniami w gazecie i nie idzie z nim na uniwersytet! Znowu sobie coś

wykombinowałeś, jak wtedy z tą twoją historyjką o tym zamordowanym akwizytorze.

– Mimo to coś poruszyłem w tym środowisku.

– Nic nie zrobiłeś! Przez dwa miesiące harowałeś za darmo jako akwizytor, a potem dostałeś w mordę. Powinieneś się cieszyć, że cię nie zabili! Tarek, ty śnisz! Obudź się!

– Ja po prostu znowu chcę zacząć pisać. Muszę.

– Tak naprawdę to chodzi ci o coś zupełnie innego! – zawołała zdenerwowana Sina.

Tarek mimowolnie się uśmiechnął. Przypomniało mu się, jak go czasem biła, gdy byli dziećmi. Delikatna, drobna Sina.

– Skończ już z tym zasranym psychologicznym gadaniem! Czuję, że z tego może powstać odlotowa historia! I właśnie o to mi chodzi! A poza tym zawsze mówiłaś, że strachu można się pozbyć jedynie przez konfrontację z tym, czego człowiek się najbardziej boi. To twoje słowa, Sina!

– W takim razie zrozumiałeś mnie zupełnie na opak, Tarek! To tak nie działa! Przez coś takiego możesz sobie tylko zaszkodzić.

– Tarek, ty po prostu odstawiasz cyrk – wtrącił się Ralf. – Jesteś dzieckiem, Tarek. Ludzie, którym rzekomo chcesz pomóc, wcale cię nie interesują. Jesteś dokładnie takim samym cynikiem jak twój ojciec, i na tym właśnie polega problem. Tak właśnie jest, Tarku.

Tarek spojrział na ich dwoje i jęknął.

– Gadacie, jakbyście byli lekarzami. Przecież wszyscy chcą historii. Prawdziwych, wymyślonych, wszystko jedno. Najważniejsze, żeby były odlotowe! A ja je dostarczam. A więc, co w tym złego? Wy jesteście tymi, którzy muszą się troszczyć o ludzi. Ja stoję z boku, przyglądam się i wszystko zapisuję. Tak już jest.

Ralf pokręcił tylko głową, założył rękę na rękę i opadł na oparcie krzesła. Sina kontynuowała jego myśl:

– Ralf uważa, że nie dorosłeś do takiego radykalnego eksperymentu.

– Czyżby? Im bardziej radykalny, tym lepiej! Hej, uspokójcie się! Spędzę tam kilka spokojnych dni, trochę poczytam, zrelaksuję się, a jak ktoś mi zajdzie za skórę, to wtedy *good bye, Johnny*. To przecież tylko symulacja!

– Nie rób tego, Tarek! – powtórzyła siostra. – Proszę!

– Ale ja chcę tego, chcę zdobyć materiał na artykuł! – powiedział Tarek z naciskiem. – Może to i racja, że podejmuję się tego z powodu tego chłopaka, Hondevelda. Wszystko jedno, wchodzę w to i dam radę.

Na liście było dwadzieścia jeden nazwisk. Dwadzieścia jeden osób wybranych spośród stu dwudziestu siedmiu kandydatów poddanych testom. Tylko ta grupa osiągnęła wyniki kwalifikujące do wzięcia udziału w eksperymencie. Jeden z przyjętych mężczyzn w ostatniej chwili zrezygnował, na jego miejsce wskoczył niejaki Tarek Fahd, chociaż testy wykazały, że ma nieco mniejszą odporność na stres.

Program komputerowy podzielił tych dwudziestu jeden mężczyzn zupełnie przypadkowo na dwie grupy: dwunastu „więźniów” i dziewięciu „strażników”. Po trzech strażników na zmianę. Mężczyźni byli w wieku od dwudziestu czterech do czterdziestu dwóch lat i wykonywali różne zawody. Łączyło ich to, że pod względem statystycznym byli zupełnie normalni. Normalnie inteligentni, normalnie wrażliwi, normalnie uczuciowi, normalnie ciekawi, normalnie strachliwi, normalnie zdrowi. Ich skłonność do agresji znajdowała się na statystycznie średnim poziomie w odniesieniu do całego społeczeństwa. Szesnastu było praworęcznych, czterech leworęcznych, jeden oburęczny. Całkowita przeciętność. Mieli normalne odruchy, nie cierpieli na żadne psychosomatyczne dolegliwości, nie mieli uszkodzeń mózgu ani innych zaburzeń neurologicznych. Pod względem psychicznym byli absolutnie zdrowi. Test na męskość wykazał, że wszyscy czują się normalnie mężczyźni. Wykres EEG nie wykazał u żadnego z nich jakichkolwiek odchyień od normy. Było to dwudziestu jeden zupełnie przeciętnych mężczyzn.

Więźniowie 1. Andreas Verhoeven, 24, student 2. Harry Schiitte, 42, właściciel sklepu 3. Giinther Ullmann, 35, agent ubezpieczeniowy 4 – Tobias Roloff, 28, student 5. Niklas Tanberg, 31, nauczyciel 6. Bernd Zóller, 26, student 7. Holger Berus, 29, pracownik obsługi lotniska 8. Markus Steinhoff, 28, pilot 9. Joachim Gehlen, 27, elektryk 10. Peter Cornelius, 29, rolnik 11. Erik Wimmer, 25, student 12. Fabian Crantz, 37, bezrobotny
Strażnicy 1. Ulrich Kamps, 25, student 2. Sven Glaser, 26, chemik 3. Robert Amandy, 24, student 4. Volker Eckert, 26, artysta estradowy 5. Heiner Bosch, 28, referendarz 6. Christian Stock, 34, kelner 7.

Tarek Fahd, 28, taksówkarz 8. Boris Renzel, 30, właściciel sklepu 9. Werner Tode, 36, spawacz Zadzwoił telefon stojący obok komputera.

– Jutta? Z tej strony Thon. Czy lista jest już gotowa?

– Właśnie ją drukuję i zaraz panu przyniosę.

– Bardzo dobrze.

Jutta Grimm odłożyła słuchawkę i z powrotem spojrzała na monitor. Przez moment się nad czymś zastanawiała, potem dwoma kliknięciami myszki zamieniła miejscami strażnika nr 7 Tarka Fahda i więźnia nr 7 Holgera Berusa.

– A masz, ty dupku – powiedziała pod adresem Tarka Fahda.

Potem przed numerem każdego z więźniów dopisała dodatkową cyfrę, aby powstał dwucyfrowy numer, który miał robić wrażenie przypadkowego, i czekała, aż drukarka laserowa wypluje gotową listę.

Przez tydzień nic się nie działo. ' Po tygodniu zadzwoniła jakaś kobieta z uniwersytetu i powiedziała, żeby był przygotowany, bo wkrótce się po niego zgłoszą. A więc czekał. Dwa dni później przysłali mu umowę. Przejrzał ją tylko pobieżnie i podpisał bez wahania, po czym z powrotem odesłał. Pod koniec tygodnia musiał pilnie zastąpić Greka, ponieważ nadreński karnawał wkroczył w gorący okres i Grek miał wszędzie występować. Wieczorem Tarek wioził cztery bardzo młode dziewczyny przebrane za kotki do barokowego zamku nieco na obrzeżach miasta, gdzie odbywało się wielkie przyjęcie. Dopiero w tym momencie przypomniało mu się, co to za dzień. To było równo rok temu.

Żółtawe reflektory oświetlały ze wszystkich stron świeżo odrestaurowany barokowy zameczek i nadawały czerwonym ścianom ciepła i tajemniczości. Z okien na ulicę wylewały się basowe dźwięki techno.

W przyjęciu uczestniczyło około pięciuset osób. Tarek z włączonym silnikiem poczekał na krawędzi jezdni, aż dziewczyny znikną. Potem wjechał w najbliższą boczną uliczkę, zaparkował samochód i wysiadł. Powietrze pachniało deszczem. Dokładnie jak przed rokiem.

Wraz z grupką bardzo młodych ludzi przemknął obok ochroniarza w drzwiach. Przyjęcie rozkręcone było na całego. Redaktorzy i

współpracujący z nimi wolni strzelcy, lokalni prominenci, najlepsi reklamodawcy, gwiazdy estrady, dziennikarze z innych gazet, znani w mieście mafiozi, ekskluzywne prostytutki, snobi, naciągacze. Prawie wszyscy poprzebierani z mniejszą lub większą fantazją. Mężczyźni najczęściej jako wampiry, piraci lub szejkowie, kobiety jako koty, dziwki lub czarownice. Jedna była jedynie pomalowana. Ci, którzy mieli na sobie bardziej wyszukane kostiumy, byli wynajętymi figurantami.

„Abendpost” była młodym tabloidem. Nie miała jeszcze dziesięciu lat i zawsze była ciut ostrzejsza i bardziej nieprzyzwoita niż inne. Taka była idea Zieglera. Co roku wydawnictwo świętowało przetrwanie gazety, organizując przyjęcie w małym barokowym zameczku, zbytkownie wyposażonym, wybudowanym ongiś przez księcia elektora w celach rozrywkowych.

Na parterze znajdowało się pięć pomieszczeń, które były wynajmowane, wszystkie rozległe i wysokie, z sufitami ozdobionymi bogatą sztukaterią. Na ścianach wymalowano sceny myśliwskie, a z sufitu spoglądały lubieżne amorki i baśniowe zwierzęta. Przypuszczalnie właśnie tak księżę wyobrażał sobie odlotową, spontaniczną imprezkę, pomyślał Tarek, spojrzawszy w górę.

Chodził bez celu wśród tłumu gości, przeciskał się przez grupki ściśnięte jedna przy drugiej, sięgał po zakąski z bufetu. Witał się na prawo i lewo. Gdy jakaś osoba go zagajała, wypijał z nią łyczek i spiesznie się wymigiwał.

– Tarek! *Cheese!*

– Hej, to Tarek! Hej, Tarek, popatrzcie, kogo tutaj mamy!

– Tuut, tuut!

– Hej, Tarek, poczekaj!

– Nie mam czasu!

– Hej, to przecież mój kumpel Tarek. Stary chwyt! Tarek Facht. Facht! Fchacht! Najbardziej zajebisty typ w branży. A przynajmniej był. Najzajebistszy.

– O, cześć Dieter. Znacie Dietera? Tego pedzia lachociąga!

– Hej, Tarek, powiedz, widziałeś Moni?

– No, widziałem, w męskiej toalecie!

– Tarek, poczekaj. Gdzie się podziewałeś?

- Nie mam czasu, Piwi.
- Ej, ty, do cholery, od roku wisisz mi szmal. Zapomniałeś?
- Dostaniesz, dostaniesz.
- Ale kiedy?
- Jutro!
- Ty, Tarek, uważaj, żeby cię Ziegler nie dopadł!
- A gdzie on jest?
- Dopiero co był tam z tyłu!

Tarek przepychał się dalej przez tłum. Zobaczył kilka dziewczyn stojących samotnie albo z facetami, którzy nie wyglądali na ich stałych partnerów. Jedna młoda kobieta nieco się wyróżniała, ponieważ nie miała na sobie kostiumu i zachowywała się tak, jakby kogoś szukała. Tarek ją obserwował, przez chwilę się zastanawiał, czy do niej nie zagadać, ale zrezygnował i zaczął rozglądać się za Zieglerem.

Ziegler stał, przebrany za więźnia, z grupą reklamodawców, których zabawiał głośno opowiadanymi świńskimi dowcipami. Tarek stanął na moment w miejscu i obserwował go. Ziegler prawie się nie zmienił. Biznesmeni stali zasłuchani i wybuchali śmiechem, gdy dochodził do puenty. Miał facet talent.

Gdy Ziegler dostrzegł Tarka, zmienił się na twarzy. Urwał w pół zdania i zostawił grupkę słuchaczy.

- Witaj, Ziegler. Wyglądasz do dupy – powiedział do niego Tarek.

Ziegler bez żadnego słowa przywitania wziął go za ramię i odciągnął na bok.

- Wiem. Chodź, napijemy się czegoś.

Tarek uwolnił się z chwytu.

– Zostaw, Ziegler. Zaraz stąd spadam. Nie wiem nawet, po co w ogóle tu przyszedłem.

– Aleja wiem, chłopcze. No, opowiadaj. Co robiłeś przez cały zeszły rok? "Pisałeś książkę? Teksty reklamowe? Śmieszne powiedzonka?"

- Jeździłem na taksówce.

Ziegler szczerze się zdziwił.

- Cholera! Przez cały rok?

– *Right.*

– Ale z ciebie idiota. Żeby jeździć na taksówce!

– To fajne zajęcie.

– Zajęcie do dupy. Tarek, już wiem, że mnie wtedy nie wydymałeś. Wiem, że nikomu nie sprzedałeś zdjęć. To naprawdę musiał być dla ciebie szok, co? Ale zapomnijmy o tym. Już dawno sprawa porosła trawą.

Ziegler przysunął się do niego bliżej. Tarek wyczuł odór alkoholu.

– Jaka sprawa?

– No, ta z nami. Wróciłeś. Dobry chłopiec. Masz u mnie plusa. Nie musisz się wcale tłumaczyć. Przyjmuję cię z powrotem. Jesteś znowu z nami. Wszystko jak dawniej, *okay*? Boże miłościwy, bez tych zdjęć numer wyglądał do dupy. Miałem ochotę ci wtedy wpierdolić.

– I to zrobiłeś.

– No, nie całkiem, ale prawie. – Znowu się roześmiał i po kumpelsku przyłożył swoją masywną pięść Tarkowi do brody. – Ale zapomnijmy o tym. Oczywiście, że nie możesz inaczej. Jesteś taki sam jak ja. Musisz pisać. Nie książki, nie teksty reklamowe, lecz głupie, pieprzone artykuły, które pojutrze będą zapomniane. Nie podoba ci się to? Wszystko jedno, ale tak już jest. Poczekaj tu, przyniosę nam coś do picia, a potem przyjdą panienki.

– Ziegler!...

Ale Ziegler już nie słuchał, odszedł w kierunku bufetu. Tarek został. Nie wiedział, co robić. Rozejrzał się wokoło. Wciąż ci sami ludzie. Znów dostrzegł tę kobietę. Chyba już zrezygnowała' ze swoich poszukiwań i tylko przechadzała się z ciekawością wśród ludzi, ostrożnie, z ociąganiem, jakby się bała, że uszkodzi coś cennego. Dziwnie się kołysała, ale Tarek nie sądził, że zbyt dużo wypija. Była od niego wyższa, bardzo szczupła, miała małe piersi, ale silne ciało i ręce, na policzkach maleńkie blizny po trądziku. Niezbyt seksowna, uznał Tarek. Jasne, krótko obcięte włosy i jasna cera. Była bez makijażu, ale modnie ubrana, chociaż jej wygląd nie świadczył o tym, że zadała sobie dużo trudu, przygotowując się do przyjęcia. Miała na sobie krótką spódniczkę i krótką filcową kurteczkę, niepasującą do strojów innych gości. Gdy stała, jej kolana się dotykały. Kobieta nie była w typie Tarka, ale jej oczy przykuwały jego uwagę. Zielone oczy bez powiek, penetrujące otoczenie jakby z pewną dozą lęku. Tarek obserwował nieznaną, raz czy dwa razy ich spojrzenia się spotkały. Nic poza tym.

Zastanawiał się, czy ta kobieta jest jedną z prostytutek, nieodzownych na tego typu przyjęciach. Ale raczej nie, sądząc z jej zachowania i stroju. Ktoś go od tyłu potrącił i wylewnie przeprosił. Gdy Tarek się z powrotem odwrócił, kobieta podeszła do niego i powiedziała:

– Cześć. Też jesteś tu sam?

A więc jednak dziwka.

– To zależy.

– Dość tutaj nudno, nie uważasz?

– *Right*.

– Zostałeś zaproszony?

– Mniej lub bardziej.

– W takim razie może mógłbyś mi powiedzieć, co...

– Przerwała, ponieważ w kieszeni kurtki zadzwoniła jej komórka. – Chwileczkę.

Odeszła od niego, stanęła przy oknie i rozmawiała przez telefon.

Tarek nie ruszył się z miejsca. Podszedł do niego Ziegler, podał mu pełną szklaneczkę whisky.

– *Sorry*. Musiałem ich trochę popędzić, żeby mi nalali czegoś lepszego. Nie rozpoznali mnie! – zachichotał.

Tarek nawet na niego nie spojrzał.

– Nie piję – powiedział.

Ziegler podążył za wzrokiem Tarka i dostrzegł kobietę, która właśnie zakończyła rozmowę telefoniczną.

– Ach, szybki jesteś dzisiaj.

– Znasz ją?

– Nigdy jej nie widziałem.

– Czy to jedna z prostytutek?

– Nie wygląda na to. Mówię przecież, że jej nie znam. Powiedz wreszcie, ty Turku z niemieckim paszportem...

– Jestem Persem, Ziegler, Persem.

Ziegler wyszczerzył zęby w uśmiechu. Tarek zostawił go i podszedł do tej kobiety. Uśmiechnęła się do niego.

– Przepraszam – powiedziała.

– Nie ma sprawy. Coś ważnego?

– Nie bardzo. Choć z drugiej strony... Ach, wszystko jedno.

– A więc?

– A więc co?

– Pytanie. Chciałaś mnie o coś spytać.

– Och, tak. – Rozejrzała się jeszcze raz wokoło. – Chciałam cię spytać, co to za przyjęcie.

Tarek spojrział na nią nieufnie.

– Ejże, o co chodzi? Jesteś tutaj, ja jestem tutaj. Ja wiem, co to za przyjęcie, i ty wiesz, co to za przyjęcie. Mamy przecież karnawał!

– Ale karnawał zaczyna się dopiero w przyszłym tygodniu!

– A co to za różnica?

Robiła wrażenie zakłopotanej, – Usłyszałam po prostu hałas i zeszłam na dół. – Wskazała ręką sufit i dodała: – Mieszkam tu, na górze.

– Mieszkasz? Tutaj? Na górze?

Roześmiała się.

– Tak, bo co?

– Mieszkasz w tym zamku?

– Tak, na górze jest kilka mieszkań. Jestem tutaj z wizytą. Jutro wyjeżdżam.

Akcent holenderski. Uśmiechnęła się, pokazując zęby, które były nieco krzywe. Tarek stwierdził, że jej usta nie są już takie nijakie, jak mu się przedtem wydawało. Zmieniały się stale. Wydawało się, że mogą przybrać dowolny kształt. Pachniała perfumami, których nie znał. Tarek obejrzał ją sobie teraz badawczo od stóp do głowy.

– Chcesz zobaczyć moje mieszkanie? – zapytała.

– Czy chcę je zobaczyć?... No. Jasne. Czemu nie?

Poprowadziła go na zewnątrz. W dobudówce obok portalu głównego znajdowały się drzwi, których Tarek do tej pory nie dostrzegł.

– Mam na imię Dora.

– Tarek.

– Ładne imię.

– Dziękuję. Twoje też.

Dora miała problem z otwarciem drzwi. Trochę potrwało, nim znalazła właściwy klucz. Tarek w tym czasie przyglądał się jej pupie. Schodzone, kamienne, kręcone schody poprowadziły ich na górę. Gdy Dora stanęła do niego przodem, w kiepskim oświetleniu korytarza zapłonęły dwa zielone punkty.

– No, co to za przyjęcie tam, na dole?

– Zorganizowało je wydawnictwo publikujące „Abendpost”.

– Och, w takim razie jesteś dziennikarzem?

Jej głos nagle przybrał odpychający ton.

– Nie, taksówkarzem. – Odniósł wrażenie, że poczuła ulgę. – A ty? Czym ty się zajmujesz? – zapytał.

– Tym i owym. Miałam tu do załatwienia różne sprawy dla rodziców. Coś nieprzyjemnego, ale teraz już jest po wszystkim. Właściwie pochodzę z Zandvoort. To w Holandii. Nad morzem.

– Wiem, gdzie się znajduje Zandvoort.

– Już jutro tam wracam.

– Aha.

Mieszkanie znajdowało się na poddaszu. Było duże, podzielone na dwa poziomy, robiło wrażenie świeżo odnowionego. Ciemne, błyszczące ciężkie belki podtrzymywały skośne powierzchnie stropu. Mało mebli. Kilka antyków i parę bardzo nowoczesnych sprzętów. Tarek gwizdnął przez zęby.

– Podoba ci się? – Rzuciła kurteczkę na fotel i oprowadziła go po mieszkaniu, by mógł rzucić okiem na wszystkie pomieszczenia. – Piękny widok stąd, prawda?

– Tak, piękny. Kto tutaj mieszka?

– Znajomy. Właśnie przebywa w Nowym Jorku.

Stali w kuchni, której wyposażenie w przeciwieństwie do reszty umeblowania było wybrakowane i składało się z elementów jakby przypadkowo zestawionych ze sobą. Oparła się o starą lodówkę, która wibrowała i brzęczała jak olbrzymi bezskrzydły owad.

– Chcesz coś do picia? – zaproponowała.

– Nie, dziękuję.

– Jak na taksówkarza jesteś dość oszczędny w słowach, Tarek.

Jej spojrzenie migotało.

– A o czym miałbym teraz mówić?

Tarek podszedł do niej, całkiem blisko, a ponieważ się nie odsunęła i nie spuszczała go z oczu, zaczął jej rozpinać bluzkę i ostrożnie oswobadzał ją ze spódnicy. Ona stała bez ruchu, tylko mu się przyglądała, nadal oparta o lodówkę.

Ściągnął jej bluzkę przez głowę. Piersi miała małe, ale twarde i krągłe. Teraz doszedł do wniosku, że jest dużo piękniejsza, niż mu się wcześniej wydawało. Pogłaskał ją w talii, potem kciukiem z przodu. Wydała z siebie cichy dźwięk. Gdy zaczął ją całować, przechyliła głowę do tyłu. Nagle przeszedł ją zimny dreszcz. Szukając ciepła, odruchowo objęła go za szyję, krótko westchnęła i przywarła do niego mocno.

Przez moment tak stali. Tarek trzymał ją mocno, jego dłonie spoczywały na jej plecach, potem zaczął zsuwać je powoli w dół. Chwycił ją za pośladki i ciepłym oddechem ogrzewał jej szyję. Potem ona oderwała się nieco od niego, ujęła w dłonie jego głowę i zaczęła go całować w usta dziko i niepowstrzymanie, znowu przywarła do niego mocno, jakby chciała go w siebie wessać, oddychała powietrzem wydychanym przez niego.

Bez słowa i w wielkim pośpiechu rozebrali się nawzajem. W kuchni było chłodno, teraz Tarka przeszedł dreszcz. Wydając z siebie ciche westchnienia, ocierali się o siebie, by wytworzyć ciepło, pierś przy piersi, nie przestając się przy tym całować. Gdy wsunął dłoń w jej majtki, by je ściągnąć, lekko podskoczyła i usiadła pupą na lodówce. Pomogła mu w ściągnięciu majtek.

Tarek przyciągnął ją do siebie. Bez wahania chwyciła jego pulsujący członek i pomogła mu znaleźć właściwy kierunek. Oplotła go rękoma i nogami, przycisnęła do siebie i nie przestawała całować.

Było łatwo. Całkiem bez oporu. Był cały w niej, czuł ją wszędzie, czuł jej zapach, smak, znowu drżał, ale tym razem nie z chłodu. Trzymała go mocno, bardzo mocno, przyciągnęła do siebie, poruszała się razem z nim, aż w końcu znaleźli wspólny rytm, trzymała go w uścisku, także gdy ją podniósł i zaniósł do łóżka. Całował ją po brzuchu, piersiach. Gdy się nad nim pochyliła, głaskał jej sutki, aż się zrobiły pod jego palcami twarde, lub trzymał je, gdy na nim siedziała, odchyłona do tyłu, z zamkniętymi oczami. Gdy na chwilę przestali, by nieco odsapnąć, patrzyli na siebie, po prostu patrzyli, z ciekawością i zdumieniem.

Poruszali się dużo, zmieniali pozycje, walczyli ze sobą. Dora tylko od czasu do czasu wydawała z siebie ciche dźwięki, które świadczyły, że wciąż jeszcze jest obecna, obecna całą sobą. Odkrywał na jej ciele mięciutkie miejsca, głęboki dołek u nasady szyi, zagłębienia pod kolanami, wewnętrzne strony jej ramion. Śmiała się, prowadziła jego dłonie tam, gdzie miał ją głaskać, wyginała się tak, że każdą część jej ciała mógł dosięgnąć ustami, obserwowała, jak jego członek zmienia się w trakcie pieszczot.

– Ups! – szepnęła tuż koło jego ucha.

Wstrzymała oddech, gdy powoli w nią wszedł, i wypuściła powietrze, wzdychając, gdy po jakimś czasie na krótko z niej wyszedł. Nie spieszyli się. Od czasu do czasu szeptała coś po holendersku. Był w niej, czuł ją intensywnie, czuł, jaka była w środku gorąca, czasami był płytko, tak płytko, że czuła jedynie łaskotki, czasami był tak głęboko, że ona była cała wokół niego. Czasami, gdy zaczynał się szybciej poruszać, przytrzymywała go nagle mocno.

– Spokojnie, spokojnie.

– Dlaczego?

– Tak po prostu. Spokojnie...

Leżeli tak wiecznie. Całkiem bez ruchu, a ich puls się mieszał. Potem znowu zaczęli się poruszać, patrzyli na siebie i nie przestawali, aż on w końcu zamknął oczy, a jej jęki przeszły w krótki, cichy krzyk. Po chwili poczuła, jak jego twardość w niej mięknie.

W końcu leżeli obok siebie, mokrzy od potu, ciągle jeszcze całkiem blisko, patrzyli na siebie bez słów, wyczerpani. Gdy ich spojrzenia się spotykały, uśmiechali się. Dora naciągnęła kołdrę na nich oboje, a Tarek zasnął.

Gdy się obudził, ona spała. Wstał i na palcach pozbierał swoje rzeczy. Gdy wrócił do sypialni, miała otwarte oczy.

– Idziesz już?

– Mhm.

Skinęła głową.

– Zobaczymy się jeszcze kiedyś?

– Nie wiem, może. Nie wiem.

Znowu skinęła głową, zawinęła się ściślej w kołdrę, podciągnęła kolana i patrzyła na niego, jak się ubiera.

– Było cudownie – powiedziała cicho.

– Tak, cudownie.

– Bardzo długo z nikim nie spałam.

– Ja też nie.

Tarek był już ubrany. Jeszcze raz te zielone oczy. Pod kołdrą odznaczał się zarys jej ciała.

– No to na razie...

– Nie chcesz zostać?

– Przecież jutro wyjeżdżasz.

– Jedź ze mną.

Zawahał się.

– Nie – powiedział w końcu. – Mam coś do załatwienia.

Skinęła głową. Zapisał jej swój numer komórki i wziął od niej jej numer. Na zewnątrz, za drzwiami stanął, wahał się, wdychał chłodne powietrze nocy. Za nim powoli zatrzasnęły się drzwi. Zielone oczy. Ciepły zapach. Tarek szybko zrobił zwrot w tył, ale nie zdążył chwycić drzwi przed zatrzaśnięciem. Uznał, że to znak.

W domu zastanawiał się, czy nie zadzwonić do Dory, ale zdecydował, że raczej nie, i poszedł spać. Jej zapach ciągle jeszcze mu towarzyszył. Zamknął oczy i myślał o niej. Jutro. Zadzwoni do niej od razu. Może na jeden dzień wyskoczy z nią do Zandvoort. Nad morze. Jutro.

W jego ostatni sen wdarło się wycie samochodu jadącego na sygnale. W końcu obudziło go dzwonienie i łomot do drzwi.

Tarek, w samych majtkach, nieprzytomny z zaspania, spojrzął przez wizjer w drzwiach. Na klatce stał policjant.

– Cholera jasna! – jęknął Tarek i uchylił drzwi. – Co do dia... ?

Nie zdążył dokończyć zdania, bo ktoś z całym impetem pchnął drzwi. Otworzyły się gwałtownie i szeroko, dolną krawędzią uderzając Tarka w palce bosych stóp tak mocno, że aż krzyknął z bólu. Do środka wtargnęli dwaj policjanci, rzucili się na niego, wepchnęli go z powrotem do mieszkania, nim on zdążył zebrać myśli.

– Policja! Nie ruszać się! – wrzasnęli.

Nie przestawali wrzeszczeć. Jeden chwycił go pod ramiona, podczas gdy drugi rzucił się na niego całym ciężarem ciała. Tarek poślizgnął się na gładkiej posadzce i upadł, a policjant razem z nim. W tym samym momencie Tarek odzyskał przytomność umysłu. Kopnął policjanta kolaniem w krocze, aż facet wrzasnął i odpadł od niego jak rażony prądem. Tarek przeturlał się na bok, walił rękoma i nogami wokół siebie, chcąc odtrącić drugiego policjanta, który dalej trzymał go za ramię, ale nie na tyle dobrze, żeby chwyt mógł być skuteczny. Tarek próbował się podnieść, lecz stłuczona noga zgięła się pod ciężarem ciała i ostry ból przeszył go od palców stóp po pachwiny. Tymczasem policjant zdążył obezwładnić go mocnym chwytem. Wykręcił mu rękę i przycisnął mocno do pleców, przytrzymując go w pozycji leżącej i dociskając go kolaniem do podłogi na wysokości krzyża.

– Szybko, kajdanki!

Założył mu na nadgarstki plastikowe opaski ze sztucznego tworzywa, zacisnął mocno i boleśnie.

– Aua! Cholera! Co to wszystko ma znaczyć?

– Zobacz, czy nie ma jeszcze kogoś w mieszkaniu!

– zawołał pierwszy policjant.

Drugi wyprostował się z trudem i przeszukał pozostałe pomieszczenia. Tarek usłyszał, jak policjant potrącił w sypialni starą stojącą lampę, która upadła i się rozbiła.

– Cholera! Powiedzcie mi, o co wam chodzi!

– Jesteś aresztowany, chłopcze!

– Cholera! Za co?

– Za to! – Drugi wyszedł z kibla i wetknął Tarkowi pod nos małą torebkę z białym proszkiem. – Naruszenie ustawy o środkach odurzających.

– Do tego kradzież i uszkodzenie ciała.

– Zwariowaliście, czy co? O co wam chodzi, do cholery?!

– Zapytasz sędziego śledczego.

Pozwolili mu założyć spodnie, T-shirt i buty, a potem wyprowadzili. Tarek kulał. Czuł, jak w bucie pulsuje mu przetrącony palec.

Na klatce zdążyli się już zebrać sąsiedzi, którzy z zainteresowaniem obserwowali aresztowanie Tarka. Przed blokiem czekał radiowóz. Kogut ciągle jeszcze błyskał na niebiesko. Policjanci nacisnęli mu głowę, zmuszając, by się pochylił, i pchnęli na tylne siedzenie.

– To pomyłka! To pomyłka!

– Uspokój się, chłopcze! Nic nie jest pomyłką.

Na posterunku pobrali od niego odciski palców, sfotografowali go. Musiał się jeszcze raz rozebrać. Zostawili go na godzinę nagiego w pustej celi dla „otrzeźwienia”, w końcu wzięli go na przesłuchanie. Zarzucono mu różne przestępstwa. Posiadanie kokainy i handel nią. Napad z bronią na dwa supermarkety, przy czym podczas jednego z nich miał podobno jeszcze pobić młodą kobietę. Ta kobieta została nawet ściągnięta na komisariat. Spojrzała na Tarka i powiedziała:

– Tak, to on. Nie mam wątpliwości, to ten drań.

Tarek nigdy przedtem nie widział jej na oczy.

Pouczono go, jakie prawa mu przysługują, że może odmówić składania zeznań, że wszystko, co powie, może zostać użyte przeciwko niemu. O adwokacie nie wspomnieli.

– Chcę się zobaczyć z moim adwokatem.

– Później, panie Fahd. Jak skończymy!

Formularze zostały wypełnione, policjant wpisał dane do komputera. Przez cały czas Tarek był skrępowany.

– To chyba jakiś kawał, co? Czy to w związku z tym eksperymentem?... Hej, ludzie! Pytałem was o coś!

– Proszę mówić tylko wtedy, gdy pana o coś zapytamy, panie Fahd!

Zaprowadzono go do innego pokoju, gdzie mężczyzna o ostrych rysach twarzy przeczytał protokół, prawie nie zwracając uwagi na Tarka. W końcu przybił pod protokołem pieczętkę i oddał go funkcjonariuszowi, który przyprowadził Tarka.

– Na podstawie zgromadzonych dowodów i ze względu na ryzyko ucieczki pan Fahd zostaje zatrzymany w areszcie śledczym, póki nie zostanie zamknięta procedura zbierania dowodów. Proszę go tam od razu zaprowadzić.

– Co za pieprzony kawał!

Tarek został zaprowadzony do pomieszczenia, w którym go wcześniej przesłuchiowano. Teraz zawiązano mu tam tylko oczy i z powrotem go wyprowadzono.

Tarek nic już nie mówił. Znowu wsadzono go do samochodu. Osoba prowadząca samochód – Tarek nie wiedział, czy była to kobieta, czy mężczyzna – nie odezwała się ani słowem, więc Tarek przestał zadawać pytania. Jechali około dwudziestu minut. Po drodze Tarek słyszał odgłosy miasta. W końcu samochód się zatrzymał i poprowadzono go przez pusty plac do budynku, a potem do windy. Odgłosy świata zewnętrznego, kroki, oddechy i pokasywania ludzi pozostały w tyle za nim. Było cicho, absolutnie cicho. To jakaś piwnica, pomyślał Tarek. Zostawiono go samego. Czekał. Nic się nie działo. Nikt po niego nie przychodził. Tarek próbował odmierzać czas, licząc własny puls, ale mu się nie udało. W końcu za jego plecami otworzyły się drzwi i poprowadzono go przez jakąś halę. Tarek słyszał stukot własnych kroków. Zatrzasnęły się za nim stalowe drzwi, potem szedł prosto korytarzem, potem zakręt, potem zamknęły się za nim kolejne drzwi, a potem zdjęto mu z oczu przepaskę. Mężczyzna, ubrany jak kąpielowy, z maseczką na twarzy, przeciął plastikowe kajdanki na nadgarstkach Tarka. Znajdowali się w małym, jasno oświetlonym pomieszczeniu, którego ściany i podłogę wyłożono białymi płytkami. W środku było zupełnie pusto, na podłodze stało jedynie coś o wyglądzie butli, jakiej używają pletwonurkowie. Na butli zamontowany był rozpylacz. Pomieszczenie miało dwoje drzwi w ścianach naprzeciwko siebie.

– Proszę się rozebrać.

– Co, znowu?

– Proszę robić, co mówię!

Tarek posłuchał, ubranie złożył na podłodze.

– I co teraz?

– Proszę podnieść rękę.

Ubrany na biało mężczyzna zbadał go, obmacał, kazał mu się schylić i rozwarł mu pośladki. Tarek pozwolił mu na wszystko bez sprzeciwu. Mężczyzna wziął butlę z rozpylaczem.

– Co to ma znaczyć? Co pan mi będzie robił?

– Dezynfekcja. Proszę podnieść rękę.

– Ale ja nie chcę!

Mężczyzna nie zwrócił uwagi na jego sprzeciw. Rozpylił spray pod dużym ciśnieniem na ciało Tarka. Tarek wstrzymał powietrze, żeby nie wdychać odurzającej, perfumowanej mgły, nieważne, co to był za środek. Opryskiwanie trwało jednak za długo, nieskończenie długo.

– Proszę się pochylić.

Tarek zacisnął zęby, ścisnął przeponę, żeby do płuc nic się nie dostało, ale spray napełnił mgiełką całe pomieszczenie. Tarka rozbolały płuca. Z jękiem wypuścił powietrze, zaczerpnął świeżego, aerozol dostał mu się do płuc, zakrztusił się, zaczął kaszleć. Oczekiwał, że spray zacznie działać, ale nic się nie stało.

– Proszę tam wejść! – powiedział niewzruszony mężczyzna i pokazał na następne drzwi.

Czekał tam już na niego człowiek w mundurze khaki z dwoma złotymi paskami na pagonach, strażnik więzienny. Na szyi miał zawieszony gwizdek, przy pasku pęk kluczy i czarna gumowa pałka. Strażnik wręczył mu złożone ubranie uszyte z szarej tkaniny.

– Załóż to.

Zwracał się do niego na ty! Tarek natychmiast zwrócił na to uwagę, ale wziął ubranie bez protestu. Okazało się, że była to prosta, zgrzebna koszula nocna.

– A bielizna?

– Bez bielizny. Po prostu zakładaj. – Tarek włożył koszulę, na której z przodu i z tyłu widniała wielka liczba 77. Następnie strażnik dał mu szary czepek kąpielowy, na którym także widniała liczba 77. – No, zakładaj!

– Po co? Idziemy na basen czy co?

– Zakładaj i spokój. Nie wolno pokazywać włosów.

Tarek usłuchał, założył czepek i dostał gumowe klapki kąpielowe, pościel, ręcznik, mydło i szczoteczkę do zębów. Gdy trzymał wszystko w rękach, strażnik założył mu więzy na nogi, które jednak nie były połączone łańcuchami.

– Ręce do przodu!

Tarek wykonał. Strażnik ponownie założył mu plastikowe kajdanki i wyprowadził.

Jasny korytarz, oświetlony tak, że osoby nim idące nie rzucały cienia. Tarkowi korytarz ten przypominał rękaw lotniczy prowadzący do samolotu.

Lub wewnątrz olbrzymiej sztucznej istoty – ze względu na neonówki, które umieszczono tu poprzecznie, w równych odstępach, niczym żebra. Jedna świetlówka daleko z tyłu migotała. Gumowe klapki piszczały i kłapały na posadzce z tworzywa, powodując powstawanie głuchego echa. Było bardzo zimno. Tarek dostał gęziej skórki.

Korytarz kończył się kwadratowym dziedzińcem wewnętrznym, którego ściany wykonane były ze sztucznego tworzywa. Wymiary około sześciu metrów na sześć. Z każdej strony znajdowały się zakratowane przejścia, a za nimi korytarze.

– Czekaj! – rozkazał strażnik i zapukał pałką w kratę w przejściu naprzeciwko. Na dziedzińcu nie było nic poza zakratowanymi przejściami. Nic, na czym dałoby się zawiesić wzrok. Nie było też nic słyszeć, poza szumem neonówek, oddechem strażnika i własnym pulsem. Tarek przestępował z nogi na nogę.

Po drugiej stronie kraty pojawił się kolejny nieumundurowany funkcjonariusz.

– Tak?

– Więzień numer 77 po dezynfekcji i przyodziewku gotowy do zajęcia celi.



Chociaż nie było okien i chociaż bez zegarka powoli opuszczało go poczucie czasu, Tarek ocenił, że gdy wyprowadzono ich z cel, musiało być już popołudnie. W ciągu ostatnich godzin strażnicy dostarczali wciąż nowych więźniów, aż w końcu zajęte były wszystkie miejsca w czterech celach. Cele. W każdej trzy prycze ustawione piętrowo jedna nad drugą. W każdej celi tak mało miejsca, że ledwo można było się w nich obrócić. Od frontu wszystkie zamknięte były czarną stalową kratą. Za nią znajdował się korytarz o szerokości około trzech metrów. Wszystko bardzo jasne, bardzo czyste i bardzo wąskie. Zapach plastiku i środków czyszczących.

Strażnik stał przy kracie na końcu korytarza. Tarek i jego dwaj współwięźniowie z celi słuchali skrzypienia rygli, krótkich poleceń strażników, trzeszczenia ich wojskowych butów na podłodze, hałasów i urywków rozmów z cel sąsiednich.

– Hej, i co się teraz z nami stanie?

– Spokój w celach!

– Hej, muszę do kibla!

– Później.

– Ale to pilne!

– Ja też muszę!

Przenikliwy gwizd.

– Spokój w celach!

W celi Tarka panowało milczenie. Czekali. Tylko od czasu do czasu spotykał się ich wzrok. Więzień numer 38 leżał wyciągnięty na pryczy i się nie ruszał. Uosobienie spokoju. Numer 69 stał nerwowo przy kracie. Kamery video zainstalowane pod sufitem w korytarzu były wycelowane dokładnie w cele. Tarek obserwował, czy się poruszają, ale przypuszczalnie ich kąt widzenia był wystarczająco szeroki. Może to były tylko atrapy, skoro je umieszczono w tak widoczny sposób.

Tarek rozejrzał się, spróbował wszystko w duchu sfotografować. Kłapa wentylacyjna w suficie, która przypuszczalnie kryła mikrofon. Tarek podrapał się. Bawełniany materiał, z którego uszyta była więzienna

koszula, drażnił mu skórę. Ciągle jeszcze bolał go paluch. Zimny przeciąg głaskał mu stopy, które tkwiły w zielonych klapkach kąpielowych. Podciągnął nogi, żeby stopy schowały się pod koszulą. Wcisnął koszulę między nogi, ale mimo to marzł. Złożonego i leżącego na jego łóżku wełnianego koca nie ruszył. Co zostało ruszone, to należało wziąć. Takie były zasady.

– Niezłe gównno, co? – Żaden z dwóch pozostałych współwięźniów nie zareagował. – Wiedzieliście, że będziemy musieli nosić takie worki? Bez bielizny? Jak w szpitalu.

– Babskie podomki.

– Dobrze mówisz, stary. Jak masz na imię?

Stojący przy kracie więzień 69 odwrócił się.

– Joachim. Mów mi Joe.

– Joe! Dzielny kowboj Joe! A ja jestem Tarek. Mów mi Tarek. Niezłe gównno, co, Joe? Jak cię tutaj przywieźli?

– Wyobraź sobie, stary, że wychodzę z piekarni, a pod moimi drzwiami pełno glin.

– *Right*. Z tobą też odegrali taki teatr?

– Taki, że hej. Z całą szopką.

– A jak było z tobą? Ej, ty z numerem 38! Gdzie cię zgarnęli?

Więzień z numerem 38 podniósł krótko wzrok.

– Na lotnisku.

– A co, jesteś pilotem?

– Zgadłeś.

– A jak masz na imię, pilocie.

Zagadnięty przyglądał koszulę.

– Trzydzieści osiem – odpowiedział.

– Ha, ha.

– Cholera, wszyscy stali w oknach, jak gliny mnie zgarniały – mówił Joe.

– Teraz pewnie sobie myślą, że jestem jakimś przestępcą i że mnie zapuszkowali.

– No i? Przecież cię zapuszkowali – powiedział 38.

– No cóż, Joe. Co racja, to racja. Jesteśmy teraz zapuszkowani.

Drzwi na końcu korytarza otworzyły się. Dwóch strażników stanęło na rozstawionych nogach pod ścianą naprzeciwko celu, trzeci strażnik natomiast otwierał kolejno każdą celę i zagwizdał ostro gwizdkiem.

– Wychodzić! Stańć w szeregu, ręce za plecami, zachować spokój!

– Co teraz będzie?

– Muszę się odlać!

Strażnik ryknął:

– Cisza! Spokój!

Stanąwszy w szeregu, Tarek spojrział na lewo i prawo. Nie rozpoznawał żadnego z więźniów z powodu ich jednakowych koszul. Nie rozpoznawał też strażników stojących pod ścianą. No, może tego z lewej, który wykonywał właśnie dziwne ruchy okrężne szyją, jakby zeszywniał mu kark. Wyraźnie natomiast wyczuwał nerwowość strażników, mimo że mieli ciemne okulary z lustrzanymi soczewkami i czapki zsunięte głęboko na twarz. Nie robili żadnych min, ale Tarek dojrzał, jak drgają im mięśnie policzków, zdradzając lekki niepokój. Strażnik, który ich wyprowadził z celu, przygryzał ustnik gwizdka, a dłonie wycierał nieustannie o materiał spodni, jakby mu się kleiły.

– Ręce za siebie!

Więzień z numerem 15, stojący na lewo od Tarka, zrobił krok do przodu i powiedział:

– Żądam, żeby natychmiast...

Jeden ze strażników wepchnął go z powrotem do szeregu, a strażnik, który otworzył cele, ryknął:

– Więzień numer 15, wracać do szeregu!

Claus Thon wkroczył na korytarz w taki sposób, jakby wcześniej ćwiczył wejście. Miał na sobie biały fartuch, zupełnie jak podczas powitania na uniwersytecie. Tym razem się jednak nie uśmiechał. Twarz miał spokojną, mówił płynnie, krótko i formalnie.

– Dzień dobry, panowie. Ponieważ zebraliśmy się tu wszyscy, pozwolę sobie was powitać w imieniu naszego zakładu karnego i personelu

strażniczego. Moje nazwisko już znacie. Podczas pobytu tutaj proszę się zwracać do mnie: „panie dyrektorze”. Jesteście na pewno zaskoczeni okolicznościami, w jakich was tu dostarczono. Nie ma jednak najmniejszego powodu do niepokoju. Jeśli będziecie się zachowywać spokojnie i przestrzegać zasad, które ustaliliśmy wspólnie z personelem strażniczym, czas tutaj minie wam bardzo szybko. Gdyby były jakieś problemy, wszystko jedno jakiej natury, proszę je zgłaszać, ja zawsze będę do panów dyspozycji. A teraz co się tyczy waszego planu dnia: pobudkę będziecie mieć o godzinie piątej. Dzień kończy się dla was o dwudziestej drugiej, wtedy jest gaszone światło. Otrzymacie trzy posiłki dziennie, będziecie je spożywać wspólnie. Trzy razy dziennie będziecie wyprowadzani z celi i przeliczani, za każdym razem, kiedy nowa zmiana strażników obejmie służbę. Trzy razy dziennie będziecie mogli wyjść do toalety pod nadzorem. Dwa razy dziennie będziecie mieli spacer, za każdym razem po pół godziny.

– Na zewnątrz? – zapytał Tarek.

– Nie, tutaj, na dziedzińcu – odpowiedział Thon, nie zwracając uwagi na Tarka, który chciał jeszcze o coś zapytać. – Będziecie mieli możliwość czytania i pisania listów, personel strażniczy będzie rozdawać wam książki, długopisy i papier. Raz w tygodniu w ustalonych terminach są odwiedziny. Później przydzielili się wam jeszcze lekkie prace, które możecie wykonywać w ciągu dnia i które będą dodatkowo płatne, stawka marka za godzinę. Dobrze, z mojej strony to by było wszystko. Kierownik zmiany odczyta wam teraz regulamin. Bardzo proszę, panie strażniku więzienny.

Zagadnięty strażnik poruszył się nieznacznie, przejechał wzrokiem po szeregu więźniów, dostojnym ruchem wyciągnął z kieszeni złożoną kartkę papieru, rozwinął ją, jakby była bardzo cenna, i rzekł krzepkim głosem:

– W celu wdrożenia rutynowych procedur i utrzymania porządku oraz bezpieczeństwa opracowaliśmy regulamin obejmujący dziesięć zasad postępowania. Więźniowie są zobowiązani do nauczenia się tych zasad na pamięć i ich przestrzegania. – Stojący w szeregu więźniowie zaczęli niechętnie pomrukiwać i kręcić się nerwowo. Strażnik zaczął głośno czytać: – Dziesięć zasad...

Zasada pierwsza: Zabrania się rozmawiania ze sobą podczas przerw na odpoczynek i posiłki, po zgaszeniu światła i poza dziedzińcem więzienia.

Zasada druga: Wolno jeść tylko podczas posiłków. Każdy posiłek należy zjeść do końca.

Zasada trzecia: Należy utrzymywać w celach porządek. Nie można brudzić ścian, sufitów i drzwi, manipulować przy nich, próbować przestawiać ani w żaden inny sposób uszkadzać. To samo dotyczy wszelkiego innego wyposażenia celi i innych elementów stanowiących własność więzienia.

Zasada czwarta: Nie wolno zdejmować odzieży więziennej, nie można dokonywać w niej zmian, nie wolno jej niszczyć jako całości, ani żadnej jej części.

Zasada piąta: Zakazuje się więźniom posiadania i przechowywania przedmiotów prywatnego użytku, artykułów żywnościowych i wszelkich innych rzeczy.

Zasada szósta: Więźniowie mają się do siebie zwracać, nazywając się przypisanymi im numerami.

Zasada siódma: Zwracając się do strażników, więźniowie mają używać formy: „panie strażniku więzienny”.

Zasada ósma: Zakazuje się dotykania strażników.

Zasada dziewiąta: Należy niezwłocznie i bez sprzeciwu wykonywać wszelkie polecenia wydawane przez strażników.

Zasada dziesiąta: Niezastosowanie się do którejś z podanych wyżej zasad może skutkować karą.

Strażnik podniósł wzrok i bez komentarza złożył z powrotem kartkę. Dał znak innemu strażnikowi, na co ten rozdał więźniom kartki z listą zasad. Tarek uśmiechnął się pod nosem.

– Jakież pytania, 77?

– Już nic.

– No, gadaj!

Tarek rzekł z uśmiechem:

– A co z waleniem konia? Czy to jest uznawane za niszczenie mienia więziennego?

Kilku stojących w szeregu więźniów zachichotało. Zwłaszcza jego towarzysz z celi, numer 69, nie mógł się powstrzymać. Strażnik nie ustosunkował się do pytania, zmierzył Tarka wzrokiem, zadrgały mu mięśnie policzków.

Zgłosił się numer 38.

– Czy mogę o coś zapytać, panie strażniku więzienny?

– Tak, numerze 38.

– Na czym polega karanie?

Profesor Thon wskazał ręką na drugi koniec korytarza, gdzie znajdowały się drzwi z napisem „Black Box”. Wszystkie głowy podążyły za jego ręką.

– W przypadku lekkich naruszeń porządku więziennego karą będą pompki – wyjaśnił Thon. – W przypadku cięższych mamy tam „czarną skrzynkę”. Jest to pojedyncza, ekstremalnie mała cela, dźwiękoszczelna i nieprzepuszczająca światła. Mogę was zapewnić, że dłuższy pobyt w niej na pewno nie będzie należał do przyjemności.

Tarek przełknął ślinę i nie mógł oderwać wzroku od drzwi.

– Cholera – szepnął.

– Jak powiedziałem – kontynuował Claus Thon – kara ta dotyczy cięższych przewinień. Sądzę, że wszystko już zostało powiedziane. A więc, moi panowie, życzę wam tu przyjemnego pobytu.

Thon dał znak strażnikom i opuścił korytarz.

Szereg więźniów rozluźnił się. Mężczyźni przestępowali z nogi na nogę, pocierali stopy o łydki, drapali się, rozmawiali. Strażnik, który najwidoczniej rządził pozostałymi, przeszedł wzdłuż szeregu.

– Jesteście więźniami! – zawołał. – WIEŻNIAMI! Póki tu przebywacie, musicie przestrzegać zasad. Więźniowie muszą przestrzegać zasad! Numer 82, powtórz!

– Więźniowie muszą przestrzegać zasad!

– Że co?

– Więźniowie muszą przestrzegać zasad, panie strażniku więzienny!

– Tak jest. Jeśli wbijecie to sobie do głów, to wszystko będzie w porządku.

Prowadzono ich kolejno do toalety. Gdy Tarek wszedł do maleńkiej łazienki jako szósty, już tam śmierdziało. Ale nie tyle smród doprowadzał

go do mdłości, co ciasnota. Wstrzymał powietrze, zamknął oczy i załatwił szybko, co trzeba. Po toalecie musieli znowu stanąć w szeregu. Strażnicy robili teraz wrażenie pewniejszych siebie i spokojniejszych.

– *Okay!* Zanim przejdziemy do rutynowych czynności, chcę powiedzieć jeszcze jedno – zaczął mówić kierownik zmiany. – Dwie rzeczy są ważne. – Wyliczając je, pomógł sobie kciukiem i palcem wskazującym. – Mianowicie spokój. I porządek. Spokój. I porządek. Jesteście więźniami, my jesteśmy strażnikami. Tak już jest. Myślicie może, że to, co się tutaj dzieje, to tylko zabawa. Ale tak nie jest. To jest wasza rzeczywistość.

– Kierownik zmiany tak energicznie tupnął nogą, że zadudniło. – Wszystko to jest REALNE! Więzienie jest realne. My jesteśmy realni. Musicie to zrozumieć. Póki będzie porządek i spokój, póki będziecie się trzymać zasad, póty będzie między nami świetne porozumienie. *Okay?* To całkiem proste. Ale jak któryś z was będzie próbował być cwany, będzie naruszał porządek, to wszyscy zostaniecie pociągnięci do odpowiedzialności. Dotarło do was? Wszystko zależy od was... *Okay?* A więc dobrze... Kolejno odlicz!

Przeliczanie przebiegło szybko i sprawnie. Następnie musieli wrócić do cel, a wszyscy trzech strażnicy skierowali się ku wyjściu z korytarza.

– Dostaniemy niedługo coś do jedzenia? – zawołał ktoś z celi numer 2. – Umieram z głodu!

Kierownik zmiany odwrócił się.

– Spokój! Tu się nie umiera! Lepiej nauczcie się zasad! Macie je do jutra zakuć na blachę.

Numer 38 położył się z powrotem i zamknął oczy. To, jak traktowali ich strażnicy, najwidoczniej go nie dotknęło. Drugi więzień, Joe, próbował ukryć drżenie. Usiadł na swojej pryczy i cały czas sam do siebie coś niewyraźnie mówił. Z sąsiednich cel dobiegało stłumione mamrotanie. Więźniowie siedzieli na swoich pryczach, cicho ze sobą rozmawiali lub stali przy kratkach.

– Wygląda na to, że sobie to wszystko wzięli do serca, co? – powiedział Tarek, stojąc przy kracie. – Jak myślicie, co teraz będzie?

– Cholera! – mamrotał Joe. – Dupki! Co za bagno! I jak ta cholerna kiecka gryzie!

– No cóż, dziękuję. Ktoś jeszcze chce zabrać głos?

Steinhoff rzekł, nie otwierając oczu:

– Nic się nie stanie. Zachowujcie się spokojnie, to najlepsza strażegia.

Boris Renzel, wchodząc do pomieszczenia dla strażników, zdjął okulary przeciwsłoneczne i czapkę, owłosionym wierzchem dłoni otarł sobie pot z czoła. Obaj mężczyźni, którzy szli za nim, zrobili to samo. Ostatni z nich, Berus, zamknął za sobą starannie drzwi. W milczeniu usiedli przy białym stole pośrodku pomieszczenia.

– Nie powinien ktoś na nich uważać?

– Dziesięć minut – stwierdził Renzel, który został mianowany kierownikiem zmiany. – Muszę zrobić sobie przerwę.

– Ja też! – poparł go Ulrich Tode, najsolidniej zbudowany z całej trójki, i zaczął otwierać szafki w poszukiwaniu kawy i filtrów do ekspresu. – I dobrze by mi zrobiła mała mokka.

Renzel rozsiadł się wygodnie na krześle.

– Jak sądzicie – zapytał – jak nam poszło?

– Sądzę, że dobrze – stwierdził Tode. – Byłeś dobry.

– A ty, Berus, jak uważasz?

– Ja też myślę, że wszystko było dobrze.

– No, jakoś tam poszło.

– Trochę to męczące.

– Szczerze, to nawet bardzo. Jestem kompletnie skonany.

– Padam z nóg.

– Popatrzcie, kurde, jak się spociłem.

Mężczyźni zaczęli w milczeniu palić.

– Chyba przyjęli wszystko do wiadomości.

– Widzieliście ich? – Tode, który nie znalazł kawy, dosiadł się do nich. – Jacy są... no jacyś tacy zestresowani?

– Jasne, chłopie. Mnie też nerwy puszczaają.

– Ale ten 53 się postawił!

– Ale sobie super poradziliśmy.

– No.

– Profesor był zadowolony.

- To najważniejsze.
 - Chłopaki, kurde, jak oni wyglądają!
- Roześmiali się.
- Te ich kiecki! I pierdolone ‘czepki kąpielowe!
 - Jakby się z choinki urwali.
 - Czy oni do tego eksperymentu specjalnie dobrali takie ofermę?
 - Na to wychodzi.
 - Widzieliście, jacy byli wystraszeni? Totalnie. Z powodu aresztowania i w ogóle.
 - Ten pomysł z aresztowaniem był super, nie uważacie?
 - Ale to im, kurde, załazło za skórę, widzieliście?
 - Trochę zwariowany pomysł. Dwunastu więźniów i tylko trzech strażników na zmianie. Co będzie, jak im coś odbije? Są nieźle, kurde, wnerwieni.
 - Nie powinniśmy wyjść? Uważam, że służba to służba. Poza tym niedługo będzie pora kolacji. Myślę, że nie powinniśmy zostawiać ich samych.
 - Spokojnie, Berus! Nic tam się przecież nie dzieje. Jeszcze po papierosku i pójdziemy na obchód.
 - Wydaje mi się, że... – Berus zrobił okrężny ruch głową, aż mu w szyi strzyknęło.
 - Spokojnie, spokojnie, Berus. Jeszcze się ich napilnujemy. Czy z twoją szyją jest coś nie tak?
 - To tylko napięcie. Nic poważnego.
 - Znam to. Ty, Tode, czemu trzymałeś się z tyłu? Mógłbyś być trochę bardziej aktywny. W końcu jesteśmy jedną drużyną.
 - Jakoś nie potrafię krzyczeć.
 - Ej, to masz świetną okazję, żeby się tego nauczyć! Daj upust emocjom! Ej, a co byście powiedzieli, gdybyśmy po służbie skoczyli razem na jednego? Wypili za dobrą współpracę i w ogóle.
 - Dobry pomysł.
 - O której dzisiaj właściwie kończymy?
 - O dwudziestej drugiej. O ile koledzy przyjdą punktualnie.

– Niech no spróbują się spóźnić!

– Coś mi się wydaje, że będziemy mieli problemy, mówię wam. Zwróciliście uwagę na tego 77? To na pewno typ buntownika. Nie mam pojęcia, jak to się stało, że go w ogóle przyjęli.

– Daj spokój, człowieku, z tym typem buntownika!

– Niewykluczone, że niedługo będzie próbował grać nam na nosie.

– Nie możemy do tego dopuścić. – Renzel spojrział na twarze strażników.

– Koledzy, sprawa jest prosta. Owszem, jest ich więcej, ale są zamknięci, a to my tu rządzymy. Muszą to tylko zajarzyć. Jak nie, to spuścimy im manto.

– Najlepiej wsadzić któregoś od razu do czarnej skrzynki. Przy pierwszej próbie.

– Nie – wtrącił Berus. – Taki delikwent zamknięty w skrzynce nie jest na widoku. Taka kara podziała na niego, ale nie na pozostałych. Uważam, że powinniśmy sobie kogoś upatrzeć i zająć się nim zapobiegawczo, żeby innym nie przychodziły do głowy głupie myśli.

– Niezły twardziel z ciebie! – powiedział ze zdumieniem Tode.

Berus wzruszył tylko ramionami.

– Tylko taka propozycja.

– Uważam, że to dobry pomysł – stwierdził Renzel. – Czemu nie? Pudło jest pudłem. Wiedzieli, co ich czeka, znają zasady i muszą się ich trzymać. Kogo bierzemy na tapetę?

Tode nie zachwycił się tym pomysłem.

– Czemu nie numer 77? – zaproponował Berus. – Znam go. Kiedyś mi coś podpierzelił. Jestem pewien, że i tak przysporzyłby nam problemów.

Renzel przytaknął.

– Jakież inne propozycje? – zapytał.

... Pięć... Sześć... Siedem... Osiem... Dziewięć... Tarek od zawsze nienawidził pompek... Dziesięć... Już jak chodził do szkoły. Właśnie udało mu się zrobić dziesiątą, a już padał ze zmęczenia. Numer 38, robiący pompki obok, wyglądał lepiej, mały Joe też. Obaj „pompowali” na chłodnej posadzce szybko w górę i dół. Doszli już prawie do dwudziestej pompki.

– Dalej, 77, ruszaj się! – zawołał strażnik, który ich pilnował. – Szybko, w dół! Niżej! Jeszcze niżej!

Strażnicy zaprowadzili wszystkich na kolację, wszystkich oprócz Tarka i jego współwięźniów z celi. Z powodu pompek.

Strażnik stanął przed Tarkiem.

– Masz niewyparzoną gębę, 77.

– Taką mam pracę.

Strażnik się roześmiał.

– A co robisz? – zapytał ironicznie. – Jesteś etatowym dupkiem? Jak tak dalej będziesz postępował, to nie zagrzejesz tu długo miejsca, 77.

– Bo i nie zamierzam.

Strażnik się odwrócił.

– Ponieważ 77 nie potrafi trzymać gęby zamkniętej na kłódkę, to jeszcze raz trzydzieści pompek dla wszystkich, a potem możecie iść na kolację, o ile zdążycie. I zapamiętajcie sobie dobrze, że zawdzięczacie to szczęśliwym siódemkom. Może w przyszłości będziecie bardziej uważać na waszego kumpla od walenia konia.

– Możesz mnie pocałować!

– A więc jeszcze raz dziesięć dodatkowych dla wszystkich, – Ej, starczy!
– wysapał Joe. – Chciałbym jeszcze coś zjeść.

– Co to ma znaczyć, 69?

– Przepraszam, panie strażniku więzienny.

– Bardzo dobrze. Ile już zrobiłeś?

– Dwadzieścia osiem.

– Jak się masz zwracać?

– Dwadzieścia osiem, panie strażniku więzienny.

– Już lepiej. No, dalej!

Oczywiście nie zdążyli na czas. Gdy Tarek zdołał zrobić swoją pięćdziesiątą pompkę i leżał całkiem wykończony na posadzce, strażnicy wyprowadzili właśnie więźniów szeregiem z jadalni i powprowadzali do cel.

38 i 69 nie powiedzieli ani słowa, gdy zostali na głodnego z powrotem zamknięci w celi. Na Tarka prawie nie spojrzeli. 38 od razu się położył i zasnął. Joe siedział na brzegu pryczy i sapał z wysiłku. Tarek wyciągnął się na pryczy, zamknął oczy i mimowolnie pomyślał o dole w lesie. Natychmiast otworzył oczy.

- Co za posrany pomysł z tym eksperymentem!
- Zamknij mordę, Świnio – syknął Joe, nawet na niego nie spoglądając.

Tarek podniósł głowę. Już miał odpowiedź na końcu języka, ale się powstrzymał od wypowiedzenia jej na głos. Czuł się i tak zbyt zmęczony, by z kimkolwiek wszczynać kłótnię. Może jutro. Zasieje nieco zamętu, namota trochę w tym pierdлу, może. Zamknął oczy i próbował równomiernie oddychać.

Tarek nawet nie wiedział, czy czas stoi w miejscu, czy upływa. Dziwił się, jak szybko to wszystko poszło. Suche usta. Na szyi pulsująca żyła. Gdy tak leżał na pryczy i wyciągał rękę, mógł niemal dotknąć przeciwległej ściany. Próbował ocenić wielkość celi, ale jasne, gładkie tworzywo sztuczne drażniło oczy. Szybko cofnął rękę. Przerzucił wzrok na sufit, zacisnął powieki, aż zobaczył gwiazdki, i nasłuchiwał rozmów z sąsiednich cel. Trudno było cokolwiek zrozumieć, bo chociaż ściany z tworzywa nie były grube, głosy zlewały się w jeden szum.

- Ale wybrali tych strażników, same dupki.
- Dobór miał być całkowicie przypadkowy.
- E tam. Przecież ich widziałeś. A to całe aresztowanie i wszystko inne?
- Nie wiem, czy w takich okolicznościach chcę jeszcze brać w tym udział.

– A umowa?

– W dupie z nią.

Rozległ się czyjś stłumiony śmiech.

– Czy tu w ogóle jest jakiś prysznic?

– Ja już mam tego dosyć. Dłużej się w to nie bawię, naprawdę. Rezygnuję.

– A to oświetlenie!

– Człowieku, działasz mi na nerwy.

– Pewnie sądzą, że w tych okularach są nie wiadomo jak *cool*.

– Potrzebują tego.

– Prysznic można wziąć w tym pomieszczeniu, gdzie jest kibel.

– A co to w ogóle jest ta „Black Box”?

– Przecież słyszałeś. Izolatka.

- *Black box*, czarna skrzynka.
- Gorzej niż w woju.
- Nie masz pojęcia.
- Żarcie było zupełnie bez smaku.
- Ej, ty tam, uważaj.
- A na dodatek było go dużo za mało.

Czas składał się z niewyraźnych głosów, szelestów za ścianą, pulsowania za uchem, trzasku neonówek.

W końcu popołudniowa zmiana strażników zakończyła pracę. Służbę objęła zmiana nocna. Trzech nowych strażników. Kazali więźniom wyjść na krótko z cel, kolejno odliczyć i gotowe. Po niecałych dziesięciu minutach strażnicy z powrotem zniknęli.

W którymś momencie wydano polecenie położenia się na spoczynek, a zaraz potem w jednej chwili zgasło światło. Tarek był zaskoczony tą kompletną ciemnością mimo jasnych ścian z plastiku. Jeszcze przez chwilę słychać było szelesty w sąsiednich celach, w końcu wszyscy owinęli się wełnianymi kocami. W celi numer 2 coś szeptało. Natychmiast na korytarzu pojawił się strażnik z latarką i oświetlił celę.

– Światło wyłączone, a to znaczy, że ma być spokój. Numer 15, proszę się w tej chwili położyć.

– Czy mogę dostać jeszcze jeden koc... panie strażniku więzienny?

– Odmawiam. – Strażnik zaświecił do jeszcze jednej celi. – Kto będzie rozmawiał, zaraz będzie robił pompki, aż zaśnie.

Tarek leżał pod wełnianym kocem, który prawie nie dawał ciepła, za to drażnił skórę jeszcze bardziej niż koszula. Patrzył w ciemność i próbował wyobrazić sobie Dorę. Jej czasem dziwnie niezdarne ruchy, jej głos, zapach w zgięciu szyi, dotyk jej piersi. Nie wychodziło mu to za bardzo. Obraz nie był ostry, ciągle mieszał się z rysami twarzy Dresego, Zieglera, strażników i chłopaka uwięzionego w leśnym dole. Tarek cichutko zanucił, ale natychmiast się zmytygował i przestał. Burczało mu w brzuchu, nad głową wyczuwał ruchy numeru 38. Na samej górze stękał 69. Stopniowo wszystkie odgłosy cichły, rozlegały się pierwsze pochrapywania. W ciemności Tarek mógł sobie wyobrazać, że pomieszczenia są dużo większe. Ale po chwili ściany się nagle zapadły, skurczyły, odebrały mu powietrze.

Obcy, niebezpieczny świat. Okrzyki hien z bliskiej odległości. Silny zapach dziczyzny. Smak krwi. Tarek oblizwał sobie wysuszone wargi.

Nagle jakiś cień zsunął się obok niego i ciepły, nieświeży oddech chuchnął mu z bliska w twarz. Tarek przestraszył się. Jakaś ręka docisnęła go do pryczy.

– Nie rób tego więcej, dupku. – Tuż przy jego uchu rozległ się głos numeru 69, tak blisko, że jego usta dotykały ucha Tarka. – Słyszysz, kebabie? Nie gadaj więcej, niż potrzeba, słyszysz? Nigdy więcej!

Samoorganizacja i dynamika społeczna w symulowanym więzieniu

prof, dr Claus P. Thon
et al.

Naszym celem było sprawdzenie na drodze eksperymentalnej, w jaki sposób dobrowolni uczestnicy eksperymentu reagują na sytuację pozbawienia wolności. Dobraliśmy w sposób losowy normalnych, przeciętnych, emocjonalnie stabilnych mężczyzn i podzieliliśmy ich na zasadzie przypadku na strażników i więźniów. Eksperyment miał trwać dwa tygodnie, uczestnicy mieli w tym czasie przebywać w sytuacji analogicznej do więzienia¹. Choć to symulowane więzienie nie było realnym zakładem penitencjarnym, to pod względem funkcjonalnym miało działać na tyle realistycznie (np. poprzez pozbawienie wolności przez określony odcinek czasu), żeby uczestnicy eksperymentu mogli wniknąć w głębsze struktury mentalne więźniów i strażników więziennych².

Ze względów etycznych i pragmatycznych nie mogły zostać zbadane warunki więzienia długoterminowego ani efekty kar cielesnych, nie można też było dopuścić do dyskryminacji rasistowskiej ani praktyk homoseksualnych. Sądziłyśmy, że udało nam się stworzyć sytuację w wysokim stopniu kontrolowaną i na tyle realistyczną, że uczestnicy eksperymentu odgrywający rolę strażników i więźniów mogli się poczuć jak w prawdziwym zakładzie karnym.

Zadaliśmy sobie pytanie: „Jak reaguje normalny człowiek w sytuacji uwięzienia, będąc strażnikiem bądź więźniem?”. Postawiliśmy hipotezę, że normalnego, przeciętnego człowieka w takiej sytuacji ogarnie poczucie

władzy bądź bezradności, ale jest w stanie wytrzymać sytuację i ją kontrolować, nie doprowadzając do nasilenia agresji³.

Projekt eksperymentu był stosunkowo prosty. Uczestnicy zostali przypadkowo przydzieleni do dwóch grup: grupy „strażników” i grupy „więźniów”. Mieli odgrywać wyznaczone im role przez dwa tygodnie w sytuacji przypominającej więzienie. Uczestnicy eksperymentu reagowali przy tym bardzo różnie na stres i wymagania związane z odgrywaną przez nich rolą, reakcje były zależne od tego, czy dana osoba została przyporządkowana do grupy więźniów, czy strażników⁴.

W eksperymencie brało udział dwadzieścia jeden osób wybranych spośród stu dwudziestu siedmiu. Ochotnicy odpowiedzieli na ogłoszenie umieszczone w gazecie codziennej, które zachęcało do udziału w eksperymencie naukowym za wynagrodzeniem wynoszącym dwieście marek za dzień. Wszystkie osoby, które się zgłosiły, przeszły szeroki wachlarz testów kwalifikacyjnych⁵, składających się z ankiet, badań EEG, EMG, EKG, testów dychotycznych i neurologicznych, które obejmowały sytuację rodzinną, stan fizyczny i psychiczny, psychopatologie, karalność, antyspołeczne zachowania i zażywanie narkotyków⁶.

Spośród zgłoszonych kandydatów wyłoniono dwadzieścia jeden osób, które w testach osobowości reprezentowały dokładnie średnią społeczeństwa, były fizycznie zdrowe i szczególnie stabilne emocjonalnie. Wszyscy uczestnicy eksperymentu to mężczyźni (żeby różnorodność płci nie wpływała na wyniki) w wieku od 23 do 43 lat, pochodzący z podobnej, średniej warstwy społeczeństwa, nieznający się uprzednio. Dziewięć osób przyporządkowano losowo do grupy strażników, a dwanaście do grupy więźniów.

Wieżenie zostało zaaranżowane w piwnicy uniwersytetu. Dźwiękoszczelna konstrukcja ścian⁷ składała się z elastycznych białych i jasnoszarych elementów z tworzywa sztucznego używanych do montażu stoisk targowych. Przestrzeń została oświetlona równomiernie neonówkami.

Wieżenie miało następującą strukturę przestrzenną: centralnie znajdował się dziedziniec wewnętrzny z przeznaczeniem na spacer (wymiary 6x6 m). Dziedziniec ten był zarazem punktem przecięcia dochodzących do niego krzyżowo korytarzy. Jeden z korytarzy prowadził do czterech cel (każda o

wymiarach 2, 5 x 2, 5 m), kolejne do pomieszczeń strażników, pomieszczeń badawczych i do śluzy wyjściowej.

Wszystkie cztery cele zostały od frontu zabudowane solidną stalową kratą pomalowaną na czarno. Wyposażenie celi składało się tylko z trzech pryczy usytuowanych piętrowo (każda wyposażona w materac, koc i poduszkę). Na końcu korytarza z celami znajdowała się łazienka z muszlą klozetową i umywalką oraz izolatka, oba pomieszczenia ekstremalnie małe (ok. 1 x 1 m). Dodatkowo zaaranżowaliśmy pomieszczenie na odwiedziny, pokój socjalny i szatnię dla strażników, a także pomieszczenie do przeprowadzania wywiadów przez osoby prowadzące eksperyment. Wszystkie pomieszczenia były przez całą dobę monitorowane przez pracowników instytutu za pomocą zainstalowanych kamer i mikrofonów.

Wszyscy uczestnicy eksperymentu zgodzili się grać przydzieloną im losowo rolę za wynagrodzeniem dwustu marek za dzień. Na pytanie, jaką rolę preferują, wszyscy odpowiedzieli, że więźnia. Uczestnicy podpisali umowę, która gwarantowała im minimalne, ale wystarczające wyżywienie, ubranie, noclegi i opiekę medyczną⁸. W umowie wyraźnie zapisano, że przez cały czas trwania eksperymentu uczestnicy będą obserwowani, że będą mieli mało sfery prywatnej lub wcale i że ich prawa osobiste mogą zostać ograniczone lub zniesione (za wyjątkiem prawa do nietykalności cielesnej).

„Więźniowie” podczas całego eksperymentu pozostawali przez całą dobę w więzieniu. W jednej celi przebywało po trzech więźniów.

„Strażnicy” pracowali na trzech zmianach po osiem godzin (zmiana poranna: 5. 00-13. 00, popołudniowa: 13. 00-21. 00, nocna: 21. 00-5. 00). Podczas trwania określonej zmiany przydzieleni do niej strażnicy pozostawali w więzieniu, po godzinach „pracy” prowadzili swoje normalne życie.

Uczestnicy eksperymentu odgrywający role strażników na dwa dni przed rozpoczęciem eksperymentu mieli spotkanie wstępne w więzieniu, aby mogli się oswoić z sytuacją. Żeby jak najmniej wpływać na przebieg eksperymentu, dano im tylko podstawowe wytyczne, w jaki sposób mają postępować. Wyjaśniono im, że ich zadanie polega na dbaniu, by w więzieniu panował „względny porządek”, aby więzienie mogło „efektywnie funkcjonować”, przy czym powinni być „przygotowani na wszystko” i

reagować „odpowiednio na różnorakie sytuacje”, nie stosując przemocy fizycznej.

Razem z kierownikiem eksperymentu strażnicy ustalili regulamin dla więźniów obejmujący dziesięć zasad postępowania⁹ oraz omówili reguły współpracy.

Gdy wszystkie cele zostały zajęte, strażnicy przywitali więźniów. Kierownik zmiany przeczytał na głos regulamin. Więźniowie otrzymali polecenie nauczenia się go na pamięć i przestrzegania.

Więźniowie dostawali trzy posiłki dziennie. Dozwolone były trzy wyjścia do toalety pod nadzorem, a także dwie godziny na czytanie i pisanie listów. Rozdano do wykonywania drobne prace za dodatkowym wynagrodzeniem wynoszącym jedną markę za godzinę. Trzy razy dziennie, gdy kolejna zmiana strażników obejmowała służbę, więźniowie byli wyprowadzani z cel i stawiani w szeregu celem przeliczenia.

Aby uczestnicy eksperymentu mieli poczucie anonimowości, każda grupa miała ujednolicone ubrania.

Strażnicy otrzymali mundury nawiązujące do wojskowych: spodnie w kolorze khaki i koszule z pagonami. Do tego lustrzane okulary przeciwsłoneczne, żeby wykluczyć kontakt wzrokowy. Jako symbole władzy i kontroli strażnicy otrzymali gwizdki i pałki policyjne (z twardej gumy).

Ubranie więźniów składało się z szerokiej, szarej, długiej do kolan bawełnianej koszuli z nadrukowanym z przodu i z tyłu numerem identyfikacyjnym. Nie przydzielono im bielizny. Nosili gumowe klapki i szare czepki kąpielowe. Dodatkowo założono im metalowe bransolety na stawy skokowe. Każdy więzień otrzymał szczoteczkę do zębów, mydło, ręcznik i bieliznę pościelową. Żadne inne przedmioty osobiste nie były w celach dopuszczone.

Odzież więźniów nie służyła jedynie ich deindywidualizacji, lecz stanowiła też symbol ich zależności. Niedopasowane koszule i brak bielizny wywoływały psychiczny dyskomfort, ponadto przymuszały więźniów do działań dla nich nienawykłych, bardziej pasujących do kobiet niż mężczyzn.

Przy wsparciu miejscowej policji „więźniowie” w dniu rozpoczęcia eksperymentu zostali nieoczekiwanie aresztowani w warunkach domowych. Funkcjonariusze policji zarzucili im popełnienie różnych ciężkich

przestępstw, założyli im kajdanki, przeszukali ich i odprowadzili do radiowozu (często pod okiem ciekawskich sąsiadów).

Na posterunku dokonano względem nich rutynowych działań proceduralnych. Przy tym policjanci przestrzegali służbistego, rzeczowego tonu i nie odpowiadali na pytania. Następnie aresztantom przewiązano oczy i przewieziono ich do symulowanego więzienia. Tam spryskano ich sprayem dezynfekującym (który był w istocie dezodorantem), nadano im numer identyfikacyjny i odzież więzienną, po czym zaprowadzono ich do cel i nakazano im, żeby się zachowywali spokojnie.



Dzień zaczął się tak nagle, jak się skończył. I Bez fazy przejścia, świtania, momentu, w którym można by w spokoju odpędzić ostatnie senne majaczenia. Gdy zapaliły się neonówki, Tarek podskoczył na swym posłaniu.

– WSTAWAĆ!

Numer 38 już stał i wyglądał fałdy koszuli. Trzech strażników porannej zmiany tłukło pałkami po sztabach kraty. Mieli na sobie takie same mundury co poprzedniego dnia, na oczach takie same okulary przeciwsłoneczne, które nie pozwalały na kontakt wzrokowy. Jeden z nich różnił się od pozostałych. Wyglądał jak kaczką. Tarek zastanawiał się, gdzie go już wcześniej widział. Natomiast kierownika zmiany rozpoznał natychmiast, bez żadnych wątpliwości. Elvis smażyący w fast foodzie hamburgery.

– Wstawać z prycz!

Kilku już wstało, śpiochów popędzono.

– No, ruszajcie się! Szybciej! 74, 86, wstawajcie!

Obok znowu pałki uderzały w kraty. W celach przed pryczami przepychanki, ledwo starczało miejsca dla trzech osób. Tarek ziewnął, patrząc na swych współwięźniów. Ciągłe jeszcze nie wyrwał się na dobre ze snu. 38 robił wrażenie równie obojętnego i wyniosłego co wczoraj. 69 uderzał się dłonią w czoło, żeby przegnać senność. Spojrzał krótko na Tarka, Tarek na niego, ale ten uciekł spojrzeniem. Tarek wsadził sobie rękę pod koszulę i podrapał się porządnie. W ustach miał gorzki smak. Co mu się śniło? Wszystko uleciało.

Elvis od hamburgerów pootwierał cele, jedną po drugiej, żując przy tym coś w ustach, potem kiwnął kciukiem.

– Wychodzić. Będzie odliczanie.

Nikt się nie spieszył. Niektórzy mruclili z niezadowolenia. Gdy strażnik podszedł do celi Tarka, Tarek się do niego uśmiechnął.

– Wychodzić! Numerze 77, co tak kiwasz głową? Ruszaj się i nie patrz na mnie tak po pedalsku! Wszyscy ustawić się w szeregu. Nie zapomnijcie

ręczników! Szybciej! Dlaczego 21 stoi obok 53? Nie potraficie liczyć? Ustawić się po kolei!

Minęła dłuższa chwila, nim szereg go zadowolił i można było rozpocząć odliczanie. Większość więźniów trzeba było poganiać. Nikt się nie spieszył, ale każdy dokładnie obserwował strażników. Gdy któryś ze strażników spoglądał spoza lustrzanych szkieł okularów na kogoś z więźniów, ten unikał jego spojrzenia.

– Dzień dobry wszystkim! – rzekł w końcu strażnik.

Tarka rozbawiło, jak napuszenie się poruszało. Chodził na rozstawionych nogach lekko ugiętych w kolanach, obracał się wokół własnej osi, unosił barki. Odstawiał *show*. Tarek dał dyskretnie kuksańca numerowi 38 i szepnął:

– Popatrz, król Elvis żyje!

– Wstanie z pryczy zajęło wam... trzynaście minut. To jest *too much!* Musicie się bardziej przyłożyć. Jak nie, to będziemy ćwiczyć, aż się w końcu uda. *Okay*. Zgodnie z numerami pójdziecie się teraz umyć. Każdy ma dwie minuty... *Go, go!*

Nie było tu prysznic, tylko szmatka, którą można się było wytrzeć. Tarkowi w ogóle nie udało się przystąpić do mycia. Dwie minuty wystarczyły akurat na najpotrzebniejsze czynności. Gdy minęły, strażnik zapukał gwałtownie w drzwi i zaraz potem otworzył je szeroko.

Następnie było sianie łóżek. Dostali dokładną instrukcję, jak to mają robić. Jak należy prześcieradłem zasłać materac, jak złożyć koc i ręczniki. Prześcieradło dwuwarstwowo, koc raz w poprzek. Ręcznik najpierw raz wzdłuż, potem raz w poprzek. Szwy dokładnie jeden nad drugim. Strażnicy sprawdzali rezultat linijką, podczas gdy więźniowie czekali na zewnątrz. Gdy jakiś drobiazg się nie zgadzał, ściągali wszystko z materaca i trzeba było zacząć sianie od nowa. Na każdej pryczy znaleźli jakiś defekt.

– Numer 21, złożyłeś nierówno.

– To ma być porządnie złożone, 82? Jeszcze raz!

– Ręcznik ma leżeć na kocu, 53!

– Ale wtedy koc przejdzie wilgocią!

– Prześcieradło, koc, ręcznik. Tak ma wyglądać porządek, *got it?*

– Co za obłąd, nie, nie zrobię tego!

– Ach, tak? Powiem ci coś, 53. Albo to zrobisz, jak należy, albo cała cęła pozostanie bez śniadania. Koniec komunikatu. I jeszcze raz do wszystkich: prześcieradło, koc, ręcznik. Za pięć minut sprawdzam jeszcze raz. Jeśli łóżka nie będą posłane jak należy, nie będzie śniadania!

Sześć razy. Tarek musiał słać swoje łóżko sześć razy. Za każdym razem przychodził strażnik, mierzył i sćiągał prześcieradło i koc z materaca.

– Jeszcze raz, 77! Mamy czas.

Potem wreszcie śniadanie. Jadalnia. Pomieszczenie jak wszystkie pozostałe, ale nieco większe. Miało tylko jedne drzwi i dużą klapę wentylacyjną w suficie między neonówkami. Pośrodku stały dwa długie plastikowe stoły z dostawionymi plastikowymi składanymi krzeselkami. Szarymi, jak wszystko inne w tym pomieszczeniu. Na stole przed każdym krzeselkiem stała już taca z posiłkiem. Także jedzenie wyglądało jakoś tak szaro.

– Spokój, 77!

– Przecież nic nie mówiłem!

– Pierwsze ostrzeżenie, 77!

Strażnicy rozstawili się po pomieszczeniu. Jeden stał w drzwiach i coś sobie notował. Dwaj inni przechadzali się w tę i z powrotem i majstrowali przy swoich pałkach.

Dwie kromki bladego chleba tostowego, kleks margaryny, kleks żółtego dżemu bez smaku, tyle tylko że słodkiego, ćwierćlitrowe opakowanie mleka. To wszystko.

– Macie dziesięć minut. *Go, go!*

– Nie ma kawy? – Tarek wysyczał do siedzącego naprzeciwko więźnia z numerem 40, który wyglądał jak byk i miał popękane żyłki na policzkach. Ten wzruszył prawie niezauważalnie ramionami. – E, bez kawy tego nie wypiję. Zastrane mleko.

– Numer 77, drugie ostrzeżenie!

Tarek jęknął, spróbował mleka i odsunął je od siebie. Ścisnął kromki chleba tostowego, formując z nich dwie kulki i zjadł je na sucho.

– Jeszcze cztery minuty!

Tarek obserwował innych więźniów. Większość zerkała ukradkiem z irytacją na strażników. Krótkie spojrzenia przelatowały nad stolami, czasem kiwnięcie głową. Żadnych uśmiechów. Nie rozmawiano. Zasada numer 1. Wszyscy wiercili się na niewygodnych krzeselkach, szukali pozycji, w której dałoby się usiedzieć w szorstkich koszulach. Niektórzy siedzieli z nogą założoną na nogę, skręceni w bok, w typowo kobiecej pozycji, jakby się starali wyglądać szczególnie wytwornie.

– Jeszcze trzy minuty! I pamiętajcie o zasadzie numer 2: „Każdy posiłek należy zjeść do końca”.

Strażnicy obeszlili stoły i sprawdzili opakowania po mleku.

– Nie cierpię mleka – powiedział Tarek, gdy Elvis stanął przy nim.

– Tylko pedały nie lubią mleka. Jesteś pedałem, 77?

– Nie, ale co...

– To pij do końca, 77. Zasada numer 2.

Tarek spojrzał na strażnika, który przybrał teraz groźną postawę. Tarek skrzywił się i wypił mleko.

– Już o tobie czytałem w raporcie poprzedniej zmiany, 77. Masz niewyparzoną gębę, co? – Tarek nie odpowiedział. Strażnik ponownie sprawdził opakowanie. – Jeszcze jest trochę w środku.

– Jest puste.

– Nie rozumiem, więźniu 77. Co to ma znaczyć?

Tarek głęboko westchnął.

– W opakowaniu nie ma mleka, panie strażniku więzienny.

– Pij, cioto!

Tarek się nie ruszył. Strażnik uderzył pałką w blat stołu tak mocno, że podskoczyły z brzękiem wszystkie tace. Dźwięk jak przy strzale. Natychmiast w pomieszczeniu zrobiło się cicho jak makiem zasiał. Wszyscy patrzyli na Tarka i na strażnika.

Tarek pokręcił głową.

– Macie nie po kolei!

Przystawił sobie powoli opakowanie do ust, wysał ostatnie kropelki i równie powoli odstawił opakowanie na stół. Nie spuszczał przy tym z oczu strażnika. Strażnik sprawdził ponownie opakowanie, skinął głową i schował pałkę.

– Widzisz, 77, teraz dopiero jest puste.

– Co się dzieje? – zapytał zasapany Thon, gdy wszedł do małego pomieszczenia z czterema monitorami.

Student obrócił się na krześle i zdenerwowany pokazał na monitor numer 2.

– Przed chwilą była drastyczna scena w jadalni. Jeden ze strażników zmusił więźnia 77 do wypicia mleka.

Zirytowany Thon zmierzył studenta spojrzeniem.

– I tylko dlatego ściąga mnie pan z domu? Taki jest regulamin! Strażnicy muszą pilnować, żeby był stosowany.

Student poprawił się na krześle.

– Przepraszam, ale on walnął pałką w stół, naprawdę agresywnie. A numer 77 zdążył już wcześniej wszystko wypić. Nie powinniśmy może interweniować?

– Ach, co tam!

Thon wpatrywał się właśnie w trzeci monitor, który ukazywał widok korytarza z celami. Kilku więźniów siedziało na pryczach i patrzyło na czterech więźniów, którzy pod nadzorem strażników wykonywali pompki.

– Co się tam dzieje?

– Są karani za to, że rozmawiali podczas jedzenia albo zapomnieli, jak zwracać się do strażników. Każde naruszenie zasad skutkuje dziesięcioma pompkami. Jak do tej pory najwięcej pompek na swoim koncie ma numer 77.

– Ciekawe. – Thon przez chwilę patrzył na procedurę karania, potem się wyprostował. – Kiedy pan kończy zmianę?

– Za chwilę.

– Okay. – Thon spojrział na zegarek. – Teraz idę do biura. Po południu przeprowadzę kilka wywiadów z uczestnikami eksperymentu. Gdyby do tego czasu coś się wydarzyło, niech pan do mnie dzwoni. Ale mam na myśli naprawdę drastyczne zdarzenia. Wszystko inne będziemy i tak później łącznie analizowali.

– Przepraszam.

– Już w porządku. Nigdy nie wiadomo, jakie zachowanie jest naprawdę interesujące. Chodzi o zbieranie danych. Musimy zbierać, co się da, ale zachowując jak najbardziej neutralną postawę, a dopiero potem będziemy dokładnie analizować dane. Nie możemy za często interweniować, bo to tak, jakby chemik dotykał palcami swoich próbek. Jasne, prawda? – Student przytaknął uprzejmie. – Proszę mi zgłaszać prawdziwe fizyczne ataki – kontynuował Thon. – Ale do takich nie dojdzie. Uczestników eksperymentu pouczono, że przemoc fizyczna jest zakazana. *Okay?*

Student przytaknął.

Gdy Thon wyszedł z pomieszczenia, student wypuścił z ulgą powietrze z płuc i skierował swoją uwagę na monitory. Chciał nalać sobie kawy, ale dzbanek termiczny był pusty. W tym momencie weszła Jutta Grimm.

– Dzień dobry, Lars.

– Dzień dobry, Jutto. Przyszłaś dziś za wcześnie.

– Byłam ciekawa. Poza tym nie miałam ochoty siedzieć sama w domu. Wszystko w porządku?

– Naprawdę wczuli się w swoje role, jakby się oglądało jakiś film.

– Coś się wydarzyło?

Lars zwlekał z odpowiedzią.

– Nie... Tak naprawdę to nie... Popatrz. To zabawne. Zwłaszcza jak się zakręci dźwięk. Współczuję tym, którzy będą to wszystko potem musieli analizować. Jutta, pójdiesz ze mną po świeżą kawę?

– A co z tym?... – Wskazała ręką monitory.

– E, nic się nie stanie. Właśnie robią pompki. A potem muszą jeszcze oddać próbki moczu i śliny. Wszystko przebiega normalnie.

Strażnicy rozdali im ponumerowane plastikowe pojemniczki na mocz. Poza tym kazali im żuć tampony dentystyczne, żeby porządnie nasiąkły śliną. Waciki z próbką śliny miały być potem umieszczone w małych ponumerowanych rurkach w celu określenia poziomu kortyzonu.

Więźniowie znów stali w szeregu przed celami, każdy z kubeczkiem pełnym moczu i z rurką zawierającą próbkę śliny. Jeśli ktoś nie pamiętał którejś z zasad regulaminu, musiał odstawić kubek, zrobić nad nim pięć pompek i ponownie wyrecytować daną zasadę.

- Zasada numer 5, więzień numer 74?
 - Zakazuje się więźniom posiadania i przechowywania przedmiotów prywatnego użytku, artykułów żywnościowych i wszelkich innych rzeczy.
 - Zasada numer 9... więzień 21?... Więzień 21, co jest, śpisz?
 - Nie wiem, panie strażniku więzienny.
 - Czego nie wiesz, numer 21? Zasady, czy tego, że śpisz?
 - Zasady, panie strażniku więzienny.
 - Zaraz się jej nauczysz, 21! Pięć pompek! No, ruszaj się!... Zasada numer 9, więzień 11?
 - Należy niezwłocznie i bez sprzeciwu wykonywać wszelkie polecenia wydawane przez strażników.
 - Głośniej!
 - Należy niezwłocznie i bez sprzeciwu wykonywać wszelkie polecenia wydawane przez strażników.
- Strażnicy każdą komendę wyrzaskiwali. Każde słowo. Wrzask wypełniał cały korytarz, odbijał się od ściany do ściany, wibrował, pulsował w uszach, wnikał przez skórę głęboko w ciało, był wszędzie jak *sirocco*, suchy i gorący wiatr, przed którym nie można się schronić, który dmucha w twarz i parzy skórę, gdzie by się człowiek obrócił.
- Zasada numer 7, numer 77?
 - Zwracając się do strażników, więźniowie mają używać formy: „panie strażniku więzienny”.
 - Aha, no, choć przez moment z tobą spokój!
- Dwaj inni strażnicy stali tylko biernie z boku.
- Zasada siódma! Wszyscy mówią naraz! – wrzasnął strażnik, do którego pozostali zwracali się Eckert.
- Chórem wymamrotali zasadę numer 7.
- Och, a więc znacie zasadę numer 7! To mnie dziwi, skoro prawie nikt się do niej nie stosuje. A więc od dzisiaj chcę, żebyście się do nas zwracali właściwie. Zrozumieliście? Numer 82, zrozumiałeś?
 - Tak jest, panie strażniku więzienny.
 - Bardzo dobrze! W takim razie powiedz jeszcze, jak brzmi zasada numer 5, numerze 82!

82, sympatyczny właściciel kiosku, miał już za sobą dziesięć pompek, które mu się nieźle dały we znaki. Teraz na szyi wystąpiły mu czerwone plamy.

– Czekamy, 82.

– Ale ja... zapomniałem. Umiałem ją, ale zapomniałem.

– No to w takim razie zasada numer 2. Ją chyba będziesz pamiętał.

– Tak... to znaczy nie. Ja ją też...

– Zapomniałeś, tak?

– Umiałem ją, naprawdę. Proszę nie kazać mi robić pompek, proszę, panie strażniku więzienny.

– Coś mi się zdaje, że nie znasz żadnej zasady, numerze 82.

– Na południe się nauczę, naprawdę. Umiałem je, tylko zapomniałem. Zawsze zapominam podczas odpytywania.

– Jesteś pedałem, numerze 82?

– Nie.

– To czego beczysz?

– Nie jestem pedałem.

W jego głosie zabrzmiały łzy.

Tarek poczuł niemal fizycznie, jak wokół zrobiło się cicho. Nawet numer 38, pilot, którego nic nie potrafiło wyprowadzić z równowagi, spojrzał z zainteresowaniem. Eckert z pałką w ręce podszedł bliżej do więźnia 82 i zaczął go obwąchiwać.

– Pedała poznam po zapachu.

Berus spał niespokojnie. Wstał wcześniej, po raz pierwszy od dawna. Pod prysznicem próbował sobie przypomnieć, co mu się śniło, ale wiedział jedynie, że miało to coś wspólnego z eksperymentem. Czuł niepokój, nerwowość, napięcie. Mimo chłodu pojechał przed śniadaniem nad pobliskie jezioro i obiegł je dookoła, po raz pierwszy od ponad roku. Dystans sześciu kilometrów pokonał w mniej niż pół godziny i gdy wypompowany wrócił na parking, był z siebie zadowolony. Nogi mu drżały, płuca bolały, głowa płonęła, ale był szczęśliwy, lekkiego serca. Od dawna nie czuł się tak dobrze. Po raz pierwszy od dawna nie czuł ucisku w obrębie karku, który dokuczał mu, zwłaszcza od kiedy zaczął pracować w

liniach lotniczych. Zrobił ostrożny, okrężny ruch głową, ale nic mu nie strzyknęło, mięśnie karku były rozluźnione. Berus wyciągnął się i rozejrzał. Potem podniósł ręce i wciągnął nosem intensywny zapach potu spod pach.

– Mmmmmmm!

Dobry dzień.

Numer 82 pocił się. Usta miał otwarte. Zbladł, jedną ręką kurczowo trzymał próbkę ze śliną, w drugiej biały plastikowy kubeczek z moczem, zasłaniając się nimi, jakby chciał się w ten sposób obronić, jakby to miało trzymać strażnika na odległość.

Tarek przyglądał się z napięciem. Również dwaj pozostali strażnicy stali i czekali. Eckert podniósł powoli pałkę i zbliżył ją do piersi mężczyzny. 82 zrobił unik, wychylił się do tyłu. Tarek nie widział, czy strażnik dotknął go pałką, czy nie, ale nagle 82 wahał się do tyłu, potknął i wylał sobie zawartość kubka na koszulę. Podłużna wilgotna plama natychmiast odznaczyła się na materiale.

Eckert zmarszczył nos.

– Ale z ciebie oferma! Miałem rację, że jesteś ciotą!

82 spojrział na wilgotną plamę z moczu na ubraniu i zatoczył się tym razem w kierunku Eckerta. Tarek odniósł wrażenie, że więzień tylko stracił równowagę, ale strażnik potraktował to inaczej.

– ALARM! – wrzasnął.

Niemal w tej samej chwili dwaj pozostali strażnicy rzucili się na 82 i pchnęli go tak brutalnie na ścianę celi, że płyty z plastiku wpadły w drganie. Numer 82 bronił się, próbował uwolnić się z uchwytu strażników, ale oni przypierali go do ściany, jeden zakrył mu dłonią usta, żeby 82 nie krzyczał, potem założyli mu na ręce plastikowe kajdanki, które nosili całymi pęczkami po kieszeniach. Tarek zauważył, że facet przypominający kaczkę zachowywał się bardziej powściągliwie.

– Atak na funkcjonariusza! – oznajmił Eckert. – Karą za to będzie... izolatka! – Wykonał nienaturalnie zamaszty ruch biodrem i wskazał pałką czarną skrzynkę. – Odprowadzić!

W szeregu więźniów nastąpiło poruszenie.

Więzień numer 53 wystąpił do przodu.

– Protestuję! To jest niezgodne z umową!

Kątem oka zobaczył go jeden ze strażników przytrzymujących właścicielowi kiosku ręce na plecach tak mocno, że ten aż pojękiwał. Natychmiast zastąpił drogę więźniowi 53, zagwizdał gwizdkiem i pogroził pałką.

– Stop! Wracaj do szeregu, 53!

– Protestuję!

Strażnik pchnął 53 do tyłu, ten osłonił się ręką, na co strażnik natychmiast zamierzył się pałką, ale nie uderzył. Numer 53 się skurczył i znieruchomiał. Jakby zamienił się w słup soli.

– Jeszcze jeden ruch, a to ty trafisz do izolatki, 53! Czy to jasne?

Numer 53 się nie ruszył, wlepił tylko oczy w strażnika.

Nikt nie pomógł numerowi 82, wszyscy tylko patrzyli, jak dwóch strażników zaciąga krępego właściciela kiosku do czarnej skrzynki. Gdy Eckert otworzył drzwi maleńkiej izolatki, Tarek dostrzegł czarną dziurę ziejącą pustką, milczeniem i strachem. W jednej chwili zrobiło mu się słabo.

Przedpołudnie Berus spędził przed telewizorem. Przeskakiwał po programach porannych, talk-show, reklamach, serialach animowanych, relacjach sportowych i prognozach pogody. Sprzątnął mieszkanie, podgrzał sobie gotowe danie wegetariańskie i po raz drugi uprasował koszulę do munduru. Nie ma porównania z niebieskim, źle skrojonym mundurem linii lotniczych. Lubił kolor khaki. Ubrał się w mundur i obejrzał w lustrze, wykonał kilka pów. Buty go uciskały. Żeby je rozchodzić, maszerował w swoim małym mieszkaniu w tę i z powrotem. Wbrew przyzwyczajeniu nie zwracał teraz uwagi, by zanadto nie tupać. Wręcz przeciwnie, podczas chodzenia stawiał mocno kroki i czekał na reakcję sąsiadów, której jednak nie było. Berus był zadowolony. Dobry dzień. Koło dwunastej, na godzinę przed objęciem służby, wyszedł z domu w mundurze i pojechał na uniwersytet. Ponieważ był karnawał, nikt nie zwrócił uwagi na jego strój.

Na spacer wyprowadzono ich w miejsce, gdzie krzyżowały się korytarze więzienia. Kilku więźniów dreptało, by rozchodzić sobie nogi, inni stali oparci o ścianę pojedynczo albo trójkami, tak jak ich przydzielono do poszczególnych cel. 38 robił ćwiczenia rozciągające. Strażnicy

porozdzielali się, stając przy drzwiach. Wszystko mieli na oku, gwizdki trzymali w ustach, pałki w dłoniach w taki sposób, żeby je było dobrze widać. Tarek chodził w tę i z powrotem, próbując złowić urywki rozmów.

- ... co za gówniane żarcie...
 - ... babskie podomki...
 - ... muszę się stąd wydostać...
 - ... jak one gryzą skórę...
 - ... po prostu stąd spieprzyć. Jak najdalej...
 - ... to specjalnie tak ustawiają temperaturę...
 - ... na pewno wszędzie są ukryte kamery...
 - ... to wszystko był błąd, cholerny błąd...
 - ... kiedy będzie obiad?...
 - ... niedługo pokażą to w telewizji...
 - ... najpóźniej jutro wszystko się wyjaśni, wtedy stąd wychodzę...
 - ... niby że przemoc zakazana, a zobaczysz, że użyją pałek...
 - ... i mikrofony...
 - ... za żadne skarby do czarnej skrzynki...
 - ... zupełnie jak w woju...
 - ... gdyby mieli mnie tam wsadzić, to od razu przerywam eksperyment, naprawdę...
 - ... hej, jak brzmi zasada numer 4?...
 - ... jak 82 stamtąd wyjdzie, to dopiero będzie śmierdzieć jak Świnia...
 - ... sam jest sobie winien, ofierma...
 - ... kto tu tak śmierdzi, 53?...
 - ... prawdziwi klawisze...
 - ... tak tu ciasno, nie wytrzymam tu dwóch tygodni, naprawdę nie...
- Rozmowy dotyczyły tylko eksperymentu. Ani jednego osobistego słowa. Nikt nie mówił o sobie ani o życiu na zewnątrz. Tarek podszedł do trzech więźniów z celi numer 2, którzy cicho rozmawiali na boku.
- *Hi!* – przywitał się. Rozmowa ucichła. – Mam na imię Tarek.
- Natychmiast przenikliwy gwizd strażnika.
- Nie używamy imion, numerze 77!

– Cholera! – Tarek zaklął cicho, zasygnalizował strażnikowi, że zrozumiał, i znowu zwrócił się do więźniów: – Niezłe gównno, co? – Wzruszyli ramionami. – Co jest, wycięto wam języki?

– Czego chcesz?

74, 15 i 86 spoglądali na Tarka nieufnie.

– Porozmawiać. Po prostu sobie trochę z wami pogadać.

W tym momencie Eckert wrzasnął pod ich adresem:

– Nie róbcie tam zbiorowisk! Rozejść się!

– Spadaj, 77. Nie chcemy przez ciebie kłopotów.

– A kto sprawia kłopoty?

– Ty, 77. Ty sprawiasz kłopoty.

Przedpołudnie składało się z czekania. Nie mieli nic innego do roboty – tylko czekali. Siedzieli, leżeli, momentami stali dla rozprostowania nóg. Tarek leżał na najniższej pryczy, myślał o Dorze, wsadził sobie rękę pod koszulę, ale tam, na dole, nic nie drgnęło. Spojrzał ^ kierunku czarnej skrzynki, z której nie dobiegał żaden odgłos. Wystarczyło wykręcić głowę i już ją było widać, a na sam widok puls mu przyspieszał. Tarek wyciągnął się na pryczy i próbował wykonywać proste ćwiczenia relaksacyjne. Wdech, zacisnąć pięść, wstrzymać powietrze, dwadzieścia jeden, dwadzieścia dwa, poczuć napięcie, rozluźnić pięść, wydech. I powtórzyć wszystko dla każdego mięśnia, od palców stóp po czoło. Byłe coś robić. Coś, na czym można się skoncentrować.

Po korytarzu przechadzał się strażnik pilnujący więźniów. Chodząc w tę i z powrotem, uderzał się pałką w dłoń. Ktoś obok pierdnął, ale nikt się nie roześmiał. Czas był jak klej. Czas był zapachem plastiku i trzeszczeniem neonówek. Czas mijał, albo i nie. Tarka rozboleła głowa, dobrze by mu zrobiła kawa.

– Ej, nie dostaniemy czegoś do czytania? – zawołał numer 11 z celi czwartej. – Przyznano nam czas na czytanie!

– Odmawiam, numerze 11! A teraz spokój!

– Domagam się, żebyśmy dostali coś do czytania.

Natychmiast dźwięk gwizdka. Numer 11 został wyciągnięty z celi i kazano mu robić pompki. Ponieważ nie chciał, dwóch strażników powaliło

go na podłogę.

Musiałoby być południe, ponieważ dostali obiad. Znowu szare jedzenie. Niezidentyfikowana mięsna papka, jarzynka bez smaku, ryż, jabłko. Dostali dziesięć minut na jedzenie. Sztućce z plastiku, bez noży. Zafoliowane porcje były zbyt małe, by się można było nimi nasycić, mimo to trudno było się wyrobić w dziesięć minut. Po jedzeniu naczynia i sztućce były sprawdzane i zbierane. Potem więźniowie musieli wypić dwa litry wody. Mieli na to trzy minuty czasu. Tarka rozboleła w piersi od szybkiego przełykania, zakasłał i niewiele brakowało, by prysnął wodą w twarz numerowi 38.

– Picie jest ważne! – oświadczył strażnik porannej zmiany. – Musicie pić! Pić, pić, pić!

Numerowi 15 odbiło się.

– Numer 15, pierwsze ostrzeżenie.

Brzuch pełen wody. Wzdął się pod koszulą jak balon. Parcie we wszystkich kierunkach. Gdy prowadzono ich do celi, Tarek poruszał się powoli. W celi położył się na pryczy, wypróbowywał różne pozycje, ale nadal czuł w brzuchu ucisk. Do tego bolała go głowa. Postanowił więc spokojnie leżeć, płytko oddychać, przetrzymać, aż samo przejdzie.

Ale nie przechodziło.

Strażnicy wyciągnęli z czarnej skrzynki więźnia numer 82. Tarek przyglądał się dokładnie, jak 82 opuszcza izolatkę. Stara twarz o pustym wyrazie, całkiem blada. Numer 82 zamrugał powiekami, zacisnął w udreće oczy, gdy oślepiło go jaskrawe światło neonówek. Nogi mu drżały, chwiał się i trzeba go było zaprowadzić do celi. Na jego koszuli ciągle widoczna była plama od moczu.

– Ale śmierdzisz, 82, wiesz?

Jeden z dwóch strażników roześmiał się. Drugi, którego Tarek nazywał w myślach „kaczką”, odwrócił się i odszedł. Niedługo potem wrócił ze świeżą koszulą i rzucił ją numerowi 82 do celi. Inni więźniowie stali przy kratkach i przyglądali się. Oprócz numeru 38.

– Ciebie to nic nie obchodzi, 38?

– Co mi da przyglądanie się? Po prostu staram się to przetrzymać.

– Sądzisz, że wytrzymanie tu może być problemem?

– Nigdy nic nie wiadomo.

– Czego nie wiadomo?

– Niczego. Nieważne. Chcę tylko mieć za sobą to ćwiczenie i wyjść w takim stanie, w jakim tu wszedłem.

– Ćwiczenie? Dlaczego powiedziałeś „ćwiczenie”? Czy już w czymś takim brałeś udział? Czy może się do tego przygotowywałeś?

Numer 38 odwrócił się plecami.

– Za dużo zadajesz pytań, 77.

– Dlaczego do niego właściwie nie zadzwonisz? – Zamiast odpowiedzieć, Dora wykrzywiła usta, przekręciła głowę na bok, obydwoma dłońmi objęła kieliszek z czerwonym winem i zaczęła pić dużymi łykami. Jak gorącą herbatę. – Dora!

Nie odpowiedziała. Myślami nieobecna, wędrowała wzrokiem po dużej sali, służącej niegdyś za magazyn, a teraz zamienionej w bajkowy świat delikatnych istot wykonanych z wygiętych i zespawanych drutów stalowych. Wszędzie drżące ruchy. Kroki Dory wstrząsnęły grupą chudych figur z metalowych spiral. Stworki zadzwoniły nieśmiało, jakby zostały spłoszone. Wprawiające w zdumienie skrzydlate jaszczurki, groteskowe, osowiałe żuki, kolorowa tancerka, płaska jak wieszak na ubrania. Dalej z tyłu wisiały gigantyczne, powykręcane meduzy z cieniutkiej, prześwitującej gazy. W ciepłe lamp obracały się delikatne skorupki napełnione obłoczkami z puchu, który przy każdym powiewie wzbijał się do góry. Lekki i beztroski świat, który jednak nigdy nie miał ewoluować.

– Ależ one są cudowne, te twoje małe potworki, Hendrikje! – Dora zawołała do przyjaciółki. – Takie smutne i kruche. A z drugiej strony takie dziwne.

Niska kobieta o krótkich włosach, ubrana w wojskowy strój kamuflujący, wydała z siebie tylko dźwięk przypominający chrząknięcie.

– Nie zmieniaj tematu, Dora. Nie wiem, z jakiego powodu bardziej mnie boli głowa. Czy przez to wino, które przyniosłaś, czy przez twoje dąsy, gdy nie chcesz odpowiadać.

– Już do niego dzwoniłam, Rikje. Przez cały dzień próbowałam się do niego dodzwonić. Ale mi się nie udało. Mówmy lepiej o czym innym,

Hendrikje, dobrze? – Dora podeszła do przyjaciółki, położyła dłoń na jej małej główce i pogłaskała z czułością szpeceniaste włosy. – Wiesz co, Rikje, co mnie ciągle zdumiewa?

– Co?

– Że w twoim drobnym, małym ciele kryje się taki wielki głos. – W tym momencie Hendrikje wydała z siebie głęboki, gardłowy dźwięk, który wyrażał jednocześnie irytację i zadowolenie. – Będzie mi cię brakowało, Rikje – wyznała Dora.

– Czy dom jest teraz pusty?

– Prawie. Stoi tam jeszcze tylko kilka drobnych rzeczy.

– A jak twoi rodzice czują się w Kanadzie?

– Wszystko jest dla nich ciągle jeszcze obce.

A z drugiej strony jest tam lepiej niż tutaj. Ostatni rok był straszny dla nich obojga. Kanada dobrze im robi. Dennis się teraz o nich troszczy. Na początku będą mieszkać u nas, póki sobie czegoś nie znajdą. Ojciec i tak chciał się wyprowadzić zaraz po tym, jak się przenieśli do Kanady. A od kiedy Michael nie żyje, to tutaj prawie że zwariował.

– Coś na ten temat słyszałam. Jak się posuwa śledztwo?

Dora odwróciła głowę.

– Pokazali mi zdjęcia mężczyzn, których podejrzewają, ale żadnego nie znałam. Podobno to dwaj Rumuni. Ale policja nie spodziewa się za bardzo, że zostaną złapani. Gdyby wydarzyło się coś nowego, to nas w Kanadzie poinformują. Tak więc natychmiast tam wylatuję.

– A kiedy lecisz?

– Pojutrze. – Hendrikje westchnęła. – Co jest, Rikje?

– Wiem, że powód, dla którego przyjechałaś tu przed rokiem, był straszny, ale myślałam, że może zostaniesz w Holandii na stałe.

– Ach, Rikje! Zawsze mówiłam, że jestem tu tylko ze względu na rodziców.

– Wiem, ale po tym wszystkim, co w ostatnim czasie opowiadałaś, także o Dennisie, myślałam, że... Ach, wszystko jedno, co myślałam. Przejdźmy się lepiej po plaży.

Tarek był pewien, że będzie coś w tym stylu. Gdy nastąpiła nocna zmiana, dokładnie obserwował strażnika, który wydawał mu się jakoś znajomy. Po przeliczeniu strażnik zlustrował każdego więźnia oddzielnie, sprawdził, czy ręce są czyste i czy regulamin jest opanowany.

– Jak się nazywasz?

– Bernd Zoller.

Strażnik zaryczał:

– Nie! Nazywasz się 86! Zrozumiałeś?! Numer 86! Tu nie używa się nazwisk ani imion! Jak się nazywasz?

– Numer 86.

– Panie strażniku więzienny!... A więc, jak się nazywasz?

– Numer 86, panie strażniku więzienny.

Strażnik pomasował sobie nasadę nosa.

– Nie, nie – powiedział cicho, jakby się nad czymś zastanawiał. – Jeszcze raz od początku. Powiedz mi jeszcze raz, jak się naprawdę nazywasz.

– Bernd Zoll...

Strażnik natychmiast znowu zaryczał:

– Nie, naprawdę nazywasz się 86. To jest twoje nazwisko! Póki tu przebywasz, jesteś numerem 86! – Kilka razy puknął więźnia w czoło. – 86! 86! 86! 86! No, ruszaj się, sześć pompek! Raz! No, jak się nazywasz?

– Numer 86, panie strażniku więzienny!

– Jak się nazywasz?

Pozostali strażnicy stali w pozycji wyczekującej z tyłu i przyglądali się zabawie. Tarek oczekiwał, że strażnik kontynuujący inspekcję zaraz stanie przed nim. Tak też się stało.

– Jak to jest, że śmierzisz czosnkiem, 77?

– Niemożliwe, przy tym jedzeniu.

– Niemożliwe! – strażnik go małpował. – Nie smakuje ci jedzenie, numerze 77?

– Może być, panie strażniku więzienny.

– Na pewno za mało czosnku, co?

– Nie, panie strażniku więzienny.

– Ale wymądrzać się potrafisz, co? Myślisz, że jesteś nie wiadomo jak sprytny, co? Jak się nazywasz?

– Numer 77, panie strażniku więzienny?

– Chcę wiedzieć, jak się naprawdę nazywasz!

Tarek nie dał się podejść. Patrzył prosto przed siebie i powtórzył tylko swój numer. Pokaż mu, Tarek. Niech się wścieknie, wkurz go, Tarek. Nie daj się sprowokować, Tarek. Super-Tarek. Twardy jak skala. Dupowłaz Tarek. Strażnik przepytał go z wszystkich zasad, z każdej jednej, dokładnie co do słowa. Ale Tarek je znał. Strażnik nie miał szans. Gdy się zorientował, wrócił do pierwszego tematu.

– Ale cuchniesz czosnkiem, 77. To niedobrze. Idź się umyć!

Na oczach wszystkich Tarek musiał ściągnąć koszulę i wcisnąć się do łazienki, która musiała pozostać otwarta. Potem musiał się umyć. Trwało to ponad godzinę, aż w końcu skończyło się mydło, a ciało Tarka płonęło czerwienią od szorowania i od zimna panującego na korytarzu.

– No widzisz, 77, a jednak można! – krzyknął do niego strażnik, gdy Tarek w milczeniu wrócił zziębnięty do celi.

Niespokojne morze, fale o spienionych grzywach. Przenikliwa zieleń i błękit. Powyżej nieskończone niebo, eksplodujące chmurami i światłem. Zerwał się wiatr. Brodziły we dwie przez piasek, smagane przenikliwie zimnym wiatrem. Znowu rozmawiały o Michaelu. O niczym innym nie rozmawiały od roku. Wspominały stare zdarzenia, jego dziwactwa i zamięłowania, drobną wadę wymowy. Gdzie były przed rokiem, gdy się o tym dowiedziały.

– Rozmawiałaś właściwie z tymi reporterami, którzy go znaleźli? – zapytała nagle Hendrikje.

Dora pokręciła głową.

– Nie, w żadnym wypadku. Ojciec chciał ich koniecznie poznać, ale z trudem mu to wyperswadowałam. To byłoby coś strasznego, spotkać się z nimi. Rikje, śmierć Michaela jakoś na nich wisi. To jest prawie obsceniczne, że go znaleźli, i w jaki sposób. W ogóle nie chciałam wiedzieć, kim oni są.

– Ja na twoim miejscu bym chciała.

Dora wzruszyła ramionami, nagle przeszedł ją dreszcz. Zrobiło się chłodno. Powróciły do atelier Hendrikje, w którym artystka również mieszkała. Zamierzały coś zjeść i wypić. Hendrikje zmieniła temat.

- Jesteś zakochana? – znowu zaczęła drążyć.
- Rikje, nie bądź śmieszna!
- Jesteś czy nie?
- Nie, na Boga!
- A więc jednak tak.
- NIE! Chociaż z drugiej strony... sama nie wiem.

Hendrikje jęknęła.

– Nie dąsaj się znowu, słyszysz? Nie znoszę, jak mówisz: „z drugiej strony”! Jesteś zakochana, mówię ci! Pieprzysz się z facetem, którego w ogóle nie znasz, ale z każdego słowa, jakie mi o nim powiedziałaś, słyszę, jak mocno się zabujałaś.

- To była tylko jedna noc.
- To wystarczy!
- Jezu, Rikje! Poza tym on odszedł. Dla niego to też była tylko jedna noc.
- W przypadku mężczyzn to nic nie znaczy. Najczęściej potrzebują jakiegoś czasu, żeby pewne rzeczy do nich dotarły.

Dora nie odpowiedziała. Po chwili znów zaczęła mówić o bracie.

– Wiedziałaś, że Michael też chciał wyjechać do Kanady, na studia? Sądzę, że czekał, żebym go zaprosiła, aleja się ociągałam, bo cieszyłam się, że wreszcie jestem daleko od rodziny. Czasami sobie myślę, że może by teraz żył, gdybym go wtedy zaprosiła.

- Co za bzdury!
- Straciłam Michaela, Rikje. Nie chcę teraz stracić Dennisa z powodu tej jednej nocy. Niechże sobie będzie taki, jaki chce.
- A tamten? Co z tamtym? Jeśli polecisz, to stracisz tamtego! Czego ty chcesz?

Dora mówiła, nie patrząc na przyjaciółkę:

– Chcę, żeby już było po wszystkim. A teraz, skoro niedługo wylatuję do Kanady, to właściwie jest już po wszystkim. Rozumiesz, Rikje? Nieważne, czy policja ich złapie, czy nie, ja chcę stąd wyjechać. Chcę, żeby to minęło

i nigdy nie wróciło! – Zaszlochała. – Rikje, dlaczego ludzie robią coś takiego?

Przyjaciółka ją objęła.

– Nie wiem, Doro.

– DLACZEGO ROBIĄ COŚ TAKIEGO?

– Dlaczego ludzie w ogóle cokolwiek robią? To nieważne, dlaczego coś robią. Ważne jest zawsze tylko to, co robią!

Dora nie odpowiedziała, przełknęła ślinę, wytarła sobie oczy i znowu chciała się napić, ale Hendrikje wyjęła jej kieliszek z dłoni.

– Ej! – zaprotestowała Dora.

– Póki nie podjęłaś decyzji co do tego faceta, nie będziesz pić. Będziesz prowadziła.

– Co? Teraz? Ponad trzysta kilometrów w nocy?

Hendrikje kiwnęła energicznie głową.

– To jedyna szansa, żeby się przekonać.

– Zwariowałaś? To niemożliwe.

– Dlaczego nie?

– Co bym mu miała powiedzieć?

– Nic. On zrozumie.

– A jeśli go nie będzie?

– Jezu! No to poczekasz, aż przyjdzie.

– A mój lot?

– Przecież to dopiero pojutrze! Masz cały dzień czasu, to wystarczy!

– A jeśli zastanę go z inną kobietą?

– To wtedy przynajmniej wszystko będzie jasne.

– Z drugiej strony nawet nie wiem, gdzie on mieszka.

– Skarbie, załamujesz mnie! Od czego są książki telefoniczne?

Dora ociągała się.

– Nie, nie mogę – powiedziała z rezygnacją w głosie, na co Hendrikje wydała z siebie rozeźlone chrząknięcie. Dora roześmiała się. – Ach, Rikje! Tyle romantyki w ogóle do ciebie nie pasuje! Z drugiej jednak strony... Przecież nie jest jeszcze wcale tak późno.

Podczas drugiego spaceru numer 11 obchodził i zagadywał wszystkich. Był młody. Tarek ocenił, że nie ma dużo więcej niż dwadzieścia lat. Podczas rozmów ze współwięźniami 11 bardzo często mrugał oczami.

– Tu wszystko przebiega nie tak, jak miało! – 11 powiedział do Tarka i numeru 38. – Czy was to nie wkurza, co? Jeśli chcemy coś zmienić, musimy się zjednoczyć!

Tarek nie miałby nic przeciwko utworzeniu komitetu protestacyjnego, pod warunkiem, żeby nie być rzecznikiem. Nawet 38 przytaknął. Tarek dostrzegł, że strażnicy obserwują 11. Naradzali się między sobą, ale nie interweniowali.

Po spacerze, tuż przed zamknięciem więźniów w celach, numer 11 zabrał głos:

– Chwileczkę, panie strażniku więzienny!

– Tak, numerze 11?

Strażnik stał spokojnie i patrzył wyczekująco. Numer 11 natomiast był zdenerwowany i bez przerwy mrugał.

– Mówię w imieniu komitetu więźniów, który założyliśmy. Jesteśmy traktowani w sposób poniżający i niezgodny z zapisami w umowie, którą podpisaliśmy. Żądamy, żeby pewne rzeczy zostały zmienione, albo solidarnie przerwiemy eksperyment.

Strażnik, zerkając na Tarka, zrobił krok naprzód.

– Kto jeszcze należy do tego komitetu?

Numer 11 rozejrzał się. Wszyscy więźniowie podnieśli z ociąganiem ręce. Strażnik pokiwał głową.

– A jakie są wasze żądania? – zapytał.

– Żądamy lepszego traktowania, to znaczy, żeby nas już nie karano ani nie poniżano. Chcemy lepszego jedzenia i możliwości korzystania z zajęć, które zostały nam zapewnione w umowie, to jest czytania, oglądania telewizji i pisania listów!

– Jeszcze coś?

Całkiem rzeczowy ton. Numer 11 robił wrażenie zdezorientowanego.

– Na razie nie.

– Okay. – Strażnik odwrócił się do swoich kolegów i rzekł: – Odrzucam wasze żądania! Zaprowadzić ich wszystkich do cel. Numer 53 zamknąć do

końca zmiany w skrzynce.

Numer 11 nie zrozumiał.

– Co? Ja...

Tarek zauważył, że strażnicy dali sobie znak. W jednej chwili wszyscy trzech zagwizdali przenikliwie, podeszli blisko do więźniów, jakby chcieli ich pobić, i zaczęli wrzeszczeć, wszyscy trzech naraz:

– SPOKÓJ! NATYCHMIAST SPOKÓJ!

– KŁAŚĆ SIĘ NA PODŁODZE, WSZYSCY!

– NA PODŁOGĘ!

– KŁADŹ SIĘ, 77!

– RUSZAJ SIĘ, 53!

– NA PODŁOGĘ!

– NA PODŁOGĘ!

Nie przestawali wrzeszczeć. Podnieśli w górę pałki. Wrzeszczeli. Więźniowie położyli się na podłodze. Ci, co się ociągali, zostali przez wszystkich strażników jednocześnie zmuszeni krzykiem do pospieszenia się.

– NA PODŁOGĘ!

– NA PODŁOGĘ!

– NA PODŁOGĘ!

W końcu wszyscy leżeli wyciągnięci na podłodze.

– RĘCE NA KARK!

W całym korytarzu brzmiały przeraźliwe gwizdy.

– A TERAZ WSTAWAĆ! SZYBKO! WSTAWAĆ! SZYBKO!

Zerwali się z podłogi. Ledwo zdążyli wstać, a już z powrotem musieli się położyć. I znowu wstać. I znowu się położyć. Gdy strażnicy skończyli zabawę, a więźniowie stali przestraszeni w szeregu, sapiąc i milcząc, do numeru 11 podszedł Berus.

– Tu nie zakłada się komitetów, numerze 11! Za kogo się uważacie, za jakiś pieprzony związek zawodowy, co? Jesteście WIĘŹNIAMI! Więźniowie nie mogą sobie odejść! Więźniowie nie tworzą komitetów! – Przemaszerał wzdłuż szeregu więźniów i donośnym głosem oznajmił: – Jeśli jeszcze raz usłyszę słowo „komitet”, to wtedy dam wam popalić!

Każda próba organizowania zbiegowisk, każde zagrożenie bezpieczeństwa wewnętrznego będzie natychmiast karane osadzeniem w izolatce!

– Ale dlaczego ja? – zawołał 53. – Ja przecież nic nie zrobiłem. To przecież numer u...

Strażnik mu przerwał.

– Jesteś jednym z nich, zupełnie jak pozostali! Ale do izolatki zmieści się tylko jeden, więc tym razem trafiło na ciebie, 53. Jak wyjdiesz, będziesz mógł podziękować numerowi 11.1 tak będzie w przyszłości! Jeden będzie odpowiadał za wszystkich!... A teraz kolejno odlicz!

– Jak pan się czuje, panie Eckert?

– Jak się czuję? Nie wiem.

– Niech pan spróbuje to opisać.

– Jestem zdenerwowany. Jakiś taki niespokojny.

– Dlaczego niespokojny?

– Nie mam pojęcia. W sumie nie jest źle. Może tylko jestem spięty. To znaczy, niekoniecznie zestresowany. Ta praca nie jest wcale taka stresująca. Może to kwestia niepewności. Trzeba się przyzwyczaić, nawet jeśli to tylko zabawa. To znaczy, symulacja. Jezu, to jest wkurzające. Ale też komiczne, wiecie. Nie wesołe, ale komiczne. Ale pani dziś ślicznie wygląda, pani Jutto. Wow! Naprawdę!

– Bardzo proszę, żeby pan spróbował opisać to, co pan czuje, panie Eckert.

– A więc, sam się zdziwiłem samym sobą. Jestem artystą, wie pani. Piosenkarzem. Piosenkarze nie wrzeszczą, ale nagle, *wham-bam*, wrzeszczę na wszystkich dookoła. Jezu! Wydaje mi się, że już to omawialiśmy. Ale jak... A potem myślę, nie możesz ich spuszczać z oczu, nie spuszczać ich z oczu! To znaczy, na wypadek, gdyby próbowali coś zmalować. To trudne przy tylu osobach. I szczerze mówiąc, gdy 82 stawał okoniem, byłem gotowy. Rozumie pani? Gotowy do działania.

– Co pan wtedy czuł?

– Co wtedy czułem?... To było *fun*, w pewnym sensie. Przyznaję. Jasne, *feeling* był przyjemny. Bycie bossem, trzymanie spraw w swoich rękach, rozumie pani?

– Jak pan ocenia własną reakcję?

– Ach, wiem, co pani ma na myśli. *Okay*, ten incydent z kubkiem na siuśki był dość *heavy*, ale nie taki zły. To był tylko taki żart, serio. 82 zachował się jak oferma. Tak się po prostu stało. To wszystko to tylko gra, prawda? To znaczy, uważam, że oni wszyscy znają zasady i muszą się ich trzymać.

– Jak pan ocenia samego siebie?

– Samego siebie? Jak siebie oceniam?... Jestem dobrotliwym człowiekiem. Zupełnie. Misiem przytulanką. Zawsze taki byłem. Niech pani zapyta moją byłą.

I zawsze *straight*. Mówię to, co myślę. Owijanie w bawełnę nie leży w mojej naturze. Bardzo cenię porządek. To znaczy, po co są zasady, nie? Żeby je przestrzegać. Widzi pani, to wszystko jak w telewizji. Niech pani weźmie na przykład *The Real Life*. Tam każda postać ma swoje zadanie. Są ci dobrzy i ci źli. Według mnie pod względem typu nie każdy tam pasuje, rozumie pani? Każdy musi znaleźć swoje miejsce. Niech pani powie, nie miałaby pani ochoty ze mną dziś wieczorem troszeczkę... *okay*, już dobrze. Mały *joke*, sorry. Nic złego nie miałem na myśli.

– A więźniowie? Jak pan ich ocenia?

– Więźniowie? Są dziwni. Patrzą im w oczy, bo oczy, wie pani, zdradzają charakter człowieka, i myślę sobie: uważaj, Eckie, niedźwiadku. Są jacyś tacy dziwni. Rozumie pani? Trudno ich rozgryźć. Nie wiem. Potrafią się dobrze kryć. Na przykład ten 38, według mnie jest za bardzo *cool*. Albo 77. Co to za typ? Turek? Oni wszyscy są tacy do siebie podobni. Trzeba na nich uważać. Cały czas na baczności. Dlatego zostaliśmy wybrani.

– A 82?

– Biedaczysko. Wzbudza litość. Ale on zrozumiał, o co biega. Wszyscy razem przypominają mi trochę dzieci. Muszą się jeszcze wiele nauczyć. A my ich tego nauczymy.



Podczas jazdy cały czas padało. Przy każdym nadjeżdżającym z naprzeciwka pojeździe musiała mrużyć oczy, ponieważ światła reflektorów eksplodowały przed nią w tysiącach kropel. Ziewała raz za razem. Zorientowała się, że jest bardziej pijana i zmęczona, niż jej się przedtem wydawało, mimo że przespała kilka godzin. Dora zdjęła stopę z gazu i pogłośniła radio. Ciemnoszara autostrada ciągnęła się w nieskończoność. Jechała, ale nie mogła dotrzeć na miejsce. Powietrze w atelier Hendrikje pachniało nocą i deszczem, było cicho i chłodno. Ciągłe jeszcze czuła uścisk Hendrikje, a teraz miała już za sobą niemiecko-holenderską granicę. Wyobraziła sobie spojrzenie Dennisa, gdyby opowiedziała mu o Tarku i tej podróży. Pozbawione zrozumienia, zdziwione spojrzenie. Biedny, kochany Dennis.

Przebukowała swój lot i miała teraz odlecieć dzień później. Jeden dzień poślizgu. Spakowała po prostu kilka rzeczy i ruszyła, w środku nocy. Jeden dzień opóźnienia. Po co? Na co? Znowu ziewnęła. Jej samochód zjechał lekko z pasa, za nią ktoś błysnął reflektorami. Jechała jeszcze wolniej, trzymała się tylnych świateł, które nagle wyłoniły się przed nią w deszczu i mroku, by po chwili znowu zniknąć. Zmieniała ciągle stacje w radiu, usiłując znaleźć piosenkę, którą mogłaby głośno śpiewać. Zastanawiała się, czy nie powinna stanąć na parkingu i przespać się godzinę czy dwie. Ale za każdym razem, gdy dojeżdżała do jakiegoś parkingu, mijała go, bo podjęcie decyzji zajmowało jej za dużo czasu. Tak więc po prawie czterech godzinach jazdy znalazła się pod drzwiami Tarka, które się nie otworzyły, chociaż dzwoniła i dzwoniła.

– To śmieszne! Bierzemy udział w tym eksperymencie zupełnie dobrowolnie. To nie oznacza, że musimy pozwalać, by nas tak traktowano. Łóżko jest zasłane jak trzeba! Ej, co to ma znaczyć? Odwalcie się! Nie ruszajcie tego! Zabierajcie łapy, popaprańce jedne! Auaaaa!

Krzyk i tumult z celi czwartej podczas apelu łózkowego niedługo po budzeniu. Czyjeś ciało tak wyrznęło w ściankę działową, że wpadła w drganie. Ktoś wrzeszczał. Bez wątpienia Eckert. Więzień odpowiadał na

wrzask wrzaskiem, wysokim, piskliwym tonem. Prawdopodobnie numer 11.

– No, spróbuj, ciulu! No, uderz! Dupku! Popaprańcu! Trafisz do pierdła! Ale prawdziwego!... Wszystko jest nagrane na video, ty fiucie!

Głos numeru 11, rzecznika komitetu protestacyjnego, przeszedł w falset. Tarek usłyszał sapanie ich obu, usłyszał, jak prycze obok skrzypią, a potem znowu niewyraźne gulgoczące głosy. Inny strażnik wyskoczył z celi drugiej. Trzeci, który właśnie kontrolował łóżko Tarka, wyskoczył zaraz po nim. Tarek wymienił szybkie spojrzenia z numerem 38, zeskoczył ze swojej pryczy i podszedł do kraty, żeby lepiej widzieć.

Numer 11 częściowo wygramolił się na czworakach ze swojej celi, kopiąc za siebie, waląc wściekle rękoma, próbując wstać na nogi. Prawie udało mu się wydostać na korytarz, ale strażnicy rzucili się na niego.

– Ręce! Przytrzymajcie mu ręce! I nogi! Uważajcie na nogi!

Próbowali unieruchomić mu ręce i nogi, co im się nie udawało. 11 kolanem strącił jednemu ze strażników okulary przeciwsłoneczne z nosa. Więźniowie przy kratkach natychmiast zaczęli wrzeszczeć. Wartownik prawie panicznie wymacał okulary i je sobie nałożył. Przy tym puścił nogi więźnia, który na moment się uwolnił i natychmiast próbował wydobyć się spod ciał strażników. Tarek dojrzał, że jednemu strażnikowi krew ciecze z nosa. Towarzysze z celi przyglądali się biernie, wprawdzie podrygiwali niezdecydowanie, ale nie ruszyli się z miejsca. Tarek już wiedział dlaczego. Nie tylko ze strachu. Sam to po sobie stwierdził. Ciasnota cel ograniczała ruchy, obciążała całe ciało jak ciężki kostium. Ruchy jak w oleju.

Tarek próbował się uspokoić. Przecież to tylko eksperyment. Zobaczył, jak Eckert ledwo widocznie uderzył pałką, krótko i ostro, w tej chwili 11 jęknął, jakby powietrze uszło mu z płuc, i zwinął się. Ktoś z boku krzyknął w proteście, ale strażnicy nie zwracali na to uwagi. To wszystko jest jedynie eksperymentem.

– Teraz nogi! Ruszajcie się! Trzymajcie tego cholernego skurwysyna!

Nie było to jednak takie proste. Numer 11 był silny, zwinny, mógł najwidoczniej wiele wytrzymać, znowu się wywinął i nie przestawał wyzywać wartowników, a nawet ich opluwał.

– Dupki! Chuje złamane! Wszystko na video, nagrane, wy ćwoki! Wszystko na vide... Auaaa! Odpierdol się ode mnie, ty Świnio! Ludzie, pomóżcie mi! Pomocy! POMOCY!

Nikt mu nie pomógł. Strażnicy przycisnęli go kolanami do podłogi, wykręcili ręce do tyłu, związali je, a potem zaciągnęli 11 z powrotem do jego celi i rzucili go na pryczę, gdzie dodatkowo skrępowali mu ręce i nogi kajdankami i przykuli do stalowego pręta. Numer 11 szalał i szarpał się tak, że prycza się bujała i skrzypiała, ale nic więcej nie był w stanie osiągnąć. Nie udało mu się uwolnić.

– Co go, do cholery, napadło? – wysapał jeden ze strażników.

– Nie zasłał łóżka jak trzeba – powiedział Eckert – więc mu ściągnąłem pościel, żeby się nauczył porządnie słać, a wtedy ten skurwysyn się na mnie rzucił... Ej, co się tak gapiacie? Nie ma się na co gapić! Odejść od krat! Bosch, odpędź ich!

Po raz pierwszy Tarek usłyszał, jak nazywa się strażnik o posturze kaczki. A jednocześnie przypomniał sobie, że wiozł tego faceta taksówką na uniwersytet w dniu, kiedy spotkał Dorę, tyle że rano.

Bosch podszedł powoli do krat, trzymając w rękach pałkę. Więźniowie cofnęli się, Tarek zdążył jednak zobaczyć, że Eckert ponownie wszedł do celi numer 2, a potem usłyszał jakby mocne kopnięcia.

Numer 11 nie przestawał krzyczeć. Ciskał się na swojej pryczy tak intensywnie, że Tarek czuł wstrząsy podłogi i ścianki działowej. Po pewnym czasie wyciągnęli go z celi i wyprowadzili. Tylko Bosch pozostał, stanął przy wyjściu i nie ruszał się z miejsca.

Numer 11 nie wrócił.

W celach zrobiło się cicho. Rozmowy prowadzono tylko szeptem, niewyraźne mamrotanie. Tarek oparł się o ścianę. Był tak spięty i zdenerwowany, że drżał. Jakby wypił za dużo kawy. Do tego dokuczało mu zimno. Zarzucił sobie koc na ramiona i stał tak, wsłuchując się w urywki rozmów. Poczł zmęczenie, chociaż nie było jeszcze południa. Marzył. Dziwne, otępiełe uczucie ciała, jakby miał się zaraz przeziębć. Mimo to było jakoś inaczej. Zamknął oczy, by pozbyć się na moment dokuczliwej jasności. Gdy je znowu otworzył, zakręciło mu się w głowie. Żołądek jak z kamienia. Puls i kołatanie serca. Nogi jak z galarety. A więc oparł się, zsunął plecami po ścianie do pozycji w kucki i zamarł nieruchomo. Uczucie bycia całkiem z kamienia, bardzo twardego kamienia. Próbował sobie ten stan utrwalić w pamięci, opisać go. Często mu to pomagało, ale zauważył, że tym razem musiałyby spisać swe myśli na papierze, żeby je utrwalić. Brak koncentracji zaniepokoił go. Przełknął ślinę, choć w ustach miał sucho.

Opór w gardle. Przynajmniej na krótko pomagało zamknięcie oczu i płytkie oddychanie. W ten sposób trzymał wszystko na dystans, światło, celę, nawet zapach obu współwięźniów, ciasnotę. Pomieszczenie za zamkniętymi oczami było nieskończenie wielkie. Dziwny spokój.

Gdy zerkał przez przymknięte powieki, widział przed sobą na pryczy więźnia 38. 38 był teraz bardziej spięty i baczny. Czuwał. 69 znowu stał przy kracie. Dwaj strażnicy chodzili po korytarzu w tę i z powrotem, nie reagowali na pytania. Jeden coś notował.

Coś się zmieniło od nieudanej próby zorganizowania się. Tarek zauważył to po innych więźniach podczas spaceru. Tym razem nie było żadnego protestu. Nikt się nie spieszył, gdy wyprowadzano ich z cel, ale też nikt się nie bronił ani nie skarżył. Nawet numer 40, który przerastał wszystkich o głowę i robił wrażenie takiego silnego, że bez problemu sprostałby dwóm naraz. Ale on też zachowywał się potulnie, pozwolił, by go popędzano, poruszał się powoli, jak wszyscy inni. Jak bydło, pomyślał Tarek i zauważył, że sam zachowuje się tak samo. Jednocześnie zmienili się też strażnicy. Stali się bardziej pewni siebie, ale też ostrożniejsi, jakby oczekiwali, że po fazie ciszy nastąpi burza.

Gdy znaleźli się z powrotem w celach, przydzielono im zapowiedziane prace. Każdy z więźniów otrzymał woreczek z opornikami elektrycznymi, tabelę z oznaczeniami kodowymi i plastikowy pojemnik przypominający kasztę zecerską. Musieli posortować małe oporniki, oznakowane za pomocą barwnych pasków, według ich mocy w omach. Kto był gotowy, dostawał natychmiast nowy woreczek.

– Z czymś takim powinniście sobie poradzić! – powiedział jeden ze strażników.

Gdy pojemnik był pełen, opróżniano go. Eckert celowo potrącił pełen pojemnik Tarka, aż oporniki wypadły na podłogę. Tarek stłumił w sobie impuls skoczenia mu do gardła. W milczeniu pozbierał oporniki i zaczął je sortować na nowo. Eckert tylko się roześmiał.

Bezmyślna robota. Szybko od niej bolą oczy. Skomplikowane kody z barwnych kresek nie stanowiły problemu, szybko dało się je opanować. Ale oporniki były tak małe, że trzeba je było brać do ręki pojedynczo i dokładnie oglądać.

38 pracował powoli. Każdy opornik oglądał spokojnie, nie spiesząc się. W skupieniu, rytmicznie. Zachowywał się jak podczas jedzenia. Tarek

obserwował go i naśladował. Inaczej 69. Już samo to, jak wyciągał oporniki z torebki. Zahaczały o siebie, spadały na podłogę, cienkie druciki wyginały się.

– Jak sądzicie, co zrobili numerowi 11? – zapytał nagle. – Zatlukli go czy co?

– Bzdura! – odpowiedział Tarek.

Próbował skoncentrować się na pracy. Już teraz musiał często mrugać oczami. Bolał go kark.

– Wydaje mi się, że byliby do tego zdolni.

– Bzdura. Słyszałeś przecież, co mówił numer 11. To tylko eksperyment. Dla niego już się skończył. Nie dostanie kasy, ale nie będzie się już stresował.

– Mam nadzieję, że niedługo będzie już po wszystkim. Co za gówno!

– To dopiero drugi dzień, numerze 69. Jeśli chcesz mieć już z tym spokój, to zrób jak numer 11. Widzisz, że to działa.

Na najwyższym piętrze, obok mieszkania Tarka, znajdowały się otwarte drzwi. Mocno tleniona blondynka w średnim wieku, która sądząc z wizytówki przy dzwonku, nazywała się Rössler, wyjrzała z ciekawością na klatkę. Dora przeprosiła ją i wyjaśniła, dlaczego nacisnęła do niej dzwonek.

– Pani do Fahda? – sąsiadka mówiła powoli, ochryłym głosem. – Policja go zabrała.

– Policja? Jezu, a za co?

– Na pewno nie z mojego powodu. Kim pani jest? Znajomą?

– Siostrą – szybko odpowiedziała Dora, starając się nie zdradzić obcym akcentem.

– Nie jest pani do niego podobna. Co on zmalował, ten pani brat?

– Ja... nie wiem. Zadzwoił i poprosił, żebym przyjechała. Kiedy policja go zabrała?

– Przedwczoraj rano. Usłyszałam krzyk, hałasy, a potem wyciągnęli go z mieszkania i wywieźli. Ale nikt mnie o nic nie wypytywał.

– Zostawił może jakąś wiadomość?

Kobieta w legginsach w leopardzi wzorek stała teraz dokładnie naprzeciwko Dory, jej spojrzenie było rozmyte. Dora od razu się

zorientowała, w jakim kobieta jest stanie.

– W takim razie pani jest Alina.

– Nie, Dora, Dora Fahd.

– Niech pani wejdzie do środka – powiedziała kobieta-leopard i pociągnęła Dorę do siebie, w głąb mieszkania zastawionego kartonami i stosami prastarych gazet.

Czuć tu było zapach cebuli. Kobieta bez komentarza poprowadziła Dorę przez kuchnię na mały balkon wychodzący na tył budynku i pokazała dziurę w ścianie, dokładnie pod rynną.

– Widzi pani? Przez tę dziurę wlatują do środka ptaki i wszystko mi tu zasrywają. I hałasują nie do wytrzymania. Co dałoby się zrobić?

– Że co?

– Co można przeciwko temu zrobić?

– Zaszpachlować.

– A umiałyby pani to zrobić?

– Niech mi pani powie, co z tą wiadomością!

– Nie ma żadnej wiadomości. Tu nikt nic nie wie. A tak w ogóle to wcale nie żyję w sąsiedzkiej przyjaźni z pani bratem.

Dora odwróciła się, żeby wyjść.

– W takim razie na pewno pani nie ma zapasowego klucza do jego mieszkania, prawda?

– A co będzie z tą dziurą?

– Mogłabym spróbować, ale potrzebowałabym do tego kilku rzeczy z mieszkania brata.

Kobieta spojrzała na nią badawczo.

– Oczywiście, że nie mam klucza do jego mieszkania. Ale wiem, gdzie pani brat go schował. W skrzynce pocztowej. Przypadkiem to odkryłam. To w ogóle nie moja sprawa i zachowałam to dla siebie, z powodu tych wszystkich ludzi, co tu wchodzi i wychodzi, wie pani, i przysięgam na moją duszę, że nigdy nie szpiegowałam. I co? Zaszpachluje mi pani teraz tę dziurę?

– Ej, a co, jeśli oni go teraz torturują albo robią mu inne rzeczy? Albo trzymają go w izolatce. Cholera. Myślałem sobie, że spędzę dwa tygodnie

na próżnowaniu, co nie? Tak sobie pobimbam, ale wlażłem w niezłe gówno. – Numer 69 zamilkł na chwilę, potem znowu zaczął lamentować i kląć pod nosem. Tarek zamknął oczy, widział barwne pasczki. – Zrobię jak numer 11! Już mam tego dosyć, już dłużej nie mogę tu wytrzymać. Pierdolone więzienie. Pierdolone klawisze.

– Uspokój się, 69 – powiedział numer 38.

Numer 69 zaczął się miotać.

– Ej, 38, działasz mi na nerwy, wiesz? „Uspokój się, uspokój się”. Sam się uspokój, 38, ty mądralo!

38 zeskoczył z pryczy i przycisnął 69 do ściany.

– Posłuchaj mnie dobrze, numerze 69! – wysyczał.

– Chciałem, żebyś się uspokoił, tak? Widziałeś przecież, co się stało. Eksperyment czy nie, ale to działało się naprawdę! A to dopiero drugi dzień! A więc, do jasnej cholery, przestań wariować!

Puścił go i usiadł z powrotem na swojej pryczy. Numer 69 nic już więcej nie powiedział, nawet się nie ruszył. Tarek popatrzył to na jednego, to na drugiego, uniósł brwi i potrząsnął głową. Przez moment zobaczył strach. W nich obu.

– Hej, jak myślicie, kiedy dostaniemy papier? Kiedy pozwolą nam pisać listy?

W pomieszczeniu strażników panował wesoły nastrój. Nocna zmiana przysłała godzinę za wcześnie i została powitana z wielką radością.

– Jacy pilni! Jacy pilni! – skandował Eckert.

– No, ale was przypiliło, co za obowiązkowość! – zawołał Berus.

Śmiali się, potrząsali sobie dłonie, klepali się po ramionach, jakby pracowali razem przez lata. Jedynie Bosch zachowywał się powściągliwie i przygotowywał posiłki dla więźniów, żeby je podgrzać w mikrofalówce.

– Nie sądźcie, że wcześniej skończymy naszą zmianę! – zawołał Eckert.

– Służba służbą, ale przydałoby się napić!

– Może wzięlibyśmy was trochę powspierali.

– Ale nie od tyłu!

Znowu śmiech.

Tode i Renzel nalali sobie kawy. Holger Berus przysiadł się do Eckerta, który pisał właśnie raport zmiany.

– Dobra robota z rozgromieniem tego wczorajszego spisku. – Eckert podniósł wzrok. – Czytałem w raporcie z waszej zmiany. Całkiem im odbija, co?

– Nie mają szans – odrzekł Berus. – A jak wy sobie radzicie?

– Wszystko dobrze. Nudno, ale laba. Dzisiaj rano odbiło numerowi 11. Szef wywalił go z eksperymentu i teraz znowu jest spokój.

– I dobrze. A co z resztą tych ćwoków?

– Słyszeliście? Ćwoki! A to dobre! Ćwoki! – Eckertowi to określenie coraz bardziej się podobało. – Właśnie tak wyglądają! Zupełne ćwoki! Głupie jak manekiny w crash testach. A my ich pokierujemy prosto na ścianę!

– Nie my – sprostował Renzel. – Ci tam, na górze. My ich tylko przypniemy pasami.

Eckert powoli się uspokoił.

– Ćwoki! Super... No nie, Berus, ćwoki są spokojne. Czasem jakiś ćwok się postawi, ale już nasza w tym głowa, żeby wszystkie ćwoki były spokojne. Są uparci, chłopie. Trzeba ich ciągle poganiać, te zakute pały, ale jakoś to idzie. Powoli kapują, o co biega.

– A co robi nasz ukochany przyjaciel, numer 77? Znowu się podczas spaceru klei do wszystkich?

Eckert wykrzywił usta z niesmakiem.

– Ten naprawdę ma jakiś problem. Coś mi się wydaje, że sam się prosi o szczególne traktowanie.

– Ja też tak uważam.

Do stołu podszedł Bosch i wtrącił się do rozmowy:

– Póki 77 nie narusza zasad, nie ma powodu, by go „szczególnie traktować”. Są przepisy.

– Co jest, Bosch? Coś dzisiaj jesteś w kiepskim humorze – zawołał Renzel stojący przy ekspresie do kawy.

Eckert dał Berusowi znak oczami.

– Bosch jest Matką Teresą naszej zmiany. Ej, Bosch, wyluzuj. Tu wszystko dzieje się zgodnie z przepisami. Mamy pilnować porządku.

Wyraźnie nas pouczone, że mamy być przygotowani na wszystko. Co nie?

– Pewnie! – przytaknął Berus.

– Ale nie takimi metodami! – zawołał Bosch.

– Jakimi to niby metodami?

Volker Eckert rozsiadł się wygodniej na krześle.

Werner Tode ostrożnie postawił kubek pełen kawy na stole.

– Jak długo nic nam nie mówią, wszystko jest w porządku.

– Dokładnie – przytaknął Berus. – Właśnie tak jest, a nie inaczej.

Bosch chciał coś jeszcze powiedzieć, ale gdy zobaczył twarze kolegów, dalej zajmował się szykowaniem posiłków.

– Ej, Bosch – powiedział do niego Eckert. – To wszystko tutaj to przecież tylko zabawa! Wyluzuj, chłopie! – Spojrzawszy na Berusa, dodał: – Nasz Bosch to typowy nauczyciel. W ogóle nie zna się na żartach.

– Co dzisiaj będzie smacznego? – zapytał Renzel.

Chociaż Bosch zaprotestował, Eckert otworzył porcję przeznaczoną dla Renzela i dał mu spróbować. Renzel się skrzywił.

– Będziecie to jedli?

– Czyżbyśmy byli chorzy? Zamówimy coś sobie, z dostawą na telefon.

– Mój najmłodszy lubi jeść takie rzeczy – oznajmił Tode.

– A w jakim jest wieku?

– Osiem miesięcy!

Roześmiali się.

– No, zasrańce lubią takie rzeczy.

– Najedzą się tym?

– Nie, ale za to każemy im więcej wypić. Z brzuchami pełnymi wody nie będą podskakiwać.

– Sprytne.

– A co zrobimy z napoczętą porcją? – zapytał Bosch.

– Nie ma problemu – oznajmił Berus.

Głośno pociągnął nosem, a potem wypluł flegmę do sosu mięsnego. Następnie dołał skondensowanego mleka i wszystko wymieszał.

– *Menu speciale* dla numeru 77! Aromatyczne i bogate w białko!

Wszyscy się roześmiali. Poza Boschem, który popatrzył na Berusa z pełnym obrzydzenia spojrzaniem i odwrócił się bez słowa.

Puree, znowu brejowate mięso w nieapetycznym jasnym sosie, znowu rozgotowane warzywa. Bez smaku. Niedoprawione. Wszystko takie samo. I za mało. Mimo to ucisk w żołądku, ponieważ musieli to wszystko zjeść na czas. Wartownik o nazwisku Bosch dał znak Tarkowi, ruchem głowy wskazał jedzenie i lekko potrząsnął głową. Tarek porównał swoje jedzenie z porcjami innych i stwierdził, że jego sos jest dużo jaśniejszy. Zauważył też, że pozostali strażnicy gapią się na niego, złośliwie się uśmiechając. Poczł przyływ mdłości i przypomniał sobie stare kawały robione w schronisku młodzieżowym. Odłożył sztućce i przestał jeść.

– No, jedz, 77! Dobre jedzenie, bogate w proteiny!

Po dziesięciu minutach zabrano im tace, niezależnie od tego, czy ktoś skończył, czy nie. A potem znowu musieli pić. Pić, pić, pić, pić. Tym razem trzy litry w pięć minut. Następnie musieli odwrócić butelki, trzymając je nad głową.

Tarek męczył się. Już po pierwszym litrze miał problemy z przełykaniem. Raz za razem komuś się odbijało i natychmiast ten ktoś dostawał ostrzeżenie.

Numer 21 dostał batonik czekoladowy, bo poprzedniego dnia udało mu się posegregować najwięcej oporników. Natychmiast pochłonał batonik, nim ktokolwiek zdążyłby poprosić go o kawałek. Numer 69 zagapił się na niego.

– Co jest, 69? Też byś chciał batonik, co?

Twarz 69 rozjaśniła się.

– Tak, panie strażniku więzienny.

– Za batonik gotów byłbyś niejednemu odstrzelić głowę, co, kowboju?

Potem apel przed celami. Strażnik oznajmił, że komisja dyscyplinarna przedłużyła karę więzienia o dwa dni dla numerów 82, 15 i 77. Tarek się zdziwił, bo w umowie nic nie było napisane o jakiegokolwiek komisji, która mogłaby przedłużyć areszt. A może jednak? Tarek jednak o to nie zapytał, bo zauważył, że strażnicy go obserwują, zwłaszcza Berus. Postanowił nic nie robić. Skóra go jeszcze paliła po akcji mycia. Nie, trzeba po prostu

zachować spokój. Tarku, trzeba się uspokoić, wszystko zapamiętać, potem wszystko spisać. Przetrzymać, Tarku.

Nadeszła pora zmiany strażników. Ci ze zmiany porannej zostali nieco dłużej. Tylko Bosch sobie poszedł.

Prawie nic nie mówiono. Jedynie ciche krótkie zdania, wymawiane jakby na siłę, którym towarzyszyły lekkie ruchy głową. Większość więźniów stała beczynn timer, tylko numer 38 wykonywał ćwiczenia rozciągające. Realizował swój program. Tarek stał oparty o ścianę i obserwował więźniów i strażników. Było mu dobrze tak stać opartym o ścianę i obserwować. Stan, który lubił.

– Ruszajcie się! Potrzebujecie ruchu! – Berus zaczął ich poganiać. – Czego tak stoicie, lenie patentowane! Bierzcie przykład z numeru 38. No, ruszać się, ruszać!

A więc połazili trochę po dziedzińcu, tyle żeby nie drażnić strażników. Dwaj strażnicy stali z boku, trzeci czekał za drzwiami.

Jak szybko wszystko stało się rutyną. Wstawanie, mycie, odliczanie, sianie łóżek, śniadanie, zmiana strażników, odliczanie, spacer, zajęcia, nuda, obiad, zmiana strażników, odliczanie, nuda, spacer, nuda, kolacja, zmiana strażników, odliczanie, wyłączenie światła, spanie w nakazanej pozycji na plecach, z rękoma na kocu, koszmary.

Automatyczny świat. Automatyczny, ciasny, jaskrawy świat. Wszystko na wskroś zorganizowane, wszystko z góry zaprogramowane, ale na wszystko za mało czasu. Poza nudą. Spanie dozwolone tylko nocą. Gdy strażnik przyłapał kogoś na spaniu w ciągu dnia, natychmiast go budził. Wszystko należało robić poprawnie, żeby nie drażnić strażników. Puls natychmiast przyspieszał, gdy strażnicy kogoś wywoływali lub gdy coś nie potoczyło się po ich myśli i wszyscy musieli się kłaść na podłozde. Szczytem szczęścia był batonik czekoladowy. 69 bez przerwy o nim mówił.

69 nie wyglądał za dobrze. Skulił się w najodleglejszym kąciku, był cały spocony i dygotał. Gdy znowu znaleźli się w celi, Tarek dał znak Steinhoffowi i usiadł obok 69.

– Wszystko w porządku? – 69 nie odpowiedział. – Hej, kowboju!

– Jest mi zimno. Chcę się stąd wydostać.

Numer 38 zsunął się z pryczy i oparł o ścianę naprzeciwko. Tarek próbował poklepać 69 po ramieniu, ale ten odepchnął jego rękę.

– Hej, 69, Joe, już dobrze! Powiedz, co robisz? To znaczy, mam na myśli tam, na wolności. Kim jesteś z zawodu?

– Elektrykiem.

– Elektrykiem. Piękny zawód. Także wysokie napięcie i tak dalej?

– Tak.

– To na pewno niebezpieczna praca. – 69 nie odpowiedział. Spojrzenie na numer 38, ten wzruszył ramionami. – Co zrobisz w pierwszej kolejności, jak stąd wyjdziemy, Joe? O czym marzysz?

Odpowiedział bez wahania:

– Frytki z keczupem i majonezem. Zamówię podwójną porcję frytek z keczupem i majonezem.

– Pewnie! Ej, Joe, powiedz, jak tu w ogóle trafiłeś. To znaczy, dlaczego w ogóle zgłosiłeś się do eksperymentu?

Wydawało się, że 69 nie usłyszał pytania, ale gdy Tarek chciał je powtórzyć, zaczął nagle mówić:

– Kumpel mnie namówił. Mieliśmy trzy tygodnie przestoju między jedną budową a drugą. Powiedział, że to będzie świetna fucha. Dwa tygodnie laby, a przy okazji można jeszcze zarobić kasę. A czy on się zgłosił? Nie, kurde, nie! Tylko ja! Zrobił mnie, kurde, w konia. Pieprzony eksperyment!

– A co z twoją dziewczyną? Masz dziewczynę? Jasne, że masz, co nie, 69?

– No, mam. Ale ona uważa, że mi odbiło. I nic dziwnego! Cholera! Że też zawsze dam się namówić, a potem budzę się z ręką w nocniku!

Numer 69 dygotał coraz bardziej. Tarek ściągnął ze swojej pryczy koc i narzucił mu na ramiona.

– Joe, mam ci powiedzieć, komu naprawdę odbiło? Chcesz wiedzieć?

Numer 69 przytaknął.

– Mnie. Mam koszmary, bo kiedyś zobaczyłem trupa w dziurze wykopanej w ziemi. Jestem reporterem, wiesz? I nie byłem w stanie nic o tym napisać. Szok i w ogóle. A więc chciałem się dowiedzieć, jak to jest być zamkniętym. Tylko dlatego, żeby potem móc o tym napisać. Czy to nie idiotyzm, co, Joe?

– Megaidiotyzm.

– *Right*. A tam, na zewnątrz, jest pewna kobieta, ekstralaska, którą niedawno spotkałem, i jest na mnie wściekła, bo nie daję znaku życia, i nie wie, gdzie jestem. Mówię ci, Joe, nie jest jeszcze z tobą tak źle.

Pierwsze, na co zwróciła uwagę, gdy przekroczyła próg mieszkania Tarka, to zapach. Zawsze zwracała uwagę na to, jak ludzie pachną. Tarek pachniał przyjemnie, natomiast jego mieszkanie nie. Wilgoć, zaduch, brudna bielizna i jakiś słabo wyczuwalny, nieokreślony środek chemiczny. Dora z rozczarowaniem pomyślała, że jest to bardzo nieprzyjemne miejsce. Nieporządek jej nie przeszkadzał. Oczekiwała czegoś w tym rodzaju. Przeszła korytarzem, ostrożnie, jakby wchodziła w zakazane miejsce pełne zasadzek. Zajrzała do obu pokoi, małej kuchni, maleńkiej zatęchłej łazienki. Ostrożnie minęła mały stosik ubrań, sterty papierów, książek i kaset video, obchodziła szklanki, talerze i butelki, kilka razy się wzdrygnęła, gdy do jej uszu dotarły hałasy z klatki lub z ulicy. W łazience z kurka ciekła woda. Dokręciła go. Obok łóżka leżała rozbita piękna, stara, stojąca lampa. W pokoju dziennym migąła lampeczka automatycznej sekretarki. Dora nie dotknęła jej. Na stole leżały rozrzucone zdjęcia. Dora z wyrzutami sumienia zaczęła je przeglądać, bo Hendrikje na pewno tak by na jej miejscu zrobiła. Na zdjęciach byli ludzie, których nie znała, wiele kobiet. W ramce na ścianie dostrzegła fotografię Tarka razem z jego rodziną. To musiała być rodzina, ponieważ wszyscy byli do siebie bardzo podobni. Cała czwórka się śmiała. Tarek nieco mniej. Wyglądał bardzo młodo i bardzo dziko. Dora usiadła i długo przyglądała się zdjęciu. Przypominało zdjęcie jej własnej rodziny, które miała postawione obok łóżka. Na nim była ona, rodzice i Michael. Próbowała odczytać wyraz malujący się na twarzy Tarka. Szukała czegoś, co by ją przekonało, by nie rezygnowała, by nie opuściła tego obcego mieszkania po to, żeby tu nigdy więcej nie wrócić. Potem wyciągnęła zdjęcie z ramki, schowała je i wyszła z zamiarem udania się na policję.

– Jak się pan czuje, 82?

– Nie wiem, panie dyrektorze.

– Niech pan spróbuje to opisać.

– W ogóle wszystko czuję jakoś tak słabo. Jestem jakiś taki przytłumiony. Jakby zmrożony. Otępiały, jakbym się upił. Zwolniłem tempo, jadę przed siebie na biegu jałowym. Coś w tym stylu, sam nie wiem.

– Jak się pan dogaduje ze swoimi towarzyszami z celi?

– Właściwie to schodzimy sobie z drogi. Co nie jest łatwe. Prawie z nikim nie rozmawiam. 21 jest arogancki. 53 to gaduła. Cały czas gada, czasami to nawet sam do siebie. Poza tym dzisiaj, jak jedliśmy obiad, próbował zwędzić mi coś z tacy. Ale się w porę zorientowałem. Innych nie znam. Nie próbuję do nich zagadać. Lepiej nikomu nie ufać.

– A ten incydent z próbką moczu? Co pan wtedy czuł?

– Najpierw byłem wściekły. Potem miałem wrażenie, że się rozplączę, bo sądziłem, że będę musiał nosić brudną koszulę przez całe dwa tygodnie. A potem pomyślałem, że sam jestem sobie winny. Niezgrabiasz, po prostu.

– Co pan czuł, gdy umieszczono pana w izolatce?... 82? Zrozumiał pan moje pytanie?

– Nic. Nic nie czułem. Ucisk na uszy, jakiś szelest.

– A strażnicy? Co pan myśli o strażnikach?

– Czy muszę odpowiadać na to pytanie?

– Oczywiście, że nie. Ale nasza rozmowa pozostanie poufna.

– Są to sfrustrowane, niespełnione seksualnie nazistowskie świnię.

– Jak by pan opisał samego siebie?

– Raczej przeciętny. Przewyciężam trudności. Mało asertywny. Niezbyt odważny. Wolę robić swoje po cichu. Oliwa i tak na wierzch wypływa.

– Czy podczas pobytu tutaj miał pan fantazje seksualne?

– Co?

– Czy miał pan seksualne...

– Nie. W tej chwili sobie nawet nie mogę czegoś takiego wyobrazić. Ale strażnikom sperma do głów uderza. Porządne ruchanie dobrze by im zrobiło.

– Co pan zamierza zrobić po wyjściu stąd, 82?

– Nie wiem. W ostatnim czasie wszystko schodzi na psy.

– Jest pan właścicielem kiosku spożywczego, prawda?

– Tak, ale... No cóż, nie wiem.

– W takim razie bardzo dziękuję, numerze 82.
– Pani doktor?
– Tak?
– ... Ach, nic. Nic. Zapomniałem.
– No dobrze. Proszę, niech pan wypełni tę ankietę, dobrze? Potem będzie pan mógł odejść.

– A co z tobą, pilocie. Dlaczego się tu znalazłeś? – niespodziewanie zapytał Tarek.

– Chciałem przeżyć coś nowego.

Tarek zerwał się.

– Nie! Nie rób sobie ze mnie jaj, 38! Numer 69 i ja nie potrzebujemy teraz takiej głupiej gadki, co 69? Jesteśmy tu tak ściśnięci, że możemy się już rozpoznać po zapachu potu, a mamy przed sobą jeszcze szmat czasu. A więc, 38, dlaczego jesteś tutaj?

Spojrzeli na siebie ostro. W końcu numer 38 oderwał nieco plecy od ściany.

– Dostałem taki rozkaz.

Heiner Bosch leżał na sofie z otwartymi oczami. Długie nogi zwisały mu z boku sofy, a na jego płaskim brzuchu leżała z wyciągniętymi rączkami i nóżkami jego pięciomiesięczna córeczka. Lubił, gdy jej małe ciało z każdym jego oddechem podnosiło się i opuszczało, gdy czuł bicie jej małego serduszka i gdy oboje stawali się jedną istotą. To go bardzo uspokajało.

Żona usiadła obok i dmuchnęła mu lekko w twarz. Bosch otworzył oczy i spojrzał na nią. Nic nie powiedział, tylko spojrzał.

– Co się dzieje, Heiner?

– Już nie dam rady tego wytrzymać.

– Aż tak źle? – Bosch przytaknął. Wstała, westchnęła i zdjęła mu dziecko z brzucha. – Opowiesz mi o tym przy jedzeniu.

Bosch nie był dobrym opowiadaczem. Mówił mało i powoli, także teraz, gdy mu tak dużo chodziło po głowie. Ale jak miałby to wszystko ubrać w

słowa? Uczucie nadciągającego wielkiego nieszczęścia, na które składały się małe drobiazgi, każde jedno niewarte nawet wspomnienia.

– Może jesteś zanadto wrażliwy?

Bosch przez chwilę nic nie mówił.

– Jednemu z więźniów napluli do jedzenia.

– Jakże to wstrętne! I zorientował się?

– Nie chodzi o to, czy się zorientował. Chodzi o to, że oni to zrobili, rozumiesz? Są niebezpieczni!

– Ależ skąd! To tylko obrzydliwy psikus, jaki robią sobie czasem uczniowie. Kierownictwo eksperymentu powinno to ukrócić. Ale czy są niebezpieczni? Dlaczego nic im nie powiedziałeś?

– Mówiłem. Ale oni się tylko śmiali. A więźniowie wyglądają jak POTEPIEŃCY. Cierpią! A ja ponoszę za to współodpowiedzialność!

– Jesteś zanadto wrażliwy, Heiner. Przecież oni wiedzieli, czego mogą się spodziewać. Wszyscy podpisali umowę. A poza tym wszystko jest przecież kontrolowane.

Bosch przytaknął, potrząsnął głową, chciał coś powiedzieć, ale nie potrafił wyrazić dręczącej go myśli.

– Ja już tego dłużej nie wytrzymam.

Żona wzięła go za rękę, głaskała ją, aż dłonie ich obojga się rozgrzały.

– Jesteś silniejszy, niż myślisz, Heiner. Pomyśl o szkole. Poradzisz sobie!

– Być może przerwę eksperyment.

– Heiner, tyle razy to omawialiśmy! Czy nie byłoby lepiej, gdyby w ich gronie znajdował się ktoś, kto jest inny?

– Nie wiem.

– Wiesz, że na ciebie nie naciskam, Heiner. Ale zastanów się. Wiesz, jak bardzo są nam w tym momencie potrzebne pieniądze. Dla ciebie to też ważne. Wytrzymaj. Doprowadź to do końca! Dla siebie.

– Kapitan Steinhoff! Kurde, serio? Może jest was tu więcej?

– Nie, a przynajmniej nic mi na ten temat nie wiadomo. Ale to możliwe. Tarek z powrotem zrobił się czujny. Co ten Steinhoff opowiada?!

– A więc tak naprawdę to nie jest żaden eksperyment, tylko coś w rodzaju ćwiczenia dla ciebie i dla tych, którzy są tu ewentualnie z twojego klubu?

– Raczej nie sędzę, ale nie można tego wykluczyć. Powiedziano mi, że będzie to całkiem normalny eksperyment psychologiczny.

– A co to oznacza dla nas?

– Sędzę, że będą symulować kolejne stresogenne sytuacje.

– A więc my jesteśmy tylko dekoracją. Królikami doświadczalnymi, których los nikogo nie obchodzi?

38 wzruszył ramionami.

– Ja chcę się stąd wydostać – zaskowyczał cicho 69.

– A na czym polega twoje zadanie?

– Jak zawsze chodzi o to, żeby wytrzymać do końca jak najmniejszym kosztem. I nie dać sobą manipulować. Ani przez strażników, ani przez współwięźniów.

Tarek zrobił wielkie oczy.

– A więc to tak!

– Właśnie tak.

– A więc każdy tutaj jest twoim wrogiem?

– W zasadzie.

– W takim razie dlaczego nam o tym opowiedziałeś?

– No właśnie, dlaczego? – Steinhoff położył się z powrotem. – Może to był błąd.

– Co by się stało, czysto teoretycznie, gdybyś nie przetrzymał tego „ćwiczenia”?

– E, najpierw musiałoby to być ćwiczenie z prawdziwego zdarzenia. Szczerze mówiąc, nie wiem.

– I nie możesz nikomu ufać?

– No właśnie.

– Ale my jesteśmy przecież kumplami z celi! – wtrącił 69.

Steinhoff pokręcił głową.

– Czysty przypadek. Widzę was po raz pierwszy. Dwóch facetów w śmiesznych koszulach i czepkach kąpielowych. Czemu miałbym wam ufać?

Tarek zerwał się na nogi i jednym ruchem ściągnął z głowy czepek.

– A teraz?

– Ej, nie wolno nam! – zawołał 69.

– Mam to w dupie! A teraz? Teraz mnie widzisz! To jestem ja! Tarek Fahd, dwadzieścia osiem lat i...

Nie zdążył nic więcej powiedzieć. Rozległ się dźwięk gwizdka. Prawie jednocześnie pod ich celą znalazł się strażnik, zaczął tłuc pałką w kraty i krzyczeć:

– Załóż czepek! Natychmiast załóż czepek, 77!

Na korytarz wbiegł Berus i pozostały, trzeci strażnik, ale pierwszy już się uspokoił.

– Wszystko w porządku! Nie ma problemów! Wszystko znowu pod kontrolą! Numer 77 poczuł swędzenie pod czepkiem!

Do kraty podszedł Berus.

– Ciebie niejedno chyba swędzi, 77, co?

Tarek sądził, że znowu coś się wydarzy, ale ku jego zaskoczeniu Berus zostawił go w spokoju. Przejął teraz straż nad korytarzem i cały czas miał Tarka na oku, od czasu do czasu strzykało mu w odcinku szyjnym kręgosłupa.

Tarek zamyślił się i coś mu wpadło do głowy.

– Hej, kapitanie! A co, gdybyś miał się nauczyć kooperacji? Może to będzie rozwiązaniem twojego zadania?

– Jestem zaskoczony, że znasz to słowo, 77.

– No i jak? Czy to możliwe, czy nie?

38 zwlekał z odpowiedzią.

– ... Może. A może nie.

Tarek jęknął.

– Powiem ci coś, 38. Ty jeszcze głębiej tkwisz w tym gównie niż my.

Po południu zaprowadzono ich do jadalni. Na stołach przed każdym krzeselkiem leżały cztery kartki papieru i cienki flamaster z miękkim wkładem.

– Piszcie czytelnie! I nie świntuszcie!

Tarek pisał do siostry. Oczywiście strażnicy przeczytają listy, pisał więc krótko i wyraźnie. Nic takiego, co mogłoby zawierać ukryte przesłanie.

– Jeszcze cztery minuty!

Pozostały mu trzy kartki. Obserwował strażników, którzy pilnowali pomieszczenia. Nie patrząc w ich kierunku, zsunął pozostałe kartki na kolana i złożył je szybko wiele razy, a na koniec ścisnął w małe pakiety. Gdy żaden ze strażników nie mógł go zobaczyć, wcisnął ten pakiet do rękawa. 38 zauważył to, ale nic nie powiedział.

– Jeszcze minuta! Kończcie już!

Musieli koniecznie jeszcze raz odwrócić wzrok. Papier bez pisaka był bezużyteczny. Odwróćcie się! ODWRÓĆCIE SIĘ! Gdy strażnicy stali odwróceny do niego plecami, zaryzykował. Szybkim ruchem schował flamaster pod pachę. Zdołał to zrobić w ostatniej chwili, zanim zbliżył się strażnik, żeby zebrać kartki i policzyć flamastry. Tarek o tym nie pomyślał, poczuł, że zaraz będzie miał problem. Musiał jakoś zatuszować, że brakuje trzech kartek, a miał tylko jedną swobodną rękę.

– No, już! – zawołał Berus. – Oddajcie kartki!

Pomieszczenie z monitorami było puste. Na biurkach leżało kilka otwartych podręczników psychologii, kartki z notatkami, zakreślacze do tekstu, napoczęta tabliczka czekolady, plastikowy kubek z resztką wystygłej kawy. Na pececie obok okna wyświetlał się wygaszacz ekranu. Kolorowe rybki w akwarium. Od czasu do czasu przyplątywał rekin i jedną zjadał.

Monitor numer i pokazywał jadalnię. Więzień 38 zsunął właśnie kartki swoje i sąsiadów na jeden stosik i podał je stojącemu przed nim strażnikowi.

– *Ej, może trochę porządku?!* – Głos strażnika trzeszczał przez wbudowany w monitorze głośnik. – *Wszystko się pomiesza.*

– *Przepraszam, panie strażniku więzienny. Myślałem...*

– *To nie myśl, 38! Czy każdy zapisał na kartkach swój numer i adres?*

– *Dziękuję* – szepnął ledwie słyszalnie 77.

– *Za co?* – odpowiedział 38 i wstał.

Do środka wpadło cieplejsze powietrze, zapachniało wiosną. Słońce, któremu udało się przebić po ulewie, łaskotało skórę. Wysuszyło mokre powierzchnie ceglatego bruku przed budynkiem instytutu. Z brzoźowego zagajnika na brzegu kampusu parowało, na powierzchniach trawników dookoła dreptały w małych stadach wrony w poszukiwaniu robaków. Na polnej drodze poza rozległym obszarem kampusu jakaś kobieta wyprowadzała psa. Zatrzymała się i spojrzała w kierunku imponującej kopuły z pleksiglasu osłaniającej ogród botaniczny i położonych obok budynków instytutu. Stało tam kilkoro młodych ludzi, palili. Pewien dryblasowaty facet człapał jak dziecko po kałużach. Za budynkiem niebo znowu zrobiło się ciemniejsze. Kobieta krzyknęła na psa i ruszyła szybszym krokiem.

Nie widziała, jak z budynku wychodzą trzej mężczyźni. Ci trzej mężczyźni pomachali krótko młodym ludziom i coś do nich zawołali. Młodzi ludzie im odpowiedzieli. Potem mężczyźni poszli w kierunku parkingu.

– Wolno nam właściwie z nimi rozmawiać, czy nie?

– zapytał Lars, człapiąc na bosaka z powrotem do budynku.

Jutta wzruszyła ramionami.

– Najlepiej jak najmniej.

– Nie powinniśmy już wrócić do środka? – zapytała jedna z dwóch nowych stażystek, która ciekawa była laboratorium.

– Powoli, powoli! – machnął ręką Lars. – Tu mamy do czynienia z nauką, a nie z giełdą. Najpierw musimy zaczerpnąć trochę świeżego powietrza. Tam na dole i tak niewiele się dzieje. Właściwie w ogóle nic się nie dzieje, co nie, Jutta?

Obraz na monitorze numer 2 ożył. Więźniowie zostali zaprowadzeni gęsiego z powrotem do swoich cel.

Strażnicy kazali im przez jakiś czas stać na baczność przed celami z rękoma za głową i chodzili wzdłuż szeregu w tę i z powrotem. Numer 12 musiał wystąpić. Strażnik Berus podetkał mu najpierw pod nos jego list, a potem przeczytał go na głos. Dwaj inni strażnicy się śmiali. Numer 12 zrobił szybki ruch ręką, żeby wyrwać Berusowi list, ale ten był szybszy. Wrzasnął na więźnia, przystawił mu pałkę do piersi i pchnął go do tyłu, do

szeregu. Więzień wykonał jeszcze raz szybki ruch, ale strażnicy natychmiast znaleźli się przy nim. Berus go spoliczkował. Strażnicy krzyczeli. Inni więźniowie padli na podłogę. Po chwili się podnieśli, stanęli na baczność i znowu padli na podłogę.

– Czy trzeba zwracać na coś szczególną uwagę? – zapytał jeszcze jeden student, którego po raz pierwszy przydzielono do nadzoru.

Nadzór był uciążliwą częścią zajęć praktycznych zaliczanych u profesora Thona, a zaliczenie praktyk było warunkiem, aby zostać dopuszczonym do egzaminów. Student nie miał najmniejszej ochoty zwracać szczególnej uwagi na cokolwiek.

Lars pokręcił głową.

– Po prostu siedzi się tu przez cały czas przed monitorami i się w nie gapi. Raz dziennie catering dostarcza jedzenie. Wszystkie trzy posiłki jednocześnie. Musicie tylko podpisać kwit dostawy, to wszystko. Gdy strażnicy się zmieniają, to nowi muszą się wpisać na listę, ale oni już o tym dobrze wiedzą. Gdy się kończy zmiana, strażnik przynosi próbki moczu i śliny. Musicie je tylko oznaczyć i zapakować. Jak Thon przyjdzie, to je zabierze. W środku wisi kartka z najważniejszymi telefonami. Czasami odchodzą tam dantejskie sceny, ale można się do tego przyzwyczaić. To nie jest taki sobie zwykły eksperyment. Ale jak tak dalej pójdzie, to niedługo będzie o nas można przeczytać w magazynie „Science”. Skopiowałem kilka gier na komputer, jeśli byście się nudzili.

– A byliście już tam u nich na dole?

Lars pokręcił głową.

– Zakazane. *Prohibited area*. Jedyni, którzy mogą zjechać na dół, to Thon, Jutta i lekarz, gdyby coś się stało. Ale lepiej jest oglądać wszystko na monitorach. Jak w telewizji.

– Gdzie teraz jesteś? – zapytała Hendrikje po drugiej stronie przewodu telefonicznego.

– W jego mieszkaniu.

Dora przycisnęła sobie do ucha słuchawkę bezprzewodowego telefonu, łokciem oparła się o przedramię drugiej ręki.

– A on? Gdzie on teraz jest?

– Nie wiem, Rikje. Nie wiem! Byłam na policji, ale tam w ogóle nie został zarejestrowany, chociaż sąsiadka powiedziała, że go aresztowano. Nie mają go w ogóle wprowadzonego do systemu. Tak mówią. Policjant na posterunku przez pół godziny telefonował i się rozpytywał, ale Tarka na pewno nie aresztowano. Powiedział, że sąsiedzi widują czasem najdziwniejsze rzeczy.

Dora przypomniała sobie zgaszone oczy kobiety na klatce schodowej.

– Znam to – powiedziała Hendrikje. – I co teraz? Co teraz zrobisz?

– Nie wiem.

– Ale ja wiem. Zostaw mu wiadomość i wracaj.

– A jeśli mu się coś stało?

– Na pewno jest z jakąś kobietą. Na sto procent. Sąsiadka się pomyliła. Poza tym, czy teraz nie ma karnawału? Oczywiście! Kumple zabrali go na jakieś przyjęcie i pewnie gdzieś odsypia rausz.

– Nie wiem, Rikje.

– A może byś chciała, żebym po ciebie pojechała?

Słowa Hendrikje zabrzmiały jak pogróżka.

– Nie – szybko odpowiedziała Dora. – Jesteś bardzo kochana, ale nie chciałabym, żebyś przyjeżdżała. Jutro pójdę jeszcze raz na policję. Jeśli się nie pojawi, to wracam. Jutro. Najpóźniej pojutrze.

– Jutro masz samolot!

– Wiem. Polecę później. Porozmawiaj z Dennisem i powiedz mu, że mam tu jeszcze kilka spraw do załatwienia. Proszę, dobrze?

Hendrikje milczała. Dora słyszała w słuchawce jej oddech.

– Jesteś pewna, że nie robisz żadnego głupstwa?

– To był twój pomysł, Rikje!

– Wiem i to mnie niepokoi. Może to była faktycznie głupota, ten romantyczny poryw serca, ta jazda, by spotkać się z facetem. Nie chciałam, żebyś odlatywała. Ale teraz się boję. Proszę, wracaj! Dobrze?

– Na pewno, Rikje. Nie martw się. Wszystko będzie w porządku. Chcę go tylko odnaleźć, a potem wracam.

Hendrikje prychnęła gniewnie.

– Co za głupi pomysł! Ale jak sobie chcesz. Tylko dzwoń. Chcę wiedzieć, co u ciebie słychać.

– Jasne.

Po odłożeniu słuchawki Dora długo jeszcze siedziała przykucnięta na podłodze obok telefonu i rozmyślała. Jak zawsze wtedy, gdy musiała podejmować decyzje, świat stawał się zagmatwany. Gdy tylko należało coś postanowić, rozpadał się na tysiące możliwości, tysiące dróg. Dora zawsze dokładnie wiedziała, czego nie chce. Poza tym czuła się niesiona przez życie we właściwym kierunku, nie snuła wielkich planów, lecz próbowała dróg, wskazówek, zawołań i małych odskoczni, które oferowane jej były z prawa i lewa. Decyzje natomiast były nieprzyjemne i brutalne, naruszały harmonię, mogły oznaczać popełnienie błędu.

– Panie strażniku więzienny!

– Co jest, 77?

– 69, widzi pan? Coś z nim nie tak.

Berus zbliżył się nieufnie do celi i przez kraty zobaczył więźnia 69 owiniętego w koce.

– Co z tobą, 69?

– Jest mi zimno.

– Jesteś chory?

– Nie, panie strażniku więzienny! Jest mi tylko zimno.

– Jemu jest tylko zimno. To po co gadasz głupoty, 77?

– Przecież widać, że z nim jest coś nie tak. Sądzę, że powinien na niego rzucić okiem lekarz. Jest tu chyba jakiś lekarz, prawda?

– On czuje się wspaniale! – zaryczał Berus. – Czyżby potrzebował rzecznika, który by się wypowiadał w jego imieniu, co? Chcesz strugać waśniaka, 77! Za kogo się uważasz, za głos sprawiedliwości? Czy może ma to być jakaś sztuczka?

– Nie, panie strażniku więzienny.

– A może jesteś pieprzonym symulantem, 69?

– Nie, panie strażniku więzienny!

– To dobrze. Bo symulanci trafiają do izolatki! Chcesz do czarnej skrzynki, 69?

– Nie, panie strażniku więzienny.

– Ale batonika czekoladowego na pewno byś nie odmówił, co, 69?

– Tak... to znaczy, nie, panie strażniku więzienny.

– Chodź ze mną, 69!

Berus otworzył celę i wyprowadził 69 na korytarz. Po krótkim czasie przyprowadził go z powrotem. 69 wyglądał tak samo, tyle tylko, że miał małą plamkę w kąciку ust.

– Zbadano cię? – zapytał Tarek.

– Nie.

– To po co cię zabrał ze sobą?

– Żebym wypełnił ankietę.

– Ankietę! – powtórzył powoli Tarek. – Z czekolady, co?

Tego wieczoru Berus po raz pierwszy od dawna był umówiony z dziewczyną. Po służbie wyszukał numer byłej koleżanki z linii lotniczych, z którą się dobrze dogadywał. Była drobną osóbką z łagodnymi oczami i suchymi dłońmi. Na imię miała Jessica, ale to imię mu nie przeszkadzało. Dwa razy się przymierzał, żeby do niej zadzwonić, ale rezygnował. Dopiero za trzecim razem zebrał się wreszcie na odwagę. Właśnie wróciła do domu i nie miała żadnych planów. Kino? Tak, chętnie. A może pójdą gdzieś razem zjeść? A może i to, i to? Roześmiała się do słuchawki. Berus też się roześmiał i zdecydował, że pójdą do restauracji.

Tam Jessica opowiedziała mu szczegółowo najnowsze ploteczki z lotniska. Berus roześmiał się.

– Co za dziecinada! Oni wszyscy podchodzą do tego za poważnie. Cieszę się, że odszedłem.

– Dobrze zrobiłeś! – powiedziała Jessica i dotknęła przelotnie jego dłoni na stole. – A co teraz robisz?

– Pracuję przy pewnym projekcie badawczym na uniwersytecie. – Kiwnął widelcem. – Jestem kimś w rodzaju supervisora przy pewnym eksperymencie psychologicznym. – Zrobiła wielkie oczy. – Badamy skutki stresu grupowego u więźniów – wyjaśnił Berus.

– Muszę nadzorować uczestników eksperymentu, żeby wszystko przebiegało jak należy.

– Brzmi ciekawie.

– Bo i jest ciekawe. To odpowiedzialne zajęcie, można się dużo nauczyć, a i wynagrodzenie jest w porządku.

– A czy do tego nie jest potrzebne jakieś specjalne wykształcenie?

– Był dość ostry test kwalifikacyjny. Większość chętnych odpadła, pozostałych przyuczono, i to by było wszystko.

– No tak, prawie jak u nas.

– Podobnie. Z tym że u nas ma się do czynienia z nauką.

– A co będzie, gdy projekt się skończy?

– Poszukam sobie czegoś innego w tym stylu. Mam kilka planów. Ale wcale nie jest powiedziane, że eksperyment skończy się tak szybko.

Berus zjadł wegetariańskie danie, bardziej z przyzwyczajenia niż dla zasady. Od czasu do czasu ryzykował spojrzenie na biust Jessiki, który w stosunku do jej sylwetki był obfity i poruszał się, gdy mówiła. Zauważyła jego spojrzenia.

– I co? – zapytała. – Jak smakuje?

– Dobrze – wymamrotał.

– Nie sądziłam, że do mnie zadzwonisz – powiedziała między kęsami. – Wydajesz mi się jakiś odmieniony.

– Jak to?

– Odmieniony. Głos. Zmieniony. To pewnie z powodu tej nowej pracy.

Później, gdy wyszli z restauracji, szybkoitko przysunęła się i pocałowała go.

– Dziękuję za kolację. – Poczłł na swoim cieie jej biust i prawie automatycznie go dotknął, przytrzymał. Ona zamruczała cicho i znowu go pocałowała. – Chodź, odprowadź mnie do domu, dobrze?

mam papier, papier równa się łamanie zasad, papier równa się wolność, papier równa się pocałunek w dupę. berus może mnie pocałować, wytrzymam to wszystko, bo mogę to zapisać.

Tarek potrzęsnał dłonią i zwinął się na łóżku. Nie było łatwo pisać bez światła. Prawie nie widział papieru. Musiał go trzymać blisko oczu, by móc pisać w miarę małymi, czytelnymi literami.

– Co tam robisz, 77?

– Nic, wypełniam ankietę.

- Naruszasz zasady, numerze 77.
- Sram na zasady, numerze 69! Zamknij jadaczkę albo mi powiedz, co Berus od ciebie chciał! Kogo masz podkablować w zamian za batonik?
- Za jaki batonik?
- Nieważne. W takim razie najwidoczniej miałeś gówno na ustach. Ej, 38, śpisz już?
- Tak.
- Ty jesteś tu ekspertem. Powiedz mi, dlaczego wszystko tu funkcjonuje tak dobrze.
- Co niby funkcjonuje dobrze?
- Dlaczego wszyscy grają w tę grę? Przecież to tylko eksperyment. Przez jakiś czas niczego nie było słychać, tylko oddechy. A potem:
 - To jest przecież stara gra, 77. Każda armia świata ją zna. Jeśli chcesz nakłonić ludzi, by coś zrobili, czego nie chcą robić, a więc zabijać albo zostać zabijanymi, albo dać się zamknąć na ciasnej przestrzeni, jest tylko jedna metoda: totalny dryl. Całkowite zniszczenie indywidualności. Tutejsi strażnicy w porównaniu z prawdziwym drylem koszarowym są i tak jeszcze mało wyrefinowani. Ale mimo wszystko to działa, jak widzisz. Również w odniesieniu do ciebie.
- Nie, numerze 38. Nie w odniesieniu do mnie. Ja do tego nie należę. Ja tylko patrzę i zapisuję.
- Bądźcie wreszcie cicho!
- Jesteś największym tępakiem, jakiego kiedykolwiek spotkałem, 77. Działasz zupełnie jak my. Bo wszyscy wiemy, że jesteśmy więźniami. Bo wiemy, kto tu rządzi. Uważasz to wszystko tutaj za symulację, numerze 77, i na tym właśnie polega twój błąd. Jeśli siedzisz w symulatorze lotów i myślisz, że to tylko symulacja, to już przepadłeś. Stajesz się beztroski, nieskoncentrowany, a jak się zdarzy jakiś nagły wypadek, to raz-dwa i już po tobie. Takie jest prawo natury. Podczas latania szybko byś się nauczył, że nie ma ćwiczeń, zawsze jest na poważnie.
 - Gadasz bzdury, 38. Jestem wolny. Jak będę chciał odejść, to odejdę.
 - To spróbuj.
 - Uśmiejesz się, ale to zrobię. Już jutro.
 - Wsadźcie wreszcie mordy w kubeł, pieprzone świnię!

– O, popatrzcie! Numer 69 się odezwał! Hej, idź jeszcze raz wypełnić ankietę, ty czekoladowy puddingu.

W tej chwili, całkowicie bez ostrzeżenia, 69 zeskoczył z najwyższej pryczy i zaczął walić Tarka jak popadnie. Wszystko działo się tak szybko, że Tarek zupełnie stracił orientację. Ciosy były mocne, jeden następował szybko po drugim. 69 musiał mieć w tym chyba doświadczenie. Uderzał, nie zważając, w jakie części ciała trafia, walił po prostu, walił i sapał.

– Ty brudna Świnio! Z twojego powodu mam tylko przykrości! Jeszcze raz wypełniać ankietę? A żebyś wiedział!... A masz!... Pierdolony kebabie!... Ty brudna Świnio!

Tarek jęczał pod gradem ciosów, nie był w stanie krzyczeć, bo już przy pierwszych uderzeniach zabrakło mu powietrza, a więc się tylko zwinął, schował głowę i starał się to przetrzymać. Jak wszystko tutaj.

Ze środkowej pryczy zeskoczył 38 i szarpnął 69 do tyłu tak gwałtownie, że ten uderzył silnie ciałem o ścianę i krzyknął. W tym momencie zapaliło się światło.



Pomieszczenie, w którym przeprowadzano I wywiady, wyglądało jak wszystkie inne pomieszczenia. Takie same ściany z tworzywa, zapach plastiku, taka sama podłoga, która przy chodzeniu głucho dudniła. Gumowe klapki skrzypiały na niej, a buty strażników stukały. Jak wszędzie jaskrawe oświetlenie. Pomieszczenie bez cieni, jak wszystko w tym świecie. Pośrodku stół z trzema identycznymi krzesłami. Na jednym z krzesel siedział Tarek i czekał.

Drzwi się otworzyły, do środka weszli profesor Thon i jego asystentka Jutta. Za nimi strażnik od razu zamknął drzwi. Tarek wstał, żeby się przywitać, ale oni po prostu obeszlili stół i zasiedli po drugiej stronie. Asystentka postawiła na stole mały dyktafon i włączyła go.

– Dzień dobry, numerze 77 – zaczął Thon. – Chciał pan ze mną rozmawiać?

Tarek usiadł.

– Chodzi o numer 69.

– Proszę się do mnie zwracać „panie dyrektorze”, numerze 77. Już słyszałem, że podczas nocnej zmiany doszło między wami dwoma do konfliktu. Czy potrzebuje pan lekarza?

– Ja czuję się świetnie, panie dyrektorze – skłamał Tarek. Całe ciało miał pokryte siniakami, żebra bolały go, jakby miał zakwasy, w ręce stracił czucie, a w nocy zasypiał co najwyżej na pięć minut i zaraz się budził. W ogóle nie czuł się świetnie. – Wszystko spoko! Tylko się nie wyspałem. Miniona noc nie była zbyt spokojna.

– Próbował przypomnieć sobie zdania, które wcześniej ułożył. Przychodziło mu to z trudnością. Zazwyczaj nie potrzebował przygotowania, mówienie nigdy nie stanowiło dla niego problemu. Ale ta sytuacja była inna. Myśli jakieś brejowate. Dziwna trema. – Po tym jak 69 miał swój mały napad, zmiana nocna kazała nam robić pompki, aż nam się ręce prawie połamaly. Potem przez całą noc włączano i wyłączano światło. Włączone, wyłączone, włączone, wyłączone...

– Chce się pan poskarżyć na strażników, 77?

– Strażników? Tak czy siak. Ach, cholera, nie...

– Chce pan zostać przeniesiony do innej celi?

– Proszę mnie posłuchać! 69 nie czuje się dobrze. Już wczoraj zwracałem na to uwagę.

– Jak słyszałem, 69 twierdzi coś innego.

– Nie, już nie. Przed odliczaniem powiedział, że chce zostać stąd wypuszczony. Jest już zmęczony, wykończony, już dłużej nie da rady tu wytrzymać. I nie jest jedynym, panie dyrektorze.

– To dopiero trzeci dzień. Przyznaję, że sytuacja wywołuje nadmierny stres, ale zostaliście na to przygotowani.

Tarek jęknął i odrzucił w tył głowę.

– Niech pan porozmawia z 69. Proszę!

– Oczywiście, zaraz po rozmowie z panem. – Thon uśmiechnął się do niego od niechcienia. Tarek pozostał na krześle, oddychał ciężko i pocierał sobie dłonie o koszulę. – Coś jeszcze, numerze 77?

– Tak. Ja też chcę zostać stąd zwolniony. Zapłata nie jest dla mnie ważna. Przerwywam.

– Podpisał pan umowę, numerze 77.

– Jest mi wszystko jedno. Jestem tu dobrowolnie. Nie może mnie pan przetrzymywać tu wbrew mej woli.

Thon zamyślił się, a następnie zmierzył Tarka spojrzeniem.

– Owszem – powiedział powoli i bardzo wyraźnie.

– Mogę, zgodnie z paragrafem 3 naszej umowy. – Tarek dojrzał irytację na twarzy Jutty. Poprawiła się na krześle i chciała coś powiedzieć, ale Thon ją zignorował. – Został pan przecież aresztowany, a z więzienia nie można sobie tak po prostu wyjść, kiedy ma się na to ochotę.

Tarek przysunął się na krześle bliżej stołu, pochylił i wypowiedział szybko i pospiesznie zdania, które starannie obmyślił:

– Niech pan posłucha, doktorze Frankensteinie. Ja. Chcę. Stąd. Wyjść. Jestem dziennikarzem. Wszędzie opiszę, co tu się dzieje, opiszę ten wasz cały eksperyment, to pranie mózgow, a jeśli będziecie próbowali zatrzymać mnie tu na dłużej, to rozpętam przeciw wam taką kampanię medialną, że będziecie mogli przeprowadzać badania, ale we własnym nosie.

Opadł wyczerpany na oparcie krzesła, dając do zrozumienia, że wszystko już zostało powiedziane. Thon obrócił się w kierunku asystentki i wymienił z nią krótkie spojrzenia. Twarz Jutty pozostała bez wyrazu.

– Może pan teraz odejść, 77 – powiedział Thon. – Decyzję zarządu co do pańskiego zwolnienia podamy panu później do wiadomości.

Tarek nie zrozumiał.

– Chce pan przez to powiedzieć, że jeszcze ktoś decyduje w tej sprawie?

Thon uniósł rękę i w tej samej chwili strażnik otworzył drzwi.

– Więzień 77 może już zostać odprowadzony z powrotem do celi! – oznajmił Thon.

Dora podstawiała pod klamkę krzesło. Na wszelki wypadek. Spała w łóżku Tarka. Pościel była poplamiona, ale się tym nie przejmowała. Właśnie śnił się jej Tarek, gdy zbudził ją jakiś hałas. Przez kilka sekund nasłuchiwała bez ruchu, wstrzymując powietrze, czekała, w końcu kroki się oddaliły i była pewna, że poza nią nikogo nie ma w mieszkaniu.

Dziwnie pogodny nastrój ostatniego dnia nadal się utrzymywał. Dora odkryła skórzaną kurtkę Tarka, którą miał na sobie, gdy się poznali. Prawie na nią pasowała, więc ją założyła. W kieszeniach znalazła tylko pokruszone resztki orzeszków ziemnych i paragony z parkomatów. Wytrząsnęła kieszenie. Z torby podróżnej wyciągnęła walthera należącego do ojca. Kiedyś razem z Michaelem strzelała z tej broni w wykopanych przez koparkę dołach na terenie zwirowni. Sprawdziła pistolet i schowała go. Pasował całkiem nieźle do kieszeni kurtki. Ojciec Dory, gdy się zdecydował opuścić na zawsze Holandię, nie chciał brać ze sobą do Kanady tej starej broni, ale Dora ze względów sentymentalnych zapakowała ją z powrotem. Broń była zabezpieczona, magazynek znajdował się gdzieś w jej torebce. Stary znajomy przedmiot z małą siłą przebicia i niezbyt celny. Talizman, który łączył ją z Michaelem i który od roku zawsze brała ze sobą, gdy się udawała do Niemiec.

Szybko wyszła z mieszkania, poszukała postoju taksówek i pokazała trzem czekającym kierowcom zdjęcie, na którym był Tarek razem ze swoją rodziną. Ale tylko jeden z mężczyzn znał Tarka przelotnie. Poradził jej, żeby spróbowała w porze obiadowej w stołówce dla taksówkarzy. Zapisał jej adres.

Coś wisiało w powietrzu. Napięcie można było wyczuć prawie fizycznie. Nie wyprowadzono ich na spacer. I nie uprzedzono, że spaceru nie będzie. Po prostu pozostawiono ich w celach. Żaden z więźniów się nie skarżył, czasem tylko można było usłyszeć jakieś stłumione przekleństwo.

Zwiększyli ogrzewanie. Zrobiło się cieplej, na tyle przyjemnie, że koce stały się zbędne, ale temperatura nadal rosła. Robiło się coraz cieplej. Jeszcze cieplej. W końcu na koszulkach mieli z przodu i z tyłu wilgotne plamy od potu. Strażnicy ignorowali panujący upał.

Wyprowadzili z celi numer 69, z którym miał być przeprowadzony wywiad. Poszedł z nimi, jakby szedł gdziekolwiek po raz ostatni. Po krótkim czasie przyprowadzili go jednak z powrotem.

– No, jak było? Co powiedział profesor?

Numer 69 wzruszył ramionami. Nic nie powiedział. Siedział skulony na pryczy, podniósł wzrok, gdy strażnik przechodził obok celi. Siedział po prostu na pryczy, zatopiony w myślach, duchem obecny gdzie indziej, gdzieś, gdzie było piękniej.

– Rozpatrzą moje podanie.

– Co?

– Powiedzieli, że rozpatrzą moje podanie o zwolnienie.

Około wpół do dwunastej pojechała pod wskazany adres. Nie od razu udało się jej znaleźć stołówkę, ale dostrzegła taksy wjeżdżające w bramę i poszła w tym samym kierunku. Z zewnątrz budynek wyglądał jak stara hala przemysłowa, ale w środku była zwykła jadalnia. Lada ze stali szlachetnej, plastikowe stoły, krzesła, na ścianach kilka reprodukcji, w rogu parę donic z kwiatami. Wszystko bardzo czyste. Za punktem wydawania posiłków znajdowały się drzwi wahadłowe do kuchni. Daniem dnia, o czym informowała tablica, była pieczeń cebulowa. Tak też pachniało. Do lamp doczepione były serpentyny. Ze skrzeczących głośników płynęły hity karnawałowe. Nie działało się tu zbyt wiele.

Kilku kierowców siedziało w grupkach. Gdy weszła do środka, nikt nie zwrócił na nią uwagi.

Dora zagadnęła faceta, który napełniał miseczki surówką.

– Przepraszam, szukam tego mężczyzny.

Kucharz się roześmiał.

– Kim pani jest, agentem FBI?

– On nazywa się Tarek Fahd. Jest taksówkarzem.

– Tu nie ma szadnych taksówkarzy, tu są tylko sztepdanserzy. – Kucharz ze śpiewnym akcentem nadreńskim zatrząsł się ze śmiechu. – A więc, co myślisz, gdzie jesteś, dziewczyszyno? – zapytał, gdy udało mu się opanować wesołość. Wziął zdjęcie. – Który to sz nich?

– Ten z brzegu.

– Ten bocszny obrońca, cszo? Tak, zosztaw, jusz widzę. Co chcesz od niego?

– Muszę z nim porozmawiać.

Kucharz spojrział na nią ze współczuciem i oddał jej zdjęcie.

– Dziewczyszyno, nie szukaj nieszczęścia.

– Co ma pan na myśli?

Ktoś stojący za nią wyjął jej zdjęcie z ręki.

– Gównu ma na myśli.

Był to krępy mężczyzna w zatłuszczonej kurtce džinsowej. Patrzył na nią z przyklejonym uśmiechem na ustach. Stał obok punktu wydawania posiłków. Miał na sobie dzinsy z paskiem w indiańskie wzory ludowe, buty sportowe, bawełnianą koszulę w kratę, którą przewiązał pod szyją skórzanym rzemykiem jak fan country. Miał małe oczy z kurzymi łapkami. Wyglądał na silnego. Był nieogolony, a mimo to pachniał intensywnie wodą po goleniu Tabac.

– Chris Dresemann – przedstawił się i oddał jej zdjęcie. – Ale wszyscy nazywają mnie Drese.

– Zna pan Tarka?

– Pewnie. Od razu go rozpoznałem, jak wyciągnęłaś zdjęcie. Jesteśmy takimi kumplami – wygiął palce wskazujące w haczyki i zaczepił jeden o drugi.

– Czy ci ludzie na zdjęciu to jego rodzina?

– Tak przypuszczam. Ich nie znam. Co chcesz od Tarka? – Wzruszyła z zakłopotaniem ramionami. On skinął głową. – Nie mam pojęcia, co kobiety widzą w tym kebabie. Sorry, nie miałem nic złego na myśli. Już coś zamówiłaś? Chodź, zjedz coś. Tarka nie ma. Od dwóch dni się nie pokazał.

Nie mam pojęcia, gdzie się podziewa. Już zacząłem się martwić. Grek też, to znaczy nasz szef. A teraz ty.

Drese wcisnął Dorze do ręki tacę i poprowadził ją do wolnego stolika. Po chwili wstał i doniósł dwie szklanki coli.

– No, ale teraz już wcinaj. Smacznego.

Podanie odrzucono. Bosch powiedział im o tym krótko przed obiadem.

– Zgodnie z postanowieniem kierownictwa zakładu wszystkie podania o skrócenie kary aresztu zostały odrzucone. Komisja dyscyplinarna w związku z notorycznym naruszaniem zasad i niewłaściwym zachowaniem przedłużyła karę pozbawienia wolności o trzy dni następującym więźniom: 11, 74, 77 i 40.

– Co to ma znaczyć? – zawołał Tarek i zaczął szarpać kraty. – To niemożliwe! Nie wierzę! To nie może być prawda!

– Spokój, 77.

– To... Aua!

38 stanął za nim i obiema rękoma brutalnie ścisnął mu obojczyk.

– Bądź cicho! – wysyczał. – Zamknij mordę, do cholery!

Tarek uwolnił się z bolesnego chwytu.

– Aua! Już dobrze, człowieku, już dobrze, puść mnie!

– Cięgle jeszcze do ciebie nie dotarło? – zapytał poirytowany Steinhoff. – To nie jest symulacja. TO NIE JEST SYMULACJA!

Drese pochłaniał jedzenie, prawie nie przeżuając. Poczul, że Dora mu się przygląda, i uśmiechnął się do niej.

– Kim jesteś? Francuzką?

– Holenderką.

– Przyjemny akcent.

– Tarek nic nie powiedział, gdzie się wybiera?

– Nigdy nie mówi. Znasz go chyba? – Spojrzał na nią, odłożył nóż i widelec i wytarł sobie usta. – W ogóle nie jesz.

Włożyła sobie kęs do ust. Drese kiwnął zadowolony głową.

– Jest pan przyjacielem Tarka?

– Przyjacielem? Nie wiem. Może raczej kolegą. Tarek prawie nie ma przyjaciół. Załatwił mi robotę na taksówce u tego Greka, gdy wyleciał z redakcji.

– Z jakiej redakcji?

Drese spojrzał na nią nieufnie.

– Nie, nie ma tak dobrze. – Podniósł głos. – Wykładaj kawę na ławę. Kim jesteś? I czego chcesz?

Westchnęła.

– Znam Tarka od kilku dni. My razem... No cóż... A teraz gdzieś przepadł.

– ... i pieprzy następną. *Sorry*.

– Czy on taki jest?

– Nic nie powiem. Nie wtrącam się w jego sprawy!

Dora dłubała w jedzeniu.

– Jego sąsiadka powiedziała, że został aresztowany. W jednej chwili postura Dresego się zmieniła. Nie wykonywał zbyt wielu ruchów, ale Dora wyczuła, że całe jego ciało się spięło. Źrenice zmały, Drese zgarbił się nieco i schował dłonie pod stołem.

– Jak to aresztowany? – Nagle mówił ciszej.

– Powiedziała, że go aresztowano, ale byłam na policji, a tam twierdzą, że nic takiego nie miało miejsca. A mimo to go nie ma. Dziwne, co?

– Czy mieszkanie było przeszukane?

– Nie wiem. Panuje w nim taki bałagan, że trudno stwierdzić.

Drese zamyślił się, co widocznie było dla niego męczącym zajęciem. Na czole utworzyły mu się maleńkie kropelki potu.

– Zapytaj Zieglera, szefa Tarka z „Abendpost”. Jak Tarek gdzieś znika, to najczęściej ma to coś wspólnego z Zieglerem.

– Myślałam, że Tarek stamtąd wyleciał.

Drese wzruszył ramionami.

– Ja bym spróbował u Zieglera. I zadzwoń potem do mnie.

W ciągu popołudniowej zmiany znowu zrobiło się chłodniej, a dwóch więźniów trzeba było wyprowadzić. Jednym był numer 53. Po tym jak

wyszedł z czarnej skrzynki, przesiedział cały dzień w swojej celi pogrążony w apatii, z nikim nie rozmawiał, i nagle dostał ataku wściekłości, rozniósł na kawałki wszystko, co znajdowało się w celi. Krzyczał, kopał i walił wszystko wokół siebie, nie czując ran, które sam sobie zadawał. Jego towarzysze z celi przylgnęli do krat i wołali o pomoc. Strażnicy czekali jednak, aż numer 53 się uspokoi. W końcu 53 rzucił się, szlochając i jęcząc, na podłogę.

Strażnicy w trójkę wyciągnęli go po gładkiej posadzce z celi.

Drugim więźniem był 69. Od obiadu się nie ruszył. Tarek chciał sprawdzić, co się z nim dzieje, i wtedy to zobaczył. Twarz numeru 69 była silnie zaczerwieniona, spuchnięta i pokryta krostami, podobnie też dłonie, ramiona i całe nogi. Numer 69 nie reagował na to, co się do niego mówiło. Szeptał tylko coś sam do siebie. Tarek wszczął alarm. Przyszli strażnicy, założyli gumowe rękawiczki i wynieśli 69 na zewnątrz.

Dla numerów 53 i 69 eksperyment się zakończył.

Dla pozostałych dziewięciu więźniów trwał nadal.

Dora znalazła budynek redakcji „Abendpost” bez problemu, ale Zieglera nie zastała. Podobno miał spotkanie na mieście. Usiadła na fotelu z czerwonej skóry i czekała. Recepcjonistka zerkała na nią, żując gumę.

– Napije się pani kawy czy czegoś innego?

Nie zabrzmiało to jak zaproszenie.

– Nie, dziękuję. Po prostu poczekam, jeśli mogę.

– Proszę.

Ludzie wchodzili i wychodzili, było ich wielu, w większości bardzo młodzi. Każdy spoglądał na Dorę, ale nikt jej nie zagadnął. Po południu recepcjonistka nieoczekiwanie powiedziała Dorze, żeby poszła na górę.

– Pan Ziegler czeka na panią.

Piąte piętro. Biuro pełne papieru. Dwa telefony, które cały czas dzwoniły. Między nimi potężnie zbudowany łysy facet w półrozpiętej koszuli, który dziko walił w klawiaturę. Na prawo od biurka Dora dostrzegła butelkę whisky.

– Czego pani chce od Tarka? – zaszczekał łysol, zanim jeszcze zdążyła przekroczyć próg.

– Szukam go.

– Ma pani pecha. Ja też nie wiem, gdzie on się teraz znajduje. Życzę pani miłego dnia.

– Pan Drese powiedział, że może mógłby mi pan pomóc.

– Nie znam żadnego pana Drese. A słowo „może” równie dobrze może oznaczać „nie może”.

Ziegler z zacięciem pracował dalej. Dora stała w drzwiach.

– Bardzo pana proszę!

Łysol chyba po raz pierwszy od lat usłyszał to słowo, bo na chwilę przerwał pisaninę i spojrzał na Dorę.

– Niech pani usiądzie – zaszczekał. – No, niech pani siada. Poznaję panią z przyjęcia. Dokładnie, to pani! Nie zapominam twarzy! Ale mimo to ma pani pecha. Od tego wieczoru nic o nim nie słyszałem. Nie widziałem, nie słyszałem, *sorry*.

– Ale on przecież dla pana pracował, prawda?

– Tak, póki mnie nie wydymał z tym zdjęciem.

Skoro facet zachował dla siebie tę megahistorię, to logiczne, że go wyrzuciłem, co? Co jest? Czy to on panią przysłał?

Dora pokręciła głową i opowiedziała, czego dowiedziała się od sąsiadki Tarka. Ziegler zdziwił się, ale bardziej tym, że policja o niczym nie wie, niż tym, że Tarek został aresztowany. Najwidoczniej coś takiego by do Tarka pasowało.

– I pan naprawdę nie wie, gdzie... – ponownie zapytała Dora.

– Posłuchaj, dziewczyno, zazwyczaj to ja stawiam pytania. Wpadasz tu jak bomba i wiercisz mi w brzuchu dziurę pytaniami o Tarka. Co to ma być, przesłuchanie? Materiał na artykuł dla Tarka? Nie mam najmniejszego pojęcia, gdzie facet się zapodział. Ale ponieważ masz taki miłutki akcent, rozpytam się. Ale ty wyświadcz mi przysługę i namów go, żeby znowu dla mnie pisał. Był jednym z moich najlepszych reporterów, jednym z najlepszych, jacy są. A jeśli Ziegler mówi coś takiego, to wiele znaczy. Powiedz mu, że zapomniałem już ‘o tej sprawie ze zdjęciem. A teraz dziękuję za rozmowę, cześć, jestem zajęty.

– O jakim zdjęciu pan mówi?

– On już będzie wiedział. – Ziegler machnął ręką i dalej walił w klawiaturę. Dora wstała. Gdy znalazła się w drzwiach, Ziegler gwizdnął na nią, żeby wróciła. – Znasz jego siostrę? – zapytał.

– Nie.

– Tak sobie pomyślałem, że dopiero zaczynasz. Tu, chodź, dam ci adres, bo przedtem tak grzecznie powiedziałaś „proszę”. Jeśli ktoś coś wie o Tarku, to na pewno jego siostra.

Późnym popołudniem po ostatnich wykładach campus robił wrażenie wymarłego. Klockowate budynki przypominały bunkry. W popołudniowym słońcu robiły wrażenie większych i groźnie na siebie nachodzących. W minionym tygodniu została zgwałcona studentka z wydziału biologii. A jeszcze tydzień wcześniej z jedenastego piętra kliniki rzucił się jakiś student. Już drugi w tym roku, a był dopiero luty.

Na czwartym piętrze Instytutu Psychologii ciągle jeszcze pracowano. Z pomieszczenia komputerowego docierał szum wentylatorów i klikanie na klawiaturach. W „mózdżku” profesora Thona odbywała się narada.

– No i jak? – zapytał Jurgen von Seth, zdejmując płaszcz.

Thon wymienił spojrzenia z asystentką.

– Właściwie zgodnie z oczekiwaniami – odpowiedział. – Za wyjątkiem kilku nieprzewidzianych komplikacji.

– Jakich komplikacji?

– Zacznę tak: analiza pierwszych obserwacji i danych pomiarowych przyniosła nadzwyczajnie ciekawe tymczasowe wyniki. Uczestnicy eksperymentu bardzo szybko przystosowali się do sytuacji. Strażnicy zachowują się aktywnie, dominująco, władczo, usiłują kontrolować sytuację. Więźniowie natomiast są bierni, posłuszni, zależni, bezradni. Występują indywidualne różnice, ale jak na razie taka jest główna tendencja.

Jutta Grimm wykorzystała krótką przerwę w wypowiedzi profesora Thona i zabrała głos:

– Na początku eksperymentu więźniowie próbowali się w pewnym zakresie sprzeciwić. Strażnicy złamali jednak ich sprzeciw i od tej pory wszyscy więźniowie czują się tak, jakby faktycznie byli więźniami. Potwierdzają to wywiady, które przeprowadziliśmy. Nastąpiło to

zadziwiająco szybko. Nie spodziewaliśmy się takiego tempa. Pomiar adrenaliny i noradrenaliny w moczu i poziom kortyzonu w ślinie wskazują na drastyczny wzrost stresu u więźniów. U strażników poziomy te są znacznie niższe. Ku naszemu zaskoczeniu samoocena wszystkich uczestników eksperymentu, a więc więźniów i strażników, jest niższa niż przed eksperymentem.

– Interesujące jest też zachowanie naszych studentów prowadzących nadzór – uzupełnił Thon. – Podczas pierwszych konfliktów między strażnikami i więźniami chcieli interweniować, ale gdy im powiedziałem, że eksperyment wymaga, aby zachowywali się jak najbardziej neutralnie, przyglądają się tylko. Powinniśmy się zastanowić, czy by w przyszłości nie rozszerzyć eksperymentu poprzez wprowadzenie trzeciej grupy.

Von Seth przytaknął.

– Wszystko dobrze, ale co to za komplikacje?

– Musieliśmy zwolnić trzech uczestników eksperymentu z grupy więźniów – kontynuował Thon. – Dwóch z nich bardzo wcześnie wykazało tendencje depresyjne. Ataki krzyku, stany lękowe, apatia i tak dalej. Pierwszy uczestnik po pierwszym dniu, drugi dzień później. W przypadku trzeciej osoby zrobiliśmy test. Więzień prosił, żeby go zwolniono z dalszego uczestnictwa w eksperymencie. Był nawet gotowy zrezygnować z wszelkiego wynagrodzenia. Jego prośbę pozornie odrzuciliśmy, powołując się na decyzję dyrekcji więzienia. Tylko tak, żeby sprawdzić jego reakcję. Byliśmy ciekawi, czy będzie się buntował, czy się podporządkuje. Stało się jednak coś zupełnie innego. Uczestnik ten dostał wysypki skórnej o podłożu psychosomatycznym. Musieliśmy go skierować do szpitala.

Von Seth lekko uniósł brwi. Thon mówił dalej:

– Jeden ze strażników natomiast w poufnej rozmowie prosił, żeby go także zwolnić z uczestnictwa w eksperymencie. Ale Jutta na szczęście przekonała go, żeby został. Jeden z więźniów podał się za dziennikarza i groził nam negatywną kampanią prasową, jeśli go nie zwolnimy. Bardzo oryginalne.

– A jeśli naprawdę jest dziennikarzem?

– Wszystko jedno. Nie pozwolę, żeby mi groził. Poza tym byłoby lepiej, gdyby mógł się wypowiadać publicznie na ten temat dopiero po skończeniu eksperymentu.

Von Seth przytaknął.

– A jak tam nasz człowiek?

– Robi wrażenie spokojnego i opanowanego. Lekki wzrost adrenaliny i kortyzonu, ale nie tak drastyczny jak u innych.

– Bardzo dobrze. Nie rozumiem, gdzie pan dostrzega komplikacje. Gdy przyszedłem, myślałem, że chce pan przerwać eksperyment.

– Faktycznie dyskutowaliśmy na ten temat – przytaknęła Jutta Grimm, a Thon kiwnął głową. – Stres, jaki przeżywają uczestnicy eksperymentu, jest większy, niż zakładaliśmy. Trzy osoby odpadły zaraz na początku, a sytuacja w laboratorium robi się coraz bardziej napięta. Policzyliśmy częstotliwość i intensywność autorytarnych zachowań u strażników i stwierdziliśmy gwałtowny wzrost. Jeśli tak będzie dalej, to ta reakcja psychosomatyczna może być zaledwie początkiem. Ja osobiście jestem zdania, że w tej chwili nie da się oszacować ryzyka zdrowotnego, jakie ponoszą uczestnicy, i że eksperyment powinien przynajmniej zostać przerwany, żebyśmy mogli jeszcze popracować nad jego planem. Może niechcący wprowadziliśmy jakąś zmienną, która spowodowała całkiem inne efekty.

– Wręcz przeciwnie! – zawołał von Seth. – Zachowanie obu grup odpowiada całkowicie relacjom żołnierzy, którzy byli więzieni. Czy ty, Claus, też jesteś zdania, że należy przerwać eksperyment?

Thon zamyślił się.

– Nie – powiedział w końcu. – Jedynie na ten temat dyskutowaliśmy. Po pierwsze, sędzę, że poziom stresu wprawdzie rośnie, ale wkrótce się ustabilizuje. Nazywam to fazą niestabilności, jaką znamy z termodynamiki i samoregulujących się systemów. Do systemu jest dostarczana energia i w ten sposób wyprowadza się go z równowagi. W punkcie najwyższej niestabilności, gdy system balansuje na samym, że tak powiem, wierzchołku krzywej, wystarczy minimalne zakłócenie, a system przechodzi w nowy, stabilny stan. Skała stacza się po górze z obojętnie której strony, a znalazłszy się w dolinie, osiąga stan spoczynku. Nazywam to regułą Syzyfa, samoregulujących się systemów. Z cybernetycznego punktu widzenia mózg jest czarną skrzynką, zamkniętym systemem, którego zasadę działania można przeanalizować jedynie poprzez powodowanie z zewnątrz zakłóceń w jego pracy i wyprowadzanie ze stanu równowagi. Tylko reakcja na dane zakłócenie pozwala wyciągnąć wnioski co do sposobu funkcjonowania systemu. Pod tym względem eksperyment

spełnia jak dotychczas moje oczekiwania, chociaż niektóre zachowania uczestników bywają drastyczne. Jednocześnie rozumiem skrupuły pani doktor Grimm. Z jednej strony bardzo trudno było przekonać komisję do spraw etyki, że nie zabawiamy się tu we Frankensteiną czy coś w tym rodzaju. Z drugiej strony z projektem związane są stypendia badawcze, etaty, prace dyplomowe, dysertacje i dość znaczne wsparcie finansowe. Do tego presja czasu wywierana przez konkurujące grupy. Krótko: jak na tę chwilę nie zgadzam się na przerwanie eksperymentu. Myślę też, że mamy nawet okazję przetestować, jak duża jest gotowość do posłuszeństwa u niektórych uczestników eksperymentu.

Jutta Grimm zamknęła oczy, odchyliła głowę do tyłu i pokręciła nią lekko.

– Cieszy mnie, że tak myślisz, Claus – powiedział von Seth. – Zgadzam się z tobą w zupełności. Choć także podzielam wątpliwości pani doktor...

– Grimm!

Von Seth uśmiechnął się do niej.

– Pani doktor, w pełni podzielam pani wątpliwości. W końcu tam na dole mamy też jednego z naszych ludzi. Ale przerwanie eksperymentu również dla nas nie wchodzi w rachubę.

– Gdyby sytuacja miała dalej eskalować... – wtrącił Thon.

– ... to wtedy oczywiście wszystko jeszcze raz przeanalizujemy i podejmiemy decyzję – von Seth dokończył zdanie za niego. – Na razie kontynuujemy to, co zaczęliśmy.

Dora jeszcze kilka razy próbowała dodzwonić się na numer, który dał jej Ziegler, ale za każdym razem zgłaszała się automatyczna sekretarka, na której nagrany był męski głos, a Dora nie mogła się zdecydować, żeby zostawić wiadomość.

Mieszkanie Tarka wydawało jej się teraz mniej nieprzyjemne niż na początku. Rano otworzyła szeroko okna i stęchły zapach się ulotnił. Wraz z dziennym światłem zniknęła też jej pewność siebie, którą czuła jeszcze przed południem. Poszukiwanie Tarka wydało jej się nagle absurdalne. Co nią właściwie kierowało? Czy było to coś więcej niż romantyczny porów serca?

Zadzwoiła Hendrikje.

- I co udało ci się osiągnąć?
- Nic.
- Jak się czujesz?
- Bezsilna. Zmęczona. Bezradna. Całkiem skołowana.
- Tak się objawia zakochanie. Kiedy wracasz?
- Wkrótce, Rikje. Wkrótce.
- A Dennis?
- Coś wymyśl, dobrze? Proszę!

Nadal próbowała się dodzwonić do siostry Tarka, ale nikt nie odbierał. Siedziała w maleńkiej kuchni i piła turecką mokrę. Pozmywała naczynia, a potem przespacerowała się po mieszkaniu. Żeby mieć zajęcie, pozbierała ubrania z podłogi na jedną kupkę, powyrzucała puste butelki i opakowania. Nie tyle z zamiłowania do porządku, lecz żeby łatwiej jej było poruszać się po mieszkaniu. Potem zaczęła szukać. Skoro nie mogła znaleźć Tarka osobiście, chciała znaleźć go w jego ubraniach, książkach, wodzie po goleniu, w nadawcach pocztówek, które poutykane były na szafkach kuchennych, w kopiach jego artykułów, segregatorach, zdjęciach, które leżały porozkładane dookoła lub pochowane w wysokich kartonach.

Pomyślała o Michaelu i porównała go z Tarkiem. Tak mało podobieństwa. A mimo to... Mimowolnie potrząsnęła głową. W oczach stanęły jej łzy. Zawsze stawały niezależnie od jej woli. Żeby się nie rozpłakać, ponownie wybrała numer.

– Słucham – po trzecim sygnale w słuchawce rozległ się zadyszany męski głos.

Czas był ciasną pustynią o zapachu potu i nudy. Przerywały go jedynie krótkie burze z wyładowaniami pod postacią krzyków i paniki. Nagle znowu tu byli. Wpadli na korytarz, wykrzykiwali komendy, uderzali pałkami w kraty.

– WYCHODZIĆ! WSZYSCY WYCHODZIĆ! USTAWIĆ SIĘ!

Natychmiast przyspieszał puls. Wszyscy się uwijali. Byle nie być ostatnim. Ostatni zawsze obrywał. Pospiesznie wychodzili z cel, potracali się, deptali sobie po stopach, przepychali się, gdy nie było dość miejsca.

– Kolejno odlicz!

- Raz! – Dwa! – Trzy! – Cztery! – Pięć! – Sześć!
- Siedem! – Osiem! – Dziewięć! – Dziesięć! – Jedenaście! – Dwanaście!
- Czy ktoś jest chory?

Po prostu stali ze spuszczonego wzrokiem, unikając spojrzeń strażników, patrzyli tylko w podłogę, płytko oddychali.

- Numer 86, jesteś chory?
- Nie, panie strażniku więzienny!
- Co z tobą, 77, jesteś chory?
- Nie, panie strażniku więzienny!

Berus podszedł do Tarka i popukał go po głowie.

- Ale cię głowa swędzi, co, 77?
- Już wszystko w porządku, panie strażniku więzienny!
- Co żeś taki nieśmiały, 77? Przyniosłem coś specjalnie dla ciebie!

Berus wyciągnął z kieszeni maszynkę do strzyżenia i podetkał ją Tarkowi pod nos. Urządzenie zaszumiało. Jeden ze strażników wniósł krzesło, posadzili na nim Tarka na siłę. Tarek bronił się, ale strażnicy trzymali go mocno.

– Spokój, numerze 77! – Berus zerwał mu czepek z głowy. – Spokój, albo zaraz pójdziesz do izolatki.

Inni więźniowie stali w szeregu i przyglądali się, jak włosy Tarka spadają na podłogę grubymi czarnymi kosmykami.

– Sprytny jesteś, numerze 77, co? – Tarek nie odpowiedział. – Tak, tak, myślisz, że jesteś nie wiadomo jak sprytny! Myślisz, że możesz robić wszystko, co chcesz! Ale tu wszyscy są równi, rozumiesz? Tu nie ma żadnych spryciarzy ani żadnych głupców, rozumiesz? Tu są tylko strażnicy i więźniowie. A kim ty jesteś, 77?

- Więżniem, panie strażniku więzienny.
- Dokładnie! Więżniem. I nie bez powodu! Za co cię wsadzili, 77?
- Ponieważ się dobrowolnie zgłosiłem, panie strażniku więzienny.
- Nie, 77! Ponieważ zostałeś skazany! Wszyscy zostaliście skazani! Za co zostałeś skazany, 77?
- Narkotyki, kradzież, uszkodzenie ciała.

– No, no, już po samym wyglądzie można się domyślić, 77. Typowy złodziej. A dlaczego ty tu jesteś, 82?... Hej, 82!

– Nie pamiętam.

– Nie pamiętasz! Ale powinieneś pamiętać! Przypomnij sobie, 82!

– Chyba za kradzież z włamaniem i rozbój.

– A ty, 38?

– Oszustwo, panie strażniku więzienny!

Berus z obrzydzeniem wykrzywił twarz i pokręcił głową. Cofnął się o krok i popatrzył na swoje dzieło. Głowa Tarka była prawie kompletnie łysa. Resztę Berus zgolił elektryczną maszynką do golenia, którą rano wszyscy się golili.

– Znaleźliście się tu, ponieważ naruszyliście prawo! Dostaliście czternaście dni. A jak którego będzie swędzić, to mu pomożemy tak szybko, jak numerowi 77!

Berus pacnął Tarka w łysą, miękką skórę głowy, która w kilku miejscach była zaczerwieniona, i z powrotem nałożył mu gumowy czepek.

– No, 77, teraz już cię nie będzie swędzić!... Odmaszerować!

Dora wjechała windą na trzecie piętro i przekroczyła szklane drzwi z napisem „Neurologia II”. Korytarz z wypastowaną do połysku podłogą był pusty i ciemny. Słabo migwały jedynie dwie lampy awaryjne. Z otwartego pokoju pielęgniarek padało przytłumione światło. Dora zapukała nieśmiało i zajrzała do pomieszczenia.

W środku siedziały trzy kobiety w strojach pielęgniarek i piły herbatę. Na dźwięk pukania jedna z nich wstała i podeszła do Dory. Dora rozpoznała ją natychmiast jako kobietę ze zdjęcia.

– Pani Fahd? – zapytała Dora z ociąganiem. – Nie chcę przeszkadzać, ale pani mąż powiedział mi przez telefon, że panią tu znajdę.

– Wiem, właśnie dzwonił – powiedziała siostra Tarka i poprosiła Dorę do środka. – Pani szuka Tarka, prawda?

Dora kiwnęła głową.

Siostra Tarka dała koleżankom ukradkowy znak i obie kobiety wyszły z pokoju.

– Napije się pani herbaty? – zapytała.

– Bardzo chętnie.

Gdy Dora nalewała sobie herbaty, czuła, że siostra Tarka ją obserwuje. Zaczęła czuć się niezręcznie.

– Niech pani dużo posłodzi, ta herbata jest bardzo mocna. – Dora posłodziła herbatę i zamieszała. Filiżanka cicho zabręczała, dźwięk rozszedł się po pokoju. Siostra Tarka westchnęła. – Dlaczego szuka pani mojego brata? – Dora z zakłopotaniem wzruszyła ramionami, chciała coś powiedzieć, ale Sina jej przerwała. – A tak w ogóle, mam na imię Sina.

Dora uśmiechnęła się niepewnie i kiwnęła głową.

– A ja Dora. Dlaczego pani tak na mnie patrzy?

Sina również się uśmiechnęła.

– Bo jest pani inna niż kobiety, które czasem się o niego wypytywały. Żadna z nich nie przyszła do mnie do szpitala i żadna nie była taka jak pani.

– Jaka zatem jestem?

– Jeszcze nie wiem. Inna. Jest pani spod znaku Ryb?

Dora przytaknęła.

– Tak sobie pomyślałam. Niech mi pani opowie, jak pani poznała Tarka, pani Doro.

Opowieść nie była długa. Dora opowiedziała o przyjęciu zorganizowanym przez wydawnictwo. Mówiła cicho i szybko, nagle się zająknęła, wykrzywiła usta w sposób, który zawsze irytował Hendrikje, zamyśliła się na moment, a potem mówiła dalej. Gdy skończyła, objęła dłońmi filiżankę i zaczęła pić ledwo ciepłą, słodką herbatę.

Milczały. Sina starannie odgarnęła włosy do tyłu. Dora mimowolnie powtórzyła ten gest. Uśmiechnęły się do siebie nawzajem.

– Wiem, gdzie jest Tarek – powiedziała po chwili Sina. – Ale teraz raczej trudno byłoby się z nim spotkać.

Opowiedziała o eksperymencie. Dora nie od razu zrozumiała, o jakim eksperymencie jest mowa. Kilkakrotnie dopytywała się o szczegóły, sądząc, że niezrozumienie wynika z jej niedoskonałej znajomości niemieckiego.

– Ależ nie, rozumiała pani dobrze – powiedziała Sina. – To coś w rodzaju więzienia.

– Dlaczego on to robi?

Sina machnęła ręką.

– Z Tarkiem to nigdy nic nie wiadomo. Może powinnam pani coś o nim powiedzieć. Chce pani posłuchać?

– Nie przeszkadzam? Pani jest w pracy...

Sina machnęła ręką.

– Dziś jest spokojna noc. Zna pani historię z ciemnią?

Dora pokręciła głową.

– Nasz ojciec jest fotografem. Niech pani sobie wyobrazi renomowanego fotografa mody i reklamy. Wszyscy odczuwali lęk przed jego perfekcjonizmem i napadami wściekłości. Taki po prostu był, cały on. Gdy Tarek miał dziewięć lat, ojciec zamknął go na cały dzień w ciemni. Na cały dzień, rozumie pani? Tarek bawił się i zepsuł cenny, oryginalny negatyw. Ojciec się wściekł, może to pani sobie wyobrazić. A potem zamknął Tarka w ciemni, a do tego wykręcił korki. Cały dzień w tej ciemnej dziurze. Cały, calutki dzień. W zapachu odczynników i tego typu rzeczy. Tarek ze strachu narobił w spodnie i zwymiotował. Krzyczał i walił w drzwi, ale nie mogłam mu pomóc, nie miałam odwagi, a matki nie było w domu. Ojciec pozostawił go tam po prostu samemu sobie. Byłam pewna, że Tarek musi umrzeć.

– Jutro już się to wszystko dla ciebie skończy – szepnął Steinhoff w ciemności.

– Co masz na myśli?

– Jutro stąd wyjdiesz. To oczywiste, po tym incydencie z goleniem. Jak cię Thon zobaczy, natychmiast cię puści. Jutro będziesz wolny. 12 i 82 też już są gotowi. Dzisiaj wyglądali na totalnie zgnębionych.

– Skoro tak łatwo stąd wyjść, to dlaczego ty tu zostajesz?

– Bo tego wymaga ćwiczenie. I ponieważ to najlepsza taktyka. Zachowywać się spokojnie, nie marnować energii i czekać na pomoc. To zawsze jest najlepsza taktyka.

– Bzdura! Ugotowali cię na miękko w tym twoim klubie. Kto czeka, prędzej zapleśnieje, niż się doczeka pomocy. Jak sam coś robisz, to się przynajmniej coś dzieje.

– Tyle że ja się najpierw zastanowię, zanim coś zrobię, w przeciwieństwie do ciebie. I decyduję się na najbardziej rozsądną strażę: siedzieć cicho i przeczekać.

– Nie, po prostu czułbyś się głupio, gdybyś przerwał. Tak czy nie? – Steinhoff milczał. Tarek ściągnął gumowy czepek i podrapał się po głowie, gdzie skóra była podrażniona i dokuczliwie swędziała. – A ja uważałem cię za twardziela, 38. Czy nigdy nie zrobiłeś niczego, co by było niezgodne z poleceniem? Nigdy nie zrobiłeś czegoś szalonego, nie poważyłeś się na żaden bunt, udowadniając w ten sposób, że potrafisz postawić na swoim?

Steinhoff milczał przez chwilę.

– Owszem – powiedział w końcu. – Raz, w wieku szesnastu lat. Miałem wtedy wykonać pierwsze samodzielne loty szybowcem. Mój nauczyciel latania był starym piernikiem, którego w czasie wojny dwa razy zestrzelono nad Kanałem. Tysiące godzin lotu. Taki ktoś, kto wszystko przeżył. Absolutny autorytet. Do dziś w krytycznych sytuacjach mniej myślę o niebezpieczeństwie niż o jego opieprzu, jaki mnie czekał, gdy coś schrzałem. Podczas pierwszego samodzielnego lotu myślałem tylko o tym, żeby wszystko zrobić prawidłowo! Podczas drugiego lotu kazał mi przez radio zrobić kręgi w lewo. A ja zrobiłem w prawo. Piękne, okrągłe kręgi w prawo. Po lądowaniu mnie opieprzył. I to jak! Co to był za ochrzan! Pomylenie prawej strony z lewą może być śmiertelną pomyłką. „Dlaczego to zrobiłeś, chłopcze?”, krzyczał. A ja, szesnastolatek, wiesz, totalny szczawik, pełne spodnie, powiedziałem tylko: „Bo tak chciałem”. W tej jednej chwili na górze zrozumiałem bowiem jedno. Że to ja jestem pilotem, nikt inny, tylko ja! Że teraz sam, po raz pierwszy, muszę podejmować decyzje dotyczące mojego życia. On to zrozumiał i pozwolił mi dalej latać.

– Brawo, 38. Niestety, nie na wiele się to zdało. Myślisz, że jak raz się odważyłeś, to wystarczy. Ale jak tylko ktoś wydaje komendę, to od razu w trymiga stajesz na baczność. Jesteś jak automat, 38.

– Bzdura. To ja decyduję, co robię. Robię, co chcę, stoję na baczność albo nie, rozumiesz?

– Bła, bła.

– Czego się wkurzasz? Jutro cię już tu nie będzie, łysa pało.

– Nie odejdę.

– Że co? – Steinhoff wychylił się za brzeg pryczy. – To by była z twojej strony skrajna głupota.

– Może. Berus chce mnie wykończyć. Zawsze na kogoś pada. Jestem pewny, że 69 dostał od Berusa batonik, żeby mi wpieprzył. Chcę się stąd

wydostać, ale mając poczucie, że nikt mnie tu nie poniżył, rozumiesz?

– Nie. To idiotyzm.

– Ty tak mówisz. To równie idiotyczne co kręgi w prawo. Muszę to zrobić. Muszę tu wytrzymać. Tkwimy tu jak muchy w pajęczynie utkanej z apatii, otępienia i strachu. Musimy się poruszać. Jeśli nie będziemy się poruszać, to jesteśmy martwi.

– Jesteś idiotą, 77. Nie rozumiesz? Tak funkcjonuje świat. Przypadek decyduje, czy jesteś więźniem, czy strażnikiem, a potem działa program i nie możesz nic zrobić. Jestem automatem? *Okay!* Mówię ci: wszyscy jesteśmy automatami.

– Nie, 38. Nie, jeśli potrafimy wykonywać kręgi w prawo. I nie wtedy, kiedy następnego dnia czekają nas odwiedziny.



Drese pojawił się bardzo wcześnie, dzwonił natarczywie, póki Dora nie otworzyła. Nie czekając na zaproszenie, minął ją i wszedł do mieszkania.

– Miałaś do mnie zadzwonić. – Obszedł mieszkanie, zaglądając do wszystkich pomieszczeń. – Posprzątałaś tu, czy może on?

– Ja.

Kiwnął głową, jakby usłyszał właściwą odpowiedź.

– Tarek jest bałaganierzem. Zero organizacji. Zawsze wszystko zaczyna i nic nie kończy. Nie ma celu. Jest po prostu zbyt miękki. – Drese wsadził ręce do kieszeni, jakby mu było zimno, odwrócił się, oparł o futrynę drzwi i machał połami kurtki. – Powiedziałem mu: „Ej, Tarek, jesteś zbyt miękki. Musisz być większym egoistą”.

– Wydawał mi się wystarczającym egoistą.

Drese oderwał się od drzwi i zrobił krok w kierunku Dory.

– I co? Dowiedziałaś się czegoś od Zieglera?

Opowiedziała mu. O rozmowie z Siną nie wspomniała, ale poinformowała Dresego, gdzie aktualnie przebywa Tarek.

Dresemu zadrgały policzki.

– Dlaczego on robi coś tak głupiego? – zapytał. – Odbiło mu? Dobrowolnie idzie do więzienia. Kto pozwala zamknąć się dobrowolnie w więzieniu?

– Tarek.

– Tak, dokładnie, hm. Nikt inny, tylko Tarek. – Wyciągnął z kieszeni gumę do żucia. – Chcesz jedną? – Dora pokręciła głową. – Bez cukru!

– Nie, dziękuję.

– Masz kawę? Dobrze by mi zrobiła. Czarna!... Dlaczego on robi coś takiego?

Dora podała mu kubek z kawą.

– Dlaczego Tarek wyleciał z redakcji? – zapytała.

Drese dmuchał w skupieniu w swoją kawę. Na czole wystąpiła mu mała żyłka.

– Stara historia. Pracował nad jedną sprawą, ale nic na ten temat nie powiedział. Nigdy tego nie robi. Nie mam pojęcia, o co chodziło. A Ziegler to Świnia. Czy coś o mnie... ? – Dora pokręciła głową. – Na pewno coś mówił. Ale to kłamca. Nie zamierzam być kozłem ofiarnym, jasne? Nie dla niego i nie dla Tarka.

Dora chciała go jeszcze o coś spytać, ale w tym momencie zadzwoniła jej komórka. Odebrała, nie mówiła dużo, tylko słuchała, a potem nagle przerwała swojej rozmówczyni.

– W porządku. Zaraz przyjadę.

– Tarek? – zapytał Drese, gdy Dora schowała komórkę do torebki i założyła skórzaną kurtkę Tarka.

– Nie, przyjaciółka. Muszę teraz wyjść.

Drese zaczął nieco szybciej pić kawę.

– A dokąd? Mogę cię podwieźć.

– Dziękuję, nie trzeba. Naprawdę muszę już wyjść!

Drese odstawił powoli kubek z kawą i kiwnął głową.

– Jasne.

Gdy znaleźli się na zewnątrz, a Dora się pożegnała i chciała odejść do swojego samochodu, Drese ją jeszcze przytrzymał.

– Zadzwonisz do mnie? – zapytał.

– Tak.

– Czy mi właściwie ufasz? – dodał, nadal ją mocno trzymając.

– Puść mnie, proszę, to naprawdę pilna sprawa.

– Ufasz mi?

– Tak!

Drese kiwnął z powagą głową.

– Bo zaufanie jest bardzo ważne. Zaufanie i przyjaciele. Ważni są przyjaciele, którym można ufać. Zwłaszcza jeśli potrzebna jest pomoc. Rozumiesz?

cały czas zapalone światło, spanie możliwe tylko w skulonej pozycji, z twarzą ku ścianie, z ramieniem założonym na głowę, aż drętwieją mięśnie, gdy wreszcie przyjdzie sen, to w krótkich odcinkach, parominutowych, pełen koszmarów, ale żadnego nie pamiętam, próbuję myśleć o dorze, ale

przychodzi mi to z trudem, nie mogę sformułować jasnej myśli, stworzyć obrazu, myślę o pieprzeniu, ale mi się nie podnosi, nawet to nie. biedny terek, czy sina dostała list? obudziłem się zlany potem, chociaż z powrotem obniżyli temperaturę. do tego głód, do tego wzdęty brzuch i pełen pęcherz. podrapałem się do krwi. cholernie tu zimno, jest nas tu teraz tylko ośmiu... po śniadaniu wyprowadzili 12 z celi, tak jak przepowiedział 38. rudowłosy, chudy jak szczapa facet, przez cały ostatni dzień leżał tylko skulony na pryczy i się nie odzywał, ani nie ruszał. 82 musiał jednak zostać, gruby właściciel kiosku nie wygląda za dobrze, ale kto tu dobrze wygląda? gdy wychodzimy w celu przeliczenia, szereg się chwieje. śmierdzimy, mamy za mało czasu, żeby się umyć, w ogóle wszystko tutaj musi dziać się coraz szybciej.

robią nadgodziny, na każdej zmianie obecnych ponad trzech strażników, mimo to są coraz bardziej nerwowi, eckert z porannej zmiany wymyślił nową zabawę, przed wejściem do izolatki położył czekoladowy batonik, potem 21 i 40 musieli się położyć na podłodze z rękoma na plecach i na wyścigi czołgać się do batonika, mówi na nas „ćwoki”, „pedały” albo „panienki”, od tego czasu na każdy posiłek musimy się czołgać.

wszyscy się denerwują przed dniem odwiedzin, to dzisiaj. 74 na spacerze cały czas mówił, że trafił do eksperymentu przez pomyłkę, zamierza porozmawiać dzisiaj z dyrektorem, żeby wyjaśnić tę pomyłkę, pomyłkę – tak mówi. robi wrażenie bardzo pewnego siebie i przekonanego, że mu się uda. inni rozmawiali o swoim „aresztowaniu”, już naprawdę czują się winni. reszta się w ogóle nie odzywa, tylko rozgląda, ja też. czasem zamienię tylko kilka słów z 38. on nic nie kuma. czy sina dzisiaj przyjdzie?

Tarek siedział na pryczy, zasłaniał papier podkurczonymi kolanami i czytał swoje notatki. Raz za razem spoglądał, czy któryś ze strażników się nie zbliża. Za mało papieru na to, co chciał napisać, a jednocześnie zapominał o najważniejszych szczegółach, zanim mógł je zanotować. A więc pisał, co mu przyszło do głowy. Numer 38 stał przy kracie i zasłaniał Tarka. Gdy zbliżał się strażnik, szurał nieproszony stopą.

- Jak się pan czuje, 74?
- Dziękuję, dobrze.
- To mnie cieszy. Dlaczego chciał pan ze mną rozmawiać?
- Żeby wyjaśnić pomyłkę.

– Jaką pomyłkę?

– A więc zgłosiłem się równolegle do innego eksperymentu, a potem przez pomyłkę odesłałem niewłaściwą umowę. Chciałbym zostać zwolniony.

– I dopiero teraz się pan zorientował?

– Myślałem, że ta pomyłka nie będzie taka istotna. Eksperyment to eksperyment, myślałem, a pieniądze to pieniądze. No cóż. Ale to była pomyłka. Sądzę, że niezbyt się nadaję do tego eksperymentu i chciałbym przestać w nim uczestniczyć, i to natychmiast.

– To by oznaczało, że nie dostanie pan żadnego wynagrodzenia, 74.

– Zdaję sobie z tego sprawę.

– Niech pan powie, a gdybyśmy przyznali panu podwójne wynagrodzenie, czy wtedy zdecydowałby się pan na pozostanie tutaj?

– Nie.

– W zasadzie moglibyśmy panu zapłacić nawet jeszcze więcej.

– Niestety, muszę odmówić.

– Wie pan, że podania o zwolnienie rozpatruje komisja, ja mam na to tylko ograniczony wpływ, a umowa jest w końcu umową, nieważne, czy to była pomyłka, czy nie... Chyba że... Co by pan powiedział na to, gdybym tak nieformalnie znacznie skrócił panu pobyt tutaj w zamian za kilka informacji o pańskich współwięźniach? O czym rozmawiają podczas spacerów, co ich porusza. Taka naukowa pomoc dla nas. Zrobiłby pan to?... Numerze 74?

– ... Tak.

– Dziękuję, 74. Proszę, niech pan wypełni ten formularz, skontaktujemy się z panem później.

Sina pokazała jej list, który dostała tego samego dnia rano. Dora przeczytała go na stojąco, wciąż jeszcze zadyszana po wchodzeniu po schodach. List nie był długi, ale już pierwsze zdanie ją zelektryzowało.

Sina, musisz znaleźć Dorę! Nazwisko??? Nie wiem, ale to Holenderka. Mieszkała gościnnie na zamku Benrath. Nie mam pojęcia, gdzie teraz przebywa. Jej numer komórki: 0653-2186453. Musi się dowiedzieć, gdzie jestem! To bardzo ważne!!!!!! Muszę z nią koniecznie porozmawiać!!!!

Poza tym u mnie wszystko w porządku. Tu jest jak w wojsku. Mamy nawet własną ciemnię. Pojutrze są odwiedziny. Przyjdź proszę i przynieś mi ciasta. Twój T.

Dora opuściła kartkę, przekreśliła, żeby zobaczyć, czy nie ma czegoś na odwrocie. Spojrzała bezradnie na Sinę.

Siostra Tarka wzruszyła ramionami.

– Tak myślałam – powiedziała. – Sądzę, że dobrze rozumiem jego nawiązania do wojska, ciemni i ciasta. Jestem pewna, że jest mu tam źle. Boi się i chciałby, żeby go stamtąd wyciągnąć. – Wzięła z powrotem list do rąk. – Dzwoniłam na uniwersytet, ale nie udzielają informacji na temat eksperymentu. Dzisiaj jednak rodziny mają możliwość odwiedzenia uczestników eksperymentu na terenie laboratorium.

– Pójdzie tam pani?

Sina spojrzała poważnie na Dorę.

– Nie, to pani tam pójdzie.

– Ale z was żałosna kupa nieszczęścia! – Przy ścianie na szeroko rozstawionych nogach stała popołudniowa zmiana strażników i jeszcze dwóch ze zmiany porannej. Berus naprężył kark, aż strzyknęło, i zmierzył wzrokiem szereg więźniów. – Kim wy jesteście? Mężczyznami? Czy babami? Czy w ogóle jesteście ludźmi? Śmierdźcie na cały budynek, ale to wam nie przeszkadza! Żrecie jak świnie, ale wam to też nic nie przeszkadza! A najgorsze jest to, że jesteście głupi. A z tego też nic sobie nie robicie. A wiecie, dlaczego jesteście głupi? Bo dzisiaj są odwiedziny, a wy nawet mimo tego nie staracie się zachowywać jak ludzkie istoty! – Jego głos stał się ostrzejszy.

– Sądzicie, głupki, że pozwolimy wam na odwiedziny przy takim stanie rzeczy? Uważacie nas za naiwnych?

– Podeszedł do łazienki i otworzył szeroko drzwi. – Niedobrze mi się robi na ten widok! Sracie i szcycie, gdzie wam poleci! Apotem się nawet porządnie nie umyjecie! Jesteście gorsi od zwierząt. – Zauważył, że Tarek się na te słowa obruszył. Podeszedł więc do niego i zapytał: – Chcesz coś powiedzieć, 77?

– Nie, panie strażniku więzienny.

– Owszem, 77, przecież widzę, że masz coś na końcu języka. No, gadaj!

– Nie mamy dość czasu, panie strażniku więzienny. Czas na mycie jest za krótki.

Tarek prawie fizycznie poczuł, jak stojący obok niego 38 wywrócił oczami. Ledwo zdążył powiedzieć to zdanie, jak Berus podszedł do niego i wrzasnął:

– Chcesz na nas zwalić winę, że nie potraficie utrzymywać czystości? Co, 77? Czy to ma oznaczać, że utrudniamy wam zachowanie higieny?

– Powiedziałem tylko, że...

– Sądzisz, że wszystko da się zwalić na innych? Może to ci się udawało w twoim dotychczasowym życiu, ty rozpuszczony mięczaku! Ale teraz z tym koniec! Tutaj mamusia ci tyłka nie podetrze! Teraz sam to musisz robić! Zrozumiałeś?

– Tak, panie strażniku więzienny.

– Nie, nie sądzę, żebyś zrozumiał, 77. Ale żebyś wreszcie coś zrozumiał, czegoś się wreszcie pożytecznego nauczył, wyczyścisz teraz kibel. I to swoją sukieneczką! Co się tyczy innych, to po pierwsze, za godzinę jeszcze raz zostanieiecie skontrolowani. To chyba wystarczy, co, 77? Kto nie będzie na tip-top czysty, umyty i uczesany, ten nie będzie miał odwiedzin. Po drugie, kto nie chce, żeby jego odwiedziny skończyły się przed czasem, niech się dobrze zastanowi, co będzie mówić. Jakiegokolwiek skargi, narzekania i negatywne wypowiedzi na temat więzienia i strażników będą skutkowały natychmiastowym przerwaniem odwiedzin, a dany więzień zostanie dodatkowo ukarany. Czy to jasne?

Nikt się nie ruszył.

– Pytałem, czy to jasne? – ryknął Berus.

Tym samym Tarek miał z głowy odwiedzin. Musiał poczekać w celi, aż wszyscy więźniowie skończą się myć. Gdy go zaprowadzono do łazienki, na podłodze znajdowała się centymetrowa kałuża pianistego mydlanego ługu i wypływała na korytarz.

– Kompletny idiota! – wysyczał 38, który jako ostatni korzystał z łazienki.

Tarek, pilnowany przez dwóch strażników, bez słowa ściągnął koszulę i zaczął nią zbierać wodę z podłogi. Całkiem nagi, tylko w gumowych klapkach na nogach i czepku kąpielowym na głowie, klęczał w ciasnej celi,

podczas gdy strażnicy się z niego nabijali, nazywając go gołodupcem, dupą wołową, gównojadem, babcią klozetową, ćwokiem.

Paznokciami musiał zdrapywać brud w muszli, który nie chciał puścić. Próbował płytko oddychać, żeby powstrzymać silny odruch wymiotny. Gdy w końcu wszystko było czyste, musiał całe pomieszczenie przetrzeć swoim ręcznikiem i prześcieradłem.

Berus skontrolował łazienkę, ledwo na nią rzucając okiem, i powiedział:

– 77, ale ty śmierdzisz! W takim stanie nie możesz przyjmować gości.

Co za niespodzianka.

– Co mam zrobić z tymi rzeczami? – zapytał Tarek ochrypłym głosem i pokazał brudną koszulę, ręcznik i prześcieradło, które były takie mokre, że trzeba by było dnia, żeby wyschły.

– To twoje rzeczy, 77 – powiedział lodowato Berus. – Zanieś je do swojej celi. Załóż koszulę i wracaj do siebie.

Poza Tarkiem wszyscy dostali zaskakująco świeże koszule, nazwane „paradnymi”. Tarek stał przy kracie w swojej śmierdzącej i mokrej szmacie i patrzył, jak inni więźniowie występują do inspekcji.

– Zabiję go – szepnął Tarek, gdy z celi wyprowadzano Steinhoffa. – Zasłużył sobie na to, podły knur.

Strażnicy nie spieszyli się z kontrolą, kazali sobie pokazywać dłonie, stopy, zaglądali za uszy i do ust.

– Uważacie, że jesteście czyści? – zawołał Berus. – Jesteście jednym wielkim rozczarowaniem! Ale czego można się po was spodziewać? Nie powinno się wam w ogóle zezwalać na odwiedziny. Ale tym razem przymkniemy oko. A więc, już wiecie, ale powtarzam. Jak tylko ktoś z czymś wyskoczy, to od razu odwiedziny skończone. Kontakty fizyczne i przyjmowanie przedmiotów są zabronione! Kolejno odlicz!

Więźniowie zostali skuci razem łańcuchem przymocowanym do obręczy, które przez cały czas mieli założone na nogach, następnie wyprowadzono ich. Tarek został jako jedyny.

Stał przy kracie, czekał, ale nic się nie działo. Ścisnął kurczowo zimne, czarne stalowe pręty, z których wykonano okratowanie, i nie mógł zapanować nad drżeniem ciała. Tłumił odruch wymiotny, powstrzymywał

ły i potężną potrzebę krzyku. Krzyku, który przerwałby straszną pajęczynę ciasnoty, odrazy i strachu, która go trzymała i dusiła.

Gdy poczuł, że już dłużej tego nie wytrzyma, gdy nabrał powietrza, by wykrzyknąć swoją kapitulację, by w napadzie hysterii wreszcie się od tego wszystkiego uwolnić, zupełnie jak numer 11, a mimo to przez całe życie żyć z tym, przyszedł Berus z jeszcze jednym strażnikiem i otworzył celę. Rzucił Tarkowi świeżą koszulę, spojrzął na zegarek i powiedział:

– Dwie minuty, numerze 77.

Trzy minuty później Tarek został zaprowadzony do jadalni, gdzie przy długich stołach siedzieli naprzeciwko siebie więźniowie i goście oddzieleni perforowanymi ściankami z pleksiglasu. Przed swoim miejscem dojrzał Dorę.

Do biura profesora Thona wpadła Jutta Grimm. Drżącym ze zdenerwowania głosem oznajmiła:

– Żądam, żeby natychmiast przerwano ten eksperyment! Pan nas wszystkich oszukał!

Claus P. Thon podniósł ze zdumieniem wzrok i odłożył na bok czasopismo, którego czytaniem był właśnie zajęty.

– Pani Jutto, nie mam pojęcia, co ma oznaczać to pani wezwanie. Czy mogłaby mi pani wytłumaczyć, co ma pani na myśli?

– Właśnie obejrzałam ostatnie nagrania video. Tam na dole doszło do agresywnych zachowań ze strony strażników, chociaż jest to całkowicie zabronione! Ale nikt nie interweniuje. Na pańskie wyraźne zalecenie. To jest niezgodne z tym, co zostało ustalone z uczestnikami eksperymentu. A na dodatek u dwóch uczestników ujawniły się symptomy ciężkiej, ostrej depresji.

– Tak, niestety, to bardzo nieszczęsne i dramatyczne wydarzenie. Ale nie widzę powodu, żeby przerywać eksperyment tylko dlatego, że ...

– Owszem, właśnie dlatego! – wpadła mu w słowo.

– Bo w tym eksperymencie ludzie są manipulowani bez ich wiedzy i wyzwała się skrajnie agresywne zachowania.

– Ale przecież cały czas właśnie o to chodziło! o związki między agresją a posłuszeństwem. Naprawdę nie rozumiem pani zdenerwowania. Pani Jutto, od początku uczestniczyła pani w planowaniu tego eksperymentu.

Wiedziała pani, czego możemy się spodziewać i czego mogą się spodziewać uczestnicy eksperymentu.

– Nie sądziłam, że przyjmie to aż takie rozmiary.

– Nie docenia pani ludzi. Ja również obejrzałem ostatnie nagrania video i uważam, że zachowanie oraz dane fizjologiczne uczestników eksperymentu wprawdzie wyraźnie przekraczają oczekiwane wartości, ale ciągle jeszcze znajdują się w obszarze normy. Zobaczysz pani, sytuacja wkrótce się ustabilizuje.

– Tak, gdy wszyscy więźniowie albo będą pogrążeni w kompletnej depresji, albo strażnicy ich zadręczą. Musimy przerwać ten eksperyment. Natychmiast!

Thon oparł się o oparcie fotela, spojrzawszy uważnie na swoją asystentkę i poczuł ulgę, że nigdy nie próbował się z nią przespać.

– Nie, to wykluczone. W eksperymencie biorą udział uświadomieni, emocjonalnie stabilni ludzie, którzy wiedzą, że uczestniczą w symulacji.

– Wątpię w to! – Młoda psycholożka próbowała się uspokoić, żeby móc dalej mówić. – Ustaliliśmy jasne kryteria, jak ma przebiegać eksperyment. Uczestnicy nie mogą ucierpieć w związku z tym doświadczeniem. Muszą być o wszystkim informowani. Muszą mieć możliwość przerywania eksperymentu w dowolnej chwili! Nagle te ustalenia przestały obowiązywać. Ten paragraf trzeci został dodany bez mojej wiedzy! Uczestnik eksperymentu wyraża życzenie przerywania eksperymentu, ale pan to po prostu ignoruje.

– Niech pani pomyśli, że moja odmowa jest też elementem eksperymentu. Pani Jutto, pani też potrzebuje tego eksperymentu, żeby się habilitować. Nie mówi pani poważnie, że zależy pani na jego przerwaniu! Niech pani pomyśli o swojej karierze naukowej.

– Właśnie o niej myślę! Jeśli ten eksperyment skończy się tragicznie, to moją karierę naukową widzę w ciemnych barwach. Ministerstwo Obrony mi nie pomoże.

– Niech pani usiądzie – powiedział Thon nieco bardziej przyjaźnie. – Sama pani wie, że jesteśmy pod presją czasu. Sympozjum w Stanfordzie jest już w czerwcu.

– Jutta nie odpowiedziała. Thon westchnął i przekonywał ją dalej: – Jest pani wybitnym naukowcem. Ma pani wiele zapasu i na pewno zrobi pani

dużą karierę u nas w kraju. Ale do tego potrzebne są mocne nerwy... Nie, niech mi pani pozwoli dokończyć. Bardzo panią szanuję, chociaż nie zgadzam się z pani oceną sytuacji. Ale jesteśmy jedną ekipą. Nie chcę pani stracić i nie chcę podejmować decyzji, nie uwzględniając pani zdania. A więc umówmy się. Jutro wyjeżdżam na weekend do Weimaru, na konferencję psychologów eksperymentatorów.

Przerwała mu gwałtownie:

– Jak to? W samym środku eksperymentu? Nie powinien pan.

Thon podniósł pojednawczo ręce.

– Wiem, pani Jutto, że nie jest to najlepszy moment. Ale ta konferencja jest ważna. Koniecznie chcę przedstawić pierwsze wyniki naszego projektu. W poniedziałek będę z powrotem. Jeśli sytuacja w laboratorium się do tego czasu nie ustabilizuje, albo jeśli odpadnie jeszcze jeden uczestnik, wówczas przerwiemy eksperyment i zaplanujemy nowy. Co pani na to?

Kontakt fizyczny niemożliwy. Na stole szyba z pleksiglasu sięgająca powyżej głów, z perforacją na wysokości ust, pod stołem barierka z tworzywa sztucznego.

– Witaj, Tarku.

– Cześć, Doro.

Tarek potarł sobie nos, obciągnął koszulę, materiał zakleszczył między nogami, odchrząknął. Jej głos, usłyszał go znowu, zupełnie niespodziewanie. Oczy jak szmaragdowe jeziora w tropikalnym lesie. Mógłby się w nich zanurzyć. Jej spojrzenie, niespokojne, niepewne, jak tego wieczoru na zamku, szukające, a mimo to nieobecne. Usta w kształcie małej łódeczki bujającej się na niespokojnej wodzie. Uśmiechnęła się do niego. Nerwowo zaciskała dłonie.

– Pocałować się tu niestety nie możemy – powiedział Tarek, żeby nie rzuciło się w oczy, że milczą.

Dokoła niewyraźne odgłosy rozmów. Mówienie tego, co się da powiedzieć w ciągu pół godziny.

Więźniowie siedzieli w jednym rzędzie. Wszyscy robili wrażenie spokojnych, goście też. Tak jakby uważali, że to normalne, iż członkowie ich rodzin tak wyglądają, jak wyglądają. Tylko Steinhoffa odwiedziła kobieta, po której widać było, że jest bardzo zatroskana.

– Uprzedzono mnie – powiedziała Dora. – Jak się czujesz?
– *Okay*. – Spróbował się uśmiechnąć. – Właściwie *okay*. A ty?
– Macie dziwne ubrania.
– No, dziwne. Cały dzień się z nich naśmiewamy. A ty założyłaś moją kurtkę. Jak Sinie udało się tak szybko cię odnaleźć?
– To ja ją znalazłam. Szukałam cię.
– Naprawdę?
– Tak. Byłam nawet w twoim mieszkaniu. – Dojrzała zdumienie na jego twarzy. – Twój schowek na klucze został zdemaskowany. Uśmiejesz się, ale od kilku dni mieszkam u ciebie. Szukałam cię przez cały ten czas. Jak detektyw. Co o tym sądzisz?
Wzruszył ramionami.
– Dlaczego mnie szukałaś?
Cień oblekł jej twarz, odebrał ustom ich piękny kształt.
– Nie cieszysz się? Przyszłam niepotrzebnie?
– Ależ nie! – powiedział szybko. – Nawet nie wiesz, jak się cieszę. Ale trudno mi w to uwierzyć. Po jednej nocy.
– Mnie też trudno w to uwierzyć.
Roześmiali się. Tarek na nowo rozpoznał jej ruchy.
– Nie powinienem był tej nocy tak po prostu sobie odejść.
– Miałaś ciekawsze plany.
Powiodła wzrokiem po pomieszczeniu.
– Wszystko robię nie tak. Ale gdy stąd wyjdę, może wtedy, to znaczy, jeśli zechcesz, dla odmiany ja mógłbym spróbować... – zająknął się. – Ech, cholera, mówię już jak prawdziwy skazaniec.
– No właśnie. – Wyglądała na lekko zirytowaną.
– Jak znajdziesz się na zewnątrz, będziesz może mówił inaczej.
Przygryzł wargę.
– Może i tak.
– Z drugiej strony...
– Z drugiej strony?
– Ach, nie, nic. Wszystko potoczyło się tak szybko. Nawet nie mieliśmy romansu z prawdziwego zdarzenia!

– Wszystko nadrobimy.

Wyglądała, jakby szukała czegoś na jego twarzy. Ciekawe, zdziwione spojrzenie. Tarek zaczął się czuć niezręcznie.

– Jaka pogoda jest na zewnątrz?

– Jest wietrznie. Czasem pada, ale przelotnie. Czasem czuć już nadchodzącą wiosnę. – Potrząsnęła głową.

– Wszędzie jest karnawał. Wczoraj już w południe na mieście pełno było pijanych ludzi; a kobiety na ulicach obcinały mężczyznom krawaty.

– „Ostatki starych bab” – powiedział Tarek w zamyśleniu. – A więc dzisiaj piątek. Mój Boże, piątek. – Policzył w pamięci. – Cztery dni. W głowie mi się nie mieści. Minęły dopiero cztery dni!

Dora westchnęła i się rozejrzała.

– Wszystko tutaj wygląda tak strasznie. To jasno oświetlone więzienie i ci strażnicy w tych okropnych okularach. Dlaczego to robisz, Tarku?

– Chciałem napisać o tym historię. Wiesz, właściwie to nie jestem taksówkarzem.

– Ziegler mi powiedział. Sina i Drese też.

– Co? Ziegler? I Drese też?

– Pomógł mi ciebie znaleźć. A ponadto mnie tu przywiózł, bo sama na pewno nie znalazłabym tego miejsca.

– Akurat Drese, ta tłusta Świnia.

– On twierdzi, że jest twoim przyjacielem.

– Niech mnie w dupę pocałuje. Załatwiłem mu robotę taksówkarza jako takie małe odszkodowanie, że z mojego powodu miał problemy z policją. Dali mu karę w zawieszeniu z powodu pewnej informacji, którą zachował dla siebie. Mi przekazał ją za późno. Drese nic ci nie powiedział?

– Nie.

– To łasy na pieniądze bezmózgi kretyn.

Znowu milczeli. Patrzyli tylko na siebie.

– Powiedz coś! – poprosił.

– Co?

– Opowiedz mi o sobie. Nic o tobie nie wiem. Cholera, tylko pół godziny na opowiadanie dwóch całych żyć.

– Nie trzeba.

Znowu milczenie. Nagle, nie wiedzieć czemu, zapłakała. Cichutko. Drobnymi i krótkimi dreszcz wstrząsnął jej ciałem. Małe jeziora w oczach.

– Nie płacz, proszę! – Tarek powiedział to głośniej, niż chciał, bo szeptał mógłby zwrócić uwagę strażników.

– Dora! Co ci się stało?

– Nic! – Wytarła sobie pospiesznie oczy. – Tylko ta atmosfera tutaj. Nagle przypomniało mi się coś strasznego.

– Ja przez cały czas tak mam. Właściwie to był chybiony pomysł z tym eksperymentem. A wszystko tylko dlatego, że przed rokiem przeżyłem coś strasznego. Jestem złym dziennikarzem, wiesz, Dora. Za mało pytam. Znasz historię Parsifala? To poszukiwacz Świętego Graala, który nie zaznał spokoju po tym, jak raz z głupoty nie zadał pytania. Gdyby nie to, mógłby bez problemu zdobyć Graala. Idiota.

Wysmarkała nos.

– Z drugiej strony nie był wcale tak do końca idiotą – zaproponowała. – Czyż nie znalazł sobie pięknej żony?

– Bo ja wiem.

– Nie rób z siebie bohatera.

– Wcale nie robię. Mówię poważnie. Może biorę w tym wszystkim udział, bo jestem współwinny śmierci człowieka. Ja i Drese.

– Zabiliście tego kogoś?

– Nie. Ale przyszliśmy za późno. Może dalibyśmy radę temu zapobiec, gdybym tylko właściwie zadawał pytania.

Teraz ona naprawdę się rozgniewała i od razu zaczęła mówić gorzej po niemiecku.

– Co za bzdury! Co ty gadasz? To same bzdury! Niedawno mówiłam podobne rzeczy co ty, przyjaciółka wtedy opowiedziała mi pewną historię. Chcesz ją usłyszeć?

Tarek rozejrzał się i zobaczył, że Berus go obserwuje.

– Jeśli będę mógł ci cały czas patrzeć na usta.

– To właściwie jest gra towarzyska. Młoda dziewczyna ma kochankę po drugiej stronie rzeki, którego odwiedza potajemnie wieczorami, bez zezwolenia rodziców. Ale zawsze wraca do domu przed nocą, ponieważ

teren wokół mostu jest niebezpieczny. Pewnego dnia zasypia w ramionach ukochanego i musi wracać do domu w środku nocy. Gdy przechodzi przez most, zostaje napadnięta, zgwałcona i uduszona przez pewnego mężczyznę. A teraz towarzystwo, któremu opowiedziano tę historię, jest proszone, by powiedziało, kto ponosi winę za śmierć dziewczyny. Młody artysta opowiada się gorąco za winą kochanka, ponieważ nie powinien on pozwolić, by jego ukochana wracała po nocy. Gospodyni domu obarcza winą matkę, ponieważ jej surowość doprowadziła do potajemnych randek. Pan domu orzeka, że dziewczyna jest sama sobie winna, ponieważ zachowała się nierozsądnie i głupio. A ty, Tarek, jak sądzisz, kto jest winny?

Tarek wzruszył ramionami.

– W pewien sposób wszyscy.

– Historia ma dalszy ciąg. W salonie pojawia się dziecko gospodarzy, ponieważ z powodu gorącej debaty nie mogło zasnąć. Dla ogólnego rozweselenia zapytano je również, kto ponosi winę za śmierć dziewczyny. A dziecko odpowiedziało bez zastanowienia: morderca.

Poczekala, żeby zobaczyć jego reakcję.

– Głupia, popieprzona historia.

– Może. Ale mimo to prawda jest taka, że winny jest morderca.

– Jeszcze pięć minut! – zawołał jeden ze strażników, przekrzykując gwar głosów. – Jeszcze pięć minut!

– I co teraz z nami? – zapytała Dora. – Chciałam cię spytać o tyle rzeczy, ale tak mało mamy czasu. I to na dodatek przed moim wyjazdem.

– Cholera! O jakim wyjeździe mówisz?

– Wracam do Kanady. Właściwie mieszkam tam na stałe.

– Nie opowiadaj mi teraz takich rzeczy! Kanada! Cholera! Będę tu siedział jeszcze dziesięć dni. Nie myślę o niczym innym, tylko o tobie! Jaka jesteś w dotyku, jak pachnie twój pępek, jak twoje usta zmieniają się podczas mówienia... A kiedy stąd wyjdę, ciebie nie będzie?

Prawie krzyczał. Strażnicy zaczęli mu się przyglądać.

– Co mam robić, Tarek? Powiedz, co mam robić?

– Nie wyjeżdżaj! Proszę! Poczekaj, aż stąd wyjdę.

– ... Jeszcze dwie minuty!

– Dora, czy chcesz naprawdę coś dla mnie zrobić?

– zapytał. Kiwnęła głową, a on nie czekał na odpowiedź.

– *Okay*. W takim razie słuchaj uważnie. – Rozejrzał się szybko, żeby zobaczyć, gdzie stoją strażnicy, i mówił szybko i cicho dalej: – Dora, to co się tutaj dzieje, to istny horror. Tortury i pranie mózgów. Trzeba koniecznie o tym poinformować opinię publiczną. I to zanim eksperyment się skończy. Jest tu taki jeden strażnik, z którym można się dogadać. Raz go przypadkiem wiozłem taksówką. Nazywa się Bosch czy jakoś tak. Wygląda jak kaczką i mieszka przy Ludwigstrafie coś z dwudziestką. Porozmawiaj z nim. Musi stąd wynieść moje notatki.

Potem musisz zorganizować ekipę telewizyjną. Niech się tu niespodziewanie pojawią i wszystko sfilmują. Zrobisz to dla mnie, Dora? Porozmawiasz z Boschem i zorganizujesz ekipę telewizyjną?

– Koniec odwiedzin! – zawołał strażnik. – Proszę się pożegnać i opuścić pomieszczenie! Koniec odwiedzin! Proszę się pożegnać i opuścić pomieszczenie!

Berus zaczął się zbliżać do Tarka i Steinhoffa.

– Zrobisz to dla mnie? Dora!

Kiwnęła lekko głową. Nie uśmiechała się już. Zastygła w bezruchu ogarnięta lękiem. Jednak w jej twarzy Tarek dostrzegł coś, co go nagle uspokoiło. Nic by nie mogło go bardziej uspokoić.

– Pocałujemy się przez szybę? – zapytała. – Jak na filmie?

– Lepiej nie. – Tarek wskazał ręką na Berusa, który teraz pokazywał Dorze, że ma wyjść. – Musisz już iść.

Dora kiwnęła głową. Wstała i została wyprowadzona przez jednego ze strażników. W drzwiach się jeszcze odwróciła i lekko pomachała.

– Chciałam ci coś jeszcze powiedzieć! – zawołała.

– Ja tobie też – powiedział i też wstał, gdy stanął przy nim Berus. – Później. Jak stąd wyjdę.

– Jeśli! – szepnęła Berus. – JEŚLI w ogóle stąd wyjdiesz.

– No i co? Co mówił? – dopytywał się Drese, gdy opuścili teren kampusu i wyjechali na ulicę. Nie mógł wytrzymać z ciekawości.

Dora poczuła się zmęczona, wzruszyła jedynie ramionami, odwróciła głowę i patrząc przez szybę samochodu, próbowała sobie przypomnieć przebieg rozmowy. Ale słowa i zdania wirowały jej w głowie jak szalone. Wszystkie razem nie miały sensu.

– A więc oni faktycznie bawią się w więzienie, co? – Drese robił wrażenie rozbawionego. – Z tymi wszystkimi pierdołami? Z prawdziwymi strażnikami i tak dalej?

– Tak.

– I mają cele, i jedzą z blaszanych misek?

– Tak! – krzyknęła zdenerwowana.

Drese roześmiał się.

– Super! – Uderzył rękoma w kierownicę. – Tarek w pierdłu! Dobrowolnie dał się zamknąć w pierdłu. Niezły numer! Nie uważasz, że mu odbiło, co nie? I jak długo ma trwać ten eksperyment?

– Dwa tygodnie.

– Dwa tygodnie! Super. To tyle co nic. A nasz szanowny pan kebab pewnie biadoli, jak mu tam źle, co?

– Drese roześmiał się. – Tarek w pierdłu! I jak tam jest? Opowiadaj! Co ci powiedział?

Dora spojrzała na Dresego.

– Tarek potrzebuje pomocy.

– Jakiej pomocy? Pilnika w cieście? – Zachichotał.

– Pilnika! Super! W pierdłu!

– Prosił mnie, żebym coś dla niego zrobiła. Ale dla mnie jako cudzoziemki jest to bardzo trudne. Musi mi pan pomóc.

– A dlaczego?

– Bo jest pan jego przyjacielem.

Drese przestał chichotać i spoważniał.

– Słuchaj, dziewczyno. Szukałaś Tarka, ja ci pomogłem, znalazłaś go. Chciałaś z nim porozmawiać, pomogłem ci, porozmawiałaś z nim. To wszystko. Tarek chce się bawić w więzienie? Proszę bardzo, skoro mu to sprawia przyjemność. Dobrze mu to robi. Wykiwał mnie. Wykiwał swojego najlepszego informatora i kumpla, wydał mnie glinom. *Okay*, za to załatwił mi robotę u Greka, a więc jesteśmy kwita. Ale to wszystko.

Mam lepsze zajęcie, niż wypruwać sobie żyły dla tego kebaba. Teraz jest karnawał, szczyt sezonu. Chcę jeździć taksą do upadłego i zarobić kupę kasy.

– Dlaczego więc pan mi pomagał do tej pory?

– Z czystej ciekawości.

– Nie chce mu pan pomóc?

– *Niet.*

– Proszę!

Pokręcił energicznie głową.

Dora zamyśliła się na moment. Potem z kieszeni kurtki wyciągnęła walthera i przystawiła go Dresemu do skroni. Drese ze strachu automatycznie zdjął nogę z gazu.

– Niech pan skręci w prawo! – rozkazała Dora.

Drese natychmiast usłuchał.

– Ej, staruszek, zwariowałaś? Przy takim natężeniu ruchu?! Nie możesz mnie tu odstrzelić, ty...

– Niech się pan nie odzywa! – ostrym głosem powiedziała Dora.

Ze zdenerwowania miała problem z mówieniem po niemiecku. Bez słowa przycisnęła Dresemu lufę walthera mocniej do głowy. Na jego czole znowu pojawiły się krople potu.

– Nie zrobisz tego! – wysapał Drese, nie ruszając się. – Nie zrobisz tego!
– Dora nie odpowiedziała, tylko dalej trzymała pistolet przystawiony do jego skroni. – Co mają znaczyć te cholerne wygłupy, co? – krzychał. Dora milczała. Nagle nie była w stanie sklecić słowa po niemiecku. – Ej, odłóż tę spluwę! – Nie zareagowała. Drese przełknął ślinę. – *Okay, okay*, zrobię, co chcesz! Tylko odłóż wreszcie tę cholerną spluwę. – Dora schowała nienaładowanego walthera, drżącą rękę ukryła pod kurtką i kazała Dresemu jechać dalej. – Cholera, same kłopoty z tym kebabem! Same kłopoty! – kłął pod nosem.

Uderzył kilkakrotnie rękoma w kierownicę i ruszył. Gdy z powrotem znaleźli się na ulicy, ciągle jeszcze drżał ze zdenerwowania. Ani on, ani Dora nie zauważyli samochodu, który cały czas ich śledził i który teraz tuż za nimi włączył się z powrotem do ruchu ulicznego.

– Cholera! – zaklął cicho Drese, ostrożnie zerkając na Dorę. – Wyciągnęła spluwę! Cholera. I co mam teraz zrobić?

– Zna pan kogoś w telewizji?

Spokój po rozmowie z Dorą nie trwał długo. Ustąpił miejsca prawie chorowitej ekscytacji. Tarek bez wytchnienia kręcił się po ciasnej celi, próbował czymś na dłużej zająć myśli, ale mu się nie udawało. Może dlatego, że kosztowało go to zbyt wiele energii. Energii, której potrzebował, żeby się jeszcze w ogóle móc poruszać. Gdy stanął, nogi mu drżały. Ból głowy, pulsujący ucisk. Próbował dopasować kroki do rytmu bólu. Jasność nadal raziła go w oczy, nawet gdy je zamykał. Brak zbawczej ciemności, niemożność ucieczki. Tylko chodzenie od kraty do ściany i z powrotem. Zanim zawrócił przy kratce, rzucał za każdym razem spojrzenie na drzwi z napisem „Black Box”.

– Usiądź wreszcie! – powiedział Steinhoff, który siedział na dolnej pryczy tuż przy kratce. – Już się patrzą.

– Nie mogę!

– O czym tak długo rozmawiałeś z siostrą?

– To nie była moja siostra. Ale wszystko jedno. A do ciebie przyszła żona, tak?

– Dziewczyna.

– Wygląda miło. To znaczy, uważam, że jest sympatyczna.

– Uważasz, że nie jest dość atrakcyjna, byś się chciał z nią przespać.

– Nie, uważam, że naprawdę robi sympatyczne wrażenie, dupku.

– Przekażę jej to.

– A jaki jest jej stosunek do tych „ćwiczeń” tutaj?

– Bardziej się martwi, gdy jestem w powietrzu. Lepiej powiedz, co się dzieje.

– Nic. Jestem zmęczony. Totalnie zmęczony. Chciałbym się przespać. Spać i nic więcej.

– No to śpij! Nie ganiaj po celi jak szaleniec! Usiądź wreszcie!

– Nie mogę. Muszę coś przemyśleć. Myśleć, myśleć, myśleć, myśleć.

Mówiąc to, uderzał się dłonią w czoło.

– Co musisz przemyśleć?

– Niespodziankę!

– Tylko nie rób żadnych głupstw! – syknął Steinhoff i zerknął na korytarz w kierunku strażników.

– Niedługo to się skończy, numerze 38 – szepnął Tarek śpiewnym tonem.

– A my wyjdziemy z tego jako zwycięzcy, zapewniam cię.

– Nie, numerze 77! To nie skończy się tak szybko, wierz mi. Ja mianowicie dobrze wyczuwam złą pogodę. Nie widzisz, jacy oni są nerwowi? Czekają tylko na to, żeby się coś wydarzyło.

– *Zając w norce sobie spał. Zając, zając, co ci jest? Czemu leżysz zamiast biec? Zając, zając, co ci jest? Czemu leżysz zamiast biec?*

– Czy to ma być właśnie ta niespodzianka? Że ci się pomieszało w głowie?

– Próbuję myśleć, dupku. Muszę odpocząć. Muszę się przygotować. Rozpracować wroga. Zebrać oddziały. Odpocząć. Nabrać sił. Ostatni śmiech. A potem w bój... *Toreadorze, ruszaj śmiało w bój...*

Steinhoff chwycił go i pociągnął brutalnie na pryczę.

– Zamknij się, 77! Co knujesz? Chcę, do cholery, wiedzieć, co knujesz, albo zaraz zawołam strażników.

Trzymał rękę Tarka w bolesnym uścisku i jeszcze mocniej ją zaciskał. Skąd miał tyle siły? Tarek jęknął z bólu, ale się uspokoił. W celi numer 2 odezwał się więzień 74 i zawołał strażnika. Nie zrozumieli, co mu powiedział.

– A więc? – syknął Steinhoff.

Tarek uwolnił się z chwytu.

– Czego się boisz, 38? Czego się tak naprawdę boisz?

– To nie jest odpowiedź, 77.

– Nie, ale powiedz, czego się najbardziej boisz?

Steinhoff milczał przez chwilę, potem powiedział:

– Bólu.

– Bólu czego? Zęba, głowy, brzucha, serca? Jakiego bólu, 38?

– Bólu ogólnie. Tak w ogóle to wszyscy się tego boimy. To strach nad strachami. Dlaczego ludzie boją się pajaków? Ponieważ mogą one przynieść ból. Strach przez lataniem jest tylko strachem przed upadkiem i związanym z tym bólem. Dlaczego boimy się egzaminów? Ponieważ

możemy je oblać, a jeśli je oblejemy, to nie dostaniemy pracy, wylądujemy na ulicy, będziemy głodować, marznąć, znosić ból. Dlaczego my wszyscy się tu podporządkowujemy? Ponieważ się nauczyliśmy, że odmowa posłuszeństwa może oznaczać ból.

– Dobrze, 38. Ale nie masz do końca racji. Bo strach znika dopiero wtedy, jak się mu stawia czoła. – Steinhoff nic nie powiedział, potrząsnął tylko głową. – Owszem, 38! A teraz ci powiem, co zamierzam zrobić. Co zawsze zamierzałem. Napiszę historię. Zdycham tu z lęku, całe moje ciało krzyczy ze strachu, gdy widzę Black Box. Ale zdechnę, jeśli nic nie zrobię. Dora wszystko zorganizuje. Bosch wyniesie moje notatki, a potem pojawi się tu ekipa telewizyjna, akurat wtedy, jak Berus będzie się nade mną znęcał albo zamknie mnie w izolatce, bo go sprowokuję. To jest mój plan.

– Chcesz więc rozwalić eksperyment?

– *Right.*

– Tak po prostu. Bo taka jest twoja wola. Innych nie zapytasz? Nikt nie dostanie wynagrodzenia.

– Im jest przecież wszystko jedno, sam widzisz. Wszyscy chcą się tylko stąd wydostać. Wszyscy przecież gadają tylko o tym, jak się stąd wydostać, ale żaden z tych dupków nie ma dość odwagi. Niech mnie wszyscy pocałują w dupę. A więc, co jest, trzymasz ze mną?

– Nie. W żadnym wypadku. Jesteś niebezpieczny, 77. Ciągłe jeszcze do ciebie nie dotarło? Skoro to tylko eksperyment, to dlaczego przyzwala się, żeby wartownicy się w ten sposób zachowywali? Dlaczego, 77? Jesteś miną, 77, a ja nie zamierzam jej uzbroić. Chcesz zrobić to, co chciałeś przez cały czas? Ja też. Ja po prostu odczekam, aż będzie po wszystkim. Dokładnie tak, jak planowałem od początku.

Znowu milczeli. Wartownik patrolował korytarz. Gdy przystanął przed ich celą, nie odzywali się i nie ruszali. Dopiero jak się wystarczająco oddalił, Steinhoff na nowo podjął rozmowę:

– Naprawdę chcesz, żeby cię wsadzili do izolatki?

– Nie. Ale chcę, żeby mnie stamtąd wydobyto, jak Dora przyjdzie z ekipą telewizyjną. Chcę, żeby to sfilmowano! A więc, 38, skoro nie chcesz w to wejść, to czy mnie wydasz?

– Nie, póki nie stanowisz dla mnie zagrożenia.

– Jesteś tchórzem, 38.

– Możesz sobie darować, w ten sposób nie uda ci się mnie podejść. Odrzucam każdą akcję, która prowadzi do jakiegokolwiek eskalacji.

Dora kazała Dresemu, żeby zawiózł ją pod dom Tarka. Pobyła dziesięć minut w mieszkaniu, a potem pojechała na ulicę, którą znalazła na planie miasta. Nie zauważyła, że przez cały czas jedzie za nią stara toyota.

Ludwigstraße położona była nieco na uboczu. Dora musiała długo biegać od drzwi do drzwi, nim w końcu znalazła na tabliczce przy dzwonku nazwisko, które podał jej Tarek. Mieszkanie znajdowało się na najwyższym piętrze. Otworzyła kobieta.

– Dzień dobry. Chciałabym porozmawiać z panem Boschem. Nazywam się Dora van Hondevald. Chodzi o eksperyment.

– Pani jest z uniwersytetu?

– Nie. Mój, jak tutaj mówicie, chłopak też bierze udział w tym eksperymencie.

W głębi mieszkania rozpląkało się niemowlę. Kobieta otworzyła szerzej drzwi i zaprosiła Dorę do środka.

– Mąż właśnie odpoczywa. Ale proszę wejść.

Mężczyzna wyglądał tak, jak go opisał Tarek. Z trudem wstał z sofy. Najpierw nie zrozumiał, czego Dora od niego chce, póki nie opisała Tarka. Wtedy kiwnął głową.

– Numer 77. Tak sobie pomyślałem. Czy to on panią przysłał?

– Powiedział, że tam, w tym więzieniu, jest po prostu okropnie, tylko pan się różni od pozostałych strażników.

– Tak, jestem inny. – Bosch wymienił spojrzenia z żoną, która stała w drzwiach kuchni z dzieckiem na ręce. – Ale to na nic się nie zda pani przyjacielowi. Nic nie mogę dla niego zrobić.

– Tarek sporządził notatki. Pomógłby mu pan, wynosząc te notatki na zewnątrz.

– To jest absolutnie niezgodne z przepisami. – Dora nic nie powiedziała. – Widzi pani – zaczął Bosch powoli i ociężale, jakby kosztowało go to nieskończenie wiele siły. – Ja też uważam, że sytuacja tam jest okropna, ale nie mogę nic zrobić. Jeśli pani pomożę, będzie to oznaczało, że eksperyment zostanie przerwany, prawda? Nawet byłbym z tego

Zadowolony, ale to by oznaczało, że nie dostanę wynagrodzenia. A my potrzebujemy tych pieniędzy.

– Jaka to kwota? – zapytała Dora.

– Cztery tysiące marek – poinformowała pani Bosch, uprzedziwszy męża.

– Ja państwu zapłacę – bez wahania odpowiedziała Dora.

Bosch pokręcił głową.

– To jest niezgodne z przepisami. Jeśli się to wyda... Pani nawet nie wie, do czego oni są zdolni.

– Pięć tysięcy – powiedziała Dora bez zastanowienia. – Połowę od razu, drugą połowę jutro.

– Ja... – zaczął Bosch, ale żona przerwała mu.

– Dobrze. Jeśli pani przyniesie pieniądze, to on to zrobi.

Spojrzała na męża, którego długa postać siedziała przycupnięta na sofie jakby złożona na pół.

Bosch kiwnął ociężale głową.

– *Okay*. – Po chwili dodał: – Ja też mam tego dosyć i chciałbym już z tym skończyć. Niech pani przyniesie pieniądze, a jutro dostanie pani notatki.

– Jak się pan czuje, panie Berus?

– Źle.

– Co to znaczy, źle, panie Berus? Niech pan spróbuje to opisać.

– Po prostu źle, nic więcej. Nędznie. Jestem jakiś taki zdołowany.

– Ma pan kłopoty ze zdrowiem? Czy to z powodu służby?

– Nie, jestem zdrowy. I to nie z powodu służby. Chętnie przychodzę do pracy, nawet robię nadgodziny. To nie to. Dobrze wykonuję pracę i spotyka się to z uznaniem, a to daje satysfakcję. Ale też czuję się zdołowany. To wszystko przez tych więźniów. Ten ich zapach, i to, jak czyhają, by coś zbroić, jeśli tylko spuścimy ich z oczu, jak na siebie nawzajem patrzą. Jak zwierzęta.

– Czym to jest według pana spowodowane?

– Tracą kontakt z rzeczywistością. Traktują wszystko tak poważnie.

– Co pan czuje podczas pełnienia służby, podczas apelu, czy też podczas kontrolowania cel?

– Nie czuję zbyt wiele. Wypełniam swój obowiązek. Jestem czujny, dbam o porządek, troszczę się, żeby nie próbowali czegoś zmalować. Ciągłe coś tam kombinują. Moim zdaniem na początku było trudniej nad nimi zapanować. Ale teraz jakoś idzie.

– I to pana dołuje?

– Nie bezpośrednio. To mnie nachodzi, jak wracam do domu. Wtedy czuję się zdołowany. Trudno mi to opisać, po prostu wpadam w dołek psychiczny.

– Miewa pan czasem wątpliwości, czy to, co pan robi, jest słuszne?

– Nie. Jak ktoś ma cel, to nie miewa wątpliwości.

– Rozmawia pan o tym czasem ze swoją partnerką?

– Właściwie nie. Ledwo się znamy. I nie spisuję się najlepiej. Za dużo myślę, tak sądzę. A to zawsze przeszkadza.

– Ma pan na myśli problemy seksualne?

– No cóż. A więc wydaje mi się, że nie będziemy długo parą. Kiedyś byłem całkiem inny. Jakoś tak bardziej na luzie. Ale dzisiaj wszystko jest bardziej skomplikowane. Niekończące się rozmowy, wszędzie trzeba na wszystko uważać, nie wiadomo, o co biega, i wszyscy śmieją się w kułak. Nie tak jak tutaj. Tu jest wszystko jasne. Proste jak drut. Capcarap i wszyscy wiedzą, co jest grane.

– Podoba się to panu?

– Tak.

– Czy mógłby pan sobie wyobrazić dalszą pracę w tym zawodzie?

– Oczywiście. Mógłbym jeszcze długo robić coś takiego.

Wprowadzono nowe zwyczaje. Szum z głośników na korytarzu utrudniał teraz ich rozmowy. Hałas jak na lotnisku. Przed kolacją musieli „ze względów bezpieczeństwa” czołgać się po podłodze do jadalni, podczas gdy strażnicy ze zmiany popołudniowej i nocnej poganiali ich pałkami i wyzywali. Ze względów bezpieczeństwa. W jadalni mieli ręce związane z tyłu za plecami, więc musieli jeść jak psy. Ze względów bezpieczeństwa. Strażnicy mieli ubaw, gdy się zachlapywali jedzeniem. Podczas picia bolała

szyja. Tarek zauważył, że go obserwują, ale jakoś dali mu spokój. Gdy znalazł się z powrotem w celi, natychmiast pod swoim materacem wymacał notatki. Gdy poczuł pod palcami ich szelest, panika odeszła.

Później leżał na pryczy i próbował oddychać spokojnie i równomiernie, mięśnie rozluźnione, oczy zamknięte, aby w końcu udało się zasnąć. Na kartce napisał jeszcze kilka wskazówek dla Dory. Przemyślał, jak się ma zachowywać następnego dnia, i chciał zasnąć. Ale sen nie przychodził. Także podczas nocnej zmiany światło pozostawało zapalone. Udawało mu się wytrzymać ból głowy tylko wtedy, gdy się nie ruszał, co na niewygodnej pryczy było niemożliwe.

Jak wygląda Dora? Szybkie zmiany na jej twarzy, żyłki pod bladą skórą. Znowu tak daleko od niego. To wszystko takie nierzeczywiste. Czy już kiedyś wcześniej się spotkali? Może przypadkiem, gdy byli jeszcze dziećmi, krótkie spojrzenie, przelotna myśl, a potem znowu zapomnieli o sobie? Gdzieś musiał ją już widzieć, tylko gdzie?

Myśli rozpląły się jak smugi oleju w kałuży i nie dawały mu usnąć. Nie myśleć. Zacisnąć pięści, rozluźnić dłonie, wydech. Potem wyciągnąć rękę. Jak Dora marszczy czoło, gdy się nad czymś zastanawia. Jak dotyka włosów. Co takiego straszego przeżyła rok temu? Znowu nie spytał. Błąd! Tarek, nie popełniaj więcej błędów. Uważaj, Tarek. Odpocznij, Tarek. Jutro będzie dzień. Ten dzień. Jutro.

Dora leżała nago w łóżku Tarka, wsłuchiwała się w obce nocne odgłosy jego mieszkania, pracę starej lodówki, spływ wody w rurze kanalizacyjnej, próbowała przypomnieć sobie jego twarz. Porównywała to świeże wspomnienie z jego wizerunkiem, jaki zapamiętała z ich pierwszego spotkania, oraz ze zdjęciem, które nosiła przy sobie. Co za różnica. Trzech różnych ludzi. Niespokojne spojrzenie, które miał podczas rozmowy. Całkiem inaczej niż pierwszego wieczoru. Bardziej odległe. Zastanawiała się, co kryło się w tym spojrzeniu. Zdziwienie, strach, pytania. Coś jeszcze?

Przekręciła się na bok, skuliła. Coś ją zaniepokoiło. Przytłaczająca atmosfera więzienia i uczucie, że przeoczyła coś ważnego. Ale co? I kiedy? Po rozmowie z Boschem zadzwoniła do siostry Tarka i opowiedziała jej o wizycie w więzieniu. Sina była wstrząśnięta. Obiecała pomóc Dorze i zaprosiła ją na następny wieczór.

Dora nie mogła się pozbyć wrażenia, że coś przeoczyła. Ale co? I kiedy? Pomyślała o Sinie. Jaka ona jest podobna do Hendrikje! Tak samo twarda, prostolinijna i bliska, a do tego jeszcze ustępliwa. Natomiast Ralf, mąż Siny, przypominał jej Dennisa. I Michaela. Był tak odległy.

Dennis. Może to z jego powodu bierze się to przytłaczające uczucie?

Z wyrzutami sumienia przekręciła się na drugi bok. Tarek. Jak on wyglądał! Nieszczęśliwy, ale było w nim jeszcze coś innego, coś, co rozwiewało jej wątpliwości, co sprawiało, że odsuwała na później rzeczy, które powinna załatwić od ręki. Na przykład lot do Toronto. I jeszcze dużo, dużo więcej.



Volker Eckert przystępował właśnie do służby na poziomie – 2. Było punktualnie wpół do piątej. W pierwszej kolejności zakradł się jednak pod otwarte drzwi pomieszczenia z monitorami, gdzie doktor Jutta Grimm rozmawiała właśnie ze studentką. Żadna z nich nie dostrzegła podsłuchującego je mężczyzny, więc przez chwilę Eckert miał okazję obserwowania kobiety, która go podniecała od chwili, kiedy dała mu do wypełnienia ankiety. W tym momencie wyglądała na zmęczoną i niewyspaną, ale mimo smutnej, mysiej twarzy i okularów miała wszystko, co go rajcowało. Włosy, nogi, ręce – wszystko długie i tyle tego było, ile trzeba. Warto było spróbować się do niej trochę poumizgiwać.

– ... przez całą noc analizowałam. A więc ty też uważasz, że powinnam interweniować? – mówiła właśnie do studentki.

Rozmówczyni wahała się.

– Tak, być może. Jeśli profesor Thon też tak uważa. I jeśli nadal będzie tu dochodziło do takich drastycznych scen.

– Co pani ma na myśli, mówiąc: „drastycznych”?

– zapytała podniesionym głosem zdenerwowana Jutta.

Volker Eckert zapukał w futrynę. Obie kobiety podskoczyły przestraszone, jakby przyłapał je na czymś zakazanym.

– Dzień dobry, pani doktor. Czy to znaczy, że mam wracać do domu?

Skrzywiła się i podsunęła mu listę obecności do podpisania, nie mówiąc ani słowa. Eckert podpisał, mrugnął do niej i sobie poszedł. Po chwili zawrócił, stanął w drzwiach i kręcąc biodrem, zaśpiewał:

– *Be-bop-a-lula, she's my baby, be-bop-a-lula, I don't mean maybe...*

Śpiewając i robiąc wyćwiczoną, nadąsaną minę, zbliżył się tanecznym krokiem do młodej pani doktor, która patrzyła na niego z politowaniem.

– Panie Eckert, zaraz zaczyna się pańska zmiana.

– Hej, *lady*, król Elvis jeszcze nie skończył. Przedtem muszę ulżyć mojemu sercu. Zwariowałem na twoim punkcie, moje myśli krążą tylko wokół ciebie!... *I am burning! Burning desire!*

Wstała i cofnęła się o krok, nim zdążył jej dotknąć.

– Naprawdę uważam, że powinien pan już iść do pracy. Tylko się pan ośmiesza, panie Eckert.

– I cóż z tego, *my baby*? Daj mi tylko całusa! Mały znak twojej ekstazy! *I love you and you love me and the rest is extasy!*

– Może pan o tym zapomnieć.

– Uuuu! Jesteś dla mnie taka surowa, *baby*! Ale mnie to jeszcze bardziej podnieca. A do końca eksperymentu mamy jeszcze dużo czasu.

– Nie byłabym tego taka pewna, panie Eckert!

– Co masz na myśli, *baby*? – Umilkła, jakby właśnie powiedziała za dużo. Eckert podszedł do niej bardzo blisko. – No, mów!

– Sądzę, że pan mnie dobrze zrozumiał. Eksperyment może w każdej chwili zostać przerwany, jeśli sytuacja się szybko nie ustabilizuje.

– Hej, *lady*, ale u nas wszystko jest stabilne. Totalnie stabilne! – Powoli podniósł do góry przedramię i uśmiechnął się. Ona tylko popatrzyła na niego chłodno. Eckert uniósł obie ręce. – *Okay, okay, lady*, to był tylko taki *joke! Sorry!*

Odwrócił się i wyszedł z pomieszczenia.

– A śpiewać też pan nie potrafi! – zawołała za nim Jutta, gdy już był za progiem.

Tarek poskładał kartki z notatkami w taki sposób, że utworzyły mały pakiecik, i czekał na sposobną okazję. Taka się jednak nie nadarzała. Przed porannym apelem to nie Bosch otwierał ich cele. „Kaczor” trzymał się na dystans i nie dawał po sobie poznać, czy Dora przekazała mu wiadomość i czy jest gotów przejąć pakiecik.

Nerwowa ekscytacja, radosne, niecierpliwe oczekiwanie, uczucia znane z dzieciństwa, kiedy nie mógł się doczekać urodzin. Podczas odliczania Tarek nie chciał się zdradzić, trzymał głowę przepisowo opuszczoną, żeby z napięcia nie zachichotać. Całą noc spędził na rozmyślaniach. Nauczył się każdego słowa, przemyślał każdy chwyt ręki, ustalił plan. Do nerwowości dołączyła troska. Coś go niepokoiło. Coś niesamowitego z głębi jego jaźni skłaniało go, by w panice krzyknąć i biec przed siebie. Tarek przypisał to napięciu, bólowi głowy. Może to był też strach przed izolatką. Także Steinhoff robił wrażenie zdenerwowanego. Tarek myślał o tym, co pilot

powiedział o bólu, i o tym, że miał rację. Tarek bał się bólu. Strasznie się bał.

– Coś powiedziałaś, 77?

– Nie, panie strażniku więzienny!

– Pięć pompek, 77, za to, że kłamiesz! *Go, go, 77!*

Wyszedł z szeregu jeszcze wolniej niż inni więźniowie i wykonał zadane mu pompki. Powoli, Tarek, jeszcze wolniej. Tarek koala. Tarek ślimak.

Podczas apelu łóżkowego obecna była cała zmiana nocna, także podczas śniadania i jeszcze dłużej. Wyżywali się, ponieważ zmiana nocna jest taka monotonna.

Tarek poruszał się jakby w zwolnionym tempie. Oni ryczeli, popychali go pałkami, ale nie posunęli się do brutalniejszych zachowań. Dobry znak. Za to wszyscy musieli potem iść na kolanach do jadalni przy akompaniamencie wyzwisk.

– Szybciej, gnoje! Froterować podłogę! Ruszać dupy, czy mamy dać wam wpierdol?

I jeszcze jeden nowy pomysł, także „ze względów bezpieczeństwa”: musieli się załatwiać przy otwartych drzwiach toalety. Nikt się nie sprzeciwił.

Podczas posiłku wciąż jeszcze nie nawiązał żadnego kontaktu z Boschem. Nie ruszał się, nawet nie spoglądał w jego kierunku. Tarek bawił się swoim tostem, zgniótł go w kulkę, którą toczył po tacce. Uśmiechnął się do 82 i pomachał mu kromką tostu. Były właściciel kiosku, który w ciągu ostatnich dni nie odezwał się ani słowem, odwrócił z irytacją wzrok.

– Ej, 77, ty pedale! Przestań się zalecać! – zawołał Eckert. – Jedzenie to nie zabawka!

Bosch nadal nie reagował. Po śniadaniu nie podszedł do kraty. Przed spacerem Eckert oznajmił, komu „komisja dyscyplinarna” przedłużyła karę pozbawienia wolności.

– Numer 82, numer 15, numer 77, numer 38. Gratuluję, cioty!

Tarek dostrzegł, jak Steinhoffowi zadrgała szczęka. Trącił go, ale Steinhoff nie zareagował.

Podczas spaceru Tarkowi wreszcie udało się przekazać pakiecik. Więźniów pilnował Bosch i trzech innych strażników, ale Bosch stanął wyraźnie z boku, dystansując się od pozostałych strażników. Najpierw

Tarek nie miał śmiałości, kręcił się po dziedzińcu pozornie bez celu, zbliżył się do numeru 82, który stał niedaleko Boscha oparty o ścianę i gapił się przed siebie.

– No, 82, jak tam?

82 nie odpowiedział. Spojrzał tylko krótko.

– Myślisz o „Źródełku”?

Nagle oczy numeru 82 ożyły.

– Znasz „Źródełko”?

– No jasne. Często obok przejeżdżam. Najlepsza budka w okolicy.

82 nawet się uśmiechnął, przytaknął, po chwili jednak potrząsnął głową.

– Ech, cholera.

– Głowa do góry, 82. Niedługo stąd wyjdziemy. Obiecuję ci. A potem będziesz miał co opowiadać menelom.

– Nikt mi nie uwierzy. O ile w ogóle tu wytrzymam.

– Polegaj na mnie, 82. Dzień wolności jest bliski. A potem twoja budka będzie najślawniejsza w mieście.

Niski człowieczek zrobił się nieufny i się odsunął, gdy zobaczył, że 74 ich obserwuje.

– Robisz sobie ze mnie jaja.

Przez cały czas Tarek trzymał pakiecik w dłoni. Podczas rozmowy z 82 zbliżył się na odpowiednią odległość do Boscha. Gdy 82 się odsunął, Tarek niby przypadkiem trącił strażnika i włożył mu szybko pakiecik w dłoń. Zdziwił się, że tak mu to łatwo poszło, i w jednej chwili poczuł ulgę. Bosch przejął pakiecik, nie pokazując po sobie żadnej reakcji i równie szybko schował go do kieszeni spodni. Jednocześnie wolną ręką odepchnął Tarka od siebie.

– Nie trącaj mnie, durniu! Spadaj!

Tarek szybko odszedł na bok. Wyglądało na to, że nikt nie zobaczył, jak przekazuje Boschowi notatki. Tylko gdy spojrzał przelotnie na numer 74, ten odwrócił się pospiesznie.

– Jakież problemy, Bosch? – zawołał Eckert.

– Nie, wszystko pod kontrolą.

Bosch z powrotem doszedł do swoich kolegów.

– Ten gamoń leci na ciebie, Bosch!

Roześmiali się, ale nikt nie rzucił się na Tarka. Nic się nie stało. Nagle szalona, oszałamiająca radość. Tarek musiał się powstrzymać, żeby nie wykrzyknąć triumfu. Próbował uspokoić gwałtowne pompowanie w szyi.

– Ej, ty, 77! Co jest?

– Nic, panie strażniku więzienny. Wszystko w porządku.

Gdy zostali z powrotem zamknięci w celach, Tarek zauważył, że brakuje numeru 74. Dopiero po pewnej chwili został on doprowadzony do celi bez słowa komentarza. To zaniepokoiło Tarka. Ale że coś poszło źle, Tarek domyślił się dopiero wtedy, gdy rozpoczęła się nocna zmiana, a nikt się nie zjawił, żeby ich przeliczyć.

Heiner Bosch siedział w kącie pomieszczenia, w miejscu, gdzie nie sięgało oko kamery. Gdzie było martwe pole. Ręce i nogi miał przywiązane przewodami do krzesła, usta zaklejała mu szeroka płócienna taśma. Na jego twarzy nie odznaczyły się ślady pobicia, ale widać było, że się boi. Bezgraniczny, paniczny strach, który powodował intensywne pocenie.

Przy stole, zaledwie kilka kroków dalej, siedzieli pozostali strażnicy. Zmiana nocna, poranna i popołudniowa. Sven Glaser, Robert Amandy, Volker Eckert, Holger Berus, Boris Renzel, Werner Tode, Ulrich Kamps, Christian Stock. Ośmiu mężczyzn. Ośmiu mężczyzn, którzy mieli problem. Ośmiu poważnych panów, którzy wypełniali służbę najlepiej, jak potrafili. Służbę, którą pełnili chętnie. To nie ulegało wątpliwości. Na skutek donosu złożonego przez więźnia numer 74 pojмали Boscha, znaleźli przy nim notatki, które dostał od numeru 77, przesłuchali go. Bosch cały czas powtarzał, że nic nie wie, ale doszły jeszcze informacje udzielone przez Berusa i Eckerta. Ponieważ sytuacja była skomplikowana i dotknęła ich zupełnie nieoczekiwanie, najpierw próbowali skontaktować się z Thonem. Ale student z pokoju z monitoringiem powiedział im, że Thon jest na konferencji i wróci dopiero w poniedziałek. To oznaczało, że faktycznie mają problem. Nie było co do tego cienia wątpliwości.

– Nie możemy siedzieć tu wiecznie i dywagować – stwierdził Renzel. – Musimy podjąć decyzję. Sami, skoro nie ma dyrektora.

Pozostali przytaknęli.

– Nie wiem, w czym jest problem! – rzekł Amandy, który bez czapki strażniczej i okularów wyglądał raczej konusowato. – Wywalimy Boscha, ukarzymy 77 i będziemy dalej robić swoje!

Berus walnął gwałtownie pięścią w stół.

– Nie! To nie takie proste! Ciągłe jeszcze nie zajarzyliście? Mamy tu do czynienia z czymś więcej niż ze zwykłym naruszeniem regulaminu! Tu chodzi o cały eksperyment. Powiem krótko: 77 próbował przeszmyglować przy pomocy Boscha gryps. W grypsie rozpowszechnia kłamstwa i oczernia nas. Najwidoczniej chce spowodować przedwczesne przerwanie eksperymentu. Pomaga mu jego dziewczyna. Wczoraj intuicja mi podpowiedziała, żebym ją śledził, i widziałem, jak dwa razy wchodzi do Boscha i od niego wychodzi.

Berus sapnął, upewnił się, czy pozostali go słuchają, i mówił dalej:

– Ding-dong! A ponadto dzisiaj rano Eckert dowiedział się od mysiej asystentki profesora, że ona też chce przerwać eksperyment. A więc niebezpieczeństwo czyha z dwóch stron. Ding-dong! I dokładnie w tym samym momencie nasz dyrektor znika z powierzchni ziemi. Czy to nie dziwne, co?

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytał Stock, który do tej pory nie odezwał się ani słowem.

– Zaraz ci powiem! Sądzę, że chcą sprawdzić, jak grupa zareaguje na zakłócenia zewnętrzne. To test!

– Ja cały czas myślałem, że ten eksperyment przeprowadza się na więźniach! – powiedział Tode. – Ale to by oznaczało...

– Tak jest! Że to eksperyment na nas wszystkich! **WSZYSCY JESTEŚMY PODDAWANI PRÓBIE!**

Niezadowolone szepty i pochrząkiwania. Wszyscy poprawili się na niewygodnych krzesłach.

– To wszystko bzdura! – zawołał Kamps, który był na nocnej zmianie. – Naprawdę sądzisz, że 77 dostał z góry takie zadanie?

– Tak, a bo co? Dlaczego nie? Przecież możliwe, że go tu wsadzili jako bombę zegarową, żeby nieco zaognił sytuację. To dziwne, inni więźniowie nie stwarzają takich problemów, tylko 77 już pierwszego dnia się stawia.

– Bzdura! – ponownie zawołał Kamps.

– Nie, to nie bzdura! Nawet jeśli 77 nie jest podstawiony, to i tak stanowi problem. Jest dziennikarzem. Chce naszym kosztem zyskać popularność. Dziennikarze są wrzodami na dupie społeczeństwa. Do niczego nie są

przydatni i tylko swędzą. Póki się ich nie wyciśnie. A do tego dochodzi jeszcze ta nasza pani doktor, która chce przerwać eksperyment.

Berus umilkł i czekał, co powiedzą inni. W kącie na krześle szarpał się dziko Bosch i głucho stękał w taśmę klejącą. Berus rzucił na niego okiem, ale nic nie powiedział.

– W pewnym sensie możesz mieć rację – bąknął Stock.

– A ja uważam, że powinniśmy wykonywać naszą pracę jak do tej pory – rzekł Amandy, a inni przytaknęli. – Bo co nam pozostaje innego?

– Właśnie to chciałem powiedzieć – znów głos zabrał Berus. – Ukarzmy Boscha i numer 77, urządzmy się tu i odizolujmy od świata zewnętrznego, póki nie wróci dyrektor.

– Jak to sobie wyobrażasz? Mamy tu MIESZKAĆ? Jak w koszarach?

Berus kiwnął głową.

– Jesteśmy przecież jedną drużyną, co nie?

– Świetny pomysł! – zawołał Eckert. – Zupełnie jak w *The Real Life*. My będziemy *inside*, inni pozostaną *outside*. Tylko my, nikt więcej, skazani na siebie.

– Mamy wszystko, co potrzebne – kontynuował rzeczowo Berus. – Toaletę, prysznic, sypialnię. Resztę, to jest materace, śpiwory, jedzenie i tak dalej, zorganizujemy sobie sami.

– I wszystko zarejestrujemy na video – wtrącił Eckert.

– I tak wszystko jest rejestrowane, tępaku! – jęknął Kamps i pokazał ręką kamerę u sufitu. – *Real Life!* Mamy teraz grać w tym pieprzonym *show*?

– A ci tam na górze? – zapytał Tode.

Berus przyłożył sobie palec do ust.

– Zajmiemy się nimi. Najpierw chcę się dowiedzieć, czy wszyscy jesteśmy po jednej stronie.

– Nie! – powiedział Kamps. – Trzymajmy się przepisów. Wykonujemy dalej swoje obowiązki zgodnie z tym, co zapisano w umowie. Koniec, kropka. I tak przerwą ten eksperyment. I to właśnie z powodu takich poczynań, mówię wam.

– Gównu przerwą! – zawołał Berus. – Wszystko, co do tej pory robiliśmy, przyjmowali bez zastrzeżeń. A więc robimy wszystko jak należy. Oczywiście, że będziemy się trzymać przepisów. A w nich jest napisane, że

mamy być przygotowani na nieprzewidziane zdarzenia i odpowiednio na nie reagować. Pytam się was, kto z was chce, żeby eksperyment został przerwany? – Nikt się nie zgłosił. Berus kiwnął z zadowoleniem głową. – Dobrze. Moim zdaniem odwalamy tu kawał porządnej roboty. I sądzę, że każdy z nas lubi tę pracę. Poza tym nadstawiłem uszu i się dowiedziałem, że planują jeszcze więcej tego typu eksperymentów. Ja sobie to tak wyobrażam: nasze małe więzionko w przyszłości będzie stale gościło różnych więźniów. A do tego oczywiście będą potrzebni doświadczeni, rzetelni strażnicy, którzy są w stanie sobie z nimi poradzić. Przerwijcie mi, jeśli źle mówię. A więc za pierwszym razem sprawdza się nas, jak sobie dajemy radę, jak reagujemy. Jeśli się dobrze spisujemy, to w przyszłości też zostaniemy zaangażowani.

Kamps rozejrzał się i zobaczył, że słowa Berusa trafiły innym do przekonania.

– Nie każdy z nas chce dalej być w to zaangażowany, Berus.

– *Okay*, ale chyba możemy od ciebie oczekiwać odrobiny solidarności? Powtarzam jeszcze raz: TO JEST TEST. Róbmy dalej swoje. I róbmy to dobrze! Róbmy to, co robić musimy.

Oparł się o oparcie krzesła i czekał na reakcję innych.

– Może przeprowadzimy głosowanie? – zaproponował Renzel. – Kto jest za propozycją Berusa? – Podniósł rękę i rozejrzał się po obecnych. – No, Kamps, co jest z tobą? Zdecyduj się! Bardzo dobrze! A więc propozycja przyjęta jednogłośnie. Od czego zaczniemy, Berus?

Dora czekała na Boscha od południa. Dzwoniła do niego kilkakrotnie, nagrywając się na automatyczną sekretarkę. W końcu po dwóch godzinach daremnego oczekiwania nie wytrzymała i pojechała na Ludwigstraße. W mieszkaniu była jego żona. Przywitała Dorę na klatce schodowej i nie zaprosiła jej nawet do środka, tylko oddała, stojąc w drzwiach, zaliczkę w kwocie dwóch i pół tysiąca.

– Mąż zadzwonił z laboratorium. Zmienił zdanie. Nie chce się przyczynić do fiaska eksperymentu. Proszę, niech pani zabierze te pieniądze.

Dora była zdezorientowana.

– Ale dlaczego? Przecież koniecznie chciał przerwać ten eksperyment! Gdzie jest pani mąż? Czy mogę z nim porozmawiać?

Młoda kobieta nie ruszyła się z miejsca.

– Jest jeszcze w laboratorium. Przeprowadzają tam dodatkowe ćwiczenia, o ile go dobrze zrozumiałam. Nie wróci wcześniej jak jutro wieczorem. Niech pani zrozumie, on chce przez to przejść. I uważam, że tak będzie najlepiej. On zawsze przed wszystkim uciekał. To dobrze, że podjął taką decyzję i doprowadzi do końca to, co zaczął. Pieniądze nie są najważniejsze.

Dora zorientowała się, że nic już się nie da więcej zrobić. Znała to spojrzenie, identycznie patrzyła jej matka.

– Czy mógłby chociaż do mnie zadzwonić, jak wróci?

Kobieta wykonała nieokreślony gest.

– Przekażę mu, żeby zadzwonił.

Ile minęło czasu? Godzina? Dwie? Czas był papką z jasności i zapachu potu. Czas był opustoszałym polem bitwy, na którym niewyraźne przecucie kłęski atakowało resztę nadziei. Tarek owinięty w koc stanął przy kracie, uszy go bolały od nieustannego szumu głośników. Patrzył na drzwi w końcu korytarza. Z radosnego podekscytowania, które czuł po dzisiejszym spacerze, nie pozostało ani śladu, jedynie tępy ból głowy. Uczucie, że jest ranny. Wszędzie poraniony. Steinhoff milczał, czekał, czasem tylko unosił brwi, gdy spotkały się ich spojrzenia. Przemądrzalec. Inni oczywiście też coś przeczuwali, skoro nie odbyło się odliczanie. Przez jakiś czas przestraszeni milczeli, potem podeszli do krat i rozmawiali ze sobą.

– Nie ma ich! Wszyscy sobie poszli!

– Wycieczka zakładowa, czy co? No nie, nikogo nie ma!

– Coś się stało. Gdzieś się pali i chuje spierdoliły, a nas zostawiły. Nie czujecie zapachu spalenizny? Tu coś zalatuje spalenizną. Czuję całkiem wyraźnie, że coś się pali.

– Zamknij jadaczkę, numerze 21.

– Te świny nas tu zostawiły i wszyscy się spalimy!

– E, na pewno tylko obmyślają jakieś nowe kurewstwo. Chcą nam napędzić stracha.

- Dobrze im to wychodzi!
- Może eksperyment zostanie przerwany.
- Chyba w twoich snach!

Tarek słuchał jednym uchem, patrzył tylko na służę na końcu korytarza, za którą znajdowały się dziedziniec i korytarz prowadzący do pomieszczeń strażników.

Wtedy nagle umilkł szum dobywający się z głośników. Niepokój i poruszenie. Po podłodze z tworzywa zadudniły kroki, wprawiając ją w drgania, jakby miało miejsce małe trzęsienie ziemi. Mleczne cienie drgały na ścianach po drugiej stronie służy, szybko się zbliżały. Krata uniosła się z trzaskiem w górę i już było wiadomo, że eksperyment nie został przerwany, że nigdzie się nie pali. Ośmiu strażników z Berusem na czele wtargnęło na korytarz. Dwóch z nich trzymało pod ręce skrepowanego Boscha i ciągnęło go. Nie miał już na sobie munduru, tylko szarą koszulę z numerem 53 na piersi i plecach, z której jeszcze wydatniej wystawała jego kacza szyja. Na głowę miał naciągniętą bawełnianą torbę na zakupy z supermarketu. Gdy strażnicy rozstawili się na korytarzu, Berus ściągnął Boschowi torbę z głowy. Bosch sapał przez nos z braku powietrza i próbował krzyczeć, ale jego usta wciąż były zaklejone. Tak jak pozostali więźniowie miał teraz na głowie czepek kąpielowy, zabrano mu okulary przeciwsłoneczne. Tarek mógł dojrzeć jego spojrzenie. Wyrażało strach. Paniczny strach bez cienia nadziei.

Dwóch strażników otworzyło celę Tarka i chwyciło go. Tarek bronił się, próbował się wyrwać, ale jeden ze strażników uderzył go pałką w krzyż tak mocno, że Tarek z jękiem upadł na podłogę. Skrepowali go i postawili obok Boscha na korytarzu.

– Dzisiaj rano doszło do naruszenia regulaminu więzienia! – zaczął Berus bez ogródek, w ręku trzymał notatki Tarka. Podniósł je do góry i pokazał wszystkim.

– Otóż 77 za pośrednictwem jednego ze strażników próbował przeszmyglować gryps, w którym zaplanował zamach na nasze więzienie. Dzięki czujności numeru 74 oraz personelu strażniczego zamach ten został jednak zażegnany. Stanowiło to zagrożenie wewnętrznego bezpieczeństwa więzienia. Bezpieczeństwa nas wszystkich. Nas i was! Takie postępowanie zasługuje na adekwatną karę. Strażnik, który dopuścił się współpracy z numerem 77, został przez komisję dyscyplinarną zwolniony ze służby ze

skutkiem natychmiastowym i skazany na karę więzienia. Co się tyczy numeru 77, który wielokrotnie naruszał regulamin i odmawiał wykonywania poleceń, został mu przez komisję dyscyplinarną wymierzony następujący wymiar kary: pobyt w izolatce na czas nieokreślony. Na tak długo, póki więzień nie zmieni swego stosunku do regulaminu więziennego.

W celach nikt nawet nie drgnął. Tylko numer 74 się odezwał.

– A co ze mną? Co powiedział dyrektor? Czy zostanę wreszcie zwolniony? Przecież poszedłem na współpracę!

Berus podszedł do jego celi i przez kratę podał mu batonik czekoladowy.

– To nagroda za twoją współpracę, 74.

74 patrzył zgaszonym wzrokiem na batonik.

– Ale chwila! Ja tego nie chcę! Ja nie chcę czekolady, ja chcę stąd wyjść! Obiecano mi to, jeśli...

– Spokój, 74, albo uznam twoje zachowanie za naruszenie regulaminu. Zeżryj swój batonik, zanim ci go zabiorę, i trzymaj mordę zamkniętą na kłódkę! Po tym zdarzeniu nikt już nie opuści więzienia przed upływem wyznaczonej mu kary, chyba że będzie martwy. Czy to jasne, durnie?

– To są tortury.

Powiedział to Steinhoff. Niezbyt głośno, ale na tyle, żeby wszyscy usłyszeli.

– Co powiedziałaś, 38?

Steinhoff powiedział głośno i wyraźnie do kamery, która była skierowana na jego celę:

– Powiedziałem, że to są tortury. Takie traktowanie narusza prawa człowieka i jest niezgodne z umową, którą wszyscy podpisaliśmy, oraz z przepisami prawa. Żądam natychmiastowego przerwania eksperymentu.

Chociaż sytuacja nie była ani odrobinę śmieszna, Tarek nie mógł się powstrzymać w tym momencie od uśmiechu, tak absurdalne i bezużyteczne wydało mu się wystąpienie Steinhoffa. Jednocześnie zastanawiał się, czy teraz może wreszcie wkroczy ktoś z góry.

Berus wymienił spojrzenia z jednym ze strażników ze swojej popołudniowej zmiany, który zaraz potem podszedł do kraty.

– A więc ŻĄDASZ?

– Tak – powtórzył Steinhoff. – Żądam przerwania eksperymentu.

W tej samej chwili, tak szybko, że ledwie się to dało zarejestrować wzrokiem, pałka trafiła prawą dłoń Steinhoffa, zaciśniętą na kracie. Steinhoff zawył, odruchowo się skulił i chwycił za zranione palce.

– To MY jesteśmy tu prawem – powiedział strażnik, który go uderzył.

Berus trącił Tarka pałką w bok.

– Nauczył się od ciebie drzeć mordę, co?

– Pocałuj mnie!

– Chętnie!

Berus pociągnął nosem, a potem go opluł.

Tarek opuścił głowę i szarpnął się gwałtownie, żeby uwolnić się z uchwytu strażnika i uderzyć Berusa z główki. Ale strażnik brutalnie podniósł jego ręce do góry, prawie wyrywając ze stawów. Tarek krzyknął i kopnął w kierunku Berusa, ale nie trafił.

– Oszaleliście! – wysapał Tarek. – Nie wiem, dlaczego ci tam na górze na to przyzwalają, ale jednej rzeczy wam, świnie, nie uda się zapobiec. Dzisiaj, najpóźniej jutro, zjawi się tu ekipa telewizyjna. Moja dziewczyna to załatwi. Mam cię w dupie, Berus, i izolatkę też. Jutro wyjdiesz na największego frajera w kraju. Jutro zrobię z tobą koniec!

Berus uderzył go pałką w kolano. Uderzenie nie było bardzo mocne, ale trafiło precyzyjnie. Tarek zawył.

– Tak ci się tylko wydaje, 77! Uważasz, że jesteśmy całkiem głupi. Wczoraj pojechałem za tą twoją przyjaciółką. Wiem, gdzie mieszka. A ty nie sądz, 77, że kiedykolwiek dopuścimy do jakichkolwiek działań, które stanowiłyby zagrożenie dla regulaminu. Już sobie z tą twoją przyjaciółką w porę poradzimy.

Ból wrócił. Ogarnęła go nieposkromiona złość, wypełniła go, oszołomiła, nie dopuszczała żadnej myśli, także strachu. Tarek wyrwał się, nieskończenie powoli, jak mu się wydawało, i krzycząc, głową uderzył Berusa w żołądek. Jakby z oddali dotarł do niego głuchy, syczący odgłos, gdy uderzenie wycisnęło Berusowi powietrze z płuc. Ostatnią rzeczą, jaką Tarek zapamiętał, zanim go pobili i ból wrócił jak zwielokrotnione po stokroć echo, był ostry gwizd dochodzący z gwizdków, ostry i przeraźliwy jak wszystko dookoła.

Nie stracił przytomności, choć myślał, że tak się stanie. Leżał tylko na podłodze z buciorem strażnika naciskającym mu na krzyż, sapał, walcząc z pulsującym bólem, i widział od dołu, jak Eckert wyciąga z kieszeni pistolet gazowy, prezentuje go dookoła, staje na rozstawionych nogach przed Boschem i podtyka mu go pod nos. Tarek nie wiedział, że to pistolet na naboje z gazem drażniącym, imitacja prawdziwego, dostępna wszędzie w wolnym handlu. Widział tylko, że Eckert ma broń w ręce i grozi nią Boschowi, który próbuje się wyrwać i znowu krzyczy w taśmę klejącą.

– A teraz zwracam się do ciebie, 53. Jak sądzisz, czym grozi zdrada? Co mówisz? Nie rozumiem cię dobrze. Tak jest. NAJWYŻSZA KARA! A więc na kolana!

Bosch głucho ryczał, na twarzy zrobił się czerwony. Przytrzymujący go strażnicy zmusili go, by ukląkł.

– Kaptur!

Jeden ze strażników naciągnął Boschowi z powrotem na głowę bawełnianą torbę z logo supermarketu. Bosch dygotał na całym ciele i jęczał. Eckert zrobił teatralny ruch bronią, przeładował głośno i przystawił Boschowi do głowy. Bosch przestał dygotać, całkiem zeszywniał. Eckert nacisnął spust.

– KLIK!

Nagły hałas uderzył w ściany z tworzywa i ucichł.

– Taki mały *joke*! – roześmiał się Eckert i schował broń do kieszeni. – Nawet ślepy o kulach dojrzy, że nie jest prawdziwy!

Strażnicy roześmiali się. Bosch dalej dygotał, dużo mocniej, bez zahamowania, najwidoczniej płakał. Po nogach spłynęło mu coś płynnego, na koszuli odznaczyła się ciemna plama, a wokół jego kolan utworzyła się kałuża.

Strażnicy na ten widok roześmiali się, wykrzywiając usta w pogardzie.

– Jesteś obrzydliwy, numerze 53. Stałeś się już prawdziwym, śmierzącym ćwokiem!

W tym momencie, bez żadnych wcześniejszych oznak, numer 82 wpadł w szal. Sympatyczny właściciel kiosku zaczął szarpać kraty, krzyczeć i wyzywać Eckerta:

– Ty Świnio! Ty gnoju! Ty zasrany nazisto! Zabiję cię! Ty pierdolony gnoju! Impotencie! Nazistowska Świnio! Ty...

Opluł Eckerta, który podszedł do kraty, żeby uderzyć go pałką.

– Wystarczy! – krzyknął Berus i rzucił Eckertowi rolkę taśmy klejącej. – Wyciągnij go z celi i uspokój. Przywiążemy go do krzesła i postawimy tu, na korytarzu, jako przestrogę dla innych, to wystarczy! Numer 77 wsadźcie do izolatki. A potem przygotujcie cele dla nowych, a my załatwimy resztę.

Mniej więcej w tym samym czasie Claus P. Thon przybył do przytulnego hotelu na erfurckiej Starówce, położonego w pobliżu Mostu Kramarzy i studenckich akademików. Zdecydował się na Erfurt, bo lubił to miasto, bo stąd można szybko dostać się do Weimaru, a ponadto żaden z kolegów nie zobaczy go tu ze studentką, która na jego wykładach zawsze siedziała w pierwszym rzędzie, a teraz stała obok niego przy recepcji. Gdy znaleźli się w pokoju, zaciągnął zasłony i zaczęli się rozbierać. Thon lubił, jak go rozbierają kobiety, bo był dumny ze swego ciała. Już nie ściągali z siebie ubrań tak pospiesznie, jak w „mózdku”, ale mimo to dość sprawnie. Jej piersi w dotyku były dokładnie takie, jak to sobie zawsze wyobrażał podczas wykładów. Powiedział jej to, a ona wyznała, na jaką część jego ciała zawsze patrzyła. Wydała z siebie kilka namiętnych jęków, nagle się wzdrygnęła, bo była wrażliwa na łaskotki. Gdy przeturlała go na plecy i usiadła na nim w pozycji najeźdźca, coś mu się przypomniało.

– Chwileczkę – szepnął, zsunął ją łagodnie z siebie i wstał.

– Co jest?

– Chcę tylko wyłączyć komórkę.

– Nie powinieneś być przez cały czas osiągalny z powodu tego eksperymentu?

– Tylko ten, kto nie musi być cały czas osiągalny, może powiedzieć, że osiągnął sukces. Jutta sobie świetnie poradzi beze mnie przez te dwa dni.

Doktor Jutta Grimm siedziała w swoim mieszkaniu przed komputerem i redagowała ostateczną wersję krótkiego referatu pod tytułem *Podstawowe cechy cybernetycznego modelu zachowań w warunkach kontroli społecznej*. Mieszkała tu, w wysprzątanym, przytulnym dwupokojowym mieszkaniu, wraz ze swym chłopakiem, biologiem, który właśnie przebywał na stypendium w Izraelu, gdzie pisał doktorat o rybołówstwie. Wszystko tu miało swoje miejsce, chociaż Jutta się starała, żeby robiło wrażenie

przypadkowości. Książki, misa aluminiowa, japońskie figurki z drewna, wazony, stare zdjęcia, poduszki, nostalgiczne blaszane szyldy reklamowe i ukradziony plakat z perfumami wiszący nad łóżkiem.

Zaczęła odczuwać brak snu, który jej towarzyszył od początku trwania eksperymentu. Ziewnęła i chciała właśnie wydrukować referat, gdy zadzwonił Lars, który miał akurat dyżur w pomieszczeniu monitoringu.

– *Jutta? Tu Lars. Jak to dobrze, że udało mi się do ciebie dodzwonić.*

– Lars? Co się stało? Jakieś problemy?

– *Nie. To znaczy tak. Może powinnaś tu przyjechać.*

– Co jest? Stało się coś? Ktoś jest ranny?

– *Może przyjedziesz i po prostu sama zobaczysz.*

– Lars, nie wkurzaj mnie! Powiedz, co się dzieje!

– *Przez telefon trudno to opisać. Przyjedź i sama zobacz. Na razie.*

Odłożył, nim Jutta zdążyła jeszcze o cokolwiek spytać. Przez moment siedziała przed monitorem i zastanawiała się, czy nie powinna zadzwonić na komórkę do profesora Thona, ale zrezygnowała. Gdy wstała, była zdecydowana, że na własną rękę przerwie eksperyment, niezależnie od tego, jaka niespodzianka oczekuje ją na miejscu.

Gdy pół godziny później weszła do pomieszczenia monitoringu, zastała tam Glasera z nocnej zmiany.

Spojrzał na nią i pozdrowił ją niedbale:

– Dzień dobry, pani doktor!

– Pan Glaser? Co pan tu jeszcze robi? Przecież skończył się już pański dyżur. Gdzie jest Lars?

Glaser wskazał kciukiem podłogę.

– Jest na dole. Czeka tam na panią.

W tym momencie zaalarmowało ją coś w jego spojrzeniu i postawie.

– Co się stało? – zapytała podniesionym głosem i cofnęła się o krok, ale w tej samej chwili do pokoju wszedł Eckert i zamknął za sobą drzwi. W rękę trzymał pistolet gazowy. – Co, do diabła...

Eckert podszedł do niej i przyłożył sobie palec do ust.

– Psst! Niech pani nie krzyczy, pani doktor! Bo inaczej... – Udał, że strzela sobie w głowę, ręką wykonał ruch naśladujący odrzut broni, zachwiał się, jakby został ugodzony kulą. – Uuuuu!

– Pani chce przerwać eksperyment, prawda? – Glaser podał jej telefon i listę nazwisk studentów przydzielonych do nadzoru. – W takim razie niech pani to zrobi. Niech pani zadzwoni do tych swoich małych nadzorców i im powie, żeby już tu nie przychodzili, bo eksperyment się skończył.

Jutta spoglądała to na Eckerta, to na pistolet i próbowała zapanować nad przerażeniem, które ścisnęło jej gardło.

– Czy moglibyście. Proszę. Mi może wyjaśnić. Co to wszystko ma znaczyć?

Eckert wyszczerbi zęby.

– Zgadnij, psychodoktoru.

– Czy profesor Thon wie o tej akcji?

– Nieosiągalny.

– Ależ jest osiągalny – powiedziała szybko. – Pod komórką.

– To niech pani do niego zadzwoni! – Glaser wskazał ręką telefon. – Jak się pani dodzwoni, to z miejsca wyjaśnimy sprawę.

Drżącymi rękoma zaczęła szukać numeru w swoim notesiku z adresami, w końcu Glaser zabrał jej notes i sam wybrał numer.

– Abonent jest czasowo niedostępny” – powtórzył i odłożył. – Ale warto było próbować, co, psychodoktoru?

– Niech pan spróbuje jeszcze raz!

– Spróbujemy, spróbujemy, ale teraz niech pani zadzwoni do ludzi z tej listy!

– A co, jeśli odmówię?

– W takim razie skrępujemy panią i zrobimy to z każdym dupkiem, który tutaj wejdzie. A nasz mały Lars tam na dole powie: „Aua!”.

– Ale... DLACZEGO?

– Żeby zapewnić bezpieczeństwo i porządek. Dlatego. A więc, co teraz? Będzie pani z nami współpracowała, czy nie?

Dora kręciła się niespokojnie po pokoju Tarka i próbowała zebrać myśli. Ostatniego wieczora była całkiem pewna, że Bosch za wszelką cenę pragnie zakończyć swój udział w eksperymencie. Skąd ta nagła zmiana postanowienia? Dora próbowała przypomnieć sobie twarz kobiety, czy nie było na niej choć cienia kłamstwa, ale kobieta była bardzo poważna i

zadowolona, że może zwrócić pieniądze. Poza tym, jeśli się dobrze zastanowić, nie oznaczało to zbyt wiele. Dora nie dostała wprawdzie notatek Tarka, ale nadal mogła wkroczyć na teren laboratorium wraz z ekipą telewizyjną. O ile Drese coś zorganizował.

Jeszcze raz spróbowała dodzwonić się na komórkę Dresego, jak to robiła przez cały czas, od kiedy wróciła do mieszkania Tarka, ale wciąż nikt nie odbierał. Dlaczego świat toczy się dalej niezmiennie, skoro z nikim nie można nawiązać kontaktu?

Za kwadrans czwarta. O ósmej wieczorem powinna być u siostry Tarka. A więc jeszcze dość czasu, żeby czekać na Dresego. Dość czasu, by się gryźć z myślami o rzeczach, o których nie chciała myśleć. Żeby odwrócić uwagę i przekonać samą siebie, że to, co robi, jest słuszne. Kontynuowała swoją wędrówkę po mieszkaniu Tarka. Zdjęła z regału jedno z wielu kartonowych pudełek, gdzie Tarek w dużych kopertach przechowywał swoje zdjęcia. Wszystkie koperty wyglądały jednakowo. Dora wybrała przypadkową kopertę i wyciągnęła pierwsze zdjęcie z brzegu.

Później często myślała, że to nie ona znalazła to zdjęcie, lecz że ono znalazło ją. Rzuciwszy na nie okiem, upadła na kolana, wydając z siebie cichy jęk. Na zdjęciu były zmalretowane zwłoki młodego mężczyzny tkwiące w wykopanym w ziemi dole. Zwłoki jej brata. Nikt nigdy do tej pory nie pokazał jej zdjęcia Michaela w tym dole. I właśnie tutaj musiała znaleźć to zdjęcie.

Nie mogła oderwać wzroku. Trzymała fotografię, pojękując, nic, tylko cicho pojękując, całkiem bezsilna, niezdolna się ruszyć. Drżąc, wpatrywała się w zmalretowanego brata, pewna, że za chwilę postrada rozum. Na dodatek ogarnęła ją bezgraniczna rozpacz, gdy zrozumiała, że Tarek zainteresował się nią tylko ze względu na temat, że zawsze wiedział, kim ona jest, że prawdopodobnie już dużo wcześniej ją obserwował i tylko czekał na korzystny moment. Rozpacz odebrała jej oddech, aż w końcu coś głęboko w niej poddało się napięciu. Wydając z siebie zduszone jęki, upadła do przodu, na podłogę, skuliła się, zwinęła w kłębek, płakała, nie przestawała płakać, zwinęta tak na wieczność, bo ból nie pozwalał jej na żaden ruch; ból był jak burza, która ją dopadła i która chciała ją porwać i zabić, gdyby się choć trochę podniosła.

Martwy świat. Pomieszczenie tak małe, że Tarek nie mógł wyciągnąć rąk, i tak niskie, że nie mógł stanąć prosto, jedynie w pozycji zgarbionej, w której nie można było długo wytrzymać. Poza tym mógł tylko siedzieć, kucać, kulić się. Podłoga, ściany i sufit ze stabilnej stalowej kraty o dużych prześwitach, przez które jednak nie dałoby się przecisnąć pięści. Za kratą i pod nią izolacja dźwiękowa jak w studiu radiowym. Grube tworzywo piankowe, które pochłania każdy dźwięk. Mógł je dotknąć, poczuć, lekko ucisnąć, gdy wkładał palce między pręty kraty. Zobaczyć go nie mógł.

Było to pomieszczenie bez światła i bez dźwięku. Tarek widział grube izolowane drzwi i wiedział, że teraz będzie sam. Zupełnie sam. Gdy drzwi się zamknęły, krzyknął, bo bębenki w uszach nagle mu z trzaskiem wkłęsyły do środka. Ale krzyk tylko zwiększył ucisk, więc Tarek przestał i jak podczas nurkowania próbował wyrównać ciśnienie. Później wiele razy to powtarzał.

Stęchły zapach pianki izolacyjnej. Powietrze jak olej, prawie nie można oddychać. W rogu wiadro z przykrywką na potrzeby fizjologiczne, które wstawili mu strażnicy.

Brak jakichkolwiek dźwięków zszokował Tarka bardziej niż absolutna ciemność. Żaden dźwięk tu nie rozbrzmiewał ani nie wracał echem. Pianka pochłaniała wszystko. Gdy Tarek zapanował nad pierwszym atakiem paniki i skulił się cicho, poczuł dziwne uczucie uwolnienia. Po nieznośnej jasności ostatnich dni ciemność koła go, dawała ulgę obolałym oczom, powodowała zmęczenie. Ale ta ulga nie trwała długo. Ponieważ zmysły były ogłuszone, wkrótce dały o sobie znać nerwy gorączkowo łaknące bodźców. Błona bębenkowa z tęsknoty za dźwiękami zdawała się teraz uwypuklać na zewnątrz. Skóra go piekła i wszędzie go swędziało. Koszula gryzła bardziej niż kiedykolwiek, Tarek czuł każde włókno, a pod czubkami palców wyczuwał strukturę krat.

Pulsowanie w skroniach. *Tum, tumtum, tum.*

Zasnął w niewygodnej pozycji i obudził go ból od prętów krat w podłodze, które po krótkim czasie odcisnęły mu się na ciele. Nie minęła jeszcze godzina, jak został osadzony w izolatce, a już stracił poczucie czasu, nie wiedział, czy znajduje się tu dopiero kilka minut, czy może upłynęło już kilka godzin. Wróciła panika, potężniejsza niż wcześniej, potężniejsza niż cokolwiek. Gromadziła się, wypełniała całe pomieszczenie, robiła się gęstsza i gęstsza, aż w końcu kiedyś go udusi.

Tum, tumtum, tum. Tarek się dławił. Mięśnie go nie słuchały. Ciało zdawało się zmieniać, zrobiło się dłuższe, rozciągnęło się, a potem znowu skurczyło. Tarek z trudem łapał powietrze i z rozpaczy zaczął krzyczeć, by przerwać ciszę, która zakleiła mu uszy jak tłusty film. Krzyczał mimo bolesnego nacisku na uszy. Krzyczał przeciwko ciszy, nocy i swojemu strachowi, a krzykiem jeszcze bardziej karmił lęki, powodował, że robiły się gęstsze, ciemniejsze i większe. Ale mimo to krzyczał dalej, krzyczał o swoje życie, krzyczał, aż głos mu zamarł.

– Tak! Tak! Tak! Tak!

Gdy Tarek krzyczał w izolatce, prawie tracąc przytomność, w hotelu w Erfurcie krzyczała też studentka profesora Thona. Jej krzyki były jednak krótkie, jeden po drugim, wysokie, za każdym razem wyższe i niespowodowane ani strachem, ani bólem. Były raczej wysoce skuteczną zachętą dla leżącego pod nią mężczyzny, który się z całych sił starał.

– Taaaaaaaak!

Podziałało. To działało zawsze.

Chwilę potem mokry od potu Thon leżał obok niej i obejmował ją mocno. Oddech mu się szybko uspokoił, ponieważ był w świetnej formie. Nie był takim sflaczałym fiutem jak wielu jego kolegów. Thon westchnął i sięgnął po zegarek na nocnej szafce.

– Co? Już piętnaście po piątej?

Kobieta obok niego przycisnęła mocniej pupę do jego miednicy.

– Musisz zadzwonić do żony? – zamruczała.

– Później. Ale a propos dzwonienia.

Przeleciała mu przez głowę myśl, że powinien sprawdzić, co dzieje się w laboratorium. Wstał, włączył z powrotem komórkę i wybrał numer. Nikt nie odebrał, więc spróbował na inny numer, również bez skutku. Nagle poczuł zaniepokojenie, które wtargnęło w jego myśli jak powiew wiatru w stare listowie.

– Cholera, gdzie oni się wszyscy podziiali?

– Problemy?

– Nie. Ach, nie, nie ma problemów. Tylko jak kota nie ma w domu, to myszy harczą. To na pewno to.

Spojrzała na niego, wzrokiem powiodła po jego ciele.

– Wracaj do łóżka!

Zaniepokojenie ustąpiło miejsca zakłopotaniu. Thon uśmiechnął się zboląły.

– Wykończysz mnie, Ilona. Co byś powiedziała na mały spacer, a potem zjedlibyśmy może coś porządnego?

Potrząsnęła gwałtownie głową i podniosła się nieco w pościeli, tak że można było zobaczyć jej piersi.

– Później. Wracaj do łóżka. Bo będę krzyczeć!

Na zewnątrz izolatki panowała cisza. Numer 82 siedział na krześle na korytarzu. Wszyscy mogli go widzieć. Był skrupowany w taki sposób, że nie mógł się w ogóle ruszać. Ciało miał wyprostowane i owinięte taśmą klejącą. Twarz na wysokości ust miał oklejoną pod sam nos, tak że z każdym oddechem musiał wachać zapach kleju. Na początku w panice kręcił głową i wydawał z siebie głuchoe odgłosy. Potem przestał się ruszać, sapał tylko ciężko przez nos, czasem jęczał.

Berus milczał, rzucił tylko na niego krótko okiem. Pozostałym więźniom też zakleili usta. Również pani psycholog i studentowi. Ta dwójka nosiła teraz numery 11 i 12. Eckert i Glaser sprowadzili kobietę na dół po tym, jak nie chciała zadzwonić do innych studentów. Dopiero gdy Berus zaczął na jej oczach policzkować dryblasowatego studenta, całkiem lekko, prawie po kumpłowsku, wreszcie zrozumiała. Mądra dziewczynka. Teraz miała na sobie koszulę, jak wszyscy pozostali, i zachowywała się cicho. Eckert pilnował więźniów i filmował małą kamerą video. Thon ciągle jeszcze był nieosiągalny, zgodnie z oczekiwaniami, niezależnie od tego, na jaki numer dzwonił. Berus wiedział, co to oznacza. Stan wyjątkowy.

Berus zastanawiał się, czy o wszystkim pomyślał. Jediną windę, która zjeżdżała na poziom – 2, zablokowali za pomocą hamulca awaryjnego. Dodatkowo zamknęli drzwi na klatkę schodową, tak że nikt nie mógł z zewnątrz dostać się do piwnicy. Odcięli przewody kamer video i mikrofonów łącznie z linią telefonu wewnętrznego. Glaser i Amandy w tym czasie udali się w mundurach na miasto, żeby powiadomić rodziny i załatwić to, co najpotrzebniejsze. Jedzenie, nadmuchiwane materace, śpiwory, czasopisma.

Berus kiwnął głową, wyprostował się i zagwizdał ostro gwizdkiem.

– Okay, słuchajcie! Kto chociażby ruszy taśmę na ustach, znajdzie się od razu obok numeru 82! – powiedział rzeczowym tonem, po czym mówił dalej nieco głośniejszym, ale nadal rzeczowo. – Sytuację mamy całkowicie pod kontrolą! To, jak długo trwać będzie stan wyjątkowy, zależy między innymi od waszego zachowania. Jedno musi być jednak jasne: nie możecie oczekiwać z naszej strony cierpliwości ani pobłażania. Wiem, że myślenie nie jest waszą mocną stroną, dlatego wam to dokładnie wyjaśnię. Kto uważa, że mógłby wykorzystać sytuację, ten dostanie za swoje. Każdy opór będzie niezwłocznie karany. Czy to do was dotarło?

Rozejrzał się. Więźniowie, starzy i nowi, stali bez ruchu przy kratkach i milczeli.

– Spytałem, czy to do was dotarło, tępaki! – zaryczał Berus. Więźniowie w celach przytaknęli. – To dobrze. Dobrze, że przynajmniej tyle kapujecie! Macie słuchać poleceń i zachowywać się spokojnie. – Zobaczył, że Jutta i Lars wymienili się spojrzeniami. – To dotyczy zwłaszcza nowych więźniów! Dobrze, skoro to sobie wyjaśniliśmy, możemy przejść do rutynowych czynności.

Było już ciemno, gdy po nieskończonej długim czasie znowu się poruszyła, ale sobie tego nie uświadamiała. Nie docierał do niej nawet głos Siny nagrywającej się na automatycznej sekretarce, nie wiedziała, że wyjąkuje wciąż na nowo: „Nie!” i że nuci stary madrygał z lekcji niemieckiego:

*Niebo zrobiło się szarawe,
nadciągają chmury ciemne.
Zaraz zieloniutką trawę
deszcze zaleją ulewne.*

*Niech już wreszcie słońce świeci,
bo wszyściutko zgnije w lesie.
Deszcz roślinność nam uśmierci,
biednym kwiatkom zgon przyniesie.*

Do jej świadomości nie docierało prawie nic. Nie patrząc na zegarek, nie zapalając światła, niemal bez siły Dora chwyciła na ślepo kilka swoich osobistych rzeczy i wyszła z mieszkania najszybciej, jak mogła, nie zostawiając żadnej wiadomości. Ruszyła z powrotem do domu. Prowadząc samochód, nie miała świadomości, co się wokół niej dzieje. Nie wiedziała, że pada, nie zwracała uwagi na celników, którzy patrzyli na nią podejrzliwie, nie zauważyła też ciężarówki wiozącej frytki, która nie wiadomo skąd pojawiła się za nią z dużą prędkością, trąbiąc głośno i oślepiając reflektorami, tak że w jej aucie przez moment było jasno jak w dzień. Ale ona tego nie zauważyła, tak jak nie usłyszała okropnego metalicznego hałasu chwilę później.



Cisza była równie ogromna jak ciemność. Zupełna pustka. Zupełna nicość. Jedynie szum krwi w skroniach. Tarkowi wydawało się, że jest ciężkostrawnym kawałkiem pożywienia w żołądku wielkiego zwierza, który zdążył już wszystko zjeść, cały świat, czas, a na koniec trawił powoli jego. Już był w połowie strawiony.

Ale to go nie interesowało. Nie był w stanie myśleć, w głowie miał tylko papkę i pogmatwane uczucia, coś między letargiem a rozdrażnieniem. Spędził tu już całą noc i cały dzień, ale o tym nie wiedział. Czuł stały ucisk na skronie, jakby ścisnęła go metalowa klamra. *Tum, tum tum, tum*. Już tego dłużej nie wytrzymam. Już tego dłużej nie wytrzymam. Bez przerwy to jedno zdanie. Zgrzytał zębami, nawet sobie z tego nie zdając sprawy, ciągle się drapał po całym ciele, bezdźwięcznie nucił ciągle tę samą melodię.

– Zając w norce sobie spał. Zając, zając, co ci jest? Czemu leżysz zamiast biec?...

Już nie krzyczał, ponieważ nie miał na to dość siły. W ogóle nie miał siły. Potem nagle zaczął się gwałtownie pocić na całym ciele. Uderzenia gorąca sprawiały, że musiał walczyć o oddech. Wszystkie mięśnie napięte, na skórze odbiły się pręty kraty. Był obolały, mimo braku czucia. W ogóle stale dziwnie się czuł. Czasami wydawało mu się, że jest z pluszu, nieskończenie miękkie i mechaty, ale jednocześnie twardy jak kryształ i tak kruchy, że rozpadłby się na tysiąc kawałków, gdyby go ktoś dotknął. Już wcześniej miewał takie uczucia, gdy śnił w gorączce.

Czasami dopadała go ogromna chęć ruchu. Pragnął palcami rozwiązać zaciśnięty mocno węzeł. Obrobić kawałek drewna. Ugniatać glinę. Biec w kierunku przepaści i spaść z rozłożonymi rękoma w dół, spadać, a potem, tuż przed uderzeniem w ziemię, wyhamować, by potem poszybować z wielką prędkością tuż nad powierzchnią ziemi.

Czasami myślał o zielonych oczach i ciele, które było bardziej ciepłe i realne niż on sam.

Czasami Tarek naciskał palcami na oczy, żeby spowodować powstanie obrazów świetlnych. Błyszczące kręgi, iskry, linie, drżące, kraciaste plamy i płaszczyzny jak morze geometrycznych kształtów. Niebieskozielone

ornamenty, formy przypominające chmury, które nie przybierały żadnej konkretnej postaci. Strome góry we mgle, jakby komputerowo stworzone. W końcu te obrazy pozostawały, nawet jeśli nie uciskał oczu, i zaczął się ich bać.

Gdzieś tykał zegarek. A może to kapało z kranu. Tarek liczył krople i krzyknął, gdy usłyszał, jak ktoś chrząka. Potem do jego uszu dobiegł głos szepczący niezrozumiałe słowa. Jawa nie różniła się od snu. Znajdował się w jakimś stanie pomiędzy jawą a snem, jakby zawisł w połowie drogi. Zabrakło benzyny. Silnik zgasł pośrodku pustynnej nocy. Zrobiło się zimno. Drżał.

Nieustanne parcie na pęcherz. Powstrzymywał się, żeby ciągle nie sikać. Z wiadra dolatywał ostry zapach moczu. Bał się tego wiadra. Nie oddychać. Dziwne uczucie, jakby dręczyła go jakaś choroba. Trochę jak mdłości, ale nie do końca. Uczucie to powoli rozchodziło się po jego ciele. Czasami miał wrażenie, że jego ciało jest w którymś miejscu nieszczelne, że on sam przez ten otwór wycieka i znika. Po prostu umiera. Już prawie umarł.

Pragnienie. Nie głód, lecz pragnienie. Wielkie pragnienie. Pić, pić, pić. *Tum, tumtum, tum.* I swędzenie. Drapać, każde swędzące miejsce drapać, żadnego swędzącego miejsca na ciele nie opuścić. Trudne zadanie. Ciągle dochodziły nowe miejsca.

Chyba wariuję, pomyślał Tarek i trzymał się tej myśli, jakby była ostatnią prawdą, która się jeszcze liczyła. Ja. Chyba. Zaraz. Zwariuję.

Potem jeszcze jedna myśl. Prosta i jasna. Umrę.

Ja. Niedługo. Umrę.

Na pewno. Nie wypuszczą go stąd, albo zrobią to za późno. On tu umrze. Zawsze myślał, że jeśli przyjdzie jego czas, to będzie czuł coś w rodzaju ulgi, coś w rodzaju pogodnego oczekiwania, jakiego doświadczają nurkowie przy narkozie azotowej. On natomiast bał się tylko jeszcze bardziej. Bał się dźwięków, szepczącego głosu, obrazów jawiących się przed oczami, wiadra, kraty, na której leżał, pianki izolacyjnej pod nią, swego ciała. Po raz pierwszy w życiu uświadomił sobie, że strach był nie tylko uczuciem. Strach potrafił też zabić. Niewiele brakowało, żeby go zabił. Już go zabijał.

Byli gotowi. W pomieszczeniu, w którym przeprowadzano wywiady z uczestnikami eksperymentu, leżały materace, śpiwory i torby podróżne, nad

grzejnikiem wisiały kolorowe ręczniki. Czuć było zapach potu. Artykuły spożywcze, na których kupno Berus zorganizował zrzutkę, leżały w pomieszczeniach służbowych personelu strażniczego. Biały chleb, margaryna, dużo zafoliowanej, taniej, pokrojonej wędliny i sera, dużo czekolady, gotowe potrawy do podgrzania w mikrofalówce, czasopisma, cztery skrzynki wody mineralnej, mleko, kawa. Wszystko, co potrzebne. Berus zabronił piwa, ponieważ było to sprzeczne z przepisami służbowymi. W ogóle Berus nalegał na przestrzeganie przepisów, żądał, żeby w dalszym ciągu każdy przystępował do pracy ogolony i w nienagannym umundurowaniu.

Byli gotowi. Już od prawie dwudziestu godzin. Dwadzieścia godzin, w ciągu których Berus nie spał. Od dwudziestu godzin więźniowie nosili na ustach plastry, które zdejmowali tylko na czas posiłków. Od dwudziestu godzin numer 82 siedział na krześle jak mumia, nie ruszał się, tylko jęczał i śmierdzał, bo się zsiakał. Od dwudziestu godzin numer 77 siedział w izolatce. Od dwudziestu godzin nic się nie wydarzyło. Z wyjątkiem jednego incydentu podczas spaceru.

Numery 21, 74, 14, 86 i 40 zaczęli nagle popychać Boscha, który unikał kontaktu z pozostałymi. Najpierw popychali go lekko, jakby dla żartu, a potem coraz mocniej, aż w końcu popychanie przerodziło się w bicie. Berus widział, jak coraz bardziej przerażony Bosch próbuje uciec zaciętrzewionej piątce napastników. W końcu w obronie Boscha stanął 38 wraz z dwójką nowych więźniów. Berus przez moment się zastanawiał, czy pozwolić więźniom na wyładowanie nagromadzonej energii, ale doszedł do wniosku, że mogliby wpaść przy okazji na jakieś nieobliczalne pomysły. Rozdzielono więc bijących się więźniów za pomocą pałek i poumieszczano wszystkich z powrotem w celach. Ustalono, że już nie będzie spacerów. Ze względów bezpieczeństwa.

Wszystko przebiegało dobrze. Byli gotowi.

Mimo to napięcie nie opuszczało Berusa. Walczył z sennością, bez przerwy pił kawę i jadł Scho-Ka-Kolę, bo spodziewał się, że w każdej chwili mogą zostać poddani następnemu testowi.

– O jakim jeszcze teście mówisz, Berus? – jęknął Stock podczas golenia.
– Nie wystarczy ci to, co jest?

– Naprawdę sądzisz, że sprowokowali taką sytuację i to będzie już koniec? Nie! Zawsze tak bywa: wleziesz w gówno i myślisz, że gorzej już

być nie może, a tu za tobą stoi następny pies i sra na ciebie.

– Berus, chłopie, przestań!

W pomieszczeniu strażników pojawił się Kamps, który rzekł, ziewając:

– Jeść!

– Ej, powinniście spać, nie żreć! – zawołał Tode.

Kamps pokazał mu środkowy palec i podszedł do ekspresu do kawy.

– Nie mogę spać. Ale też nie mogę sobie wyobrazić, że coś jeszcze miało się wydarzyć. O ile w ogóle to jest test.

– A co, jak nie? Ej, Kamps, co to niby ma być?

– Przypadek. Wypadek. Nieporozumienie! Cholera, skąd mam wiedzieć?

Berus zaśmiał się ostro.

– Śnij dalej, gamoniu! To, co tutaj mamy, to eksperyment! Tu obowiązują inne reguły. Tu nie ma przypadku. To, co uważasz za przypadek, jest na wskroś zaplanowane, żeby zbadać nasze reakcje. Czy może uważasz, że zainicjowali eksperyment, a teraz się nie interesują tym, co się tutaj dzieje?

– Kamps majstrował w milczeniu przy ekspresie do kawy. Berus kiwnął zadowolony głową i się rozejrzał. Ale zauważył, że pozostali też są podenerwowani. – Ej, chłopaki, nie panikujcie tylko dlatego, że jesteśmy zdani na siebie!

– Nie mów do mnie „gamoniu”, Berus! – powiedział cicho, choć wystarczająco głośno Kamps.

Nalał sobie kawy, a drugą ręką sięgał do plastikowego opakowania, wyciągał z niego plasterki wędliny i pakował je sobie do ust.

– *Sorry*, Kamps. Nie miałem nic złego na myśli. Jestem tylko zdenerwowany.

– Ej, Kamps, nie zeżryj wszystkiego.

– Wszyscy jesteśmy zdenerwowani, Berus. Wszyscy. Powiedźcie, nie uważacie, że to wszystko jest dosyć popieprzone? To znaczy, ta cała nasza izolacja, ten cały stan oblężenia. 77 porasta pleśnią w izolatce, 82 całkiem udupiony, inni jadą na pół gwizdka. A do tego ten incydent z Boschem. Spodziewalibyście się czegoś takiego? Napadli na niego! Jak wilki!

– Trochę się tylko poszarpali – machnął ręką Renzel. – Nie przesadzaj.

– Należało mu się! – dodał Ulrich Tode. – Tej zdradzieckiej świni! Nic się w końcu nie stało.

– Bo my wkroczyliśmy! Ale gdyby nie my? To wszystko jest kompletnie popieprzone, jeśli się nad tym dobrze zastanowić.

– Ej, posłuchajcie wszyscy! – zawołał Renzel. – Oto głos rozsądku.

– Przełączyć go na inny kanał!

– Zamknij jadaczkę, Tode! A przy okazji, jak długo 77 i 82 mają jeszcze odbywać karę?

– Tak długo, jak trzeba! – oznajmił Berus.

– A jak długo trzeba? Od dwudziestu godzin nic się nie wydarzyło. Jak długo jeszcze mamy to ciągnąć, Berus?

– Będziemy ciągnąć, aż coś się stanie! – powiedział Berus. – Tak długo, jak trzeba! A co chciałeś usłyszeć?

Kamps odwrócił się w jego kierunku.

– Chcę wiedzieć to, co każdy z nas chce wiedzieć, kiedy stąd mianowicie wyjdziemy.

– Jak się skończy ćwiczenie. Tak postanowiliśmy.

– Równie dobrze mogliśmy postanowić coś innego.

Berus podszedł powoli do Kamps.

– Spróbuj tylko! – powiedział bardzo cicho. Prawie wyszeptał. Ale tym tonem nie musiał wcale mówić głośniej, tak też docierał. Kamps uciekł przed spojrzeniem i przesunął się nieco w bok, jakby fizyczna bliskość Berusa była dla niego nie do zniesienia. – Co jest? Śmierzę? Chciałeś coś jeszcze powiedzieć, Kamps!

– Już dobrze, Berus. Wyluzuj.

– Jestem wyluzowany! Jestem całkowicie wyluzowany! Co z wami, też jesteście wyluzowani?

Ponownie rozejrzał się wokół.

Do środka weszli Glaser i Amandy, pozostali członkowie nocnej zmiany.

– Smacznego!

Berus skinął im głową. Znowu byli wszyscy razem w komplecie, nie licząc Eckerta, który pilnował korytarza i kamerą video filmował siebie oraz więźniów.

– Dokładnie przeanalizowaliśmy sytuację i zdecydowaliśmy się na takie działanie – kontynuował Berus. – Nie byłoby mądrze się teraz wycofać, to byłby przejaw hysterii! Użyjcie swoich mózgów! Gdybyśmy się wycofali,

okazalibyśmy się takimi samymi ćwokami jak oni. A więc, czy jesteśmy histerycznymi tępakami, czy jesteśmy wyluzowani i mamy wszystko pod kontrolą? – Kiwnęli głowami. Nic nie powiedzieli, ale przytaknęli. – No to co? – zapytał Berus. – Co z tobą, Kamps?

– Jestem wyluzowany. Tak samo pełnię służbę jak wy. Nie chcę tylko popełnić błędu.

– Świetnie. Jest mi przykro, że nazwałem cię gamoniem. Tak mi się tylko wymysknęło! Zgoda, Kamps?

– W porządku, Berus. Nieważne.

Berus ułożył palec wskazujący i kciuk w pistolet, wycelował w Kamps'a i strzelił po kumplowsku. Potem zwrócił się do pozostałych:

– Kamps ma rację. Od dwudziestu godzin nic się nie dzieje. To wprawdzie może też oznaczać, że następny test będzie już niedługo, ale mimo to pozdejmujemy tym ćwokom plastry z ust. Niech nikt nie mówi, że postępujemy niehumanitarnie.

– A co z 77 i 82?

– Niech zostaną tam, gdzie są.

Wielkie, ciemne morze, nieskończenie głębokie. Nieskończenie zimne. Nacisk na płuca, nieskończony nacisk. Tęsknota za swobodnym oddechem, rozpaczliwa potrzeba napełnienia obolałych płuc świeżym powietrzem. Ale to niemożliwe. Nie tu, na dole. Tam, w górze, w najwyższym błękitcie, powierzchnia wody. Błyszcząca, poruszająca się ciężko i leniwie jak rtęć, bardzo daleko. Można rozpoznać od dołu dno małej łódki, kołyszącej się na morzu rtęci. Z łódki wychyla się rozmyta twarz, zbliża do powierzchni wody, spogląda w głąbie, szukając czegoś wzrokiem. Twarz Tarka. Rusza ustami, woła coś, czego nie można zrozumieć. W jego kierunku, jeden za drugim, jak po sznureczku, płyną pęcherzyki powietrza. Powietrza z jej płuc. Próbuje się poruszyć, popłynąć w górę, ale jest zbyt słaba. Wołać też nie może, bo brakuje jej powietrza. Szarpie ją wir. Wciąga ją głębiej, jeszcze głębiej, aż w końcu twarz w górze znika, znika powierzchnia wody i błękit. I pozostaje tylko noc. A wszystko w niej domaga się oddechu. Po prostu wykonać wdech, wciągnąć do płuc całe morze, połączyć się z chłodem, ciemnością i wreszcie mieć spokój od bólu. Piękna myśl. Mimo to nagle znowu zaczyna się poruszać, silnie wiosłuje rękoma i nogami, stawia opór wodzie ważącej miliony ton i jest zła sama na siebie, że nie uległa tej

pięknej myśli. Nie może nic począć, po prostu się porusza, płynie, nieskończenie powoli, ściska wszystkie mięśnie, powstrzymuje odruch nabrania powietrza, walczy z bólem nie do wytrzymania, aż w końcu znowu dostrzega błyszczącą rtęć nad sobą i słyszy głosy. Głosy jak szum fal. Bardzo dalekie i niewyraźne. Zaciekawiły ją i próbuje płynąć w górę, metr po metrze, żeby tylko zrozumieć głosy. Wołają ją po imieniu.

– Dora! Dora, obudź się! Masz gościa!

Dora podskoczyła do góry, wydając z siebie stłumiony krzyk, przycisnęła rękę do piersi i oddychała szeroko otwartymi ustami.

– Dora!

Hendrikje znalazła się przy niej w jednej chwili, przytrzymała ją i położyła delikatnie z powrotem do łóżka. Dora potrzebowała dłuższej chwili, by ją poznać.

– Rikje!

– Spokojnie, Dora! Leż spokojnie.

– Rikje, ja...

Uspokoila się, gdy stwierdziła, że oddychanie przychodzi jej z łatwością.

– Miałam bardzo zły sen.

Hendrikje uśmiechnęła się.

– Było to po tobie widać.

– Jak długo spałam?

– Bardzo długo, dostałaś środek uspokajający. Jest już popołudnie.

– O rany! A co z samochodem?

Próbowała przypomnieć sobie wypadek, ale przed oczami przemknęło jej tylko kilka obrazów z ostatnich chwil, jaskrawe światło, twarz lekarza, twarz Rikje, nocna autostrada.

– Kompletnie rozwalony. Miałaś szczęście. Zmieniłaś nagle pas i przy tym za bardzo zjechałaś na prawo, a potem przez blisko sto metrów tarłaś samochodem o barierkę ochronną.

– To była ciężarówka.

– Wiem. Kierowca za późno cię zobaczył. Ale to wszystko nieważne. Miałaś niesamowite szczęście. Lekarz stwierdził, że poza szokiem nie doznałaś żadnych obrażeń.

– Jak tu trafiłam?

– W kalendarzyku, w rubryce, kogo powiadomić w razie wypadku, zapisałaś mój numer telefonu.

– Rikje, myślałam, że umrę.

– Teraz już jest po wszystkim.

– Nie, nie to mam na myśli! Rikje, odkryłam coś strasznego!

Dora chciała usiąść, ale przyjaciółka jej na to nie pozwoliła.

– Wiem. Zanim zasnęłaś, cały czas o tym mówiłaś. Same chaotyczne rzeczy o jakimś zdjęciu. Co nieco zrozumiałam, co nieco sobie dopowiedziałam, a resztę wyjaśnił mi twój gość. Wiem wszystko.

– Jaki gość?

Hendrikje wstała i wpuściła do pokoju Sinę. Sina była blada, robiła wrażenie bardzo zdenerwowanej. Usiadła natychmiast obok Dory na łóżku i wzięła ją za rękę.

– Niech się pani nie obawia. Wiem, co się stało. Wiem, że pani znalazła zdjęcie. Co za fatalny przypadek! Jadąc tutaj, robiłam sobie straszne wyrzuty, że wcześniej tego pani nie powiedziałam. Tak się cieszę, że nic się pani nie stało. Tak się cieszę!

– Jak mnie pani znalazła?

– Numer pani komórki był w liście od Tarka, pamięta pani? Jak się zrobiła dwudziesta pierwsza, a pani nie przyszła do nas na kolację, dzwoniłam do pani co godzinę, aż w końcu odebrała pani przyjaciółka i powiedziała mi o wypadku.

Dora spojrzała na nią przenikliwie.

– Co Tarek ma wspólnego z porwaniem Michaela?

– zapytała w końcu, z trudem artykułując słowa.

– Nic – odrzekła Sina sucho i powtórzyła wyraźnie jeszcze raz. – Nic. Opowiem pani o wszystkim.

Nie miał ochoty na to całe gówno. Absolutnie nie miał ochoty. Co tej cipie przyszło do głowy, żeby mu grozić pieprzonym gnatem? Groziła mu, wyciągnęła spluwę i po prostu groziła. A on nie miał na coś takiego ochoty. Zdecydowanie nie. Zadzwoił jednak do RTL w Kolonii, ale było to raczej coś w rodzaju odruchu zawodowego. Miał po prostu nadzieję, że dzięki tej sprawie uda mu się zyskać jakieś profity dla siebie. Tylko dla siebie, ma się

rozumieć. Jednak oni odmówili. Pieprzone dupki. Ale wszystko jedno. I tak nie miał ochoty na to całe gówno. Zdecydowanie nie. I nie pozwoli sobie zepsuć interesu z powodu tej pieprzonej akcji, w czasie karnawału można świetnie zarobić na taksówce.

Klnąc pod nosem, włączył się do ruchu. Na niedzielnych ulicach były tłumy samochodów i ludzi z całej okolicy przybyłych specjalnie na karnawał, których zwabiła niespodziewanie wspaniała pogoda.

Na bulwarze Ko oczywiście istne piekło, także na Starówce, podobnie jak w ciągu ostatnich dni. Promenada nad Renem nabita ludźmi, dookoła oczywiście zapchane wszystkie ulice. Ale dla Dresego – zuchwałego szofera – to kaszka z mlekiem. Jeździł na taksówce od minionej nocy, dwadzieścia godzin bez przerwy, zarobił okrągłe osiem stówek, a więc w kieszeni zostanie mu netto pięć stówek. Wypił kilka kieliszków wódki dla animuszu, mnóstwo Red Bulla, zjadł kilka hamburgerów przy Geistenstraße i zachowywał rzeźkość dzięki tabletkom z kofeiną i guaraną. Wciąż jeszcze nie czuł się wykończony. A więc czemu miałby fatygować się dla tego pieprzonego kebaba? Nie zaszkodzi dupkowi odrobina więziennego powietrza. Przecież to wszystko to tylko taka zabawa. A więc o co biega? Skąd ten cały stres? Groziła mu pieprzoną sfluwą. Głupia cipa. Niech spada. W dupie z nią. Twój problem, kebabie.

Zadowolony z siebie Drese bębnił palcami po kierownicy i nucił melodyjną piosenkę, która właśnie była nadawana przez radio.

– Tirami ja, Tirami ty, nikt mnie nie kocha, tylko ty!

No właśnie, stary, tak jest. Po raz nie wiadomo który tego dnia skierował samochód na postój taksówek przy Ratinger Straße, gdzie tymczasem zgromadziły się tysiące ludzi, którzy pili, obściskiwali się, świętowali, przepychali. Zazwyczaj Drese wjeżdżał do ulubionej knajpianej ulicy z odpowiedniej strony, ale zmęczenie i podrażnienie powoli ujawniały się w ten sposób, że popełniał drobne błędy. Już raz przejechał na czerwonym świetle, a teraz znalazł się w gigantycznym, wrzaskliwie rozśpiewanym i podpitym tłumie, który nie pozwalał mu ani jechać do przodu, ani się wycofać. Samochód za nim trąbił. Drese też kilka razy zatrąbił, ale to tylko sprowokowało ludzi. Zaczęli na niego krzyczeć, stukać w klapę silnika i odstawiać kufle z piwem na jego samochód. Drese próbował posuwać się do przodu centymetr po centymetrze, ale poprzebierani ludzie napierali na auto i blokowali drogę. Drese coraz bardziej się wściekał. Wszędzie ludzie.

Siedzieli mu na masce, pchali się na szyby. W samochodzie zrobiło się gorąco. Drese spocił się. Drżał. Klął i krzyczał w zamkniętym samochodzie, ale odpowiadały mu tylko drwiny i głośne śmiechy. Chciał wysiąść, ale ludzie mu nie pozwolili. Dociskali drzwi, był uwięziony. Śmiano się z niego. Gdy zaczęli bujać jego taksówką na boki, Drese stracił nad sobą panowanie, włączył pierwszy bieg i wcisnął gaz do dechy.

Joachim Gehlen, zwany Joe, spędził w szpitalu dwa dni, potem go wypuszczono do domu. Krosty i bąble, które pokryły jego napuchnięte ciało, ustąpiły, na skórze pozostały mu zaledwie nieliczne czerwone plamy. Lekarz nie miał jednak wątpliwości, że należy go puścić, tym bardziej że atmosfera szpitalna niezbyt mu służyła. Joe był apatyczny, prawie się nie odzywał, dużo spał i odczuwał strach przed lekarzami oraz pielęgniarkami. Gdy zaraz po przywiezieniu do szpitala zapytano go o nazwisko, odpowiedział: „69”. Nie chciał też założyć szpitalnej koszuli i był szczęśliwy, gdy matka przyniosła mu miękką piżamę.

W nocy Joe często się budził z krzykiem, bowiem codziennie dręczyły go koszmary. Śnił o przeciwsłonecznych okularach, pałkach i świdrujących dźwiękach gwizdków. W ciągu tych dwóch dni zajmowała się nim psycholog ze względu na męczące go nocne koszmary, a także dlatego, że wykazywał wszystkie symptomy depresji, połączonej być może z psychozą. Joe nie chciał z nią jednak rozmawiać. Uważał, że kobieta będzie go do czegoś przekonywać, a on jak zawsze obudzi się z ręką w nocniku. W ogóle nie chciał z nikim rozmawiać. Chciał tylko do domu. A więc po dwóch dniach zwolniono go ze szpitala, powiedziano mu tylko, żeby codziennie przychodził na kontrolę, i przepisano mu kortyzon oraz środek uspokajający.

Joe był szczęśliwy, gdy wreszcie znalazł się w swoim mieszkaniu. Jednak po krótkim czasie powróciło przygniatające uczucie zamknięcia. Będąc w mieszkaniu, prawie się nie poruszał, siedział tylko na łóżku, wsłuchiwał się w odgłosy dobiegające z klatki schodowej i podskakiwał z przestachu do góry, gdy trzasnęły jakieś drzwi. Na zewnątrz czuł się lepiej. Na powietrzu czuł się bezpieczniej. A więc dużo spacerował, chodził po mieście, wtapiał się w tłum świętujący karnawał, zjadał podwójną porcję frytek z keczupem i majonezem na ławce parkowej, siedział długo w parku, tak po prostu, póki chłód nie wyganiał go do domu.

Oczywiście Joe wiedział, że dom nie jest więzieniem, nie był przecież głupi, ale obawiał się, że nadal uczestniczy w eksperymencie. Bał się, że eksperyment wciąż trwa, że znów go pojma i wszystko zacznie się od nowa. Dostawał dreszczy i mdłości na samą myśl i pierwszej nocy nie mógł w ogóle zasnąć. Następnego ranka wstał bardzo wcześnie, wziął środek uspokajający, wygrzebał lateksową maskę potwora z zeszłego roku i w przebraniu, ciepło ubrany, wyszedł z domu najszybciej, jak mógł. Podobnie jak poprzedniego dnia snuł się bez celu po ulicach. W masce na twarzy czuł się bezpieczniej, na świeżym powietrzu czuł się wolny. Już nie był wydymanym dupkiem. Wtapiał się w tłum, gdzie trudno by go było arestować. Po południu znalazł się na Starym Mieście przy Ratinger Straße w gigantycznym, świętującym tłumie. Nawet wypił piwo przez śmierdzącą lateksową maskę, chociaż było mu bardzo zimno. Piwo w połączeniu ze środkiem uspokajającym podziało pozytywnie na jego samopoczucie. Mimo lekkich zawrotów głowy i zmęczenia poczuł się lepiej. Panująca dookoła radosna atmosfera zaczęła mu się powoli udzielać. Gdzieś z tyłu, niedaleko, trąbiły samochody. Jednocześnie niosły się z tamtej strony okrzyki i śpiewy, które się szybko rozprzestrzeniały. Również Joe wrzeszczał i śpiewał. Już nie był wydymanym dupkiem. Podskakiwał nieco w miejscu i wykrzykiwał swój ulubiony okrzyk bitewny:

– Oleee-ole-ole-ole! Oleee-ole-ole-ole! – Czuł ulgę, mogąc się tak wydzierać. To go rozgrzewało, sprawiało mu po prostu frajdę. – Auto na gównie najechało – hela-helala-ho – w gównie se koła upaprało – hela-helala-ho! Oleee-ole-ole-ole! Jesteście kolończykami, aspołecznymi gałganami, śpicie na dworcu i pod mostami! Oleee-ole-ole-ole!

Joe podskakiwał i wydierał się, aż pod lateksową maską twarz mu zaparowała od potu. Tak się zapamiętał, że ledwo co słyszał i widział. Nie usłyszał silnika, który zawył tuż koło niego, nie dostrzegł panicznego zrywu osób wokół siebie. Wszyscy dookoła z krzykiem rozpierzchli się na prawo i lewo, tak że nagle znalazł się sam na ulicy. Upojony szczęściem nadal się wydierał, sam, całkiem sam, śpiewał, darł się i podskakiwał. Dopiero w ostatniej chwili dostrzegł zbliżającą się do niego na pełnym gazie taksówkę i wykrzywioną twarz kierowcy. Zaraz potem maska silnika uderzyła w niego centralnie, a świat pograżył się w ciemności i pustce.

Referaty wygłaszane po południu przez kolegów nie interesowały go zanadto. Pokręceni pedanci, fetyszyści liczb i danych, guru statystyki, którzy nie dostrzegali niczego poza brzegiem własnego talerza, nie mówiąc już o tym, żeby byli skłonni podjąć jakiegokolwiek ryzyko. Thon musiał się zmuszać, żeby ich słuchać, rozumieć ich wykresy z danymi, wyświetlane na ścianie za pomocą projektorów. W czasie krótkich przerw tworzyły się w holu małe grupki dyskusyjne, przypominające kultury bakterii. Thon nienawidził tych rozmów, które w głównej części były niezobowiązującą paplaniną na tematy towarzyskie i zawodowe. Często przepraszał i raz za razem próbował dodzwonić się do Jutty lub do osób dyżurujących w pomieszczeniu monitoringu. Nadaremnie. Początkowe, raczej lekkie zaniepokojenie przerodziło się w prawdziwy niepokój, jednak Thon nie mógł się zdecydować na wyjazd. Kompromitacją byłoby odwołanie zapowiedzianego referatu, poza tym wieczorem po raz ostatni miał okazję przespać się z Iloną. Po powrocie do Dusseldorfu mógł liczyć co najwyżej na szybkie numerki w „mózdzku”, a i to nie przez długi okres, bo nie miał w zwyczaju zanadto przeciągać tego typu romansów. W każdym razie większości studentek też na tym nie zależało.

Właśnie jego referat zapowiedziała przewodnicząca zjazdu, koleżanka ze studiów, która pracowała w Instytucie Psychologii Behawioralnej im. Maxa Plancka w Seewiesen. Thon wstał bez pośpiechu, podszedł powoli do mównicy, policzył jak zawsze w duchu do trzech, żeby dać słuchaczom możliwość skupienia uwagi. Uśmiechnął się, poprosił o pierwszy slajd z tytułem swojego wykładu i zaczął:

– Szanowna pani doktor Schneider, szanowne koleżanki i koledzy, mój referat nosi tytuł *Samoorganizacja i dynamika interpersonalna w symulowanym więzieniu i tymczasowy raport z aktualnie przeprowadzanego eksperymentu*. – Chrząknął. – Wielki rosyjski pisarz Dostojewski skomentował swoją czteroletnią niewolę w syberyjskim lagrze słowami, że ten okres wzbudził w nim głęboki optymizm co do przyszłości ludzkości, ponieważ jeśli człowiek jest w stanie przetrwać horror niewoli, musi być istotą, która potrafi znieść wszystko...

Nie żył.

Nie był jednak martwy. Jeszcze nie.

Nie chciał umierać.

Tarek do tej pory często myślał o tym, że umrze. Wyobrażał sobie, jak umiera, w jaki sposób. Te myśli przychodziły mu łatwo. Wiele upraszczały, gdy wszystko waliło mu się na głowę, złe nastroje, listy z banku, wątpliwości, ciemne sny. Taka prosta myśl, móc w każdej chwili z własnej woli pociągnąć za hamulec bezpieczeństwa, móc się wyłączyć, a potem znowu załączyć. Bum. Klik. Śmierć. Klik. *Game over*. Klik. *Restart*. Dwadzieścia jeden, dwadzieścia dwa, dwadzieścia trzy. Klik. Ponowne narodziny. I wszystko jeszcze raz od początku, bez wspomnień, tak długo, aż wreszcie w którymś życiu wszystko się ułoży. Taki pomysł. Śmierć przez zamrożenie i przez brak tlenu, bardzo piękna śmierć, podobno. Ześlizg na drugą stronę w stanie euforii i zadowolenia, uwolnienie od obecnego bytu. Jak podczas upadku, gdy na przykład zrywa się lina bungee. Podobno krótko przed upadkiem wydziela się endorfina. Niesamowity przebłysk szczęścia przed wpadnięciem w nicość. Nawet podczas tonięcia dzieje się ponoć coś podobnego. Tuż przed śmiercią człowiekowi jest wszystko jedno, tuż przed śmiercią chce jedynie przekroczyć granicę i znaleźć się po drugiej stronie.

Teraz Tarek wiedział, że to wszystko nieprawda. Nie ma pełnego euforii przejścia na drugą stronę, żadnego rauszu. Ból i strach gryzły go, nadal rozkładały jego ciało i umysł, tępo i bezlitośnie.

Tarek nie chciał umierać. Od pewnego czasu w jego ciele zagościły nowe odczucia. Jakby miał na sobie strój nurka, który się powoli kurczy na skórze, robi coraz ciaśniejszy i ciaśniejszy. Najpierw to dostrzegł w zgięciach nóg pod kolanami i w zgięciach łokci, ale strój nadal się kurczył i wyciskał z niego powoli powietrze.

Tarek nie chciał umierać. Ale żeby szybko nie umrzeć, potrzebował czegoś ze starego świata, czegoś, co by go utrzymało przy życiu. Kotwicy, którą mógłby uchwycić, której mógłby się trzymać i nie puszczać. Sama myśl o Dorze nie wystarczała. Potrzebował czegoś innego, czegoś realnego.

I znalazł coś takiego. Znalazł rzecz niemożliwą w tym miejscu do znalezienia. Znalazł butelkę wody na niezmierzonej solnej pustyni. Znalazł deskę dryfującą po powierzchni oceanu. Znalazł śrubokręt w izolacie.

Już od kilku godzin leżał na kracie podłogi, tępo i mechanicznie gmerał palcami pod kratą i uciskał piankę izolacyjną, poszczególne kuleczki polietylenu, jedną po drugiej. Od lewej z tyłu ku prawej z przodu. Zaczął to robić, żeby mieć zajęcie, żeby nie zgłupieć, ale stało się przeciwnie. Już od

dawna palce poruszały się bezwolnie, nie należały do niego. Ale Tarek robił to dalej, po prostu dalej. Od dawna już nie odróżniał stanu snu od stanu czuwania, tylko po prostu dalej ugniatał piankę. Aż w końcu wymacał śrubokręt, który zostawił monter z firmy budowlanej. Tarek przestraszył się, gdy poczuł twardy gładki przedmiot. Uważał go za kolejną halucynację, ale przedmiot był realny. Na tyle realny, na ile coś w jego sytuacji mogło być jeszcze realne. Tarek próbował włożyć palce głębiej między pręty kraty, żeby zbadać kształt nieznanego przedmiotu, i prawie stracił przytomność z rozpaczy, gdy mu się nie udało go chwycić. Ale jednak szybko się zorientował, że to śrubokręt. Średniej wielkości, o wąskim i ostrym zakończeniu. Tarek nie wiedział, jak ŚRUBOKRĘT dostał się do izolatki między piankę a kratę podłogi. Było mu wszystko jedno. Nie wiedział, czy może znowu ma halucynacje, ale to też było mu obojętne. Nieważne, czy ten ŚRUBOKRĘT był prawdziwy czy nie, ale można się go było ucześcić, można go było wyczuć, myśli mogły go osnuć. Co jeszcze można zrobić ze śrubokrętem? Otworzyć izolatkę? Zabić strażnika? Tak! Ta myśl go ożywiła. ŚRUBOKRĘTEM MOŻNA ZABIĆ.

Tarek zawsze sądził, że miłość łśni nawet w najciemniejszym miejscu, ale nienawiść była jaśniejsza. Wyraźniejsza, klarowniejsza, przyćmiła zielone oczy, które go ogrzewały przez pewien czas, utrzymywały go przy zdrowych zmysłach wystarczająco długo, tak że jeszcze był w stanie nienawidzić. Gdy Tarek sobie wyobrażał, jak zabija ŚRUBOKRĘTEM Berusa, Eckerta i innych, powoli rozciągał się wyimaginowany kombinezon nurka. A w końcu znikał. Wystarczyło, że myśli Tarka krążyły wokół leżącego tam na dole śrubokręta i wokół wyobrażenia, jak mógłby nim zabijać.

Jedynym problemem, który budził w nim złość, było to, że jego kotwica pozostawała nieosiągalna, jego talizman, jego narzędzie zbrodni. Tarek badał teraz gorączkowo kratkę podłogi i stwierdził, że nie została przyśrubowana, lecz wciśnięta w otaczającą ją ramę. Ale nie dało się jej podnieść, ponieważ sam własnym ciałem ją dociskał. Mimo to próbował. Ostrożnie, centymetr po centymetrze, przesunął śrubokręt w kierunku ściany. Starał się odciążyć kratę, podciągając się na bocznych ścianach.

Nie udało się. Poddał się, ciężko sapiąc z wyczerpania. Zadowolił się obecnością przedmiotu i jego obmacywaniem. Jedno było pewne. Berus umrze. Jakoś. Nie Tarek. Tarek nie umrze. Tarek. Będzie. Żył.

– Parsifal.

– Słucham?

– Parsifal.

To imię zaprzętało myśli Dory. Stała przy oknie wysprzątanego pokoju, który był kiedyś pokojem Michaela, a teraz czekał na nowych mieszkańców, i wyglądała na zewnątrz. Między dwoma domami naprzeciwko można było zobaczyć kawałek wydmy i kilka zamkniętych budek z fast foodem. Za nimi, gdzieś z tyłu, było morze.

– Tarek powiedział, że jest jak Parsifal. Myślałam, że chce z siebie tylko robić mitologicznego bohatera. A teraz mi się przytrafia to samo.

– Tarek zawsze robi z siebie mitologicznego bohatera – powiedziała Sina. – Taki już jest. A Parsifal jest jego ulubioną postacią mitologiczną. Dlatego też bierze udział w tym eksperymencie. Tak sędzę. Chciał wejść do pieczary i znaleźć w niej Graala. Po coś mniej wartościowego by się nie fatygował. Sędzę, że pani jest do niego po prostu bardzo podobna.

– Ja nigdy nie robię z siebie mitu.

Hendrikje, która stała oparta o zimny grzejnik, jęknęła:

– O nie! Oczywiście, że nie!

– Pani Doro, wierzy mi pani?

Dora zamyśliła się. Nie odpowiedziała. Patrząc na zawieszzone nisko nad horyzontem popołudniowe słońce, rzekła jedynie:

– Piękny dziś dzień, prawda? A jak się pani podoba dom? Może go pani kupić, nie będzie drogi. Ten pokój należał zresztą do mojego brata. Stąd miał zawsze najpiękniejszy widok.

Przygryzła wargę.

– Sina cię o coś pytała! – powiedziała z irytacją Hendrikje.

Dora odwróciła się od okna.

– Oczywiście, że pani wierzę. Nawet czuję dzięki temu niewielką ulgę, a z drugiej strony to niczego nie zmienia. Nie mogę się znowu spotkać z Tarkiem. Niech pani postara się zrozumieć, po prostu nie mogę. Chcę się tego wszystkiego pozbyć. Jutro wracam do Kanady.

– Sina zaczerpnęła powietrza, żeby coś powiedzieć, ale zmieniła zdanie. Dora z rozpaczą w głosie zapytała: – Dlaczego tak bardzo pani na tym

zależy? Dlaczego pani w ogóle tu przyjechała?

– Gdy się zorientowałam, kim pani jest, chciałam się z panią tylko rozmówić. Sądziłam, że mnie pani wykorzystała, żeby dotrzeć do Tarka. Ale pani Hendrikje wszystko mi wytłumaczyła.

– I co teraz?

– Chcę pani pomóc. I chcę, żeby pani pomogła Tarkowi. Sama musi pani rozstrzygnąć, czy go pani kocha, czy nie. Nie mogę też pani zapewnić, że on panią kocha. Szczerze mówiąc, jest to nawet mało prawdopodobne, biorąc pod uwagę jego styl życia przez ostatnie lata.

– Dlaczego więc mam to zrobić?

– Ponieważ kochamy ludzi, dla których coś robimy. I ponieważ jest to pani ostatnia szansa, by uratować brata. Pani robi sobie wyrzuty, nieuzasadnione wyrzuty oczywiście, tak to już jest. Pani myśli, że mogła pani temu zapobiec. Ja też do dzisiaj robię sobie wyrzuty, bo byłam wtedy zbyt tchórzliwa, by wbrew woli ojca uwolnić Tarka z ciemni. Tarek jest zbyt uparty, by prosić o pomoc, ale mimo to na nią czeka. Sama bym to zrobiła, ale to panią o to prosił, a nie mnie, a więc niech mu pani pomoże, do cholery! Niech pani to zrobi przynajmniej dla brata!

Sina zorientowała się, że ostatnie zdania powiedziała podniesionym głosem. Zaczzerwieniła się i umilkła. Hendrikje uśmiechnęła się do niej.

Dora spojrzała na Sinę i rzekła:

– Pani i brat jesteście impulsywną rodziną.

– Nie widziała mnie pani naprawdę wkurzonej.

Dora uśmiechnęła się.

– Od pani na pewno można się wiele nauczyć.

– Owszem, jak się można zblamować. Więc jak? Pojedzie pani ze mną?

– Nie – powiedziała Dora. – Nie zrobię tego ze względu na Michaela. Zrobię to dla Tarka.



Pogoda tego dnia była taka, jaką zapowiadały prognozy. Ostatni poniedziałek karnawału. Słoneczny dzień. I chociaż było przeraźliwie zimno, choć już kończył się luty, miasto czekało na kilkaset tysięcy gości.

O godzinie ósmej rano Claus Thon jechał swoim saabem autostradą. Znajdował się gdzieś między miastami Gotha i Eisenach. Czuł w sobie mieszaninę złości i zaniepokojenia. W takim nastroju nie zwracał uwagi na ograniczenia prędkości i oślepiął długimi światłami każdego kierowcę jadącego lewym pasem z prędkością mniejszą niż 160.

O ósmej cztery Sina i Dora wyjechały z Zandvoort i także skierowały się do Dusseldorfu. Pół nocy spędziły na rozmowach i na daremnych próbach dodzwonienia się do Dresego.

O ósmej dwanaście zmarł Harry Schiitte, sympatyczny właściciel kiosku. W wyniku długiego siedzenia bez ruchu w więzach z taśmy klejącej doszło u niego do zakrzepów krwi. Chociaż Harry siedział na widoku, nikt nie zauważył jego śmierci, ponieważ już od wielu godzin nawet nie drgnął.

O ósmej trzynaście dwóch strażników wypuściło Tarka z izolatki po spędzonych tam dwóch pełnych dobach. Żywego.

Musieli go wyciągnąć. Leżał skulony na kratce podłogi, zastygł w bezruchu, jakby skamieniał. Wzdrygnął się tylko i zajęczał, gdy postawili go na nogi, a jaskrawe więzienne światło boleśnie dźgnęło go w oczy. Ale żył. I wiedział, że żyje. I wiedział, dlaczego przeżył.

Dali mu plastikową butelkę z wodą z kranu i wepchnęli go do celi. Tarek wciąż jeszcze nie mógł otworzyć oczu, wymacał swoją pryczę i próbował drętowymi palcami otworzyć butelkę. Steinhdff mu pomógł. Przytrzymał go, pomógł usiąść na pryczy, w milczeniu przytrzymał butelkę, gdy Tarek pił.

– Co z Dorą? – wykrztusił Tarek, odstawivszy na chwilę butelkę od ust.

– Nie mam pojęcia. Strażnicy nic nie mówią, a pytania są zabronione.

– Jeśli Berus jej coś zrobił, załatwię go. Załatwię skurwiela. Nie było tu ekipy telewizyjnej?

– Nikogo nie było. Widzisz, co się dzieje. Stan obłączenia. 82 siedzi tam cały czas, od kiedy wsadzono cię do izolatki. Prawie się nie porusza. A ta

psycholożka, doktor Grimm, i jeden ze studentów siedzą zamknięci z taśmą na ustach. Poza tym nikogo więcej nie ściągnęli tu na dół.

– Cholera. Jak długo siedziałem w tej norze?

– Trudno powiedzieć. Światło jest cały czas zapalone i nie trzymają się dotychczasowych zmian. Może dzień czy coś takiego, sądząc po posiłkach, które dostawaliśmy. Ale równie dobrze mogły to być trzy dni. Albo pół dnia. Kto wie.

– *Fuck*. – Tarek znów się napił.

– Myślałem, że już jesteś martwy, 77.

– Bo byłem. – Tarek się zadławił. Szybkie przełykanie bolało. Odbiło mu się. – Ale teraz jestem tu znowu, żywy.

– Wyglądasz chujowo, 77, wiesz? – stwierdził Steinhoff. Tarek tylko zmrużył oczy, nic nie odpowiedział, próbował zrozumieć swego towarzysza. – Jak tam było, w środku? – dopytywał się Steinhoff.

– Chujowo.

Steinhoff uśmiechnął się krzywo.

– To znaczy jak?

– Chujowo. Po prostu chujowo.

– W takim razie nie chciałbym się tam znaleźć.

– Mądry chłopiec. – Tarek powoli zaczął odzyskiwać zdolność widzenia. Wypił resztkę wody i odstawił butelkę. – W takim razie moglibyśmy właściwie się stąd urwać.

Steinhoff przytaknął.

– Właściwie.

– Koniec z przeczekiwaniem i oglądaniem się, aż ktoś nam pomoże?

– Sytuacja uległa zmianie. Coś tam na zewnątrz musiało pójść nie tak, to wszystko tutaj wymknęło się tym psychologom spod kontroli. A więc plan B.

– Plan B! Świetnie. A na czym polega plan B?

– Nie mam pojęcia.

– Cholera! Jak siedziałem w izolatce, to mogłeś, do kurwy nędzy, wymyślić jakiś pieprzony plan.

– W twoim stanie i tak nie dałbyś rady stąd nawiać.

– To mój problem. Nie musisz się wcale za mną oglądać.

– Nie mam zamiaru. – Zaczęli mówić podniesionymi głosami. Steinhoff rzucił okiem na strażnika, który jednak w dalszym ciągu stał oparty o drzwi i przeglądał czasopismo o motocyklach. – Jest tylko jedna możliwość. Obezwładnić strażnika, odebrać mu klucz, otworzyć drzwi, a potem spierdalać.

– Jak uda nam się przedostać obok strażników? Zapomnij! Musimy przejść przez trzy służby i obok pomieszczeń strażników. Najpóźniej między drugą a trzecią służbą nas dorwą. Do dupy taki plan.

– To wymyśl coś lepszego.

Tarek jęknął.

– No dobrze. Mój plan jest tak szalony, że oni by się nigdy czegoś takiego nie spodziewali. W tej chwili czują się stosunkowo pewnie. Mogłoby się udać, gdybyśmy obaj byli wystarczająco szybcy i zachowali zimną krew.

Pokręcił głową.

– Co tam znowu?

– Jeśli stąd uciekniemy, to wszyscy razem.

– Zwariowałaś? Cała jedenastka? To niemożliwe! My dwaj spróbujemy stąd uciec, tylko my dwaj, i sprowadzimy pomoc. Tak zrobimy, nie inaczej.

– Nie – powiedział zdecydowanie Tarek. – Albo wszyscy, albo nikt.

– Na innych nie można polegać.

Tarek nie odpowiedział. Teraz jęknął Steinhoff.

– Bardzo dobrze – powiedział Tarek. – A więc kiedy to zrobimy?

Steinhoff wskazał głową zabandażowanego mężczyznę w korytarzu.

– Najszybciej, jak to możliwe. 82 nie wygląda za dobrze. Cały czas bez wody i jedzenia. Już się nawet nie rusza.

– Do diabła! „Najszybciej, jak to możliwe” może oznaczać „nigdy”. Zrobimy to natychmiast!

– Nie. Po jedzeniu i zmianie warty. Wtedy jest zawsze chwila spokoju. Sądzę, że ci tam robią sobie wtedy przerwę.

Czekali. Tarek nie wspomniał o śrubokręcie, zachował to dla siebie jak cenną tajemnicę, która by się ulotniła, jak tylko zaczęłoby się o niej mówić. Leżał na swojej pryczy. Spokojnie, bardzo spokojnie, dawno nie był taki

spokojny. Mimo niepokoju o Dorę odczuwał niemal euforię. Oddychał teraz równomiernie, myślał o śrubokręcie i próbował w wyobraźni odtworzyć obraz więzienia, przypomnieć sobie okratowane przejścia i korytarze, które wcześniej widział. Przypomniawszy sobie jednak coś innego. Spadło to na niego jak grom z jasnego nieba. Nagle wiedział. Wiedział, gdzie wcześniej zobaczył Dorę. Na zdjęciu, które pokazała mu policja. Zdjęcie rodzinne, przedstawiające uprowadzonego mężczyznę i jego najbliższych. Zdjęcie podobne nawet do jednego z jego własnych zdjęć rodzinnych. Na tym zdjęciu Dora stała obok brata. Śmiała się. Dora. Dora van Hondeveld.

– Cholera!

– Co robisz? – syknął Steinhoff z pryczy nad nim.

– Nic.

– Lepiej śpij.

– Dosyć się naspiałem. Właśnie zaczynam się budzić.

– Opowiedz, jak tam było w środku.

– Sam wypróbuj.

– Weź, spróbuj to opisać!

Tarek zamilkł. Zamyślił się. Gdy Steinhoff nie spodziewał się już żadnej odpowiedzi, powiedział:

– Black Box jest czymś w rodzaju wzmacniacza strachu. Rozpoznaje twój największy strach i wzmacnia go tysiącrotnie. Sprawia, że strach ten cię zżera.

– Do diabła! Jak można tam w ogóle wytrzymać?

– Nie można wytrzymać.

– Jak w takim razie ci się udało?

– Zostałem uratowany.

Steinhoff zrozumiał go opacznie.

– No to możesz im podziękować – powiedział z sarkazmem. – Niewiele brakowało, a byłoby już po tobie. A tak w ogóle, to co chciałbyś najpierw zrobić, jak już się stąd wydostaniesz?

– Najpierw? Pobzykać. Chociaż nie – poprawił się.

– Najpierw muszę coś wyjaśnić.

– Co?

– Wszystko. A ty? Co najpierw zrobisz?

Odpowiedź padła natychmiast.

– Polatam sobie.

Na korytarzu pojawili się strażnicy. Tarek na ich widok poczuł zdenerwowanie. W trzech rozdzielili jedzenie. Pałkami uderzali w kraty, żeby więźniowie się cofnęli, a potem wsunęli tacki do cel pod kratą. Jeden talerz na celę.

– Tylko jeden talerz? – szepnął Tarek.

– Każda cела dostaje jeden. Przez cały czas. Sądę, że nie otrzymują nowych dostaw.

– I tylko jedna butelka wody na nas dwóch?

– Spokój w celi numer 3! – wrzasnął strażnik.

Ryż z kurczakiem i warzywami, sądząc po wyglądzie. Tarek i Steinhoff szybko machali łyżkami, jedząc w milczeniu nieapetyczną paćkę, która po długotrwałym braku jakichkolwiek doznań wydawała się Tarkowi obficie doprawiona. Pochłaniał jedzenie i spoglądał na unieruchomionego, zabandażowanego mężczyznę, siedzącego na korytarzu.

Wbrew zapowiedzi Steinhoffa po posiłku dwóch strażników zostało, pilnując więźniów. Jeden stał przy kracie na początku korytarza i żuł gumę. Drugi, Eckert, chodził po korytarzu w tę i z powrotem, filmował, potem zatrzymał się przed celą z dwójką nowych.

– No i co, *lady*? Jak tam twój *feeling*? – Nie odpowiedziała. Eckert podszedł bliżej do kraty. Tarek widział go z boku. – Co za usteczka! Wow! I wszystko naturalne! Głupio tak mieć tę taśmę na ustach, co? Wiesz, mógłbym może coś dla ciebie zrobić. Mówię poważnie. Mógłbym ci pomóc. – Zamilkł, zamyślił się, a po chwili powiedział: – A więc ja nie potrafię śpiewać? I może jeszcze uważasz, że do siebie nie pasujemy? A wiesz, że ja jestem całkiem inny, niż się wydaje? Jestem prawdziwym pieśczochem. Naprawdę. Na sto procent. Mógłbym ci tyle dać. Powinnaś spróbować, przekonałabyś się. Ej, daj się ponieść zmysłom! – Tarek usłyszał, że Jutta wydała z siebie jakiś głuchy odgłos. Może wyzywała Eckerta? Eckert odsunął się od celi. – Hej, Glaser!

– zawołał. – Pomóż mi!

Otworzyli celę i wyciągnęli Juttę, która się energicznie broniła. Tarek zobaczył teraz, że miała ręce skrępowane na plecach. Strażnicy dodatkowo związali jej jeszcze nogi, chwycili pod pachy i zaciągnęli do izolatki. Gdy

po chwili z izolatki wyszedł sam Glaser i zamknął za sobą drzwi, Tarek wiedział, że to ta chwila.

– Teraz! – powiedział, a Steinhoff przytaknął.

– Panie strażniku więzienny!

– Co jest, 38?

– Muszę do kibla.

– Odmawiam, 38. Później.

– Ale to pilne, panie strażniku więzienny. Jeszcze dzisiaj nie byłem w kiblu.

– Powiedziałem przecież, że odmawiam. Źle słyszysz? Odmawiam! A teraz spokój!

Tarek wyrzucił oczami z rozczarowaniem.

– Ale to naprawdę pilne, dupku! – zawołał Steinhoff.

Glaser w jednej chwili znalazł się pod ich celą.

– Jak mnie przed chwilą nazwałeś, 38?

– Co pan ma na myśli? Oczywiście, że panem strażnikiem więziennym. Jak zawsze.

– Nie, powiedziałaś coś innego, 38. Coś zupełnie innego. – Glaser zuł teraz gumę, ruszając intensywniej szczęką, tak intensywnie, że można było zobaczyć ruch jego kości policzkowych. – Powiedziałaś do mnie: „dupku”, 38. Myślisz, że źle słyszę? Musisz do kibla? No to chodź! – Glaser odpiął pałkę i otworzył drzwi. – Zaraz ci to wsadzę w dupę, aż ci gówno uszami wyjdzie! Wyłaź, 38! A ty, 77, cofnij się!

Tarek usłuchał. Steinhoff z ociąganiem wyszedł z celi. Inni więźniowie stali przy-kratach, spodziewając się, że będą świadkami kolejnego znęcania się nad więźniem.

Glaser pokazał ręką Steinhoffowi, żeby ten wyszedł na korytarz, trzymając się przy tym od niego na dystans.

– A teraz podnieś koszulę i się schyl!

– Nie – powiedział Steinhoff.

– Co? Nie? Jak to nie?

Glaser podniósł groźnie pałkę i zrobił krok do przodu. To był jego błąd.

Steinhoff zareagował szybciej, niż Tarek by się po nim kiedykolwiek spodziewał. Bez wahania kopnął strażnika w genitalia i prawie

jednocześnie z całej siły wyrzwał go pięścią w klatkę piersiową. Strażnik wydał z siebie tylko zdławiony odgłos i natychmiast padł na kolana. Steinhoff błyskawicznie znalazł się za nim, wykręcił mu rękę, a drugą ręką chwycił go za szyję. Glaser w ogóle się nie bronił, jęczał tylko z bólu. W celach panowała kompletna cisza.

– Odezwiesz się i po tobie – wysyczał Steinhoff w ucho strażnikowi. – Tarek, pomóż mi!

Tarek znalazł się natychmiast przy nim. Oderwał najpierw kawałek taśmy klejącej z rolki, którą Glaser nosił przy pasku, i zakneblował go. Potem związali strażnikowi ręce i nogi i zaciągnęli go do swej własnej celi.

– Ej tam! – zawołał numer 15.

Tarek wyskoczył z celi.

– Zamknijcie się i czekajcie!

Tarek zerwał z głowy czepek, podniósł pałkę i zważył ją w dłoni. Steinhoff stał już przy drzwiach do izolatki.

– Na trzy?

– Nie! – powiedział Tarek i po prostu szarpnął ciężkie, izolowane drzwi.

Eckert był zbyt powolny, by zdążyć w porę zareagować. Związaną i szarpiącą się Juttę dociskał do tylnej ściany, koszulę zadarł jej do góry i obściskiwał kobiecie piersi. Spodnie miał spuszczone i właśnie się przymierzał, by wejść w nią na siłę, gdy gumowa pałka dosięgła jego potylicy.

– Rozpoznajesz to miejsce? – Sina wysadziła ją na pustym parkingu przy instytucie i pokazała ręką pięciopiętrowy budynek z zielonymi futrynami okien. Budynek stał nieco na uboczu, oddalony od pozostałych kompleksów na terenie kampusu. – Budynek 23. 21, to musi być tu.

Dora przytaknęła.

– Zapamiętałam to miejsce jako nieco bardziej ponure.

– Poradzisz sobie?

– Tak myślę.

– Jak się czujesz? Wszystko w porządku?

– Tak. Jestem tylko trochę zmęczona i trochę... rozkojarzona.

Spróbowała się uśmiechnąć.

– Może powinnam z tobą pójść?

– Nie! – Dora odpowiedziała szybko. – Dziękuję. Poradzę sobie.

Sina potrząsnęła głową, jakby jej coś nie pasowało.

– Nie daj się zbyć. Muszą go zwolnić. W razie czego wyciągniemy go stamtąd przez adwokata.

– W razie czego zacznę kląć po holendersku, to potrafi działać cuda.

Sina uśmiechnęła się.

– Naprawdę wszystko w porządku?

– Tak. Naprawdę. Z drugiej jednak strony... Ach, nie, nic.

Sina zinterpretowała to niewłaściwie.

– Nie jest wcale tak źle, jak to może zabrzmiało, zobaczysz. Zadzwoń, jak będziecie już w domu!

Gdy samochód Siny się oddalił, Dora ruszyła w kierunku instytutu. Znalazła wejście, którym wchodziła poprzednim razem, ale było zamknięte. Inne wejścia również. Dora obeszła dookoła cały budynek, ale nie znalazła ani jednych otwartych drzwi. Nie dostrzegła też za oknami żadnej żywej duszy, którą mogłaby zapytać, jak się dostać do środka. Budynek był równie pusty jak parking, opustoszały jak cały campus. Dopiero teraz Dora uświadomiła sobie, że ani ona, ani Sina nie pomyślały, że ostatni poniedziałek karnawału jest w Nadrenii czymś w rodzaju święta narodowego.

– *Godverdommen!*

Nagle ogarnęło ją nieokreślone uczucie, że musi się spieszyć. Dora daremnie próbowała się dostać do któregoś z sąsiednich budynków. Otwarte drzwi znalazła dopiero w klinice wydziału medycyny. Budynek był położony ukośnie względem Instytutu Psychologii. Po holu niosła się muzyka karnawałowa i zaprowadziła ją dwoma korytarzami do kawiarni na przyjęcie medyków. Zabawa zdążyła się już w pełni rozkręcić. Większość gości przebrała się za ciężko rannych i po części groteskowo okaleczonych pacjentów. Towarzystwo było już porządnie pijane, stosownie zresztą do okazji, i głośno śpiewało grane właśnie hity. Dora zaczęła się wypytywać o portiera, ale nie udawało się jej uzyskać sensownej odpowiedzi.

– Jaki portier? – zapytał opierający się na kulach i zabandażowany od stóp do głów mężczyzna, od którego zalatywał zapach bandaży gazowych

oraz piwa i który ledwo stał na nogach. – Co się stało? Tylko bez paniki. My wszyscy tutaj jesteśmy lekarzami.

– I jesteśmy niebezpieczni! – ryknął mu przez ramię jakiś inny facet.

– Muszę się pilnie dostać do budynku 23. 21.

– Do psycholi? Tam przecież nic nie ma! Zostań z nami!

– Zostań z nami! Zostań z nami! – zaczęło ją przekonywać kilku innych mężczyzn. – Ściągaj kurtkę! Chodź się zabawić!

– Muszę koniecznie nakarmić moje zwierzęta doświadczalne. Przez cały weekend nie dostały jedzenia. Jeśli zdechną, to mogę zapomnieć o mojej pracy dyplomowej.

Zabandażowany mężczyzna wlepił w nią wzrok.

– A jakie zwierzęta? Szczury?

Dora przytaknęła.

– Pieprzyć szczury! – wybełkotał jego kumpel, ssący piwo z rurki infuzyjnej.

Zabandażowany facet machnął lekceważąco ręką.

– Szczury wytrzymają. Tak łatwo nie zdechną. Weź, zostań z nami.

Próbował objąć ją w talii, ale Dora się wywinęła i zaczęła przeciskać przez tłum, by dalej szukać portiera.

– Ej, poczekaj! – zawołał za nią zabandażowany mężczyzna. – Nie potrzebujesz żadnego portiera, żeby się dostać do tamtego budynku! Możesz pójść korytarzem zaopatrzeniowym.

Dora natychmiast się odwróciła.

– Jakim korytarzem?

– Takim jednym, starym, w piwnicy. Łączy oba budynki. Służył do przenoszenia różnych materiałów. Nie znasz go? Każdy go zna. Jest zawsze otwarty, jako wyjście bezpieczeństwa.

– A jak go znaleźć? – przerwała mu Dora.

– Poszukaj – zabandażowany uśmiechnął się głupkowato.

Dora jęknęła.

– Proszę!

– Tylko jeśli obiecasz, że potem do nas dołączysz! Obiecuj!

– Okay, przyjdę do was!

– Możesz przyprowadzić ze sobą szczury! – ryknął jego kumpel.

Eckert został skrupowany, podobnie jak Glaser, i leżał z taśmą na ustach w izolatce. Ciągłe jeszcze pojękiwał z bólu wywołanego uderzeniem. Tarek zamknął Black Box. Panował spokój. Spieszyli się. Steinhoff podał skulonej na podłodze Jucie koc. Potem zaczął ostrożnie uwalniać obklejonego taśmą 82. W tym czasie Tarek otwierał kolejne cele.

– Wszystko w porządku, Bosch?

– Nie.

– Przykro mi, z powodu... wszystkiego.

Bosch nic nie powiedział i trzymał się na dystans.

– Bądźcie cicho i słuchajcie! – konspiracyjnym tonem powiedział Tarek, gdy wszystkie cele były otwarte. – Wszystko musi przebiegać szybko i sprawnie. Nie mamy innego wyjścia, musimy jak najszybciej przemknąć obok strażników i wydostać się na zewnątrz. Wszystko zależy tylko od tego, jak szybko przejdziemy przez śluzy. Zrozumieliście?

– Stop! – zdecydowanym głosem powiedziała Jutta i wstała. – To jest zbyt niebezpieczne.

– Nie ma innej drogi.

– Owszem, jest. Znam laboratorium. Jest tu awaryjne wyjście. Prowadzi do następnej klatki schodowej.

Tarek spojrzał na nią zaskoczony.

– Gdzie my się w ogóle znajdujemy?

– W piwnicy Instytutu Psychologii.

– A jeśli oni zamknęli wyjście awaryjne i drugą klatkę? – zapytał Tarek.

– W takim razie znajdziemy się w potrzasku.

– Już w nim jesteśmy.

– Ej, wy! – Steinhoff przywołał cichutko do siebie Tarka i Juttę.

Zdążył na tyle odwinąć taśmę z nieruchomego właściciela kiosku, żeby mieć pewność, co się z nim stało. Inni więźniowie przyglądali się temu w milczeniu. Tarek dotknął martwego, wyziębionego ciała siedzącego na krześle i cofnął rękę, jakby się oparzył. Poprosił Juttę, żeby zbadała więźnia. Spróbowała wyczuć puls, zajrzała w oczy i pokręciła głową.

– Przykro mi. Nie ma wątpliwości.

Tarek poczuł mdłości. Zając w norce sobie spał, sobie spał, sobie spał. Zając, zając, co ci jest? Czemu leżysz zamiast biec? Zając, zając, co ci...

– Ej! – Steinhoff odciągnął go na bok.

– No więc, gdzie jest to awaryjne wyjście? – zapytał zachrypniętym głosem Tarek.

– Tam, z tyłu – Jutta wskazała jedną z płyt z tworzywa sztucznego, którymi wyłożona była podłużna ściana naprzeciwko cel. – Tam znajduje się wąski kanał wentylacyjny i instalacyjny. Jednakże jedyne dojście do niego znajduje się naprzeciwko pomieszczenia strażników. Musimy więc poluzować jedną z tych płyt. To nietrudne, ale potrzebne byłoby jakieś narzędzie, żeby ją wyważyć.

– Ale nie mamy żadnego! – powiedział Steinhoff i sprawdził, jak trzymają się płyty, które się lekko ugięły pod naciskiem jego rąk. – Są zaczepione tylko na górze i na dole. Wyłamiemy je.

Tarek przytrzymał go. Bez słowa wyciągnął Eckerta z izolatki. Potem przy pomocy Steinhoffa i Larsa uniósł kratkę podłogi. Steinhoff, zobaczywszy śrubokręt, gwizdnął lekko przez zęby.

– Dlaczego nic wcześniej nie powiedziałeś?

– Bałem się, że nie jest realny – szepnął Tarek, gdy jego dłoń po raz pierwszy zacisnęła się na tym cennym przedmiocie, mocno, jakby nie chciał go nigdy więcej wypuścić. – No to chodźmy!

– Ja nie idę! – powiedział numer 15. – Postradaliście zmysły. Ty postradałeś zmysły, 77! To się nie uda, a jak nas dorwą, to dopiero nam pokażą, gdzie raki zimują. Wykluczone, nie idę...

Nim dokończył, Tarek już był przy nim. Bez słowa ostrzeżenia chwycił go brutalnie za włosy, pociągnął tak, że twarz numeru 15 znalazła się tuż koło zastygniętej twarzy numeru 82.

– Uważasz, że postradaliśmy zmysły? Tak? Uważasz, że może być jeszcze gorzej? – Pociągnął numer 15 do góry i przystawił mu śrubokręt do szyi. – Może naprawdę postradaliśmy zmysły, dupku! A mimo to pójdiesz z nami. Idziemy wszyscy razem. A jak będziesz coś próbował, coś kombinował, co zaalarmuje strażników, to cię własnoręcznie zadźgam tym śrubokrętem! Czy to jasne?

Numer 15 skinął lekko głową. Był blady na twarzy i przestraszony. Zareagował tak, jakby miał do czynienia ze strażnikami. Tarek odepchnął

go od siebie, wsadził ostrze śrubokrętu w wąską szczelinę między płytami i zaczął je podważać. W tym czasie Steinhoff stał przy kracie zagradzającej wejście na korytarz i obserwował ruchy strażników. Nagle coś mu przyszło do głowy. Podbiegł do związanego Glasera, przeszukał go. Wreszcie znalazł to, czego potrzebował – opakowanie gumy do żucia. Wsadził sobie od razu trzy gumy do ust. Jutta spojrzała na niego zdziwiona.

– Zamek! – wycedził Steinhoff.

Płyta z trudem ustępowała. Tarek musiał użyć całej siły. Inni więźniowie stali w milczeniu za nim, w napięciu obserwowali jego poczynania. Nie ruszali się. Jakby ktoś ich wyłączył. Także numer 15.

Zasapany Tarek na moment przestał napierać na płytę i spojrzał na pozostałych.

– No co się tak patrzycie?

Do Tarka podszedł numer 40, ten numer 40, którego bezbronność przez cały czas Tarka najbardziej dziwiła. Numer 40 odsunął Tarka na bok i chwycił śrubokręt, który nadal tkwił w szczelinie.

– Jesteś za słaby – powiedział i podważył płytę, która podniosła się o kilka milimetrów.

Gdy numer 40 siłował się z przeszkodą, manipulując śrubokrętem i wyjmując płytę z mocowań, Tarek zwrócił się do pozostałych:

– Jeszcze jedno. Idziemy razem albo zostajemy razem. Nikt nie będzie działał na własną rękę, jasne?

– Więźniowie znowu skinęli głowami. Ich zachowanie irytowało go coraz bardziej. – I zdejmijcie wreszcie te zasrane czepki!

Claus P. Thon najpierw odwiózł do domu studentkę. Potem musiał przejechać przez całe miasto, żeby dotrzeć do uniwersytetu, co go przyprawiło niemal o utratę zmysłów. Połowa śródmieścia była wyłączona z ruchu ze względu na pochód karnawałowy. Na wszystkich objazdach korki. Gdy wreszcie dotarł na uniwersytet, pojechał najpierw na czwarte piętro. W pokoju monitoringu nie zastał nikogo, a wszystkie monitory były wyłączone. Popędził do windy, żeby zjechać na dół do laboratorium, ale winda nie działała. A więc wyszedł na klatkę schodową i zaczął schodzić pieszo. Na dole stwierdził, że stalowe drzwi prowadzące na poziom – 2 są zamknięte. Zaklął. Nie wiedział, czy ma zawiadomić administrację

budynku, czy może najpierw spróbować dostać się tam drugą klatką w tylnej części budynku. Nagle przypomniała mu się rampa załadunkowa, służąca niegdyś do dostarczania towarów.

Pospiesznie wyszedł na zewnątrz, starannie zamknął za sobą drzwi, jak tego wymagał regulamin, obiegł budynek i skierował się w stronę rampy, która swym wyglądem przypominała okazały garaż. Do rampy prowadziła potężna przesuwana brama, którą można było otworzyć tylko od wewnątrz. Ale w bramie były małe drzwi. A do tych drzwi profesor miał klucz.

Mniej więcej w tym samym momencie, kiedy profesor Claus P. Thon wchodził do piwnicy w poszukiwaniu drogi do laboratorium, numer 40 obiema rękoma wyłamał z mocowań płytę.

Holger Berus czuł się podle, chociaż przespał dobre trzy godziny na siedząco w pomieszczeniu strażników. Mimo to czuł się naprawdę fatalnie. Głowa, żołądek, ręce i nogi, wszystko obolałe. Kark znowu tak sztywny, że ledwo mógł kręcić głową. Berus naciągał mięśnie szyi, aż mu strzykało w karku, ale napięcie go nie opuszczało. Irytowały go różne rzeczy. Że kiełbasa myśliwska i kawa się skończyły, że ktoś zostawił otwarte opakowanie sera edamskiego, że Eckert został sam na sam z numerem 11, że w kłocie cuchnęło, że wciąż jeszcze nic się nie działo. Właśnie zamierzał posmarować sobie kromkę chleba, gdy usłyszał jakiś brzęk i rumor.

– Co to było?

Inni też to słyszeli, podnieśli wzrok znad czasopism, które i tak się już wszystkim znudziły, wzruszyli ramionami. Berus wyszedł na korytarz i wrzasnął:

– Ej, co się tam dzieje?! Glaser! Eckert!

Począł chwilę. Nasłuchiwał. Od strony cel dobiegały go dziwne dźwięki. Zrozumiał, że się zaczęło.

– ALAAAAAARM! – wrzasnął na korytarz i do pomieszczenia strażników, rzucił się ku krzesłu na końcu stołu, przez które przewieszony był jego pasek z przymocowaną do niego pałką. – ALAAAAAARM! RUSZAJCIE SIĘ! ALAAAAAARM! – wrzeszczał dalej.

Przez chwilę pozostali siedzieli nieruchomo, wreszcie zrozumieli.

– ALAAAAAARM!

Także ci trzej strażnicy, którzy spali w pomieszczeniu, w którym przeprowadzano wywiady, usłyszeli hałasy i w slipach wybiegli na korytarz. Berus przemknął obok nich w kierunku korytarza więziennego.

Więźniom udało się w jakiś sposób zrobić dziurę w ścianie, w której znikali jeden po drugim, z boku stał 77 i ponaglał:

– Szybciej, już tu są!

– Stać! – zaryczał Berus, potrząsnął kratą, gorączkowo szukał klucza wiszącego przy pasku i próbował otworzyć drzwi prowadzące na korytarz. Ale mu się nie udawało. Coś tkwiło w zamku. – Co to za gównno? – Berus potrzebował kilku sekund, żeby się zorientować, co jest w zamku. – Wyciągnijcie to gównno z zamka! – wrzasnął na kolegów.

Amandy małym kluczykiem do kajdanek zaczął wydłubywać gumę. Jednocześnie Berus szarpał mocno kratą, żeby wyrwać ją z mocowań. Krata mimo prostej konstrukcji zamocowana była na tyle stabilnie, że się oparła jego wściekłemu atakowi.

– Pomóżcie mi, do cholery! – Berus nie przestawał wrzeszczeć. – Stójcie, ćwoki! – wołał na więźniów.

– Stójcie, mówię wam, albo już po was! WYKOŃCZĘ WAS WSZYSTKICH!

Podczas gdy więźniowie jeden po drugim znikali w dziurze, strażnicy rękoma i nogami szarpali kratę, że aż zaczęła trzeszczeć w mocowaniach i brzęczeć, a powietrze wibrowało od tego w całym korytarzu. Ale mocowania trzymały. CHOLERNE MOCOWANIA TRZYMAŁY!

– Bosch! Jesteś jednym z nas! Zatrzymaj ich, to rozkaz! BOOOOSCH! – Berus aż zachrypł od krzyku.

Szukał czegoś, czym by mógł strzelać, albo przynajmniej rzucać. Ale niczego nie znalazł. Gdy się zorientował, że więźniowie właśnie przebiegają obok niego za przepierzeniem z plastiku, kopnął w nie z całej siły. To ich wprawdzie przestraszyło, ale nie powstrzymało.

– Stać, zatrzymać się, pierdolone ćwoki!

Właśnie przez otwór przeciskał się 38, za nim pozostał tylko 77. Najwidoczniej szło im wolniej, niżby chcieli. Dokąd uciekali? Co było za ścianą?

Gdy 38 zniknął w dziurze, 77 odwrócił się.

– Załatwię cię, kebabie! – krzyknął do niego Berus.

– ZAŁATWIĘ CIĘ NA AMEN!

77 nie odpowiedział. Stał po prostu i patrzył na Berusa. 38 zawrócił i pociągnął go.

– Tarek, do cholery, co to ma znaczyć? No, chodź już!

77 odwrócił się.

– Jeszcze się zobaczymy, Berus.

– Dostanę was! – krzyknął za nim Berus. – DOSTANĘ WAS WSZYSTKICH!

Za ścianą symulowanego więzienia znajdował się wąski, nieoświetlony korytarz techniczny, tak ciasny, że dwoje ludzi nie mogłoby stanąć obok siebie. Ale żaden z więźniów nie myślał o stawaniu. Biegli. Pędzili wąskim korytarzem, półślepi, z oczami poparzonymi od światła. Potykali się o leżące na podłodze przewody i ocierali ramiona o ściany aż do krwi. Biegli wąskim korytarzem bez drzwi po bokach. Ściagały ich krzyki strażników, odbijały się od ścian, prześcigały ich jak podstępna fala. Byle dalej! Nie myśleć! Przed siebie, zanim strażnicy ich dopadną! Neonowe światło korytarzy więziennych prześwitywało niebieskawo przez plastikowe płyty, dzięki temu mogli się przynajmniej orientować, dokąd bieżą. Nikt nie zważał na kierunek, obserwując jedynie poprzednika. Tarek często się oglądał. Dobiegało ich dudnienie kroków, można je było wyczuć przez ścianę. Strażnicy zbliżali się. Tarek przyspieszył.

Wąski korytarz techniczny przebiegał równoległe do korytarza więziennego, który Tarek nazwał zachodnim. Dochodził do skrzyżowania w kształcie litery T, gdzie wpadał w główny korytarz piwniczny oświetlony oszczędnie kilkoma lampami sufitowymi. Czuć było zapach oleju opałowego. Pod sufitem przewody, rury grzewcze i wentylacyjne – wyglądały jak żyły.

74 i 15 zatrzymali się zasapani.

– Dalej! Nie zatrzymujcie się! – zawołał do nich Tarek. 74 przemógł się i pobiegł dalej, natomiast numer 15 pozostał w miejscu. – Biegnij! – Tarek pchnął go do przodu.

Biegli nowym korytarzem, wreszcie więzienie zostało za nimi, a oni biegli dalej, chwiejąc się i utykając. Słyszał tylko ich sapanie i człapanie ich gumowych kłapek, które ciągnęło się za nimi jak

zdradziecki kilwater. Tarek raz za razem oglądał się za siebie. Numer 15 znowu został z tyłu.

– Dalej! Szybciej!

– Nie mogę!

– Ruszaj się, spaślaku!

Skrzyżowanie z innym korytarzem. Jutta stanęła niepewnie. Wreszcie korytarz, który kończył się ciężkimi stalowymi drzwiami przeciwpożarowymi, za którymi widać było jasno oświetloną klatkę schodową. Tarek wydał z siebie okrzyk triumfu.

Wciągali się po barierce na górę, kto był w stanie, pokonywał po dwa stopnie naraz. Poziom – 2. Poziom – i. Parter. Stacja końcowa.

Klatka schodowa wyprowadziła ich na korytarz, który wiódł prosto do małego holu. Nie widać było ani jednego człowieka, pod jedną ze ścian długa czarna deska pełna karteczek, klatka schodowa z windą, na lewo i prawo odchodziły długie korytarze z salami wykładowymi. Z lewego wyszli. Bezpośrednio przed nimi wyjście. Zamknięte. Tarek nie mógł tego pojąć. Szarpał mocno klamkę, napierał na drzwi.

– Jasna cholera! – Kopnął w drzwi. – Chodźcie, musimy znaleźć inne wyjście.

– Stop! – zatrzymała go Jutta. – To bez sensu!

Wyjaśniła im, że wszystkie wyjścia są zamknięte.

– To jak oni stąd wychodzą? – zapytał podniesionym głosem Tarek.

– W ogóle nie wychodzą.

– W OGÓLE NIE WYCHODZĄ?

– Może któreś z czterech wyjść jest otwarte, ale to raczej mało prawdopodobne, bo portier jest bardzo skrupulatny, po tym jak w ostatnich latach doszło do kilku kradzieży.

– A dlaczego ty nie masz klucza? Przecież jesteś panią doktor! – Tarek zapytał z irytacją kobietę w stroju więziennym, ale w tej samej chwili zorientował się, że mówi bzdury. – Ach, cholera, przykro mi.

W tym momencie usłyszeli jakieś kłapanięcie, a potem szum zbliżającej się windy.

– Za chwilę będziemy mieć kolejny problem – oznajmił Tarek.

– Spadamy! – krzyknął spanikowany 86 i chciał uciec, ale Tarek chwycił go mocno za ramię i szarpnął do tyłu.

– Wszyscy trzymają się razem, powiedziałem. A więc, Jutta, jakie masz propozycje?

Pokręciła głową. Winda szumiała. Oba korytarze, ten na lewo i ten na prawo, proste i nieskończenie długie, nie dawały im szansy. Winda była tuż-tuż.

– Na górę! – krzyknął Tarek. – Na klatkę schodową i do góry! Tylko po cichu!

Amandy uporał się z zamkiem zaklejonym gumą do żucia. Uwolnili Glasera i Eckerta, który ciągle jeszcze miał spuszczone spodnie. Berus przyjrzał się dziurze w ścianie. Już się na tyle uspokoił, że był w stanie przeanalizować sytuację. Punkt pierwszy: więźniowie uciekli jakimś korytarzem za ścianą. Punkt drugi: gdzie uciekli? Oczywiście na górę, do któregoś z wyjść. Punkt trzeci: wyjścia są zamknięte, to wiemy na pewno. A więc nie mamy powodu, żeby wpadać w panikę.

– Podzielimy się! Amandy, Glaser i Eckert pójda za uciekinierami. Pozostali obsadzą wyjścia na górze. Tam ich zgarniemy. I tak znajdują się w pułapce. Za pół godziny będziemy mieć wszystkich ćwoków z powrotem tu, na dole i będziemy mogli ich wyruchać. Czy każdy z was ma przy sobie komórkę? Dobrze. Bądźmy w kontakcie. Wszystko jasne? No to ruszamy!

Pojechali windą na parter. Gdy wysiadali z niej, Berus przyłożył sobie palec do ust i zaczął nasłuchiwać. Spojrzał w korytarz na lewo, w korytarz na prawo.

Wysłał Stocka i Todego, żeby sprawdzili wyjście, ale po uciekinierach ani śladu, a wyjście było oczywiście zamknięte. Berus kiwnął z zadowoleniem głową.

– Będą próbowali się wydostać pozostałymi trzema wyjściami – szepnął i pokazał na korytarz w prawo.

– Pójdziemy tędy za nimi. Renzel, ty poczekaś tu jeszcze pięć minut, jeśli nie zauważysz przez ten czas niczego podejrzanego, pójdziesz za nami. Ruszamy!

Gdy Berus i pozostali szli korytarzem na parterze, żeby sprawdzić wyjścia, Glaser i Amandy podążali korytarzem technicznym w piwnicy.

Eckert został na miejscu. Od uderzenia w głowę wciąż czuł się fatalnie, miał mdłości i ledwo mógł się utrzymać na nogach. Drżącymi dłońmi poprawił sobie mundur, chwiejnym krokiem przeszedł do pomieszczenia socjalnego, zwymiotował, usiadł na krześle i zaczął się bawić swoim pistoletem gazowym, póki nie poczuł się lepiej. Po pewnym czasie usłyszał jakiś hałas. Najpierw pomyślał, że mu się tylko wydawało, ale dźwięk się zbliżał, więc Eckert zacisnął mocniej dłoń na swoim małym gazowym pistoleciku, wstał i zaczął nasłuchiwać, z której strony dochodzą dźwięki.

Dora przez pewien czas błędziła po korytarzach i klatkach schodowych wydziału medycznego, ale w końcu znalazła korytarz zaopatrzeniowy w piwnicy na poziomie – i. Wyobrażała sobie, że korytarz będzie ponury, wąski i napawający grozą, ale okazał się szeroki i dobrze oświetlony. Był też kolorowo oznaczony – jak wszystkie korytarze i przejścia na terenie uniwersytetu. Przekroczyła wielkie stalowe drzwi przeciwpożarowe po stronie wydziału medycznego i ruszyła podziemnym łącznikiem, który w połowie drogi lekko skręcił. Doszła do kolejnych stalowych drzwi. Gdy przeszła przez te drzwi, znalazła się w Instytucie Psychologii. Korytarz prowadził do sali z niebieskimi stalowymi szafkami ustawionymi w długie rzędy wzdłuż i w poprzek pomieszczenia. Olbrzymia przebieralnia, labirynt pomalowanych na niebiesko szafek, z których zapewne korzystali nieliczni studenci, bowiem tylko niektóre z nich zabezpieczone były kłódkami.

Dobre samopoczucie, które jej do tej pory towarzyszyło, całkiem gdzieś znikło. Spieszyła się, często z przerażeniem spoglądała za siebie. Jej kroki niosły się echem po kamiennej posadzce i załamywały na metalu szafek. Przeszła przez przebieralnię i doszła do kolejnych stalowych drzwi, za którymi znajdowała się klatka schodowa z windą. Wiedziała, że symulowane więzienie znajdowało się poziom niżej, ale chciała najpierw pojechać na czwarte piętro, gdzie przed kilkoma dniami stawiała się wraz z innymi gośćmi. Stamtąd eksperyment był podobno obserwowany przez całą dobę. Ktoś musiał tam być. Nieważne kto, ale ten ktoś wyprowadzi Tarka albo pozna jej gorszą stronę.

Gdy Dora, jadąc windą, dodawała sobie odwagi, Claus Thon błędził po poziomie – 2. Było to trudniejsze, niż myślał, bo po pierwsze rzadko bywał tu na dole, a po drugie piwnica nie miała tego samego układu pomieszczeń co inne kondygnacje. W poszukiwaniu laboratorium Thon przemierzał

niekończące się korytarze i magazyny, aż w końcu natrafił na korytarz techniczny, którym niedawno uciekało dziesięciu więźniów. Jeszcze kilka chwil wcześniej natknąłby się tu na Glasera i Amandy'ego. Teraz jednak na końcu korytarza rozpoznał jedynie tylną stronę plastikowych ścian swego laboratorium. Thon przyspieszył kroku. Po lewej stronie dostrzegł światło wpadające z korytarza więziennego przez dziurę w ścianie. Zaniepokoiło go, że nie słyszał żadnych dźwięków, żadnych głosów, żadnych kroków.

Pierwszą rzeczą, jaka mu się rzuciła w oczy, gdy przeszedł przez dziurę w ścianie, były puste cele. Zaraz potem dostrzegł nieruchome, pozbawione życia i obklejone taśmą klejącą ciało numeru 82. W tym momencie zupełnie nieoczekiwanie z krzykiem na ustach z toalety wyskoczył i stanął bezpośrednio przed nim Volker Eckert. W wyciągniętej ręce trzymał pistolet. Strzelił. Bez ostrzeżenia, z bliskiej odległości. Prosto w twarz profesorowi Thonowi. Pistolet był naładowany nabojem z gazem drażniącym.

Siedzieli skuleni na schodach między parterem a pierwszym piętrzem i słyszeli pod sobą swych prześladowców. Nikt się nie ruszał. Tarek obserwował numer 15, ale on też nie pisnął ani słówka. Na dole ktoś szarpnął drzwiami wyjściowymi. Zaraz potem usłyszeli głos Berusa. Potem dudnienie szybko oddalających się kroków.

– Zabezpieczają teraz pozostałe wyjścia i czekają uprzejmie, aż się pojawimy – pòłszepem rzekł Tarek.

– Wykończą nas! Jak nas dostaną w swoje ręce, wykończą nas na amen – biadolił 74. – To był błąd, cholerny błąd, że uciekliśmy. Nie mamy szans!

– Zamknij mordę – zjechał go Steinhoff.

– Macie jakieś sensowne propozycje?

– Wezwijmy pomoc – powiedziała Jutta.

– Ach tak? Tylko w jaki sposób? Przecież tu wszystko jest pozamykane!

– Ale nie pomieszczenie monitoringu na czwartym piętrze. Gdy mnie i Larsa stamtąd porwali, nie zamknęli drzwi.

– Zapomnij – powiedział Lars. – Jak mnie pojмали, to zniszczyli telefon.

– Ale tam stoją komputery. Wiem, że to brzmi może po wariacku, ale moglibyśmy wezwać pomoc przez internet.

Tarek się skrzywił.

– Internet? Durny pomysł.

Jutta gwałtownie potrząsnęła głową.

– Nie. To całkiem realna szansa. I jedyna, jaką mamy.

– Na górze będziemy uwięzieni jak w pułapce – zauważył Steinhoff.

– Korytarz jest ślepą uliczką.

– Zabarykadujemy się i będziemy próbować, aż w końcu nawiążemy kontakt z kimś, kto nam pomoże. A więc?

– Raczej nie wygląda na to, żebyśmy mieli jakiś wybór – stwierdził Tarek.

– Owszem – wtrącił nagle Lars. – Być może mamy. Istnieje jeszcze stary korytarz zaopatrzeniowy, który łączy nasz instytut z wydziałem medycyny. Korzystamy z niego, jak pada deszcz. Powinien być otwarty. Moglibyśmy...

Tarek przerwał mu ostro.

– A wydział medycyny? Będzie otwarty?

Lars wzruszył ramionami.

– Ale może tam ktoś będzie.

– Albo i nie. Gdzie znajduje się ten korytarz?

– Na poziomie – i, ale w drugim skrzydle budynku.

– To zbyt ryzykowane – stwierdziła Jutta. – Złapią nas, nim dotrzemy do korytarza.

Tarek wymienił szybkie spojrzenie ze Steinhoffem.

– *Fifty-fifty* – powiedział Steinhoff bez entuzjazmu.

– Tak jest. A więc zwiększymy nasze szanse, jak się podzielimy. Jedna grupa spróbuje dotrzeć do tego korytarza. Jak sądzicie?

– Idiotyczny pomysł, ale może coś z tego wyjdzie – powiedział Steinhoff, wzruszając ramionami.

Pozostali nic nie odpowiedzieli. Tylko Jutta przybrała sceptyczny wyraz twarzy.

– Steinhoff i ja poszukamy tego korytarza – oznajmił Tarek. – Kto czuje się na siłach i chciałby się do nas przyłączyć? Dwoje ludzi.

Rękę podniósł numer 40 i ku ich zaskoczeniu z ociąganiem także numer 74.

– Wydaje mi się, że jestem wam coś winien – wyjaśnił.

Tarek kiwnął mu głową.

– Jak się nazywasz, 74? Jak się naprawdę nazywasz?

– Tobias Roloff.

– A ja Peter Cornelius – powiedział numer 40.

– No dobrze, ja biorę parter – oznajmił Tarek. – Steinhoff pierwsze piętro, Tobias drugie, a Peter trzecie. Pozostali zabarykadują się na czwartym i pozostaną tam, aż przyjdzie pomoc. – Zagadnięci przytaknęli. Tarek spojrzał na Larsa i zapytał: – A teraz wytłumacz nam dokładnie, gdzie znajduje się ten korytarz.

Nie mieli już wiele czasu. Renzel usłyszał głosy na klatce i ostrożnie nasłuchiwał.

– Berus, ćwoki chcą się rozdzielić – szeptem powiedział do komórki i dał znak Amandy’emu i Glaserowi, których zobaczył, jak nadchodzili z lewego korytarza, żeby byli cicho. – Co? – szepnął do komórki. – Tak, dobrze, zrozumiałem. Pospieszcie się! Chodźcie przez pierwsze piętro!

W tym samym czasie Dora, cztery piętra wyżej, nie zastała nikogo, pomieszczenie monitoringu było puste. Nacisnęła guzik obok szybu, żeby zjechać na dół do laboratorium, na co na parterze z hałasem zamknęły się drzwi windy.

Tę sytuację, w tym właśnie momencie – zamknięty budynek, więźniowie, prześladowcy, Dora – profesor Thon z cybernetycznego punktu widzenia określiłby przypuszczalnie jako SYSTEM W STANIE NAJWYŻSZEJ STABILNOŚCI. Hałas drzwi windy określiłby prawdopodobnie jako ZAKŁÓCENIE, które mogłoby wystarczyć, aby wywołać ZAŁAMANIE systemu, który później przeszedłby w nowy STAN STABILNOŚCI. Istnieje wiele stabilnych stanów. Przykładowo śmierć jest jednym z najstabilniejszych.

Profesora Thona nie zainteresowałyby szczególnie procesy wewnętrzne poszczególnych KOMPONENTÓW SYSTEMU – w tym przypadku komponentami tymi byli ludzie o indywidualnych wzorcach myślowych i behawioralnych – bo mózg to dla niego BLACK BOX, czarna skrzynka, do której nie można zajrzeć. Profesor Thon bardziej by się zainteresował zachowaniem całego systemu. Jego załamaniem i niemożnością przepowiedzenia, w jaki stan stabilności ów system by przeszedł. Przypuszczalnie próbowałby opisać ten kompleksowy proces cybernetycznie. Przypuszczalnie by to zrobił, gdyby kompleksowy system

jego własnego ciała w tym momencie sam się nie znalazł o krok przed osiągnięciem bardzo stabilnego stanu.

Hałas zamykających się drzwi windy wywołał reakcję łańcuchową. Tarek i pozostali więźniowie przestraszyli się i zerwali na równe nogi. Renzel, Glaser i Amandy uznali niepokój więźniów za znak, że Berus ze swoimi już dotarł na pierwsze piętro, i wtargnęli na klatkę. Tym samym odcięli Tarkowi drogę na parter.

– Szybko, do góry! – krzyknął Tarek. – Róbmy wszystko tak, jak uzgodniliśmy!

Chociaż Renzel zrozumiał, że za wcześnie zareagował, robił wszystko zgodnie z poleceniem Berusa. Glaser pobiegł za więźniami 77 i 38, którzy skręcili po chwili na pierwsze piętro, Amandy za numerem 74 na drugie, a sam Renzel pobiegł za numerem 40, jednocześnie w biegu rozmawiając przez telefon z Berusem i podając mu nowe położenie. Berus wysłał Kampsa na czwarte piętro i chociaż dotarł on tam za wcześnie, Renzel wiedział, że ćwoki siedzą teraz w pułapce.

Dora usłyszała krzyk na klatce schodowej, gdy czekała na windę. Spojrzała w dół głębokiego szybu windowego i dostrzegła kilku więźniów biegnących po schodach oraz trzech strażników bez mundurów, którzy ich gonili, wydając z siebie głośne okrzyki. Potem dostrzegła, jak Tarek skręca na pierwsze piętro. W tym samym momencie zrozumiała, co się dzieje. Inni więźniowie biegli dalej w górę po schodach. Dwaj skręcili na drugie i trzecie piętro, podczas gdy reszta biegła dalej w jej kierunku.

Więźniowie przestraszyli się, gdy zobaczyli Dorę stojącą na półpiętrze, ale w ułamku sekundy na ich twarzach pojawiła się ulga.

– Jak się pani tu dostała? – zapytała szybko Jutta.

– Korytarzem z wydziału medycyny.

– Czy oprócz pani jest tu jeszcze ktoś?

– Nie, ale gdzie...

– Ma pani komórkę? Niech pani szybko da! – Dora wyjęła z torebki mały telefon i podała jej, ale bateria, której nie ładowała od kilku dni, całkiem się wyładowała. Jutta jęknęła z rozczarowaniem. – A więc dalej, jak się umówiliśmy, zanim nas tu dorwą. – Pociągnęła Dorę za sobą. – Niech pani idzie z nami! Tu jest niebezpiecznie.

Dora uwolniła się z uścisku.

– Gdzie jest Tarek? – zapytała.

Wykładzina dywanowa na korytarzu pierwszego piętra tłumiła ich kroki. Jasnoszare drzwi po lewej i po prawej. Wszystkie zamknięte. Tarek i Steinhoff próbowali dwukrotnie, potem zrezygnowali, biegli po prostu dalej w kierunku oszklonych drzwi na końcu korytarza, ponieważ ich prześladowcy coraz bardziej się zbliżali. Tarek wiedział, że ON był za nimi, chociaż ledwo słyszał jego bieg i sapanie. Słyszał przede wszystkim siebie. Steinhoff spojrzał szybko do tyłu. Za następnymi szklanymi drzwiami rozchodziły się cztery korytarze. Bez chwili zastanowienia Tarek i Steinhoff pobiegli na prawo. Tam znowu gładka posadzka. Ich kroki niosły się echem po całym korytarzu. Tarek odwrócił głowę.

– Dwóch na jednego – zawołał do Steinhoffa.

– Nie mamy czasu!

Tarek złapał się za bok, zwolnił, został nieco z tyłu.

– BIEGNIJ! – wrzasnął na niego Steinhoff. – SZYBCIEJ!

A więc biegł. W kierunku szklanych drzwi na końcu korytarza. Tam znowu rozejdą się korytarze...

– W następnej klatce schodowej zbiegnę na parter – wysapał Tarek, a Steinhoff przytaknął.

Ale do tego nie doszło.

Gdy pokonali następne szklane drzwi, których skrzydła z trudem się otwierały, i byli w połowie długości następnego korytarza, otworzyły się jednocześnie drzwi przed i za nimi. Berus, Stock i Tode ruszyli na nich z przodu, Glaser od tyłu.

Z przodu trzech, z tyłu jeden. Brak czasu na zastanawianie się. Tarek i Steinhoff zatrzymali się gwałtownie. Tarek mocniej ścisnął w dłoni śrubokręt, wymienił szybkie spojrzenie ze Steinhoffem i pojął, że wpadli na ten sam pomysł. Prawie jednocześnie odwrócili się i pobiegli z powrotem. Glaser schylił się nieco i podniósł pałkę, żeby ich zatrzymać, ale nim zdążył jej użyć, Steinhoff złapał go za ramię z pałką i w biegu wykręcił mu rękę, podczas gdy Tarek wbił strażnikowi z drugiej strony śrubokręt w bark.

Glaser z rykiem opadł na podłogę. Nie troszcząc się o niego, Tarek i Steinhoff z powrotem przebiegli przez szklane drzwi, zbiegli klatką

schodową na dół i dalej biegli korytarzem na parterze, nie zwracając uwagi na kierunki, byle tylko jak najbardziej zwiększyć dystans od prześladowców.

Tobias Roloff, kompletnie wykończony fizycznie, ukrył się w toalecie. W boku kłuło go tak bardzo, że nie był w stanie prosto ustać, nie mówiąc już o bieganiu. Poczul to już na samym początku ucieczki, jeszcze w piwnicy. Co mu strzeliło do głowy, żeby się dobrowolnie zgłosić do próby znalezienia drogi na zewnątrz? Akcja równoznaczna z popełnieniem harakiri. Roloff siedział na opuszczonej desce klozetowej, trzymał się za bok i cicho jęczał.

Od prześladowców dzielił go dystans dwóch korytarzy, tak że mógł niepostrzeżenie zniknąć w toalecie. Na dodatek w damskiej. Schowanie się właśnie tu uważał za sprytne posunięcie. Coś w rodzaju podstępu prawdziwego Indianina. I właśnie tu, w tej toalecie, zamierzał poczekać, aż pomieszczenie znów zapełni się gadającymi, roześmianymi studentkami, nawet jeśli miałyby to potrwać wieki!

Chociaż czuł się tu bezpiecznie, toaleta nie była dobrym miejscem. Małe pomieszczenie wyłożone jasnymi kafelkami i ciasne kabiny przedzielone ściankami z plastiku za bardzo przypominały mu więzienie. Roloff drżał. Zastanawiał się, czy nie powinien poszukać sobie innego schronienia. Może by tak wsiąść do windy, nacisnąć hamulec między dwoma piętrami i po prostu tam przeczekać. Ale nie miał odwagi się stąd ruszyć. Siedział więc w damskiej łazience, cicho sapał, nasłuchiwał i drżał. W takim stanie – skulonego i cicho płaczącego – znalazł go w końcu Amandy, który wbiegł za nim na drugie piętro i szybko pojął, co się stało.

Szukał więźnia w damskich toaletach, jakby ta kryjówka była dla niego czymś oczywistym. W drugiej łazience usłyszał szloch numeru 74 dobiegający z kabiny, która jako jedyna miała czerwony pasek przy zamku na drzwiach. Amandy wyciągnął swoją pałkę, zbliżył się powoli do zamkniętych drzwi kabiny i kopnął je mocno. 74 siedział w kucki, wciśnięty między muszlę a ścianę kabiny. Gdy odskoczyły drzwi wyważone przez Amandy'ego, 74 ogarnięty paniką krzyknął histerycznie. Krzyczał, jak krzyczy człowiek w agonii. Gdy Amandy uderzył go pałką i próbował na siłę wyciągnąć z kabiny, 74 uchwycił się rozpaczliwie muszli. Dopiero gdy Amandy zamachnął się nogą i kopnął go wojskowym butem prosto w głowę, nastąpił spokój.

Dora wsiadła do windy, która wciąż jeszcze czekała na nią na czwartym piętrze. Zjeżdżając trzy kondygnacje w dół, sięgnęła do prawej kieszeni skórzanej kurtki Tarka, którą wciąż jeszcze nosiła, i wyciągnęła stamtąd walthera. Przeszukała torebkę, znalazła w niej magazynek, przeliczyła naboje. Wsunęła magazynek do broni, zabezpieczyła, ale nie schowała pistoletu z powrotem do kieszeni. Nie zastanawiała się zbyt długo. Wiedziała tylko, że musi uważać i nie może się zranić. Winda stanęła. Gdy drzwi się otwierały, Dora trzymała mocno walthera. W zasięgu jej wzroku nie było nikogo. Nic też nie słyszała. Tylko tykanie w skrzynce z bezpiecznikami wbudowanej w ścianę.

Ostrożnie szła różnymi korytarzami na pierwszym piętrze, ale po strażnikach nie było ani śladu. A więc zeszła z powrotem do podziemnego korytarza, którym przyszła, ponieważ od kobiety z czwartego piętra wiedziała, że także Tarek miał się tą drogą wydostać z budynku.

Numer 40 uciekał trzecim piętrem, póki nie znalazł się przed zamkniętymi drzwiami specjalistycznej biblioteki psychologicznej. Biblioteka zajmowała całą przestrzeń między dwoma głównymi korytarzami trzeciego piętra łącznie ze wszystkimi znajdującymi się tam korytarzami, przejściami i pomieszczeniami. Dla Petera Comeliusa stała się teraz rozległą przeszkodą. Gdy biblioteka była nieczynna, zamknięte też były przynależne do niej korytarze. Numer 40 nie mógł się więc przedostać na żadną inną klatkę schodową, by uciec na inne piętro. Zrozumiawszy, że znajduje się w pułapce, uczynił to, co robią w takich sytuacjach zwierzęta, a mianowicie zaatakował.

Nie czuł podniecenia. Był skupiony, prawie odprężony. Zaczaił się za rogiem korytarza i czekał cierpliwie, aż Renzel podejdzie bliżej. Gdy strażnik wyłonił się zza rogu, Cornelius zaatakował go bez żadnego ostrzeżenia. Renzel był silny, ale niższy od Corneliusa, a atak nastąpił tak niespodziewanie, że choć rękoma zasłonił sobie twarz, to z nosa już zdążyła mu popłynąć krew. Wysoki Cornelius nie przestawał tłuc prześladowcy swoimi długimi rękoma, uderzał w niego maksymalnie skoncentrowany. Ciosy nie były szybkie, ale za to precyzyjnie wymierzone i mocne, padały z lewej i prawej strony prosto w głowę. Renzel opadł na kolana, a Cornelius

tlukł go dalej z góry. Z każdym uderzeniem więzień czuł się coraz bardziej wolny. Odpuścił dopiero wtedy, gdy Renzel przestał się poruszać.

Po wszystkim. Wyczerpany i rozkojarzony ukląkł obok nieruchomego strażnika. Nie zwracał uwagi na dzwonienie komórki, która wypadła z kieszeni strażnika. Nie pomyślał, że mógłby jej użyć. Po prostu czekał.

Pomieszczenie monitoringu na czwartym piętrze faktycznie zastali otwarte. Jutta od razu rzuciła się do komputera i próbowała zwrócić na siebie uwagę na różnych forach dyskusyjnych i czatach, wzywając na nich pomocy. W tym czasie Lars oraz numery 21 i 86 zajęli się zabezpieczeniem ciężkich oszklonych drzwi, będących jedynym dojściem z korytarza. Klamki obu skrzydeł poowijali przewodami komputerowymi. Starczyło im kabli w sam raz, ale poważnego ataku takie zabezpieczenie i tak by nie wytrzymało.

Pięciu mężczyzn przyglądało się Jutcie, jak dalej gorączkowo próbuje nawiązać z kimś kontakt, a jej palce fruwały po klawiaturze.

– Potraktujcie mnie poważnie, do jasnej cholery! – krzyczała do monitora.

Lars i numer 21 usiedli przy dwóch innych komputerach, by jej pomóc.

– To już koniec – powiedział Bosch z rezygnacją. Stał przy oknie, przez które przenikało zimne powietrze. Na zewnątrz ani jednego człowieka, którego można by zawołać. Za wysoko, żeby skoczyć, dużo za wysoko. – Oni nas wszystkich zabijają! Oni nas wszystkich zabijają!

– Zamknij mordę, działasz nam na nerwy!

– Nadchodzą! – krzyknął numer 15, który stał przy drzwiach i zerkał na korytarz. – Dwóch strażników pod drzwiami! – Po krótkiej chwili strażnicy zaczęli szarpać drzwi i coś krzyczeć. – Nie mamy najmniejszej szansy...

– stwierdził numer 15.

– Co powinniśmy teraz zrobić?! – zawołała Jutta.

– Poddać się – odpowiedział 15. – Tak, poddać się. No, nie gapcie się tak na mnie. To najrozsądniejsza rzecz, jaką możemy zrobić. Spójrzcie na korytarz. Jak myślicie, kiedy przyjdą tu inni? Mówię wam, najlepiej będzie, jak się im od razu poddamy.

– Prędzej się zabiję – powiedział Bosch stojący przy oknie.

– To się zabijaj, pierdolony klawiszu.

– A ty lepiej się przymknij – powiedział Lars, ręką dotknąwszy ramienia numeru 15.

Numer 15 odbił jego rękę.

– Zabieraj łapska! Przez kogo tu teraz siedzimy? Cholera! Wy wszyscy macie kompletnie popieprzone w głowie! Tam, na zewnątrz, są strażnicy, a wy sobie gracie na komputerach! Macie kompletnie popieprzone! A najbardziej popieprzony z was wszystkich leży już pewnie tam, na dole, i zdycha!

Niklas Tanberg usiadł z wściekłością na krześle obrotowym i zaczął się na nim kręcić. Na zewnątrz w drzwi kopali i walili Kamps i Amandy, który przyszedł tu z drugiego piętra.

Tanberg obserwował trójkę swych towarzyszy, siedzących w skupieniu przy komputerach, a jednocześnie powoli podjeżdżał na krześle ku drzwiom. Jego zachowanie zauważyli dopiero wtedy, gdy zerwał się z krzesła i pobiegł ku drzwiom. Za późno, by go powstrzymać.

I tak zresztą niewiele brakowało, a strażnicy sami wpadliby do środka. Kable blokujące drzwi były już w większości rozciągnięte. Numer 15 zerwał resztę kabli z klamek i otworzył drzwi, mówiąc:

– *Okay, okay, poddaje...*

Więcej nie zdołał powiedzieć, bo obaj strażnicy podziękowali mu, okładając go pałkami, a następnie wtargnęli do pomieszczenia.

Czterej więźniowie nie stawiali oporu. Próbowali się tylko chronić, gdy strażnicy bili ich pałkami po rękach, głowie, tłukli w klawiatury i monitory. Tylko Bosch, który stał przy oknie nieco dalej od reszty, miał więcej czasu, by zareagować. Gdy zobaczył strażników, wspiął się na parapet, wyszedł na zewnątrz na wąski gzyms i powoli zaczął się oddalać od okna.

– Niech nikt nie podchodzi! – krzyczał, gdy Kamps go tam dostrzegł. – Bo skoczę!

Obcasy ich wojskowych butów stukały po gładkiej posadzce. Stukot ten zapowiadał ich nadejście, podobnie jak gwałtowne porywy wiatru zapowiadają nadchodzącą burzę. Berus w biegu odbierał przez komórkę po kolei raporty od pozostałych strażników. Wyglądało na to, że sytuacja się powoli stabilizuje. Numer 74 unieszkodliwiony. Kamps i Amandy kontrolują czwarte piętro. Tylko Renzel się nie odzywa. Ani śladu też po

Eckercie. Cholera, gdzie oni się podziewają? Przypuszczalnie są poza zasięgiem. Na Glasera też nie ma co liczyć, chociaż rana od śrubokrętu w jego barku nie jest taka poważna, jak by się na pierwszy rzut oka wydawało. A więc byli tylko we trzech. Tode, Stock i on sam przeciw dwóm uzbrojonym uciekinierom, którzy pętali się gdzieś po budynku. Ale strażnicy mieli tę przewagę, że znali cel uciekinierów, bo Amandy przycisnął nieco numer 15, a ten wszystko wyśpiewał. Berus schował komórkę i przyspieszył kroku.

– Szybciej! – popędził dwóch pozostałych. – SZYBCIEJ, DO CHOLERY!

Volker Eckert, cały czas szlochając, wytaskał mężczyznę, któremu strzelił w twarz, z piwnicy na górę i położył przy jednym z zamkniętych wyjść. Komórka, która na dole nie działała, zaczęła teraz gwałtownie dzwonić.

– *Eckert, no wreszcie! Tutaj Kamps. Gdzie się podziewasz, do diabła? Berus szuka cię cały czas.*

– Jestem na parterze. Ja...

– *Później. Potrzebujemy wsparcia na czwartym piętrze. Chodź natychmiast na górę!*

– Ale tutaj...

– *Chodź na górę i szlus.*

Eckert, wciąż szlochając, zostawił rannego mężczyznę, dającego jedynie słabe oznaki życia, i poczłapał do windy, którą pojechał na czwarte piętro. Kamps i Amandy czekali na niego w pomieszczeniu monitoringu.

– Mamy problem.

– Bosch chce skoczyć.

Czterech więźniów skrupowali kablami. Numer 15 wciąż jeszcze leżał na podłodze. Bosch stał za oknem na gzymsie.

– Jeśli chodzi o mnie, to niech sobie skacze – powiedział Kamps. – Jego sprawa. Jezu, jak ty wyglądasz, Eckert?!

Eckert nie zareagował.

Kamps trącił go.

– Ej, Eckert!

– Zastrzeliłem profesora! – zawołał roztrzęsiony Eckert. – Numer 82 też nie żyje.

– Coooo?

Wyjaśnił im. Raz. Drugi raz. Aż w końcu do nich dotarło.

– Już po wszystkim – rozszlochał się na nowo, a Kamps i Amandy zbledli.

Bez słowa rozcięli więzy krępujące więźniów.

Jutta natychmiast podbiegła do okna. Wyciągnęła rękę do Boscha i powiedziała:

– Już po wszystkim!

Nie uwierzył.

– Nie podchodźcie, bo skoczę.

– Naprawdę. Już po wszystkim.

– Już po wszystkim! – zawołał Eckert z głębi pomieszczenia.

Mylił się.

Tym razem było inaczej niż przed rokiem. Chociaż znowu biegł zygziem. Chociaż znowu biegł obok kogoś sapiącego z wysiłku. Chociaż tym razem także miał koszmarne przeczucie. Chociaż też świat z korytarzy, przejść, drzwi, klatek schodowych i małych holów był tak samo jednolity i dezorientujący, jak bezlistny las w porannej mżawce. Mimo to tym razem było inaczej. Tym razem biegł, by ratować własne życie. Przeczucie, jakie go tym razem dopadło, mówiło mu, że tym razem też się spóźni. Przeczucie to wisiało nad nim, przeraźliwie jaskrawe i krzykliwe jak neonowe oświetlenie, przyczepiło się do jego koszuli jak zapach środków czyszczących, pulsowało w takt bólu głowy i powtarzało się tysiącrotnie wraz z echem człapiących gumowych kłapek. Nic nie słysząc poza ich krokami, ich sapaniem, gdy się zatrzymywali, nasłuchiwali i upewniali, czy droga jest bezpieczna. Czasem słyszeli trudny do namierzenia stukot kroków, krótkie urywki rozmów, które zmuszały ich do zbaczania z obranej drogi. Raz ledwo im się udało ukryć na sali wykładowej między rzędami krzesel, czekali tam długo, umęczeni, nim w końcu odważyli się wyjść na korytarz. I znowu przed siebie. Parter, pierwsze piętro, parter, ślepa uliczka i z powrotem. Zupełnie stracili orientację. Wszystko prawie jak przed

rokiem. Tylko że teraz to on, Tarek, miał się stać ofiarą. A najgorsze, że nawet nie będzie miał okazji wyjaśnić czegokolwiek Dorze.

Nagle stanął.

– Stop! – wykrztusił, opadł na kolana i zaniósł się kaszlem.

– Co jest? – wysapał Steinhcfff. – No dalej! Ruszaj się!

Tarek nie odpowiedział. Oddech mu świzaczał, na twarzy miał wypieki.

– Nigdy nie znajdziemy tego łącznika.

– Rusz się wreszcie!

– W pojedynkę uda ci się szybciej. Biegnij. Ja postaram się zatrzymać Berusa i resztę.

– Nie pierdol. Rusz dupę, kebabie!

– Nie nazywaj mnie tak!

– Kebab!

– Masz mnie tak nie nazywać!

Steinhoff zaczął na niego krzyczeć. Robił za przywódcę.

– Ty zasrany kebabie, rusz dupę albo tak ci przypierdolę, że dostaniesz skrzydeł, ty cholerny dupku! Zamknij mordę i rusz wreszcie dupę, zasrany kebabie!

– Pchnął go. – I czego robisz taką głupią minę, dupku? BIEGNIJ!

– Człowieku, właśnie powiedziałeś prawidłowo moje nazwisko. – Tarek wstał i wlekąc ciężkie jak ołów nogi, ruszył wolno przed siebie. – Jesteś pierwszą osobą, która potrafi prawidłowo wymówić moje nazwisko!

Steinhoff podczas biegu myślał o locie motoszybowcem przy złej pogodzie. Gdy trzeba opaść nisko, niebezpiecznie nisko, żeby móc cokolwiek zobaczyć, gdy trzeba znaleźć swoją drogę, szybując zygzakiem w chmurach deszczowych, które wiszą dookoła jak grube, nieprzezrocyste zasłony, tak długo, aż odkryje się przed sobą jasną dziurę. Czasem, jeśli ma się pecha, nie prześwituje żadna jasna dziura. Czasem trzeba przemknąć przez chmurę. Jakkolwiek. Albo lądować. Obie te rzeczy są niemożliwe.

Tarek już o niczym nie myślał. Ugniatał kciuk w pięści, by przewyciężyć klucie w boku, i biegł. Za oknami, kolo których przebiegali, promieniujący, obcy, bezludny świat. Wyśmiewał ich. Tarek nie spoglądał w tamtym kierunku.

Bardziej przypadkiem niż świadomie dotarli do klatki schodowej z żółtymi oznaczeniami na ścianach. Lars opisał im tę klatkę. Mieli nią zejść na dół, na kondygnację podziemną, skąd odchodzi szukany przez nich łącznik prowadzący do sąsiedniego budynku. Strażników nie było słychać, ale mogło to oznaczać, że gdzieś się zaczęli i czekają. Steinhoff dał Tarkowi znak. Na poziomie – i poruszali się bardzo ostrożnie do przodu, prawie skradali, każdy z kroków ubezpieczali z wszystkich stron. Nie napotkawszy nigdzie ani śladu swoich prześladowców, znaleźli stalowe drzwi, za którymi znajdowała się gigantyczna przebieralnia.

Dokładnie tak, jak to opisał Lars. Szeregi ponumerowanych metalowych szafek. Rzędy usytuowane wzdłuż sali ustępowały miejsca rzędom ustawionym wszere według jakiejś nieznaney zasady. Szerokie przejście prowadziło przez przebieralnię na wprost do innych drzwi. A za tymi następnymi przeciwpożarowymi drzwiami po drugiej stronie przebieralni musiał się znajdować łącznik.

Czekali chwilę, nasłuchiwali.

W końcu Tarek zapytał:

– No to co? Finisz?

Steinhoff dał mu znak, żeby był cicho. Zrobili kilka ostrożnych kroków w kierunku drzwi, spoglądając na prawo i lewo między rzędy szafek. W końcu Steinhoff odrzekł:

– Okay, finisz!

Ale nie było żadnego finiszu. Nim zdążyli się rozpędzić, na przejściu dokładnie przed nimi i za nimi pojawili się Berus, Stock i Tode, uderzając pałkami w dłonie.

– Po co ten pośpiech? – rzekł Berus z szerokim uśmiechem. – Tu jest stacja końcowa.

Robił wrażenie rozradowanego.

– Z drogi! – krzyknął Steinhoff i spróbował go pchnąć na bok, ale tym razem strażnicy byli szybsi. Pierwsze uderzenie trafiło Steinhoffa w skroń. Tarek zamachnął się, żeby wbić śrubokręt w Berusa, ale strażnik zrobił unik i uderzył pałką w jego wyciągniętą rękę, używając całej swojej siły. Tarek wrzasnął z bólu. Uderzenie złamało mu rękę. Śrubokręt wysunął się z bezwładnej dłoni, upadł z brzękiem na posadzkę i potoczył się pod szafkę.

Gdy Dora usłyszała hałas za stalowymi drzwiami, odbezpieczyła walthera. W przebieralni zobaczyła, jak mężczyźni biją pałkami Tarka i Steinhoffa, wojskowymi buciorami kopia bezbronných, którzy się zwinęli na podłodze, rękoma osłaniając głowę. Dora wycelowała walthera w sufit i strzeliła. Kula wbiła się w podbitkę wysokiego sufitu, tworząc ledwo widoczny otwór. Odrzut małej broni był niczym więcej jak krótkim szarpnięciem w jej dłoni. Mimo to Dora się wzdrygnęła, gdy odgłos przeciął pomieszczenie, spowodował bolesne pęknięcie powietrza w sali. W jednej chwili strażnicy puścili swoje ofiary.

– Przestańcie, natychmiast! – Dora nie krzyczała. Mówienie sprawiało jej problem, nie tylko dlatego, że niemiecki był dla niej językiem obcym. – Natychmiast. Przestańcie.

Musiała się przezwyciężyć, żeby nie powiedzieć: „proszę”.

Strażnicy odwrócili się powoli od ofiar i stanęli przodem do niej, patrzyli na nią martwym wzrokiem przez ciemne okulary. Dora zauważyła, że zeszywniała ze strachu.

^

– Przestańcie! – powtórzyły. ^

Tarek wciąż jeszcze leżał na podłodze, zasłaniając się rękoma. Jeden ze strażników zrobił kilka kroków w jej kierunku.

– Kogo my tu mamy? Śliczna Holenderka!

Dora wycelowała w niego broń.

– Cofnąć się! Stać!

– Ej, Berus, uważaj, bo strzeli.

– Spokój! Nie strzeli. To straszak, prawda? To wszystko jest elementem symulacji. Stock, zabierz jej broń!

– Nie, Berus. Jeszcze mnie zastrzeli.

– Spoko, broń nie jest prawdziwa. To tylko element testu. Mam rację? No, Stock, zabierz jej tę broń!

– Sam jej zabierz, do cholery!

– To rozkaz, Stock.

Za ich plecami powoli uniósł się Tarek.

– Dora... Co... Dora, uważaj!

Dora drżała. Stock zawahał się, ale zrobił krok do przodu.

– Daj wujkowi zabaweczkę – zawołał Berus zza jego pleców.

– Stój, bo strzelam!

– To strzelaj, Holenderko!

I właśnie to zrobiła. Nim Stock zdążył zrobić kolejny krok w jej kierunku, wycelowała w jego nogę i strzeliła. Mimo niedokładności walthera odległość nie była dla niej problemem, po tym jak przez lata ćwiczyła z Michaeliem w żwirowni. Z powodu małej siły przebicia kula nie przeszła przez nogę na wylot, wyszarpała tylko okropną otwartą ranę w udzie. Trafiony zgiął się, zachwiał i upadł z krzykiem na podłogę.

Teraz uwierzyli, że broń jest prawdziwa. Już się nie ruszali.

– Tarek, czy wszystko w porządku? Przejdźcie do mnie. Pospieszcie się. !

Gdy Dora celowała w dwóch pozostałych strażników, Tarek i Steinhoff z trudem podnieśli się z podłogi i pokuśtykali w jej stronę. Tarek, który podtrzymywał złamaną rękę, przez moment znalazł się na linii strzału. Berus wykorzystał to i rzucił się na prawo między szafki. Dora krzyknęła:

– Tarek, z drogi!

Steinhoff miał szybszy refleks niż Tarek. Schylił się w jednej chwili. Tarek ruszał się za wolno. Gdy się odwrócił, Berusa już nie było, stał tylko Tode, ale i on się pokapował i pobiegł na lewo. Dora strzeliła w powietrze, ale to go nie zatrzymało.

– Dora, cofnij się do drzwi i czekaj! – krzyknął Tarek.

– Co zamierzasz? – zapytał Steinhoff.

– Dorwę Berusa.

– Zwariowałaś? Spadamy!

– Nie. Nie ruszę się bez tej świni.

Nie słuchając Steinhoffa, wbiegł między szafki, gdzie znikł Berus.

– Tarek!

– Niech pani czeka przy drzwiach! – Steinhoff krzyknął do Dory i pobiegł za Todem.

Wszyscy znikli jej z oczu. Dobiegało do niej tylko echo kroków w labiryncie szafek, to bliżej, to dalej, nie wiadomo skąd dokładnie. Tylko Stock leżał na podłodze, jęczał i przyciskał dłoń do rany. Spodnie w kolorze krwi przesiąkły krwią wokół rany.

– Niech mi pani pomoże! Niech mi pani pomoże!

Dora podeszła do niego, zachowując bezpieczny odstęp.

– Dlaczego pani to zrobiła? – wyjęczał Stock. – To niezgodne z regulaminem!

Dora uklękła obok niego.

– Niech pan leży spokojnie.

– Wykrwawię się.

– Nie, nie wykrwawi się pan. Trzeba zabandażować ranę.

– To niech mi pani pomoże.

Chciała mu powiedzieć, żeby ściągnął koszulę i porwał na pasy, ale nie zdołała. Nim zdążyła krzyknąć, jakaś dłoń zatkała jej od tyłu usta, naciskając mocno i brutalnie, druga dłoń wyrwała jej jednym szarpnięciem pistolet z dłoni.

– Dobra robota, Stock – powiedział Berus, wykręcił Dorze rękę i szarpnął ją gwałtownie do góry.

– 77! – krzyknął w głąb sali. – 38! Wychodźcie! Mam dla was niespodziankę!

Zdjął dłoń z ust Dory.

– Tarek!

– Zgadnij, kogo tu mam, 77! Pani Antje z Holandii! – roześmiał się, przystawił Dorze broń do skroni i zaczął się razem z nią przemieszczać powoli do przodu wzdłuż szafek. – Hej! 77! 38! Gdzie jesteś? 38! Tode!

– Tutaj, Berus – zduszonym głosem krzyknął Tode z kąta.

– Gdzie?

Cisza. Tode nie odpowiedział.

Berus pchnął Dorę między szafki w kierunku, z którego krzyknął wcześniej Tode.

– Wychodź, 77, albo twoja meisje zaraz się popłacze!

– Zostaw ją, Berus! – odpowiedział Tarek nie wiadomo skąd.

– Już po wszystkim, 77. Wyłaź! Szybko! Raz-dwa!

– *Zostaw ją, albo już po tobie!*

Berus roześmiał się i odwrócił. Nikogo nie widział.

– Zaraz się zesram ze strachu w spodnie, 77! Pokaż się! Hej, 38, pokaż się. Wy ćwoki, jesteście tacy żałośni! Nawet nie potraficie porządnie przeprowadzić ucieczki!

– *Tode jest wyeliminowany! Jesteś sam, Berus! Poddaj się! Puść ją i poddaj się!*

– Wykluczone, 77! Nie będę długo czekał!

Berus przyciągnął Dorę mocniej do siebie. Poczowała, że nagle zeszywniał. Dopiero w tym momencie zrozumiała cały wymiar niebezpieczeństwa.

– Tarek! Pomóż mi! POMÓŻ MI!

– Tak, pomóż jej, 77! Wyjdź i pomóż jej!

– W magazynku nie ma już więcej nabojów, Tarek. Policzyłam je wcześniej.

Berus pociągnął wykręconą rękę Dory brutalnie do góry.

– Zamknij się!

– Tarek, w magazynku nie ma już nabojów, Tarek!

– Ej, 77, pokaż się, zanim to na niej sprawdzę!

– *Na pewno, Dora?*

Głos Tarka dobiegł teraz z zupełnie innej strony.

Berus obracał się we wszystkich kierunkach.

Usłyszał odgłos oddalających się kroków.

– Zamknij się teraz, suko – wysyczał Dorze do ucha i przeszedł razem z nią wąskim przejściem wzdłuż rzędu szafek po rząd poprzeczny.

– *Na pewno?*

Dora krzyknęła na całe gardło:

– TAAAAAATAAAAK!

W tym momencie Tarek zaatakował. Mózg, rozum, wszystko wyłączone. Skręcił za róg, między dwa rzędy szafek, tam, gdzie stał Berus z Dorą, i popędził w ich kierunku. Nie wyskoczył ze sprytnej kryjówki, jak planował, lecz zaatakował po prostu od frontu, chociaż Berus wycelował w niego pistolet. Tarek schylił się, ale biegł dalej. Berus strzelił. Kula, której nie powinno być w magazynku, śmignęła obok Tarka. Dora uniosła nogę i obcasem kopnęła Berusa w kolano. Berus krzyknął i odruchowo ją puścił. Dora natychmiast uwolniła się z jego uchwytu. Prawie jednocześnie, jakby ich ruchy zaplanował choreograf, Tarek wpadł na Berusa. Po prostu go

staranował, ponieważ prawą, złamaną ręką nie mógł wiele począć. Schylił krótko, ale gwałtownie głowę i rąbnął nią w twarz Berusa, łamiąc mu nos. Klasyczne uderzenie z główki. Gdy razem upadli na podłogę, gorący, dotąd nieznan ból rozlał się po jego prawej ręce i sprawił, że nastąpiła noc. Jeszcze tylko zdążył zobaczyć Steinhoffa wyłaniającego się zza szafek. Wiedział, że już po wszystkim.

Wyniki

Środowisko więzienne miało duży wpływ na afektywne stany wszystkich uczestników eksperymentu, jak również na procesy interpersonalne między obydwoma grupami – więźniów i strażników. Obie grupy wykazały tendencję do negatywnej samooceny. W miarę trwania eksperymentu więźniowie coraz częściej wyrażali pragnienie wyrządzenia krzywdy innym.

Chociaż strażnicy i więźniowie byli wolni w wyborze formy interakcji (pozytywnej bądź negatywnej), wykazywali raczej tendencję do zachowań negatywnych, agresywnych i dehumanizacyjnych. Więźniowie szybko przyjmowali generalnie pasywną postawę, podczas gdy strażnicy dominowali i byli aktywni (tabela 1). Podczas trwania eksperymentu najczęstszą formą werbalnego zachowania było wydawanie poleceń. Wymiana werbalna była odpersonifikowana, z rzadka tylko przybierała indywidualny charakter.

Najbardziej dramatycznym dowodem wpływu sytuacji na uczestników eksperymentu stała się konieczność zwolnienia czterech spośród nich z powodu ostrej depresji, stanów lękowych i reakcji psychosomatycznych (tabela 2). Chociaż stosowanie przemocy fizycznej zostało wyraźnie zakazane, po sześciu dniach doszło do nieoczekiwanych intensywnych reakcji, które spowodowały konieczność przedterminowego przerwania eksperymentu. Te skrajnie patologiczne reakcje, które wystąpiły w obu grupach, wskazują na intensywność działających w takich sytuacjach więzi społecznych. Chociaż wystąpiły wyraźne różnice w radzeniu sobie z sytuacją i adaptacją do niej (tabela 3), nie były one do przewidzenia na podstawie autoprezentacji uczestników eksperymentu ani na podstawie standardowych testów, którym poddani zostali wszyscy uczestnicy przed

eksperymentem i na podstawie których oceniono ich jako osoby absolutnie normalne i emocjonalnie stabilne (tabela 4).

Gdy Steinhoff ciągnął strażnika, którego zostawił wcześniej związanego na boku, Tarek podniósł z podłogi pistolet i podszedł do związanego kablami Berusa, siedzącego w kucki obok Stocka, któremu Dora opatrywała ranę. Tarek kucnął tak blisko Berusa, że poczuł zapach jego przepoconej koszuli, i przystawił mu lufę do skroni.

– Tarek! – szepnęła złęczona Dora.

– Psssst! – uciszył ją, a do Berusa rzekł: – Już po wszystkim, Berus!

Berus wykrztusił:

– Nie możesz tego zrobić.

– Ty mogłeś, więc czemu ja nie mogę?

– Proszę, nie! – jęknął Berus.

– Podaj mi choć jeden powód, dla którego miałbym tego nie robić.

– To był przecież tylko eksperyment! – krzyknął Berus. – Tylko symulacja! TYLKO SYMULACJA!

Tarek zobaczył, że Berus jest bliski płaczu ze strachu, i ten widok przyprawił go niemal o mdłości.

– Dokładnie.

Tarek wycelował w bok i nacisnął na spust.

KLIK!

Berus wzdrygnął się przerażony i krzyknął.

W starym korytarzu zaopatrzeniowym Tarek ściągnął z siebie więzienną koszulę i rzucił na podłogę. Steinhoff zrobił to samo. Byli teraz nadzy. Bładoszare ciała poprzecinane szramami i usiane sińcami.

Z drugiej strony korytarza, z budynku wydziału medycznego, docierała do nich muzyka i gwar zabawy karnawałowej. Dora odnalazła kawiarnię, którą opuściła przed dwiema godzinami i gdzie przebrani za kaleki goście tańczyli właśnie poloneza.

– Hej, patrzcie, idzie nasza pani od szczurów! – krzyknął zabandażowany student i pomachał jej.

Inni zagwizdali z podziwu, bo dwóch nagich, posiniaczonych mężczyzn uznali za szczególnie ekstrawagancko „przebranych”. Nie dało rady

wytłumaczyć im, jak naprawdę wygląda sytuacja. Steinhoff poszedł szukać telefonu. Tarek i Dora przysiedli z boku na krzesłach.

– Jak to się mogło stać? – szepnęła Dora. – Czy strażnicy byli chorzy?

– Nie – odpowiedział Tarek. – To sytuacja była chora. Gdybym był strażnikiem, wówczas... ach, cholera, sam nie wiem.

– Nie jest ci zimno? – zapytała.

– Bardzo.

– Poczekaj.

Chciała wstać, ale ją przytrzymał.

– Dora, wiem, kim jesteś!

Kiwnęła głową.

– Mhm. A ja znalazłam u ciebie zdjęcie.

– Cholerny przypadek, co?

– Z drugiej strony, to zależy, jak na to patrzeć.

– Nie sądziłem, że jeszcze wrócisz.

– Bo z początku nie zamierzałam wrócić.

– Ale jednak wróciłaś. Mimo wszystko.

– Tak, wróciłam.

– I co teraz? Polecisz do Kanady?

– Do Kanady? Nie wiem.

– Czy mogłabyś chociaż odłożyć odlot?

– Na jak długo, jak myślisz?

Zrobił nieokreślony gest.

– Może na zawsze?

Zamyśliła się. Steinhoff wrócił z kocami i herbatą w towarzystwie kompletnie zdezorientowanego portiera. Dora spojrzała na Tarka i pokręciła głową.

– Nie – powiedziała, a po chwili dodała: – Chociaż może..

Epilog

Rok później

– Zanim komisja wyda ostateczny wyrok, chciałbym powiedzieć, że ja osobiście uważam, iż eksperyment zakończył się sukcesem. – Jurgen von Seth rozejrzał się po twarzach zebranych osób i stwierdził z zadowoleniem, że mężczyźni siedzący przy stole konferencyjnym przysłuchują mu się teraz uważnie. – Z pewnością przebieg eksperymentu i jego dramatyczny koniec wiąże się z szeregiem problemów etycznych i prawnych, a także odbiły się szerokim echem w mediach. Myślę jednak, że nas to dotyczy w mniejszym stopniu. Analizując trzeźwo sytuację, trzeba stwierdzić, że szczególna dynamika tego eksperymentu dalece przekroczyła nasze oczekiwania. Ten eksperyment pokazał, że nasze zainteresowania zaczynają się w obszarze, gdzie już nie sięgają granice nauki reprezentowanej przez państwo.

Ubrany po cywilnemu, niepozorny mężczyzna siedzący naprzeciwko przerwał mu:

– A więc będzie pan naprawdę opowiadał się za powtórzeniem eksperymentu?

– Absolutnie tak. Jednak w nieco innym zakresie i pod innym szyldem. Mam na myśli to, że tych „ćwiczeń” nie należy przeprowadzać z osobami cywilnymi, to zawsze powoduje problemy natury etycznej. W przyszłości powinniśmy zrezygnować ze współpracy z państwowymi instytucjami badawczymi i postawić na nasze własne zasoby. Będzie to efektywniejsze, a i prasa szukająca sensacji nie będzie węszyć.

Oficer w stopniu pułkownika wybuchnął:

– Majorze von Seth, od dawna jesteśmy na celowniku mediów, od kiedy ten paparazzi, który brał udział w eksperymencie, zaatakował nas, publikując reportaż i występując w kilku talk-show. Już od dawna jesteśmy na celowniku, a pan chce nam wmówić, że powinniśmy pańskie podejrzone eksperymenty przeprowadzać potajemnie w renomowanych ośrodkach treningowych?

– Nie chcę wam niczego wmawiać – odpowiedział von Seth kategorięcznym tonem. – Mówię o faktach. Faktem jest, że tego typu ćwiczenia są konieczne. Faktem jest, że MY te ćwiczenia moglibyśmy

przeprowadzić rzetelnie. Faktem jest, że zainteresowanie mediów wkrótce wygaśnie. Faktem też jest to, że pod względem naukowym nie można zaklasyfikować tego eksperymentu jako fiasko. Dynamiki nie dało się po prostu przewidzieć. Mimo to nasz człowiek nawet w tej krytycznej i trudnej sytuacji sprawdził się wyśmienicie.

Siedzący przed nim niepozorny mężczyzna chrząknął i rzekł:

– Jeden trup, pięciu rannych, w tym niektórzy ciężko, czterech leczonych psychiatrycznie z powodu głębokiej depresji, jedna osoba po wypadku samochodowym w śpiączce, oto bilans pańskiego eksperymentu. Sam profesor Thon stracił oko i w ogóle miał szczęście, że przeżył. Panie von Seth, uważa pan, że eksperyment o takim wymiarze ma podstawy etyczne i że można go przeprowadzić w Bundeswehrze?

Von Seth wypuścił głośno z płuc powietrze.

– Panowie, tylko w końcowej fazie eksperyment przebiegał bez żadnej niemal kontroli. Mówiąc wprost, mieliśmy tu do czynienia z wielkim niechlujstwem. W przyszłości organizacja musi wyglądać oczywiście inaczej. Ale ja nie widzę w tym żadnego problemu. Mamy potrzebne struktury. Poza tym uważam za równie mało etyczne wysyłanie naszych ludzi w sytuacje konfliktowe bez uprzedniego przygotowania. Co się jeszcze tyczy zarzutów o nieetyczność, to chciałbym wskazać dodatkowo na to, że kilku uczestników eksperymentu zostało skazanych z powodu zabójstwa i ciężkiego uszkodzenia ciała, jednak profesor Thon został oczyszczony z wszystkich zarzutów, począwszy od uprowadzenia, poprzez współudział w uszkodzeniu ciała, po nakłanianie do morderstwa. Pod względem prawnym sprawa jest więc jednoznaczna. Dochodzenie służbowe przeciwko niemu jest zbędne. Profesor Thon porzucił pracę na uniwersytecie i w przyszłości będzie do naszej dyspozycji jako doradca, jeśli komisja zdecyduje się przyjąć proponowany przeze mnie projekt.

– Dobrze – powiedział niepozorny mężczyzna i spojrzał po twarzach pozostałych. – To tyle wprowadzenia, majorze von Seth. Niech pan teraz przejdzie do szczegółów pańskiego projektu.

Czasem prawie nie wychodzili z łóżka. Wpadali tylko szybko do budki z fast foodem, gdzie ona, machając mu przed nosem kiełbaską, mówiła:

– Uups!

Pieprzyli się na stojąco w małej kuchni, pod prysznicem, w atelier jej przyjaciółki Hendrikje, w przebieralni, w samochodzie, obmacywali się w kinie w ostatnim rzędzie, jakby mieli po siedemnaście lat i żalowali, że jest jeszcze za zimno, by robić to na plaży.

Tarek nie miał nic przeciwko Holandii. Holandia była równie dobra jak każde inne miejsce. Języka nauczył się szybko. I ciągle był blisko morza. Słyszał je w domu, czuł jego zapach i smak. Pieniste, szare, niebieskie, zielone. Zielone jak jej oczy. Ciągle jej to mówił, a ona się śmiała.

Niebo. Tarek nie mógł się nasycić tym niebem. Wiatr gnał armię płonących chmur ponad morzem nad ląd. Tarek sfotografował pierwszy zachód słońca w swoim życiu. Zrobiło się chłodno. Tarek przymierzył znoszone, ciepłe ubrania jej ojca, żeby mogli dłużej pobyc na plaży. Fotografował ptasie guano na palu wystającym z wody, fotografował Dorę przy każdej czynności. Dorę w niebieskim kombinezonie. Dorę owiniętą w folię bąbelkową. Gołe tyłki Dory, Hendrikje, Siny i Ralfa na plaży. Dorę z bardzo bliska. Dorę pod prześcieradłem w łóżku. Promień słońca na jej łonie. Jedno zdjęcie zrobiła Dora. Na zdjęciu Tarek i Markus Steinhoff stoją obok szybowca. Tarek rzyga, a Steinhoff uśmiecha się do aparatu.

Czasem Tarkowi śniły się koszmary. Czasem. Gdy któregoś ranka wcześniej niż zwykle wstał z łóżka i wypakował swój notebook, Dora zapytała, co robi.

- Napiszę historię.
- Jaką historię?
- Naszą.

od autora

Akcja tej powieści nawiązuje do wydarzeń, które miały miejsce w 1971 roku podczas eksperymentu psychologicznego na Uniwersytecie Stanforda (Haney, Banks & Zimbardo, *Interpersonal Dynamics in a Simulated Prison*, „*International Journal of Criminology and Penology*” 1/1973). W związku z dramatycznymi reakcjami uczestników, eksperyment musiał zostać przerwany po sześciu dniach.

Pisząc tę książkę, opierałem się na różnych pracach dotyczących mechanizmów posłuszeństwa, izolacji więźniów, torturowania i prania mózgu, szczególnie na pracach takich autorów, jak: S. Milgram, Ch. Browning, H. Hansen i P. Zimbardo. Pomocne mi też były „Raporty Roczne” Amnesty International.

Mimo to powieść jest efektem czystej wyobraźni, podobnie jak wszyscy bohaterowie, poglądy oraz błędy rzeczowe, które mogły się wkraść.

Bardzo dziękuję Hartwigowi Hansenowi i Renate Hardt z Amnesty International, hamburskiemu Instytutowi Badań Społecznych i mojemu redaktorowi Michaelowi Kunitzschowi.